

M A R I U S Z S E P I O Ł O

HIMALAISTKI

OPOWIEŚĆ O KOBIECACH, KTÓRE POKONUJĄ KAŻDĄ GÓRĘ

| Krüger-Syrakamska | Okopińska | Miodowicz-Wolf | Rutkiewicz | Bednarz | Panejko-Pankiewicz | Piotrowicz |
| Baranowska | Bielecka | Czaplicka | Dzik | Skłodowska | Jurewicz | Bukowicka |

A photograph of two women in winter climbing gear sitting on a snowy mountain peak. The woman in the foreground is wearing a red hood and white sunglasses, while the woman behind her is wearing a white beanie and white sunglasses. They are both smiling and looking towards the camera. The background is a vast, snowy mountain landscape under a clear blue sky.

znak

M A R I U S Z S E P I O Ł O

HIMALAISTKI

OPOWIEŚĆ O KOBIECACH, KTÓRE POKONUJĄ KAŻDĄ GÓRĘ



Wydawnictwo Znak
Kraków 2017

WSTĘP

Na zewnątrz mróz i wiatr, a pod puchowymi kurtkami gotuje się krew. Polscy himalaiści na ten moment czekali całe lata. Weszli na sześcio- i siedmiotysięczniki, wyrobili sobie reputację, zebrali pieniądze i w końcu pojechali. Teraz siedzą w namiocie pod Gaszerbrumami w Karakorum i nie mogą dojść do porozumienia. W centrum siedzi ona. Piękna, posągowa, patrzy pod nogi, rzadko się uśmiecha. Nienaganne maniery, starannie dobrane słownictwo. Im bardziej inni się złością, tym ona jest spokojniejsza. Ile można coś takiego wytrzymać!

„Wanda! – odzywa się w końcu Leszek Cichy, przyszedł zdobywca Mount Everestu. – Chciałem ci zwrócić uwagę, że wszyscy poza tobą mają już tego dość!”¹

Ale Wanda jest spokojna, nie traci rezonu, upiera się przy swoim.

Dwa polskie zespoły – męski i kobiecy – miały pracować razem na sukces całej wyprawy. Cele były dwa: wyższy Gaszerbrum dla mężczyzn i niższy dla kobiet. Po siedmiu tygodniach torowania drogi, poręczowania i czekania na dobrą pogodę oba zespoły są wykończone i zdenerwowane. Nie widzą szans na zdobycie gór. Trzeba wracać do Warszawy – uznaje większość. Na dodatek za rezygnacją z wyprawy są też dziewczyny, które Wanda starannie dobrała. Tego jest dla niej za wiele.

„Koniec dyskusji na temat odwrotu!”² – mówi.

W ten sposób kształtuje się historia.

W zespole jest też Alicja Bednarz z Krakowa, zdobywczyni siedmiotysięczników, ciężko pracuje w ścianie i obozach, toruje drogę, którą później przejdą zdobywcy szczytu. Kiedy któregoś dnia Alicja ma zbyt wysokie ciśnienie krwi, Wanda Rutkiewicz nie zgadza się, by wyszła do góry.

„Nie wiem, dlaczego ci zależało na tym, żeby mnie zgnoić, powiedz” – mówi do radiotelefonu Bednarz.

„Mnie zależało tylko na realizacji celów wyprawy – odzywa się Rutkiewicz. – Jeżeli to robiłam tak, że gnoić niektórych, to będziecie mnie bić i oskarżać później”.

– Pod Gaszerbrumami była liderką – powie po latach Alicja Bednarz. – Musiała więc tę pozycję udowodnić.

Rutkiewicz, mimo sprzeciwu zespołu, łamie wcześniejsze ustalenia i wchodzi na szczyt Gaszerbruma III (7952 m) w zespole mieszanym (razem z Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Januszem Onyszkiewiczem i Krzysztofem Zdzitowieckim).

Koleżanki czują się oszukane. Postanawiają zaatakować Gaszerbrum II (8034 m). Szczyt zdobywają Anna Okopińska i Halina Krüger-Syrokomska dzień później. Jest to rekord wysokości kobiecej w Polsce i Europie.

„Nieczułość i łatwość zmieniania priorytetów w kierowaniu wyprawą na Gaszerbrum III stały się wkrótce charakterystyczną przypadłością Wandy, która nękała jej wszystkie ekspedycje – napisze o Wandzie Rutkiewicz Bernadette McDonald. – Można ją było oskarżać o egoizm

i nie liczenie się z innymi, trudno byłoby jednak wyobrazić ją sobie w Himalajach, gdyby była cicha i potulna”⁴.

W 1975 roku pod Gaszerbrumami, choć w atmosferze niesmaku, zrodzi się polski himalaizm kobiecy. Środowisko, które u jednych będzie budziło podziw, u innych – zazdrość i frustrację. Polskie himalaistki często będą pierwsze, najszybsze, najlepsze. Nie tylko podejmą rywalizację z męską częścią środowiska, ale w tej rywalizacji nieraz wysuną się na prowadzenie.

Uczestniczki wyprawy na Gaszerbrumy zdobędą później najwyższe ośmiotysięczniki i na stałe zapiszą się w historii. Zawiążą się wieloletnie przyjaźnie i powstaną zespoły, które z powodzeniem będą zdobywać najtrudniejsze ściany na świecie. Co najważniejsze: liderka wyprawy Wanda Rutkiewicz dostanie szansę na zdobycie najwyższej góry świata – Mount Everestu. Uda jej się to w 1978 roku jako pierwszej w historii spośród wspinaczy z Polski.

– Ludzie nie lubią kolorowych ptaków, a Wanda taka była – powie jej partnerka Ewa Panajko-Pankiewicz. – Miała naturę prymuski. To ona była pierwsza. Zawsze.

¹ W. Rutkiewicz, *Godzina zero*, (w:) *Zdobycie Gasherbrumów*, red. W. Rutkiewicz, Warszawa 1979, s. 96.

² Tamże, s. 97.

³ Cytaty z rozmowy A. Bednarz i W. Rutkiewicz pochodzą z filmu *Temperatura wrzenia* w reż. Andrzeja Zajączkowskiego, 1975.

⁴ B. McDonald, *Ucieczka na szczyt*, Warszawa 2012, s. 56.



fot. EAST NEWS



CZĘŚĆ I

WCZORAJ

BĄDŹ DZIELNA, MARIANKO



HALINA KRÜGER-SYROKOMSKA



fot. archiwum prywatne Marianny Syrokomskiej

*Wrócił z działki, wszedł na osiedle i zobaczył dwóch facetów.
To Andrzej Skłodowski i Andrzej Paczkowski.*

„Cześć, Janusz” – rzucili. W oczach mieli niepewność.

*On już wtedy wiedział. Wręczyli mu kartkę z niewyraźnym
drukiem. To była wiadomość spod K2.*

Przeczytał. Dzisiaj mówi:

– Na coś takiego nie można się przygotować.



SCHRON

Halina Krüger przychodzi na świat w Warszawie w 1938 roku. Ma roczek, kiedy zaczyna się bombardowanie miasta. W kamienicę, gdzie mieszka z rodzicami i babcią, uderza pocisk. Halina przeżyje dzięki przypadkowi: nad jej głową tworzy się „schron” ze szczątków kołyski, który ochroni ją przed niebezpieczeństwem.

Podczas bombardowania giną biologiczni rodzice Haliny i jej babcia. Dziewczynką przez rok opiekują się wujostwo, potem zostaje adoptowana przez kuzynkę ze strony matki. Córka Haliny, Marianna, dowiedziała się o tym później, szperając w papierach.

– Spytałam ojca, potwierdził – mówi. – Powiedział, że babcia bała się, że jeśli się dowiem, odrzucę ją. Dopiero będąc staruszką, tuż przed śmiercią, powiedziała: „Marianko, ja ci muszę coś wyznać. Bo wiesz...”. Ja na to: „Babciu, ja to już wiem od wielu, wielu lat. To dla mnie żaden problem”. Wcześniej nigdy nie poruszałam tematu dzieciństwa mamy, bo w rodzinie panowało w tej kwestii milczenie.

O adopcji się nie mówiło, ale nie zakłamywano historii. Jak wspomina Marianna, mama wcześniej się dowiedziała, że ta, którą brała za matkę, to tak naprawdę jej ciocia.

– Szybko dowiedziała się też, kim byli jej biologiczni rodzice. Chodziła na ich grób na cmentarzu przy Młynarskiej – dopowiada córka Haliny.

Adopcyjny ojciec Haliny Krüger jest nauczycielem w liceum, matka wykłada na Politechnice Warszawskiej. Razem ze swoimi uczniami i studentami jeżdżą na wycieczki po całej Polsce. Małą Halinę zabierają ze sobą w Tatry. To wtedy prawdopodobnie po raz pierwszy Halina widzi góry.

Bardzo szybko, jeszcze przed maturą, wypuszcza się na górskie szlaki sama. Na początku chodzi po Tatrach turystycznie. Trudno dziś odtworzyć moment, w którym decyduje się na trudniejsze wyzwania, ale wkrótce zacznie nie tylko podróżować w góry z plecakiem jak piechur, ale także próbuje się po nich wspinać.

Pierwsze wejścia Haliny Krüger – według różnych relacji – można datować na 1955 rok. Halina wyjeżdża w Tatry, kiedy może, spędza tam całe wakacje. Wspina się w coraz trudniejszych ścianach. Wchodzi w środowisko taternickie, nawiązuje kontakt z rówieśnikami, zaczyna budować swoją pozycję. To dlatego już w 1960 roku, w wieku 22 lat, ma na koncie bardzo wymagające – jak na tamte czasy – przejścia (między innymi klasyczną drogę na Zamarłej Turni).

DAMSKIE WSPINANIE

Przez pierwsze trzy sezony Halina wspina się z mężczyznami. Szybko jednak zaczyna rozumieć, że tylko dzięki zdobywaniu gór w kobiecych zespołach może zostać doceniona przez środowisko. Na Zamarłą Turnię wchodzi jako pierwsza w zespole kobiecym. Damskie wspinanie stanie się jej *idée fixe*.

– W górach czuła wolność – mówi Marianna Syrokomska. – To dziś brzmi banalnie, ale wtedy takie nie było. To były lata sześćdziesiąte, w Polsce rządził Gomułka. Wiem, że mama w górach się po prostu dobrze czuła, odpoczywała tam. Szukała tam również wytchnienia od racjonalnego świata, który starali się jej wpoić adopcyjni rodzice. Mój dziadek był matematykiem, babcia fizykiem, a mama ewidentnie duszą humanistyczną. I w ten sposób patrzyła na świat.

Pod wpływem rodziców Halina wybiera jednak politechnikę, gdzie wytrzymuje tylko rok. Zmienia kierunek na historię sztuki. Dużo czyta – klasykę literatury francuskiej, włoskiej, rosyjskiej; zbiera reprodukcje starych obrazów.

Podczas studiów wspina się już na poważnie. Rodzice patrzą na pasję córki z niepokojem, ale – według Marianny Syrokomskiej – bez przesadnej paniki. Od czasu do czasu Halina wysyła im telegramy z prośbami o „dofinansowanie”.

– Nie zauważyłam w ich korespondencji jakiejś zbytnej dezaprobaty – mówi dziś Marianna.

ROZŁĄKA

– Jak mnie pan rozpoznał? – Janusz Syrokomski przygląda mi się nieco podejrzliwie.

– Po zdjęciu z internetu – odpowiadam.

– No tak, dzisiaj mamy wszystko na jedno kliknięcie.

Pan Janusz – dziarski, wyprostowany starszy pan, prawie całe życie przepracował w harcerstwie – chętnie zgadza się na rozmowę o pierwszej żonie.

– Byliśmy oboje na pierwszym roku historii sztuki – opowiada. – Studiowało nas trzynaście osób, bardzo kameralny wydział. To był rok dużych zmian, gomułkowski październik. Pryśła wtedy dyscyplina, która obowiązywała na studiach w Polsce wcześniej. Trzeba było chodzić na wszystkie zajęcia, odnotowywano obecność na ćwiczeniach, ale i wykładach. I to się nagle zmieniło. Prowadziliśmy więc dość hulawczy tryb życia.

Co robili studenci podczas towarzyskich wieczorków? Janusz Syrokomski mówi bez ogródek: – A wódkę piliśmy i gadaliśmy. To były czasy bardzo napiętej sytuacji politycznej, myśmy w tym wszystkim brali udział, chodziliśmy na wiece na Politechnice, a potem o tym dyskutowaliśmy przy kieliszku.

Jednak prędko w oko wpada mu ona.

– W tych spotkaniach uczestniczyła też Halina. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Drobna, piękna brunetka. Już wtedy się wspinała. Zaczęliśmy rozmawiać. I tak już zostało – dziś Janusz mówi o tym tak, jakby Syrokomsy po prostu musieli być razem.

Na szczęście nie przeszkadzało mu, że Halina często i na długo wyjeżdżała w góry.

– Miała bardzo zagospodarowany czas przez swoją pasję, ale ja też. Przez całe wakacje wizytowałem obozy harcerskie. Widywaliśmy się tylko od czasu do czasu, bo ona z kolei była

w górach. To był element umacniający nasze małżeństwo. Każde miało swój świat, który był bogaty. Dziś po świecie Haliny zostały pamiątki.

– W domu zawsze był mit mamy, bardzo silny – mówi Marianna Syrokomska. – Po 1982 roku tata nie uprzątnął rzeczy po mamie, przeciwnie, zrobił jej kapliczkę: na ścianie w domu wisiały raki, czekan, zdjęcie mamy, zdjęcia górskie, cała biblioteka wspinaczkowa.

Rozjazdy małżeństwa Syrokomskich trwały do kilku miesięcy w roku. Jak wspomina mąż Haliny:

– Jeśli jechała w Alpy czy Pamir, to krócej, a w Himalaje czy Karakorum – dłużej.

Pan Janusz poddał się temu trybowi.

– Wiedziałem od początku, że to coś, z czym nie mogę walczyć – oznajmia. – Jednak doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny to sport i jakie grozą w każdej chwili konsekwencje. Łącznie z ostatecznymi.

Czy jego samego nie opanowała wspinaczkowa gorączka? Wystarczyła mu lekcja, którą otrzymał na samym początku.

– Pamiętam, że któregoś razu na dość trudnej drodze byłem przywiązany do liny, nie widziałem Halinki, bo to eksponowana ściana. Byłem wtedy silny i młody. Pojawił się występ skalny, dość wąski. Podciągnąłem się na rękach i na nim usiadłem. [Halina] zawołała, pytając, gdzie jestem. Ostrzegła, że będzie występ, za który mam się nie chwytąć, bo w każdej chwili może się urwać. A ja właśnie na nim siedziałem – opowiada Syrokomski.

PARTIA

Halina należy do PZPR. Koleżanki ze środowiska górskiego twierdzą, że z przekonania.

– Dzisiejsza propaganda maluje wszystko na czarno, żeby znaleźć uzasadnienie dla własnego widzenia tamtych czasów – mówi Janusz Syrokomski, w czasach PRL-u również członek PZPR.

– Rzeczywistość była wtedy bardziej skomplikowana. Polacy w większości wierzyli w socjalizm. Po Jałcie możni podzielili Europę na pół, myśmy trafili na gorszą stronę i już. Trzeba było sobie jakoś to życie układać.

BABY

Halina Krüger szybko staje się jedną z najlepszych. To ona będzie przyjmować do Klubu Wysokogórskiego Warszawa przyszłe gwiazdy alpinizmu, między innymi Annę Okopińską. Halinie nie brakowało ani kondycji, ani hartu ducha.

– Co buduje dobrą alpinistkę? Przede wszystkim charakter, nie siła mięśni – twierdzi córka. – W górach można być silnym jak byk, a nie mieć charakteru, i nic z tego nie wyjdzie. U mamy decydująca była osobowość, upór w dążeniu do celu.

Halina nie przepadała za rywalizacją.

– O ile u Wandy czy u Kukuczki konkurencja stanowiła motor ich działań, o tyle u mojej mamy była ona zbędna – dodaje Marianna.

Bez wątplenia jednak Halina dawała się ponieść rywalizacji kobiet z mężczyznami.

– Mama miała ambicje, żeby udowodnić facetom, że kobiety też potrafią – stwierdza

zdecydowanie jej córka. – Mówiła, że jeśli zrobi drogę z facetem, nawet pięć razy od niej gorszym, nawet jeżeli to ona będzie prowadziła całą drogę, pokonywała wszystkie trudności, a jego wciągała na linie, to nadal chwala spłynie na faceta. Tak było, szczególnie w tamtych czasach.

Dlatego już wkrótce zacznie się rozglądać za godną siebie partnerką. W Tatrach poznaje inną szybko zdobywającą silną pozycję dziewczynę – Wandę Rutkiewicz. Są do siebie podobne. Obie mają mocne charaktery. Wanda zdobywa przychylność środowiska aurą długowłosej piękności, Halina – humorem i dystansem.

– Potrafiła zakłąć jak szewc – przyznaje Janusz Syrokowski.

Obie dobrze znają swoje cele i potrafią je realizować. Przez kilka lat będą jedynym w Polsce kobiecym zespołem robiącym ambitne, trudne przejścia w Tatrach, a wkrótce także w Alpach i górach wyższych. Razem ruszają na wspin alpejski, gdzie w 1976 roku Halina zdobywa szczyt Aiguille du Grépon (3482 m n.p.m.).

Obie z Wandą starają się przełamać stereotyp wspinających się kobiet. Marianna Syrokomska opowiada:

– Po kilku dobrych kobiecych przejściach środowisko uznało, że wspinanie klasyczne kobiet jest możliwe, ale hakowo to już na pewno baby sobie nie poradzą, bo to czysta siła, trzeba dźwigać. W związku z tym mama zrobiła jedno z przejść w Tatrach hakowo, w dobrym czasie. Wtedy maczystowskie środowisko wspinaczy przyznało: no dobrze, zrobiły to, ale przecież już o Alpach, zdobywanych przez kobiety w stylu alpejskim, to nie ma mowy. No więc mama jedzie w Alpy z Wandą i zdobywa szczyty w stylu alpejskim. Dobra – mówią faceci – baby weszły na Alpy, ale na pewno nie pojedą na siedmiotysięczniki. Wtedy mama jedzie najpierw na Kaukaz, a potem do Pamiru, gdzie zdobywa najwyższe siedmiotysięczniki ZSRR. Było w tym sporo przekory. Kiedy mówiono jej, że coś jest niemożliwe, ona natychmiast to realizowała.

PARTNERKA

W sierpniu 1968 roku do kiosków w całej Norwegii trafia nowy numer czasopisma dla panów „Alle Menen”, tamtejszego odpowiednika „Playboya”. Czytelnicy, którzy sięgają po egzemplarz, są zdziwieni: zamiast półnagiej modelki na okładce widzą ubrane alpinistki o nietypowej jak na Skandynawię urodzie.

W stronę obiektywu uśmiechają się Wanda Rutkiewicz i Halina Krüger-Syrokomska. Stoją na szczycie Romsdalshornu. Redakcja dowiedziała się, że jako jedyny kobiecy zespół Wanda i Halina zdobyły wschodni filar Trollryggenu, jednej z najwyższych skalnych ścian Europy, i wysłała reportera, by zrobił wywiad z niezwykłymi kobietami z Polski. Przypomnijmy: są lata sześćdziesiąte, kobiecy alpinizm dopiero się na świecie rodzi. Halina i Wanda są pionierkami, od których młodsze pokolenia będą się uczyć.

W Norwegii na początku wspinają się niezwiązane liną, ale szybko weryfikują to założenie. Wspinaczka momentami potrafi być bardzo niebezpieczna i trudna. Idą w zespole, zmieniają się na prowadzeniu.

Alpinistki borykają się ze zmęczeniem i kiepskimi warunkami. Spijają wodę płynącą po skałach, bo nie mają ze sobą urządzenia do oczyszczania wody. Czasem – jak wspomina Wanda w książce *Na jednej linie* – tracą się nawzajem z pola widzenia. Wtedy komunikują się, krzycząc

do siebie. Ale ze wspinaczki są zadowolone.

Pierwsza na szczyt dociera Wanda. Woła do partnerki, że jeszcze trochę. W odpowiedzi słyszy – jak to od Haliny – przekleństwo. Ale wkrótce i Halina dociera na szczyt.

Po zejściu zaczynają się wywiady, spotkania, uroczystości z wręczaniem medali i pucharów.

Jak wspinaczkowe partnerki się dogadywały? Janusz Syrokowski nie kryje, że „relacje między Haliną a Wandą były specyficzne. W górach Halina i Wanda dobrze ze sobą współpracowały. Ale tu, na ziemi, bardzo się różniły”.

Marianna Syrokowska nie owija w bawełnę:

– Mama i Wanda wspinały się ze sobą, bo nie miały wyjścia. Były najlepsze i dlatego zostały na siebie skazane. Rokowały największe nadzieje w Klubie Wysokogórskim, więc wysyłano je na wspólne wyprawy. Nie mogę powiedzieć, żeby się jakoś strasznie nie lubiły. Ale to na pewno nie była przyjaźń.

– Do Gaszerbrumów w 1975 roku darzyły się szacunkiem, potem ich stosunki się ochłodziły – Marianna zaznacza krytyczny punkt we wspólnej historii himalaistek, po którym ich drogi się rozejdą.

WYŚCIG

– Był moment, kiedy mamie zabrali paszport i Wanda wtedy mocno wypruła naprzód – przyznaje Marianna Syrokowska. Halina Krüger pracuje wówczas w czasopiśmie „Fotografia”. Na jego łamach zamieszczono artykuł o nestorze polskiej sztuki fotograficznej Janie Bułhaku ilustrowany zdjęciem ułanów Żelichowskiego w Wilnie, co nie podoba się partii. Winą zostaje obciążona Halina. Za karę traci paszport na kilka lat. W tym czasie Wanda wyjeżdża dużo w Alpy i Hindukusz.

W 1975 roku Halina bierze udział w wydarzeniach, które nadadzą kształt następnym latom kobiecej wspinaczki. Wanda Rutkiewicz organizuje wyprawę w Karakorum. Po raz pierwszy w historii o zdobycie siedmiotysięcznika Gaszerbruma III ma powalczyć zespół kobiety. Żeby jednak przedsięwzięcie w ogóle doszło do skutku, w Karakorum muszą też jechać mężczyźni, atakujący Gaszerbrum II.

Rutkiewicz zabiera na wyprawę najlepsze alpinistki tamtych czasów, między innymi Krystynę Palmowską, Annę Czerwińską, Annę Okopińską oraz oczywiście Halinę Krüger-Syrokowską. Kobiety są przekonane, że celem ich kobiecego zespołu jest zaplanowane zdobycie wierzchołka – bez pomocy mężczyzn.

Rutkiewicz decyduje się jednak atakować Gaszerbrum III w zespole mieszanym. Kiedy dowiaduje się o tym reszta kobiecej grupy, zapada decyzja o wejściu na wyższy Gaszerbrum II. Atak się udaje. Na szczycie stają Halina Krüger-Syrokowska i Anna Okopińska.

To historyczne osiągnięcie. Zachowanie Rutkiewicz przynosi – paradoksalnie – pozytywne skutki dla kobiecego himalaizmu: w Karakorum w 1975 roku polskie kobiety przekraczają po raz pierwszy granicę 8000 m n.p.m. Jednak środowisko zostaje wtedy podzielone. Jedni rozumieją decyzję Wandy Rutkiewicz i prawo kierowniczkii wyprawy do decydowania o tym, kto, kiedy i jak zaatakuje szczyt. Drudzy mówią o jej chorobliwej ambicji.

CÓRKA

Wanda całe życie podporządkowała górcom. Dla Haliny Krüger ważna była także rodzina. Może tym najbardziej się od siebie różniły. Jaką była matką?

– Inną niż wszystkie. Mamy koleżanek były niezadbane i nieciekawe, a moja robiła fajne rzeczy – mówi Marianna Syrokomska.

To prawda, Halina Syrokomska często wyjeżdżała w góry, ale kiedy tylko była w domu, starała się spędzać z córką jak najwięcej czasu. Marianna wspomina dzieciństwo tak:

– W pierwszych klasach podstawówki miałam system zmianowy: niektóre dzieci chodziły do szkoły rano, inne po południu. Moja mama w redakcji też pracowała popołudniami, więc spędzałyśmy ze sobą ranki, chodziłyśmy po sklepach, załatwialiśmy różne codzienne sprawy.

Halina jednak, nawet jeśli akurat nie przebywała na górskiej wyprawie, była bardzo zajęta kobietą. Jej córka nigdy nie wiedziała, czy po powrocie ze szkoły zostanie ją w domu. Matka z córką wypracowały więc system znaków.

– Jeśli jej nie było, szłam do babci. Nie było wtedy domofonów, więc żeby niepotrzebnie nie latała po schodach, [mama] odsuwała w oknie kuchennym zasłonkę do połowy. To był dla mnie taki znak: czekam na ciebie, Marianko – pamięta córka Haliny.

– Potem, przez pierwsze lata, najbardziej brakowało mi tej odsuniętej zasłonki – dodaje.

Nie da się ukryć, że mimo tych momentów bliskości córka często tęskniła za matką.

– Pamiętam wyjazd z mamą w Tatry, jeden jedyny, chyba rok przed jej śmiercią. Pojechaliśmy wtedy i w góry, i do Krakowa, chodziłyśmy też trochę po Zakopanem. Na ogół nie spędzałam z mamą wakacji, tylko z dziadkami. Bardzo wtedy tęskniłam, tęsknota to było dojmujące uczucie w moim dzieciństwie – wyznaje Marianna.



Podczas kobiecej wyprawy na Gaszerbrumy, 1975.

fot. archiwum prywatne Marianny Syrokomskiej

DZIECKO

Janusz Syrokowski:

– Halina była bardzo dobrze zorganizowana. Wszystko miała świetnie poukładane, lubiła porządek. Nie lubiła za to dzieci, poza synkiem naszych przyjaciół i oczywiście Marianną. Marianna była takim prezentem dla mnie od Haliny. Urodziła się dopiero 10 lat po ślubie. Halina długo zastanawiała się nad ciążą, ale w końcu powiedziała: No, już dobrze! Urodzę ci dziecko, żebyś miał kogoś, jak ja się upierdole w górach.

Mąż bał się o żonę, kiedy wyjeżdżała, ale rozumiał ją.

Mała Marianna, tak jak ojciec, akceptuje pasję mamy. Kiedy widzi, jak koleżanki kłócą się ze swoimi matkami, sądzi, że nie ma im czego zazdrościć. A po śmierci Haliny?

– Tata bardzo się starał zastępować mi mamę. Powtórnie ożenił się dopiero rok po moim własnym ślubie. Bardzo możliwe, że czekał tak długo przeze mnie, bo trochę odstraszałam potencjalne kandydatki, które się czasami pojawiały. Byłam wychowywana jako jedynaczka, oczko w głowie całej rodziny, więc miałam egoistyczne podejście do życia. Tata nie chciał mi chyba fundować dodatkowej traumy – ocenia z perspektywy czasu córka Haliny.

Janusz Syrokowski potwierdza słowa córki.

– Drugą żonę, z którą jestem do dziś, poznałem długo potem. 11 lat później. Bo w pierwszym okresie Halina wszędzie z nami była. Marianna wtulała się w jej ubrania w szafie. Nie ruszaliśmy tych rzeczy przez parę lat.

Kiedy minął okres żałoby i wdowiec zaczął się spotykać z innymi kobietami, Marianna pokazała rogi. Lubiła koleżanki ojca, nazywała je ciociami. Ale kiedy zanosilo się na coś więcej, to „z Marianki robiła się pokrzywa”.

WYPRAWA

Jest grudzień 1981 roku. Polski himalaizm ma na koncie dwa najbardziej dotąd spektakularne sukcesy: zdobycie Mount Everestu przez Wandę Rutkiewicz w 1978 roku i zimowe wejście na ten sam szczyt przez Krzysztofa Wielickiego i Leszka Cichego 2 lata później. Janusz Kurczab, kolejna legenda himalaizmu, od wielu miesięcy próbuje zorganizować międzynarodową wyprawę na K2, niezdojony dotąd zimą, drugi najwyższy szczyt świata. Równolegle o dołączeniu do kobiecego zespołu myśli Wanda Rutkiewicz.



„Mamy koleżanek były niezadbane i nieciekawe. Moja robiła fajne rzeczy”. Mała Marianka z mamą, 1974.

fot. archiwum prywatne Marianny Syrokomskiej

Po okresie solidarnościowego karnawału przychodzi jednak kryzys. Środowisko alpinistyczne, w dużej części angażujące się w działalność opozycyjną, także odczuje skutki wprowadzenia stanu wojennego. Jak w książce poświęconej wyprawie w Karakorum wspomni Anna Czerwińska, wielu wspinaczy traci możliwość wyjazdu za granicę. Ci, którzy zachowują paszporty, nie wiedzą, czy jeszcze kiedykolwiek będą mogli wyjechać¹.

„Tak naprawdę to, że środowisko alpinistyczne szczęśliwie przetrwało ponury okres stanu wojennego, zawdzięczamy wyłącznie Hani Wiktorowskiej, pełniącej funkcję o poważnie brzmiącej nazwie: sekretarz generalny Polskiego Związku Alpinizmu”² – wspomina tamten czas w swojej książce Anna Czerwińska. W głębokim komunizmie nie było mowy o swobodzie podróżowania. Zezwalano wyłącznie na zorganizowane wyjazdy przy poparciu PZA, a paszport należało zwrócić od razu po powrocie.

Władze pozwalają w końcu na wyjazd, bo jego organizatorzy zebrali już większość pieniędzy, a przede wszystkim – w sprawę zaangażowali się wspinacze z Meksyku. Wyprawa, w której mają wziąć udział Polacy oraz Meksykanie, została wpisana do oficjalnego kalendarza wydarzeń sportowych jeszcze przed stanem wojennym, dzięki czemu teraz może dojść do skutku. Obok ekipy męskiej startuje także kobieca pod wodzą Wandy Rutkiewicz, która w tamtym czasie przebywa na stałe w Innsbrucku.

Na liście do wyjazdu na K2 są same wielkie nazwiska kobiecej wspinaczki: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska, Anna Okopińska, Wanda Rutkiewicz. I oczywiście Halina Krüger-Syrokomska. Najpierw zespół rusza na dziesięciodniowy objazd, podczas którego kompletuje sprzęt. Potem jedzie do Austrii, gdzie odwiedza Wandę Rutkiewicz, następnie kieruje się do Niemiec i Francji. Polki spotykają za granicą przedstawicieli Polonii, ale też życzliwych obcokrajowców.

O tym, jakim ogromnym przedsięwzięciem było zorganizowanie takiej wyprawy, opowiadają jej uczestniczki.

– Mieliśmy prawie półtorej tony do przetransportowania do bazy – mówi Aniela Łukaszewska. – To prawie dwieście pięćdziesiąt ładunków, karawana szła dwanaście dni. Trzeba było przez niemal dwa tygodnie iść z dwustu pięćdziesięcioma tragarzami.

Ten tabun należało okiełznać i nie spuszczać go z oka.

– Stawałyśmy, sprawdzałyśmy, kto przechodzi, później szybko biegłyśmy na początek – dodaje Danuta Wach.

– Zorganizowanie takiej karawany to niesamowity wysiłek – tłumaczy Łukaszewska.

Ale to nie wszystko. Trzeba wziąć pod uwagę, że marsz wiódł przez kraje muzułmańskie. Dwanaście kobiet i dwustu pięćdziesięciu mężczyzn. Jak wspomina Łukaszewska:

– Inna kultura, zwyczaj, z dala od cywilizacji, bez wsparcia prawa i jakiegokolwiek organizacji bezpieczeństwa.

Nie brakowało chwil grozy. Łukaszewska relacjonuje:

– Robiło się ciemno, więc zaczęłyśmy rozbijać namioty w miejscu, które budziło we mnie pewną grozę, bo była tam wysoka ściana z gliny, wyłożona kamieniami. Jak keks! Bałam się, że te kamienie nas pozabijają.

Dodatkowo atmosferę podgrzewało dziwne zachowanie miejscowych.

– Nasi tragarze zaczęli palić ogniska i wydawać straszne jęki, odprawiać modły, tańce. Działo się coś strasznego, byliśmy przerażone. Nie rozumiałyśmy, co się dzieje. Pobiegłyśmy do Wandy z pytaniem, co robić. „Siedzieć cicho w namiotach – odpowiedziała. – Wszystko będzie dobrze”.

Okazało się, że to był koniec ramadanu. Jak podsumowuje Łukaszewska:

– Różnice kulturowe odkrywaliśmy w terenie, a nie studiując książki w bibliotekach czy oglądając programy telewizyjne.

INTUICJA

Kiedy kobiety docierają pod K2, po drugiej stronie góry, na lodowcu Savoia, stoi już baza „chłopców”, czyli międzynarodowej wyprawy Janusza Kurczaba. Wśród wspinaczy są Jerzy Kukuczka i Wojciech Kurtyka, którzy co jakiś czas będą przychodzić do dziewczyn na herbatę, a w najbardziej dramatycznym momencie odegrają ważną rolę.

Marianna Syrokomska wspomina ostatnie chwile przed wyprawą:

– Pamiętam: jakiś czas przed wyjazdem na K2 do naszego mieszkania przychodzi dziennikarka, żeby zrobić z mamą wywiad. Siedzę u mamy na kolanach i w pewnym momencie rozmówczyni zwraca się do mnie z pytaniem, czy ja też będę się kiedyś wspiąć. Mama krzyczy na to, że nie, na pewno nie. A ja, z jadowitym uśmiechem – jak napisała potem dziennikarka – zapieram się: „Będę się wspiąć, żeby się odpłacić mamie”.

Córka dotrzyma złożonej wówczas obietnicy, ale matka już tego nie zobaczy. Halina przed wyjazdem zapowiadała, że to będzie jej ostatnia wyprawa. Nie przypuszczała, że od tych słów nie będzie odwołania.

Janusz Syrokomski pamięta: Halina mówiła, że nie chce jechać. „To nie jedź! Jeśli nie czujesz takiego ciągu jak zawsze, to nie rób tego!” – mówił. Ale żona odparła: „Nie mogę tego zrobić dziewczynom, bo wtedy ta wyprawa się rozleci!”. Pojechała, bo Wanda złamała nogę.

Janusz Syrokomski:

– Halina stwierdziła, że ze względów koleżeńskich pojedzie, ale kiedy wróci, da sobie spokój z górami i zajmie się karierą zawodową. Wtedy była już szefową redakcji książek dziecięcych. Instynkt jej chyba podpowiadał: nie jedź. Nie posłuchała podszeptów intuicji.

Dodatkowo Krüger-Syrokomska coraz bardziej odstawała od środowiska. Jedną z przedstawicielek starszego pokolenia himalaistek twierdzi, że „podczas wyprawy jej koleżankę spotykały nieprzyjemności z powodu przynależności do PZPR”.

– Halina nigdy się nie skarżyła, żeby miano do niej pretensje z powodu przynależności do partii – mówi Janusz Syrokomski. – Zresztą nie była jedyna i wszyscy wiedzieli, że SB wielokrotnie ją przesłuchiwało z powodu kontaktów polskich alpinistów z czesкими. To wszystko nie jest takie proste, jak się dzisiaj wydaje, że byli tylko albo zdrajcy, albo bohaterowie.



Pamir, 1970.

fot. archiwum prywatne Marianny Syrokomskiej

PRAWO

Wbrew wszystkiemu Marianna Syrokomska nigdy nie znenawidziła wspinaczki.

– Na początku bardzo nie lubiłam Wandy, bo musiałam kogoś oskarżyć o to, co się stało, a ona była pierwszą osobą, która mi się nawinęła. To bardzo dziecinne – przyznaje po czasie. –

Ale do samych gór nigdy nie miałam pretensji. Uważam, że to, co w górach w czasie wspinania odnajdujemy, to o wiele więcej, niż możemy stracić.

Jednak rozumiała, że dla mamy wspinaczka była jak powietrze.

– Jeśli mojej mamie góry dawały taką przyjemność, to miała do nich prawo. I już. Wydarzenia pod K2 to był splot nieszczęśliwych okoliczności – tłumaczy.

Halina miała kłopoty żołądkowe, była odwodniona. Pokonała bardzo duże przewyższenie, a nie dopisała jej najlepsza forma. Rok wcześniej złamała nogę w Tatrach, przeszła dwie operacje kostki. W dodatku sytuacja w kraju nie napawała jej optymizmem. To musiało się odbić nie tylko na zdrowiu fizycznym, ale także na psychice.

UDAR

Któregoś z ciepłych sierpniowych dni 1982 roku Janusz Syrokowski spotyka przed domem Andrzeja Skłodowskiego i Andrzeja Paczkowskiego. Przekazują mu wiadomość.

Małą, poślódką już karteczkę do dziś nosi w portfelu.

Wyjmuje ją teraz, złożoną na cztery, i pozwala przeczytać.

„Islamabad, dnia 19.8.82.

W oparciu o otrzymany dzisiaj raport Wandy Rutkiewicz informujemy, że w dniu 30 lipca br. Halina Krüger-Syrokomska zmarła na udar mózgu. Raport Rutkiewicz wysłamy najbliższym kurierem”.

Janusz Syrokowski odtworzył przebieg wydarzeń, kiedy dostał do rąk kalendarz zmarłej żony, w którym wszystko notowała. Mąż Haliny nie wini nikogo.

– To był to fatalny zbieg okoliczności – ocenia.

Kiedy wszyscy członkowie wyprawy lecieli do Islamabadu samolotem, ona pojechała w męczącą drogę samochodem, ze sprzętem. Padało, przeziębła się. Potem użerała się z tragarzami, którzy zaczęli strajkować.

– W noc przed tym, kiedy to się stało – mówi Syrokowski – napisała: „Czuję się niedobrze, mam sraczkę, trzynaście razy wychodziłam z namiotu. Nigdzie nie idę!”. Potem było jeszcze gorzej. Halina wraz z Anką wchodzi z pomocą do obozu I, gdzie zasłała któraś z dziewczyn. Potem ruszają wyżej, ryzykując chorobą wysokościową. Miałem nagranie wszystkich rozmów z bazą. Lekarka koordynowała akcję ratunkową przez radiotelefon. To było przekomiczne, bo w ostatniej rozmowie Halina żartowała, opowiadała jakieś historie, potem poszły spać.

Himalaistka zaśnie i już nie odzyska przytomności.

Szły razem z Anną Okopińską, miały się w zasięgu wzroku. W końcu doszły do obozu, przygotowały się do spędzenia nocy i weszły do namiotu. Halina nie wybudziła się ze snu.

REANIMACJA

Lekarka wyprawy koordynowała działania przez telefon. W akcję włączyli się Austriacy z obozu II, którzy mieli tlen. Nie wyczuli u Haliny pulsu, zaczęli reanimować. Po kwadransie

bezsuktecznej reanimacji przyszła pora na pogodzenie się z trudną prawdą. Janusz Syrokowski wspomina:

– Później była niespotykana raczej w dziejach himalaizmu akcja transportu ciała. Tu Wanda odegrała ważną rolę, bo powiedziała, że nie zostawi koleżanki w lodzie.

Ciało zapakowano i spuszczano na długiej linie. Wkrótce przyszli „chłopaki od Kurczaba” – członkowie męskiej wyprawy, która zdobywała szczyt od drugiej strony – i przejęli ciało. Operację przeprowadzano ostrożnie, trzeba było uważać na seraki – sople, tylko sterczące do góry. Na szczęście się udało.

– Dzięki tej akcji Halina została pochowana w gruncie, a nie w lodowcu – podkreśla Syrokowski.

Jak pisze w swojej książce Anna Czerwińska: „Gdy podobna sytuacja zdarzy się na lodowcu, można znaleźć szczelinę i opuścić do niej ciało, a gdy zdarzy się na stałym gruncie, to można wykopać coś w rodzaju grobu i tam człowieka pochować. Natomiast na Żebrze Abruzzi nie ma nawet miejsca na schowanie plecaka. Tam jest po prostu urwisko!”³.

Pozostawało otwarte pytanie, co robić dalej. W bazie dyskutowano, czy należy prowadzić akcję górską. Niektórzy byli za, inni przeciw. Konsensus wydawał się trudny do osiągnięcia. Ani wyprawa męska, ani kobieca nie zdobywa tego roku K2.

ZŁA WIADOMOŚĆ

Janusz Syrokowski otrzymał tragiczną informację dwa tygodnie po fakcie. Inne czasy, nie było komórek, więc dopiero kiedy wspinacze zeszli do Skardu, Wanda zadzwoniła do ambasady.

– Przez dwa tygodnie nie wiedziałem, że Halina jest już pochowana – przyznaje dziś Syrokowski.

Andrzej Skłodowski, który pracował w PAP, gdzie redagował komunikaty, zgodził się wstrzymać informację o śmierci himalaistki, żeby Janusz zdążył osobiście powiadomić najbliższą rodzinę: Mariannę, mamę Haliny i swoich rodziców.

Janusz był w stanie to zrobić dopiero następnego dnia. Rano pojechał do mamy Haliny, starszej pani, która parę lat wcześniej straciła męża.

– To było bardzo trudne. Kiedy jej powiedziałem, zaczęła histeryzować, mówić, że nie ma już chęci żyć – wspomina Syrokowski.

Zięć prosił, by się uspokoiła, przecież musi żyć i pomóc w wychowaniu Marianny. Potem Syrokowski pojechał na działkę, gdzie jego rodzice opiekowali się Marianką. Najpierw powiedział dorosłym, potem przyszła pora na dziecko. „Marianko, musisz być bardzo dzielna” – powiedział.

– Marianna nie zareagowała płaczem, histerią. Chciała chyba pokazać, że jest dzielna – wspomina Janusz.

Wtedy jego córka nie załamała się, ale potem mówiła, że w jej świadomości dziecka mama jeszcze ciągle nie wróciła.

– Wcześniej bywało, że nie było jej i pół roku, więc Marianna była do tego przyzwyczajona – tłumaczy Janusz Syrokowski. A przecież nie było pogrzebu ani grobu – symbolu, że Halinka odeszła na zawsze.

Marianna Syrokowska pamięta te słowa ojca: „Wiesz, Marianko, musisz być bardzo

dzielna”.

– Wtedy już wiedziałam – mówi dzisiaj. – Może to wyczytałam w oczach taty, w jego głosie? Pamiętam jeden szczegół. Leciał wtedy w telewizji serial *Józefina i Napoleon*.

ŻAL

Ani mąż, ani córka nie żywili do Haliny żalu o to, że miała górskie marzenia. Marianna Syrokomska nie pozostawia miejsca na wątpliwość:

– Nie mam do mamy pretensji, że „zostawiła nas” dla gór.

Mówi, że do dziś w środowisku żywe są rozważania, czy himalaistki powinny się wspinać, kiedy założą rodzinę. Widzi, że mężczyznom więcej wolno. Buntowniczo dodaje:

– Kobieta natomiast, jak już urodzi dziecko, to powinna siedzieć w kuchni. Absolutnie się z tym nie zgadzam!

Sama po urodzeniu pierwszego dziecka wspinała się, choć już tylko w skałkach. Później myślała o zrealizowaniu swojego wielkiego marzenia, czyli wspinaczki w Dolomitach i Alpach, ale po urodzeniu drugiego dziecka na razie odpuściła. Jak mówi:

– Zbyt duże ryzyko, szczególnie że wspinam się z mężem, stanowimy zespół. Dwie osoby naraz to byłoby lekkie przegięcie.

BÓG

Wychowanie dorastającej dziewczyny, która straciła matkę, nie mogło być łatwe.

– Podobno jakoś dałem sobie radę – mówi Janusz Syrokomski. – Całe życie pracowałem z dziećmi, z młodzieżą. Trzeba młodych traktować poważnie, partnersko.

Pamięta, że starał się być dla córki i ojcem, i matką. Do tego musiał polegać głównie na sobie i swoich krewnych, nie szukał pocieszenia w wierze.

– Jestem niewierzący, Halina była niewierząca, Marianna też. Nie umiemy tego, co się stało, uznać za palec boży. Zazdroszczę tym, którzy mogą. Uważam, że jest im łatwiej żyć na świecie.

Po śmierci żony dzwonili do niego przeróżni ludzie, znajomi i nie, z wieścią, że Halina się z nimi skontaktowała. Nie wierzył. Mówi, że trzeba było z nimi rozmawiać spokojnie.

– „A czy pan się zgodzi, żebym zamówił mszę?” – pytali. – „Oczywiście!” – mówiłem. Ale kiedy nagabywali: „A przyjdzie pan?”, odpowiadałem: „Nie”.

Podobno Halina zabrała z sobą na wyprawę Biblię. Janusz Syrokomski przyznaje, że mieli w domu parę wydań Pisma Świętego, czytali często tę „bardzo ciekawą książkę”. Ktoś jednak wyciągnął stąd wniosek, że Halina przygotowywała się do spotkania z Bogiem.

– Kompletna bzdura – ucina dywagacje Syrokomski.

ŻYCIE

Marianna Syrokomska nie zgadza się, że śmierć himalaisty jest dobra, ponieważ przytrafia się wtedy, gdy jest szczęśliwy. Nie poprzedzają jej długie cierpienie ani choroba.

– Jasne, mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwa, że mamę pochowano w górach, które tak bardzo ukochała. To pięknie brzmi. Ale są to według mnie tylko slogany – mówi córka Haliny. – Moja mama wolałaby wrócić i być pochowana na Powązkach w wieku 95 lat. Na pewno nie chciała w górach umierać. Jeździła tam po to, żeby żyć, nie żeby umierać.

Zapytana, czym są dla niej góry, Marianna odpowiada jednym słowem: życiem.

– Każdy człowiek szuka swego miejsca na ziemi – mówi. Halina już swoje znalazła.

PRZYPADEK

Jako nastolatka, już po śmierci matki, Marianna chce zapisać się na kurs wspinaczkowy. Ojciec zgadza się, ale pod jednym warunkiem: dziewczyna musi skończyć 18 lat.

– Miałam na nią taką perfidną metodę, że jak się zrobiła nastolatką i zaczęło jej się podobać życie towarzyskie, to pozwalałam jej na różne zabawy jeździć samochodem – mówi Janusz Syrokowski. Wtedy można było zrobić prawo jazdy już w wieku 16 lat, więc Marianna prędko złapała bakcyła. – Jazda za kierownicą łady w tamtym czasie to była duża rzecz.

Ojciec cieszył się, że córka nie miała głowy do bardziej ryzykownych i niebezpiecznych rozrywek. Ale Marianna mimo to dokazywała.

– Miałam swój okres buntu – przyznaje uczciwie – ale nie buntowałam się przeciwko nieżyjącej mamie. Na pewno byłam nieznośną nastolatką, bo wszystko mi było wolno i wchodziłam tacie na głowę. Nigdy, nawet przez chwilę, nie podważyłam jednak pozycji mamy.

O drodze Marianny w góry zdecyduje przypadek. Janusz Syrokowski umawia się ze znajomymi, których synowie wspinają się w skałkach. Przypadkiem na spotkanie przychodzi też Marianna. Zaczyna rozmawiać z chłopakami i całkiem wsiąka w temat.

– Któregoś dnia wracam z weekendowego wyjazdu na działkę i widzę na stole kartkę: „Tata, nie denerwuj się, ale pojechałam z Michałem w Skałki Kroczyckie” – opowiada Syrokowski. Tam córka poznała Marcina, instruktora, który później został jej mężem. Tak się zaczęło.

Marianna Syrokowska uważa, że zaczęłoby się wcześniej, gdyby tata nie poprosił jej o wstrzymanie się z decyzją o rozpoczęciu wspinaczki. Pamięta:

– Po ukończeniu 16 lat poprosiłam tatę o zgodę, nalegał, żebym poczekała. Stwierdziłam, że mogę to dla niego zrobić. Liceum było dość czasochłonne, więc skupiłam się bardziej na nauce. Doczekałam osiemnastki, poznałam kolegę, który jeździł w skałki i który mnie tam zabrał. Potem nie było już odwrotu.

MARZENIA

– To było coś, na co czekałam całe życie. Coś, co było we mnie zawsze. Nie, nie miałam do gór pretensji. Pretensje czy żale można mieć do ludzi. Ale do gór? One są ponad dobrem i złem – mówi Marianna.

Miała wielkie marzenia, chciała być pierwszą Polką, która zdobędzie K2 zimą, ale nie miała zamiaru konkurować z mamą.

– Wybrałam swoją drogę, możliwe, że podświadomie, by z nią nie rywalizować – przyznaje. Już wcześniej, kiedy zapisywała się do klubu i zaczynała się wspinąć, Andrzej Skłodowski, do

którego mówiła „wujku”, odradzał jej to. Powtarzał: „Marianna, zawsze będziesz porównywana z mamą, zawsze wypadniesz gorzej”.

– Chciałam się wspinać od zawsze, nie wyobrażałam sobie innej pasji. Łaziłam zimą po Tatrach, ale bardzo turystycznie – przyznaje Marianna. Była w Nepalu i w Indiach. Ominęła komercyjny trekking szerokim łukiem. Widziała Himalaje, ale z daleka. „Robią wrażenie” – mówi krótko. Bardzo chciałaby pojechać w Karakorum, może nawet jej się to uda w tym roku⁴.

– Wyznaję zasadę mamy: lubię podróżować po ciekawych miejscach, ale jeśli jadę na dalszy wyjazd, to tylko w kobiecym towarzystwie. Jak się jest z mężczyzną, to kobiety nie zauważają, nawet recepcjonista w hotelu nie będzie rozmawiał ze mną, tylko z facetem. Dla mnie jest to nie do przyjęcia. – W jej głosie pobrzmiewa buńczuczność matki. – Środowisko skałkowe, w którym przebywam, jest na szczęście coraz mniej „męskie” – dodaje.

PASJA

Marianna Syrokomska wyszła za swojego instruktora wspinaczki, ma z nim dwie córki. Starsza – Halina – skończyła 24 lata, Emilia – 13.

Dziś dorosła Halina chodziła z mamą w skałki już jako trzylatka, ale w pewnym momencie przestała się tym interesować. Marianna uważa, że córka chciała się zbuntować i żyć inaczej. Rozwija się w kierunku intelektualnym. Studiuje chiński. Emilka z kolei wspinała się, chodziła nawet na zajęcia wspinaczkowe, ale niestety 2 lata temu przewlekłe zachorowała.

Gdyby któraś z córek powiedziała, że chce się wspinać w górach wysokich, Marianna Syrokomska zgodziłaby się bez wahania.

– Przecież realizowanie swojej pasji to najlepsze, co nas może spotkać. Jeżeli pasją dla mojej starszej córki jest chiński, to fantastycznie! Jeśli byłoby nią wspinanie, proszę bardzo – deklaruje.

WRÓŻBA

Marianna pracuje w Warszawie jako instruktorka wspinaczki, podobnie zresztą jak jej mąż.

– Jeździmy na wakacje rodzinnie, ale zawsze na wspinanie – mówi. – Nie zostawię rodziny dla wspinania, ani nie zostawię wspinania dla rodziny. Na szczęście nie muszę.

Marianna Syrokomska nie myśli o swojej śmierci, czasem tylko przestraszy się, że mogłoby zabraknąć kogoś z bliskich. Teraz bierze łyk zielonej herbaty, chwilę milczy i za moment się odzywa.

– Staram się myśleć racjonalnie, ale raz... To był sierpień 1992 roku. Miałam pojechać w Tatry jako kursantka. Kurs prowadził Jerzy Hirszowski. W Tatrach nagle spadł śnieg. Byli z ekipą na Mięguszowieckim Szczycie, strasznie popsuła się pogoda, nie wycofali się i zginęli pod lawiną. TOPR nie był w stanie do nich dotrzeć przez dwa dni – opowiada z przerażeniem. – To był mój kurs, miałam brać w nim udział, wtedy właśnie robiłam kurs skałkowy i potem miałam jechać w Tatry. Co więcej, Jerzy Hirszowski był przyjacielem mojej mamy.

Rok wcześniej byli z mężem na Mazurach. Marianna spotkała tam chłopaka, który powiedział, że potrafi wróżyć przyszłość z dłoni. Koleżance przepowiedział, że umrze w łóżku,

i radził, by w ogóle się nie przejmowała. Wtedy Marianna powiedziała, żeby się nie kłopotał: ona i tak wie, że zginie w górach.

Okazało się jednak, że Marianna jest w ciąży z Halinką. Musiała zostać w domu, nie było mowy o wspinaczce i żadnym większym wysiłku.

– Gdybym nie zaszła w ciążę, byłabym na Mięguszowieckim i trafiłby mnie szlag – Marianna mówi tak jak matka: prosto z mostu. – Był rok 1992. 10 lat po śmierci mamy też mogłam nie żyć.

MIŁOŚĆ

Janusz Syrokowski dokończył ciastko i zbiera się do wyjścia.

– Dla mnie było oczywiste, że jeśli Halina zostanie moją żoną, to razem z tymi swoimi górami – rzuca. – Mówiła mi zresztą, że tak naprawdę wolna czuje się w górach, że ma wtedy wręcz kosmiczne odczucia: ta przestrzeń, inne niebo i inne wszystko. Można to chyba nazwać miłością do gór, w związku z czym mogę powiedzieć, że tę naszą miłość mieliśmy podzieloną.

¹ A. Czerwińska, Górfanka. W Karakorum 1979–1986, Warszawa 2010, s. 107.

² Tamże.

³ Tamże, s. 124.

⁴ Rozmowa odbyła się na początku 2017 roku.

MUSZĘ MIEĆ POD GÓRKĘ



ANNA OKOPIŃSKA



fot. Jacek Karowski

Anna Okopińska, jedna z najwybitniejszych himalaistek w historii, tak wspomina wydarzenia z K2 z 1982 roku:

– Zmierzałyśmy do obozu II, ja i Halina Krüger-Syrokomska. Gdy wyszłyśmy z trudności Komina House'a, uderzyły nas nieprzyjemne podmuchy wiatru. Ucieszyłyśmy się ogromnie, widząc namiot Austriaków, do którego prowadził stromy śnieżny stok.



Wydawało nam się, że za chwilę tam dotrzemy. Ruszyłam szybciej przodem, żeby rozstawić namiot. Halinka została trochę z tyłu, szła nieco wolniej. Tak się umówiłyśmy: nie idziemy obok siebie, ale nie tracimy się z oczu.

Gdy dotarłam do dwójki, Austriacy napoili mnie sokiem i pomogli rozstawić namiot. Zaczęłam przygotowywać picie i coś do jedzenia. Po chwili dotarła Halinka. Przez radiotelefon zawiadomiłyśmy bazę, że zagospodarowałyśmy dwójkę, a Halina nawymyślała koleżankom, że źle założyły poręczówki: „Co to, do cholery, muszę się kłajmbingować przez jakieś przewieszki. Drabinę tu trzeba powiesić!”

Zjadłyśmy obiad, a resztę popołudnia spędziłyśmy wesoło na proszonej herbatce u Austriaków. Po powrocie do namiotu ułożyłyśmy się w śpiworach i jeszcze przez chwilę rozmawiałyśmy. Chyba na moment zasnęłam, a gdy się obudziłam i spojrzałam na Halinkę, poczułam grozę.

WCZASY „U GÓRALA”

Otwiera drzwi i trochę się dziwi.

– A, to pan. Myślałam, że to mąż wrócił z zakupami. – Suczka Luna straszliwie ujada. Podbiega, obwąchuje mnie niepewnie. – Zapraszam, proszę się nie bać.

Anna Okopińska, drobna i szczupła, prowadzi mnie do salonu w mieszkaniu pełnym pamiątek z azjatyckich podróży. Wiszą na ścianach, stoją na półkach i parapetach. W holu wielki regał z książkami: obok pozycji poświęconych fizyce teoretycznej i matematyce książki o górach.

– Kawy? – pyta Anna. – To od czego zaczynamy?

– Najlepiej od początku.

Urodziła się w Gdańsku, a kiedy miała 2 lata, rodzice przeprowadzili się do Warszawy. Uważa się więc za warszawiankę. Jej ojciec zajmował się surdopedagogiką. Mama prowadziła dom.

Nie była dzieckiem specjalnie aktywnym fizycznie. W szkole na wuefie miewała problemy. Nauczyciele podciągali jej stopnie z tego przedmiotu, żeby nie psuć świadectwa. Dopiero góry, ich widok, przebywanie w nich spowodowały, że zaczęła się ruszać. Jeździła tam z rodzicami na wczasy FWP. Najpierw były Karkonosze: Duszniki, Karpacz. I pierwszy szczyt zdobyty na własnych nogach – Śnieżka.

Wszystko jednak przesłoniły Tatry. Chodziła do liceum. Wtedy wyjeżdżało się na całe

wakacje. Nie jeździli do Zakopanego, które już było obleżone przez turystów, a wybierali się na Cyrhlę albo do Murzasichla, „do górala”, z wielkim bagażem i własnymi pierzynami. Płaciło się parę groszy i spędzało dwa miesiące na wsi, blisko natury: zbieranie jagód i grzybów, pomaganie przy sianokosach, powożenie końmi. No i oczywiście wycieczki.

– Najpierw wybierałam się na lekkie wycieczki w regle, na Kopieniec albo do Waksmundzkiej czy na Halę Gąsienicową. Do Morskiego Oka było za daleko, a zdobycie z wujkiem Granatów to już było duże osiągnięcie. Wchodziłam w góry powoli, stopniowo, najpierw od typowo turystycznej strony, zaliczając trasy na Górską Odznakę Turystyczną, potem chciałam coraz wyżej i trudniej.

Ja i moja koleżanka ze szkoły zamierzałyśmy zapisać się do Klubu Wysokogórskiego, ale nikogo tam nie znałyśmy i potraktowano nas jak smarkule, którym zachciało się taternictwa. Halina Krüger – bo to ona z ramienia komisji sportowej przeprowadzała rozmowę kwalifikacyjną – wyrzuciła nas, bo nie byłyśmy ani na Rysach, ani na Słowacji.

– To był warunek przyjęcia do klubu?

– Nie, ale wymagana była turystyczna znajomość Tatr. A nasze doświadczenie to była łatwa turystyka, głównie w dolinach. Dla Halinki, starszej ode mnie o 10 lat, która wtedy ostro wspinała się po trudnych tatrzańskich drogach, było nie do przyjęcia, żeby przed rozpoczęciem wspinania nie poznać turystycznie polskich i słowackich Tatr.

Na początku sześćdziesiątego szóstego roku byłam na obozie narciarskim na Polanie Chochołowskiej. Odbywała się tam wtedy duża wyprawa do Szczeliny Chochołowskiej, ważne wydarzenie rejestrowane przez telewizję. Uczestniczyli w niej wybitni wspinacze z Klubu Wysokogórskiego. Kiedy poskarżyłam im się, że Halina Krüger nie chce mnie przyjąć do klubu, powiedzieli: „Nie martw się, załatwimy to po powrocie do Warszawy”. I wstawili się za mną. Halina, klnąc i pomstując – „ale na waszą odpowiedzialność” – ugięła się. Zostałam członkiem sympatykiem KW i dzięki temu w lecie mogłam zacząć się wspinać. Wtedy przepisy były takie, że sympatyk mógł się wspinać w Tatrach z członkiem uczestnikiem lub taternikiem zwyczajnym. Ukończenie kursu nie było konieczne, ale przynależność do klubu tak.

Anna studiowała fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, ale każdą wolną chwilę poświęcała taternictwu. W jej pokoleniu prawie wszyscy wspinacze studiowali, niektórzy po kilkanaście lat.

– Mimo tego, że większość czasu spędzaliśmy w górach, jakoś kończyliśmy studia, a potem pracowaliśmy w zawodzie. Nie było nikogo, kto zajmowałby się wyłącznie górami. Wśród nas był tylko jeden robotnik, zresztą znakomity wspinacz, wszyscy bardzo go lubili. A tak sami inteligenci. To było niewielkie i fajne środowisko. Całe lato spędzaliśmy na taborisku, a w zimie spotykaliśmy się w schronisku przy Morskim Oku.

W 1971 roku Anna zaczęła badania naukowe w Instytucie Badań Jądrowych i tam zrobiła doktorat. Potem przeniosła się na uczelnię. Najpierw pracowała w filii UW w Białymstoku, a potem na Akademii Świętokrzyskiej, która przekształciła się w Uniwersytet Jana Kochanowskiego. Tam pracuje do dziś jako profesor tytularny. Wykłada fizykę teoretyczną i prowadzi badania z zakresu teorii kwantowych układów nanoskopowych.

HELIKOPTEREM W GÓRY

W Tatrach dokonała wielu trudnych przejść. W 1969 roku zrobiła drogę przez piękną „Hokejkę”

na zachodniej ścianie Łomnicy, w 1970 przeszła Grań Tatr Wysokich (było to pierwsze kobiece przejście, z Danutą Szelenbaum-Cielecką), a w 1974 drogę przez Vodopad na północnej ścianie Małego Kieżmarskiego Szczytu – pierwsze przejście zimowe¹.

Już na początku lat siedemdziesiątych wspinała się w Pamirze: w 1972 roku zdobyła Pik Korzeniewskiej (7105 m) i Pik Komunistów (7495 m) – obecnie Pik Somoni.

– Góry wysokie różnią się znacznie od Tatr – mówi Anna dzisiaj. – Po zdobyciu Piku Korzeniewskiej czy Piku Komunistów powrót w Tatry to nie to samo. Było przyjemnie przypomnieć sobie znane widoki, pobyć tam, ale wtedy chciało się już tylko zdobyć więcej. To góry wysokie stają się wyzwaniem. Poza tym, kiedy zaczęłam wspinać się na poważnie, zaczęłam też pracować, więc cały wolny czas, jaki miałam, poświęcałam na wyjazdy w góry wysokie.

Monopolistą, jeśli chodzi o wyprawy w góry świata, był wtedy Polski Klub Górski, który podlegał oficjalnym związkom zawodowym. PKG współpracował z radzieckimi „profsojuzami”, więc wyjazdy w Kaukaz i Pamir stały się możliwe.

– Wyjazd w Pamir był niesamowity – opowiada Anna Okopińska. – Z Duszanbe lecieliśmy samolotem do Dżirgitalu, tam przesiadaliśmy się do helikoptera. Taki był radziecki system: tradycyjne karawany przez górskie bezdroża zastąpiono powietrznym transportem. Wsiadamy więc z helikoptera na wysokości czterech tysięcy metrów i mamy przed sobą cyrk ośnieżonych szczytów i lodowych ścian. Trudno opisać, co wtedy czułam. Patrzyłam i nie dowierzałam, że tam jestem. Wtedy mało kto mógł wyjeżdżać z Polski, a my znaleźliśmy się tutaj, w świecie, o którym czytaliśmy w książkach. To nie były czasy internetu, w którym można dziś zobaczyć wszystko. To wyjątkowe doświadczenie, także dlatego że mogliśmy się tam znaleźć jako pierwsi, a często jedyni.

Czy nie czuła strachu?

– Nie pamiętam, żeby na widok gór ogarniała mnie groza. Chyba nigdy się nie bałam. Nawet kiedy gdzieś tam na zboczach schodziły lawiny, to specjalnie się tym nie przejmowałam. Jasne, wyglądało to groźnie, ale przecież było gdzieś dalej. Najbardziej niebezpieczne miejsce, w którym działałam, to Icefall² – pierwszy techniczny odcinek drogi normalnej, wspólny dla Everestu i Lhotse. Dziś, kiedy patrzę na swoje zdjęcia z tamtych miejsc, zastanawiam się, jak udało nam się to przeżyć. Wszystko było tam kruche, w każdej chwili lodowe seraki mogły się zawalić i nas pogrzebać.

A śmierć?

– Myślenie o śmierci po prostu mi się wyłącza. Inaczej nie mogłabym zrobić kroku, byłabym sparaliżowana. Gdy wchodziliśmy na grań szczytową Piku Komunistów, dowiedzieliśmy się, że poprzedniego dnia spadła z tego miejsca dwójka Rosjan. Przejęliśmy się ich śmiercią, szliśmy jednak dalej, tyle że związani liną. Nie czułam strachu, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek się bała. W górach zawsze czułam się dobrze. W trakcie wypraw nieraz dochodziły do nas wieści o śmiertelnych wypadkach kolegów, ginęli ludzie, których znaliśmy bardzo dobrze. Najczęściej były to wypadki obiektywne, niezawinione. Myśmy to bardzo przeżywali, ale nie przekładaliśmy tego na własną sytuację. Przynajmniej ja tego nie robiłam.



W Patagonii pod masywem El Chalten (Fitz Roy), rok 2014.
fot. archiwum Anny Okopińskiej

LHOTSE

W 1974 roku Anna Okopińska wzięła udział w wyprawie na Lhotse (8516 m). Jako jedyna kobieta.

Andrzej Zawada wpadł na pomysł zaproszenia na wyprawę kobiety po tym, gdy wiosną Japonki, jako pierwsze kobiety, weszły na szczyt ośmiotysięczny w towarzystwie Szerpy. Był to „niski ośmiotysięcznik” – Manaslu (8156 m). Gdyby Polka stanęła na wierzchołku Lhotse, góry należącej do grupy „wysokich ośmiotysięczników”, byłby to kobiecy rekord wysokości.

– Kandydatki były dwie – wspomina Okopińska – Wanda Rutkiewicz i ja, jako że obie miałyśmy na koncie po dwa siedmiotysięczniki. Skakałam z radości, gdy Zawada spytał, czy chcę dołączyć do jego wyprawy, bo komisja sportowa wybrała mnie. Niestety różne problemy sprawiły, że wyprawa znacznie się opóźniła i zamiast we wrześniu, na początku sezonu jesienno, do bazy na lodowcu Khumbu dotarliśmy dopiero 21 października. Wyprawa zamieniła się w wyprawę zimową. Byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy przetrwali zimę w bazie na wysokości 5300 m, u stóp Everestu. We znaki dawały nam się zimno i porywiste wiatry.

Atak szczytowy w dzień Bożego Narodzenia załamała się na wysokości 8250 m. Sukcesem wyprawy było to, że została przekroczona bariera 8000 m w zimie. Zapoczątkowało to zimowy podbój Himalajów. Wielką tragedią była śmierć Staszka Latały – zginął podczas zejścia z obozu III.

– Himalaje to zupełnie inne góry niż Pamir – mówi Anna. – Nepal to cudowna kraina. Pod najwyższe góry dociera się karawaną z ładunkami niesionymi przez tragarzy i jaki. Podczas kilkudniowej wędrowki zaprzyjaźniliśmy się z tragarzami i poganiaczami zwierząt. Przechodząc przez wioski, poznawaliśmy ich mieszkańców. To wspaniałe doświadczenia, bo Nepalczycy są bardzo otwarci.

Po dotarciu do bazy na wysokości 5300 m odprawiliśmy tragarzy i przez kilkanaście tygodni akcji górskiej nie mieliśmy kontaktu ze światem. Zostali z nami tylko Szerpowie, którzy stanowili zespół wspomagający podczas akcji górskiej. Ze względu na nasze bardzo ograniczone fundusze był to minimalny zespół wymagany przez nepalskie Ministerstwo Turystyki: oficer łącznikowy, kucharz, kuchcik, listonosz i czterech tragarzy wysokościowych. Jedyne kontakty ze światem zapewniał nam listonosz, który schodził do odległej o trzy dni marszu wioski, odbierał tam pocztę i wysyłał nasze listy, a przy okazji kupował potrzebne produkty, najczęściej świeże warzywa.

Akcja górską przebiegała inaczej niż dziś – wspomina himalaistka. – Teraz wspinacze siedzą w bazie i patrzą, jak Szerpowie wytyczają drogę, ubezpieczają trudne fragmenty linami poręczowymi, rozbijają namioty i zakładają kolejne obozy. Wtedy Szerpowie nie mieli takich umiejętności, więc to oni czekali, aż my przygotujemy przejście, by mogli bezpiecznie przenosić ładunki pomiędzy obozami. Praca w górach to ciężka harówka przy zakładaniu poręczówek i organizacji obozów. Często z trudem wytyczone przejście zostaje zniszczone przez tąpnięcia lodowca, obrywy seraków czy lawiny. Wtedy wszystko robi się od nowa. Ale i tak najgorsze są dni, kiedy trzeba przeczekiwać złą pogodę.

Nie, nie męczyła nas nuda. Nawet w bazie ciągle było coś do roboty, różne naprawy, przygotowanie sprzętu, pakowanie, no i pomoc kucharzowi w przygotowaniu posiłków. Trzeba było zaplanować jadłospis i wydobyć z bębnow potrzebne produkty. Poza tym graliśmy w karty, czytaliśmy, słuchaliśmy muzyki. Podczas akcji górskiej mieliśmy łączność radiotelefoniczną między obozami i bazą. Po rozmowach o przebiegu akcji górskiej i planach na następny dzień baza nadawała piosenki zamawiane przez górne obozy na dobranoc.

Oczywiście warunki w górach nie są zbyt przyjazne dla kobiet. Trudne są najzwyklejsze zabiegi toaletowe. Nieraz, żeby się wykąpać, chodziłam do lodowcowego strumyka przy temperaturze minus kilkanaście stopni. Kiedy grzało słońce, dało się nawet umyć głowę w cieknącej z lodu strużce. Ze względu na ograniczone zasoby paliwa trudno było o pozwolenia na podgrzanie w kuchni wody z roztopionego śniegu. Luksusem była kąpiel w miednicy – polewało się wodą z kubeczka – opowiada Anna.

Warunki do spania nawet w bazie były trudne. Nie było jeszcze wtedy karimat i wspinacze spali na materacach ze zwykłej gąbki o grubości kilkunastu centymetrów. Gąbki w dzień nasiąkały wodą, a w nocy zamarały i od żywego lodu dzieliły ich tylko śpiwory puchowe i kurtki. W wyższych obozach było jeszcze zimniej i mniej wygodnie, zwłaszcza gdy szalały burze śnieżne i wichury.

W takich warunkach wspinaczy nękały różne choroby, bo jakimś cudem bakterie z nizin docierają nawet na tak dużą wysokość. Szczególnie dokuczliwe były zapalenia gardła, w wysokogórskich warunkach bardzo trudne do wyleczenia. Niektórzy musieli schodzić do najbliższych wiosek, by się wykurować, albo nawet zrezygnować z udziału w wyprawie.

– Ja na wyprawie na Gaszerbrumy musiałam usunąć dwa zęby – wspomina Anna. – Kiedyś jeden strasznie mnie bolał. Była z nami pani doktor, którą prosiłam o pomoc, jednak bała się ten ząb usunąć, bo była pediatrą. Akurat wtedy do naszej bazy dotarł Reinhold Messner. „Hej, niedaleko na lodowcu Baltoro jest wyprawa trekkingowa Szwajcarów – powiedział. – Mają tam dwóch dentystów. I to profesorów stomatologii!”. Poszliśmy z kolegą filmowcem na wyprawę w dół lodowca i szukaliśmy szwajcarskich dentystów chyba przez dwie doby. Wreszcie przypadkiem natrafiliśmy na nich na morenie lodowca. To tam usunęli mi bolący ząb, a że nie

mieli dostępu do rentgena, więc na wszelki wypadek wyrwali jeszcze drugi, obok. Mieli profesjonalną skrzyneczkę z narzędziami. Dostałam nawet znieczulenie.

Wspinanie w górach najwyższych to pasmo wyrzeczeń. Odpowiadając na pytanie, dlaczego je akceptujemy, powiedziałabym: czasem warto spiętrzyć przed sobą trudności po to, aby je pokonać. Dziś wysłuchałam wykładu Zygmunta Baumana o szczęściu. Cytował Goethego, który powiedział: moje życie było bardzo szczęśliwe, ale nie pamiętam ani jednego szczęśliwego tygodnia. W zupełności zgadzam się z poetą: szczęście znajdujemy w przewyciężaniu trudności. Kiedy wszystko idzie jak po maśle, nie ma zmartwień, życie staje się nudne, to jest ta „ciepła woda w kranie”. A dla mnie taki stan nie ma sensu. Żeby przeżyć coś naprawdę, żeby coś zostało we mnie na dłużej, muszę mieć pod górkę.

ROK KOBIEC

W lecie 1975 roku miała okazję znów wyjechać w góry wysokie, kiedy to powstał pomysł kobiecej wyprawy na Gaszerbrumy.

„Do 1975 roku kobiety uczestniczyły w polskich wyprawach sporadycznie – pisze Wanda Rutkiewicz. – W alpinizmie jak w życiu, a to już warunkuje nasza kultura, sukcesy kobiet muszą być przetorowane sukcesami mężczyzn. [...]. Jednocześnie, ponieważ osiągnięcia kobiet w alpinizmie są rzadsze i bardziej przez to zwracają na siebie uwagę, przyćmiłyby nieco rzeczywisty, autentyczny sukces mężczyzn [...]. Od pierwszej powojennej polskiej wyprawy w góry wysokie, a była nią wyprawa w Hindukusz w 1960 roku, zakończona zdobyciem Noszaka (7492 m), ruszyło w góry najwyższe wiele wypraw, sięgając po coraz trudniejsze cele. Z czasem zaczęły brać udział w wyprawach kobiety, po jednej, po dwie, po trzy [...]. Ale udział jednej lub dwu kobiet w wyprawie potwierdzał tylko ich możliwości dokonywania wejść wysokościowych, natomiast nie stwarzał warunków do rzeczywistego partnerstwa w górach, do tego by mogły także planować, organizować, podejmować decyzje i – co najważniejsze – ponosić za te decyzje odpowiedzialność. Jednak etap ten był konieczny, by móc przejść do następnego – samodzielnej działalności sportowej zespołów kobiecych”³.

Kolejny etap w historii wspinania zaczął się właśnie wtedy, w 1975 roku, przez ONZ ogłoszonym Międzynarodowym Rokiem Kobiec, co wykorzystano, by zorganizować Ladies Expedition, Karakorum 1975 pod patronatem żony prezydenta Pakistanu, Begum Nusrat Bhutto i Krajowej Rady Kobiec Polskich.

Polska wyprawa miała status centralnej wyprawy PZA, a jej kierowniczką została Wanda Rutkiewicz. Zespół sportowy tworzyło dziewięć pań, których celem było zdobycie szczytu Gaszerbrum III (7952 m), i siedmioosobowa grupa męska, mająca poprowadzić nową drogę na Gaszerbrum II (8035 m).

Dotarcie do bazy było trudne, jako że w rejonie Baltoro podczas wojny pakistańsko-indyjskiej trwały walki i dopiero w 1972 roku rejon ten został otwarty dla wypraw. Trudno było zorganizować tragarzy do przeniesienia dwustu czterdziestu ładunków, a podczas dwutygodniowej karawany nie obyło się bez strajków. Ze względu na częste załamania pogody w bazie pod Gaszerbrumami wspinacze spędzili aż dwa miesiące. Mimo kiepskiej aury, rywalizacji między zespołami i konfliktów kierownictwa z resztą wspinaczy wyprawa była wyjątkowo udana. Dzięki determinacji uczestników zdobyto oba szczyty, chociaż w inny sposób,

niż planowano.

– Pół roku po powrocie z Lhotse znalazłam się w Karakorum – wspomina Anna Okopińska.
– To góry zupełnie inne niż Himalaje, a pakistańskie realia różnią się od nepalskich – Pakistan to kraj muzułmański. Na szczęście nasze obawy okazały się nieuzasadnione. Spotkałyśmy się z zadziwiającą życzliwością, zarówno w urzędach, jak i w dzikim Baltistanie. Wszystko szło jak z płatka. Nawet strajki tragarzy udało nam się opanować z pomocą naszego oficera łącznikowego.

Akcja górską rozwijała się szybko. Na początku sierpnia sytuacja przedstawiała się tak: mężczyźni dokonali już dwóch wejść na Gaszerbrum II, jedno nową drogą. Brakowało jednak kobiecego sukcesu, gdyż próba Haliny Krüger-Syrokomskiej i Wandy Rutkiewicz osiągnięcia Gaszerbruma III granią z przełęczy zakończyła się niepowodzeniem.

– Presja na osiągnięcie kobiecego sukcesu na wyprawie, która nazywała się przecież Wyprawa Kobięca, Karakorum '75, była ogromna. Nie było jednak wiadomo, kto jest w stanie zdobyć szczyt – Ala miała zbyt wysokie ciśnienie, Anka Czerwińska skręconą nogę w kolanie, ja byłam po wyrwaniu dwóch zębów i ostrej kuracji antybiotykowej... Zdziwiliśmy się, że Wanda na drugą próbę wejścia na Gaszerbrum III wybrała na partnerkę Alison Chadwick-Onyszkiewicz. Plan był taki, że najpierw wyrusza zespół czwórkowy – Wanda i Alison we dwie atakują szczyt, a męska „obstawa”, czyli Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki, czeka na nie na przełęczy. Drugi zespół kobiecy, Halina i ja, wyrusza dzień później i w razie niepowodzenia pierwszej dwójki podejmuje następny atak. Naszą obstawę stanowi Krysia Palmowska i oficer łącznikowy Saeed Ahmed Malik. Pogoda była dobra, wszystko przebiegało zgodnie z planem. Dopiero trzeciego dnia akcji, gdy nasz zespół dotarł do trójki, zobaczyliśmy w kopule szczytowej Gaszerbruma III nie dwie, lecz cztery sylwetki. To był szok, bo Wanda we wszystkich rozmowach utrzymywała, że Gaszerbrum III musi zostać zdobyty przez same kobiety. Miałyśmy jej za złe, że złamała wszystkie obietnice, wchodząc na szczyt w zespole z mężczyznami. Ale, prawdę powiedziawszy, potwierdziły się tylko nasze podejrzenia, że już wychodząc z bazy, planowali wejście na szczyt w czwórkowym zespole.

Czekając w obozie III na powrót zdobywców ze szczytu, ustaliliśmy, że skoro wejście na Gaszerbrum III zostało dokonane, to następnego dnia powalczymy o przekroczenie magicznej granicy 8000 m i spróbujemy wejść na Gaszerbrum II. Saeed zgodził się na zmianę planów pod warunkiem, że pójdzie z nami. Wanda przyjęła nasze chłodne gratulacje i zaakceptowała pomysł. Byłyśmy na nią wściekłe. Straciłyśmy możliwość czysto kobiecego wejścia na dziewiczy szczyt i zapisania się w annałach eksploracji gór najwyższych. Dziś, kiedy patrzę na to z perspektywy lat, rozumiem jej decyzję. To przecież ona była kierownikiem, na niej spoczywała odpowiedzialność za to, czy szczyt zostanie zdobyty, czy nie. Niepotrzebnie tylko do ostatniej chwili ukrywała swoje zamiary.

W stronę wierzchołka Gaszerbruma II wyruszyliśmy we czwórkę przed świtem, ale gdy zaczęło się rozwidniać, Saeed źle się poczuł i Krysia zaproponowała, że zejdzie z nim do bazy. To była dla niej bardzo trudna decyzja, bo formę miała doskonałą. Zostałyśmy z Halinką same i tylko we dwie dokonałyśmy piątego wejścia na Gaszerbrum II, co dało nam europejski kobiecy rekord wysokości i miano pierwszego zespołu czysto kobiecego na ośmiotysięczniku. A ja nigdy nie zapomnę przepięknego widoku na K2 i Broad Peak, jaki otworzył się z grani dopiero kilkadziesiąt metrów przed szczytem. No i szalu radości, jaki wybuchł w bazie, gdy przez radiotelefon zameldowałyśmy kolegom, gdzie jesteśmy.

Paradoksalnie, po powrocie w doliny okazało się, że o wiele większe zainteresowanie niż zdobycie dziewiczego Gaszerbrum III w mieszanym zespole budzi nasz kobiecy rekord wysokości. Polki weszły na ośmiotysięczny szczyt same i to było coś, co poruszyło opinię publiczną.

SPRZECZKA O ZUPĘ

Po Gaszerbrumach udało się Annie Okopińskiej dokonać kolejnych znaczących przejść. W 1976 roku przeszła nową drogę wiodącą południowym filarem Piku Giermogienowa (ze Zbigniewem Laskowskim, Andrzejem Skłodowskim i Aleksandrem Warmem), a rok później drogę na północnej ścianie Ułtu-tau-Czana, „Przez Deskę” (z Haliną Krüger-Syrokomską i Dobrosławą Miodowicz-Wolf). Sukcesy odnosiła także w Alpach. Przeszła Drogę Kuffnera na Mount Maudit w 1976 roku (z Alison Chadwick-Onyszkiewicz i Haliną Krüger-Syrokomską) oraz Ostrogę Brenvy na Mont Blanc w 1981 roku (również z Haliną)⁴.

Pytam ją, czy „uciekała” w góry.

– Rzeczywiście czasem się mówi, że my, himalaiści, od czegoś w te góry „uciekamy”. Jest nawet książka, która tę ucieczkę ma w tytule. Ja od niczego nie uciekałam. Po prostu lubiłam jeździć w góry. Może dzięki temu, że byłam fizykiem, tak się składało, że cały ten PRL-owski brud był daleko ode mnie. Na naszym wydziale polityka odcisnęła piętno w czasie wydarzeń marca sześćdziesiątego ósmego. Ale wtedy też nawet ci, którzy należeli do partyjnej komórki, nie działali przeciwko nam, lecz dla dobra wydziału. Jako naukowiec, fizyk, mogłam wyjeżdżać na Zachód, ale nigdy nie chciałam zostać tam na stałe. Polska była moją ojczyzną, do której wracałam.

Czy kobietom naukowcom było trudniej?

– Zdarzało się, że mężczyźni, z którymi współpracowałam naukowo, umniejszali moje zasługi tylko po to, by nie przyznać, że zawdzięczają coś kobiecie. Jakby to był jakiś powód do wstydu. W nauce nazywa się to efektem Matyldy, od imienia amerykańskiej działaczki na rzecz praw kobiet, Matildy Gage, która w dziewiętnastym wieku zwróciła uwagę na problem deprecjonowania osiągnięć naukowych kobiet.

A czy w górach czuła się w jakiś sposób dyskryminowana?

– Chyba tylko raz na Lhotse zapowiadał się poważniejszy konflikt. Jako jedyna kobieta znalazłam się wśród najwybitniejszych polskich wspinaczy. Niektórzy byli o kilkanaście lat starsi i nie spotykaliśmy się przedtem w górach. Czułam, że nie wszyscy są zadowoleni z mojej obecności na wyprawie. Już podczas karawany podejściowej okazało się, że miałam rację. Na etapie do Lobuche Janek Stryczyński zgubił się gdzieś po drodze i dotarł do biwaku dużo później od nas. Popijaliśmy właśnie czerwony barszczyk, czekając, aż Szerpowie przygotują kolację. Janek, wykończony i zły, opieprzył wszystkich. Zwłaszcza dostało się mnie: „Jako dziewczyna mogłabyś zadysponować jakąś porządną zupę z wkładką, a nie siedzieć jak primadonna. Myślisz, że wniesiemy cię na szczyt Lhotse i będzie rekord świata!”. Rozplakałam się, a chłopcy mnie pocieszali, że Stryk tak nie myśli, tylko jest zdeteriorowany wysokością. Przez dłuższy czas po tym incydencie unikaliśmy siebie wzajemnie z Jankiem, co nie było łatwe, gdyż w bazie mieszkaliśmy w jednym namiocie. Dopiero, pierwsze wyjście w góry, gdy związani liną wyruszyliśmy zakładać obóz I na Icefallu, przełamało lody między nami i zaprzyjaźniliśmy się.

W górach bardziej niż siła mięśni liczy się siła woli i wytrzymałość na zimno. Kobiety rzadziej się odmrażają. Nie mogą unieść tak ciężkich plecaków, jakie noszą mężczyźni, rąbanie platformy w lodzie też zwykle przypada facetom – wszystko to jednak jest rekompensowane wytrzymałością, siłą kobiecego charakteru i rozwagą.

*

Czy między wspinającym się mężczyzną a wspinającą się kobietą są jakieś istotne różnice?

– Oczywiście, determinowane przez biologię. Przecież możliwości fizyczne kobiet mają swoje granice. Istotne też są uwarunkowania społeczne. W górach wysokich również. To mężczyźni prowadzili pierwsze wyprawy eksploracyjne, himalajskie wyprawy zdobywcze – wszystkie pierwsze wejścia na ośmiotysięczniki to wejścia mężczyzn. Pierwszymi kobietami w Himalajach były żony kierowników wypraw. Samodzielne podrózniczki stanowiły sensację.

Najczęściej kwitowało się kobiece sukcesy w górach stwierdzeniem, że „kobieta też może”. Tylko Wandzie Rutkiewicz udało się w polskim himalaizmie zrobić coś przed mężczyznami – jako pierwsza osoba narodowości polskiej weszła na Everest i na K2. Ale... sukcesów nie zawdzięczała temu, że była lepsza od mężczyzn. Po prostu znalazła się w odpowiednim miejscu w odpowiednim momencie. Po sukcesie wyprawy na Gaszerbrumy zdobyła wysoką pozycję w himalajskim środowisku międzynarodowym. Miała dużo kontaktów i zmysł organizacyjny, dlatego zapraszano ją na wyprawy. Jej sukcesy były spektakularne i budziły podziw. Weszła na osiem ośmiotysięczników.

Wtedy kobiece osiągnięcia we wspinaniu budziły ogromne zainteresowanie, patrzono na nas jak na kobiety, które osiągnęły coś niemożliwego, zarezerwowanego dotąd tylko dla mężczyzn. Byłyśmy pierwsze, przecierałyśmy szlaki, dlatego budziłyśmy też zainteresowanie mediów i szerokiej publiczności.

Dziś dziewczyny wspinają się coraz lepiej, pokonują ekstremalne trudności skalne i lodowe, nie mają jednak możliwości zaistnienia w masowej wyobraźni, nie budzą sensacji, bo tylko specjalista może ocenić, że dana droga wspinaczkowa jest oczko trudniejsza od innej i dlatego danej alpinistce należy się specjalne uznanie.

ŻONA, MATKA I GÓRY

Męża poznała pod koniec lat siedemdziesiątych na uczelni. Też pracował naukowo, też był fizykiem. Nigdy się nie wspinał, dopiero ostatnio postanowił zostać skiturowcem i chodzić po górach na nartach.

Anna Okopińska założyła rodzinę, gdy mniej się wspinała, a więcej pracowała zawodowo. Jej córka Zuzia ma dziś 27 lat, a syn Filip – 24.

– Teraz łatwo mi mówić, że kobiety mające dzieci nie powinny jeździć na wyprawy. Na naszej wyprawie na K2 w osiemdziesiątym drugim były dziewczyny, które zostawiły w domu malutkie dzieci. Było widać, że to dla nich duży problem, że źle się z tym czują.

– Dlatego że zostawiły dzieci?

– Nie. Dlatego że ta sytuacja rzutowała na ich sytuację w górach. Myślały o rodzinie, były tam z nią, na nizinach. Dla mnie zostawienie małych dzieci, nawet kiedy wyjeżdżałam na

kilkudniowe konferencje naukowe, stanowiło problem. Już wtedy było mi bardzo ciężko. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zostawić dziecko na miesiąc czy dwa i zająć się wspinaniem.

*



Zdjęcie ze szczytu Gaszerbruma II (8035 m) wykonane przez Annę Okopińską, rok 1975.
fot. Anna Okopińska

Polskie himalaistki biorące udział w wyprawie na K2 w 1982 roku miały duże ambicje, wydawało się, że ten niezwykle trudny szczyt tym razem okaże się łaskawy. Jednak pewnego wieczoru, po męczącym podejściu, Anna połączyła się z bazą, by powiedzieć, że Halina straciła przytomność.

– Halinka po prostu mi tam umarła. Wzięła i umarła. Przyszliśmy do obozu, zrobiliśmy, co trzeba, weszliśmy do śpiworów. Zdrzemnęłam się dosłownie na chwilę, a gdy się obudziłam, zobaczyłam, że Halinka się nie rusza, że jej twarz jest inna, blada, bez życia. Wołałam ją po imieniu, rzuciłam się sprawdzić, czy oddycha. Krzyczę do Austriaków, przybiegają natychmiast. Są ratownikami górskimi, podejmują fachową reanimację. Mamy cały sprzęt, próbujemy podać Halinie tlen z butli, lekarka z naszej wyprawy udziela nam wskazówek przez radio. Bez skutku.

Wanda podjęła decyzję, żeby nie zostawiać ciała w szczelinie, ale spróbować znieść je na dół. „Żeby córka Haliny mogła kiedyś dotrzeć na jej grób”, jak powiedziała.

Rano Austriacy sklecieli prowizoryczne nosze i powoli, metr za metrem, przetransportowali Halinkę na dół. Na szczęście droga biegła niemal pionowo, bez żadnych trawersów. Gdy ten górski kondukt zbliżał się do obozu I, nadeszła pomoc – z odległej bazy po drugiej stronie K2 dotarło kilku kolegów, członków polsko-meksykańskiej wyprawy, która podjęła próbę poprowadzenia nowej drogi północno-zachodnią granią. Pomogli przy spuszczeniu ciała Haliny do bazy wysuniętej, a następnego dnia przy transporcie przez lodowiec. Halina została

pochowana na Kopcu Gilkeya. Na jej grobie umieszczono tablicę zrobioną z pokrywki od wyprawowego bębna...

Czy to wtedy Anna Okopińska zdecydowała, że nie chce się już wspinać?

– Powodem tego nie była śmierć Halinki. – wyjaśnia. – Ale coś się we mnie załamało. Niby kobieca wyprawa, a jak przyszło co do czego, to zostałam sama z Austriakami i chłopcami, którzy dotarli z drugiej strony góry. Chciałam od razu wracać do Polski. Ale po pogrzebie postanowiliśmy uciec z bazy w góry, aby dojść do siebie. Chcieliśmy wejść na Skyang Kangri, ale z przełęczą zgoniła nas niepogoda. Wróciłam i uznałam, że nie mogę wyprawy porzucić. Próbowaliśmy dalej wspinać się na K2, ale pogoda nie dała nam szans. Chłopcom też nie udało się wejść.

Jaką cenę zapłaciła Anna za swoją pasję?

– Jestem pewna, że gdyby nie góry, miałabym więcej czasu na pracę naukową i pewnie o wiele wcześniej zrobiłabym habilitację i profesurę. Jestem jednak zadowolona, że w moim życiu rodzina, praca i pasje są tak samo ważne. Teraz dużo podróżuję, chodzę też po różnych górach. Moje dzieci się nie wspinają, ale czasem wędrują ze mną.

– Zastanawiam się, jakie cechy determinują sukces w górach?

– Ja na sukcesach znam się słabo, nigdy mi na nich specjalnie nie zależało – odpowiada Anna. – Ja po prostu lubiłam być w górach i dlatego jeździłam na wyprawy. Nie interesował mnie szum medialny. Osiągnięcia sportowe trzeba było nagłaśniać, jednak głównie po to, żeby zdobyć pieniądze na kolejną wyprawę, co w PRL-u było trudne. Znakomicie robili to Andrzej Zawada czy Wanda Rutkiewicz. Jednak płacili za to wysoką cenę – kierownik wyprawy zostawał uwięziony w schemacie: zdobywanie pieniędzy na wyprawę, a potem rozliczenie z tego, co udało się zrobić. Teraz interesują mnie zwykłe, codzienne rzeczy. Wkurza mnie polityka. Chodzę na manifestacje, bo uważam, że to, co nazywa się dobrą zmianą, to tak naprawdę zmiana katastrofalna. Może nie powinnam tego mówić, jeszcze mnie za to zamkną.

– Boi się pani?

– Żartowałam. Ja się już niczego nie boję.

¹ Informacja o górskich osiągnięciach Anny Okopińskiej pochodzi z książki J. Kurczaba *Leksykon polskiego himalaizmu*, Warszawa 2008, s. 93.

² Icefall – w tym przypadku czoło lodowca Khumbu, które tworzy labirynt seraków i szczelin.

³ *Zdobycie Gasherbrumów*, red. W. Rutkiewicz, Warszawa 1979.

⁴ J. Kurczab, dz. cyt., s. 93.

CHOĆBYŚ BYŁA BRYŁĄ LODU



DOBROŚŁAWA MIODOWICZ-WOLF VEL MRÓWKA



fot. archiwum prywatne Łukasza Wolfa

Rozkładam jej zdjęcia na biurku i próbuję ją sobie wyobrazić. Była drobna, mówili na nią „Mrówka”. Szatynka, niemal brunetka. Nosiła krótką fryzurę, prawie na chłopaka, i w uśmiechu – widzę to teraz na fotografii – pokazywała zęby.



Zdjęć mam kilka, więc przeglądam na chybił trafił, bez określonej kolejności. Jako pierwsze wybieram to, na którym nie jest himalaistką, alpinistką, taterniczką. Na tym jest Dobrusią. Czerwony sweter, skromne, okrągłe kolczyki w uszach. Uśmiecha się do kogoś, kto stoi obok obiektywu. Mruży oczy, kiedy się śmieje.

Na drugim ujęciu ma na sobie ten sam sweter, ale oprócz niego jeszcze różowe ogrodniczki, flanelową koszulę, której kołnierzyk wystaje spod spodu, i kolorową chustkę na głowie. Znowu się śmieje, ale teraz już trochę na siłę. Jakby była tą sesją zmęczona.

Na trzecim kadrze ma za sobą góry. Opiera się plecami o skałę i melancholijnie spogląda w bok. Tu jest chyba trochę starsza, wygląda poważniej, w oczach ma więcej troski niż radości.

Ostatnie zdjęcie jest czarno-białe i nie przedstawia Dobrusi. Mały chłopiec stoi gdzieś na tatrzańskim szlaku i patrzy w dal. Ma jasne włosy, w rękę trzyma biały kubek. Nie wiemy, gdzie uchwycono tę scenę, bo jej bohater już tego nie pamięta.

Kobieta ze zdjęć to Dobrosława Miodowicz-Wolf, mama malca z ostatniego zdjęcia. Chłopiec z ostatniej fotografii ma na imię Łukasz, liczy sobie kilka lat i za chwilę zostanie sierotą.

Dobrosława Miodowicz przychodzi na świat w 1953 roku. Matka Zyta pracuje jako nauczycielka, ojciec – Alfred Miodowicz – znajduje zatrudnienie w Hucie im. Lenina. W 1947 roku wstępuje do Związku Walki Młodych¹, a w 1952 do Związku Młodzieży Polskiej². Wierzy w socjalizm. W 1959 roku uzyska członkostwo w PZPR. W partii robi karierę, będzie działał w oficjalnych związkach zawodowych. W 1988 roku usiadł do słynnej telewizyjnej debaty z Lechem Wałęsą.

Zgodnie z rodzinną tradycją córka Miodowiczów dostaje rzadko spotykane imię: Dobrosława. Jej starszy brat (ur. 1951, zm. 2013) ma na imię Konstanty, zwa go Kostkiem. Rodzinie powodzi się nie najgorzej. „Na początku 1953 r. byliśmy już osobiście w pełni ustabilizowani – wspomni Alfred Miodowicz. – Mieliśmy olbrzymie mieszkanie, 147 m² w centrum, na Wiosny Ludów, z niesamowitą ilością okien i czterema piecami (...) Żona, skończywszy AWF, przyjechała tu z maleńkim Kostkiem i pisała pracę magisterską, pracując jako nauczycielka wychowania fizycznego. W tym samym roku – w sierpniu – urodziła nam się córka (...)”³.

Alfred Miodowicz zarabia w hucie dwa-, trzy razy więcej niż inni robotnicy w Krakowie. Zapewnia dzieciom kolonie, a całej rodzinie wczasy raz do roku. Najpierw nad polskimi jeziorami, potem – kiedy dzieci rosną i w hucie nie przysługują już Alfredowi długie urlopy – krótkie w Bułgarii czy na Węgrzech.

Choć czasy są trudne, rodzina Miodowiczów może liczyć nawet na luksusowe – jak na owe lata – towary. Wszystko dzięki talonom przyznawanym hutnikom już od lat pięćdziesiątych. Za jeden z pierwszych Miodowiczowie kupują emaliowaną mydelniczkę, za któryś z następnych –

telewizor „Belweder”.

Starają się wychować dzieci zgodnie z własnymi poglądami. „Lewicowcy z wyboru” – napisze później Miodowicz o sobie i żonie⁴. Wraz z żoną wypisali Kostka z religii, wprowadzonej wówczas do szkół. Ojciec napisze potem o synu: „Kostek sam wrócił do religii, ze świadomego wyboru, chodząc już do liceum. I – myślę – podobnie jak u mnie w wieku 16–17 lat, tak u niego, był to przejaw buntu pokoleniowego, sprzeciwu wobec nas, wapniaków, starszego pokolenia i wobec wszystkiego, co pokolenie to wyznaje”⁵. W tym zwrocie ku wierze nie małą rolę odegrały góry. „Wpływ na postawę religijną mego syna mieli być może i jego koledzy z klubów wysokogórskich, długie dyskusje przy ogniskach w poszukiwaniu sensu życia”⁶ – zauważa Alfred Miodowicz.

Konstanty i Dobrosława jednak zostaną ochrzczeni i przystąpią do pierwszej komunii. Jak napisze później ich ojciec, stało się tak na skutek presji „pokolenia dziadków”⁷. Później Konstanty, już jako działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, podczas gdy jego tata będzie jedną z czołowych postaci elity PRL-u, zostanie internowany za działalność opozycyjną.

Dobrosława szuka sensu życia na swój sposób. Nie angażuje się, w przeciwieństwie do starszego brata, w politykę. Jej pasją stają się najpierw książki o górach, a później same góry. Przypadkowo – jak twierdzi Konstanty – wypożycza z biblioteki książki Wawrzyńca Żuławskiego, kompozytora, miłośnika gór, autora między innymi sławnej *Trylogii tatrzańskiej*⁸.

Przywiązuje się do idei, którą Żuławski propaguje w swoich książkach: że przyjaciela nie opuszcza się nawet wówczas, jeśli jest już tylko bryłą lodu. Według Żuławskiego w górach nie ma miejsca na moralny relatywizm. Liczy się solidarność z partnerem, współpraca i w razie potrzeby – niesienie pomocy. Stąd metafora bryły lodu: partnera wspinaczki nie można zostawić w górach, nawet gdy nie ma już dla niego ratunku.

„W skałki wyciągnęła mnie siostrzyczka – mówił Konstanty Miodowicz Oldze Morawskiej, autorce książki *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*. – Było to późną jesienią 1972”⁹.

Dobrosława ma w góry blisko. Podróż pociągiem z Krakowa do Zakopanego trwa kilka godzin. Zaczytana w Żuławskim i innych autorach literatury górskiej w piątek po szkole idzie na dworzec i jedzie w Tatry. Najpierw wędruje turystycznie, obcuje z górami i ich kulturą. Poznaje ludzi. Potem zaczyna wchodzić wyżej i trudniej. A także się wspinać. Wkrótce będzie się starać o wstąpienie do Klubu Wysokogórskiego, bez którego wyjazd w trudniejsze ściany jest praktycznie niemożliwy. Państwo Miodowiczowie nie przeszkadzają córce w realizacji celu – zgadzają się na przystąpienie do KW.

Ci, którzy znali ją z gór, wspominają, że była silna – głównie pod względem psychicznym. Mrówka, mówią, choć rzeczywiście niska i drobna, miała niesamowite parcie i wielką odporność psychiczną w trudnych sytuacjach. Nigdy łatwo nie rezygnowała, a oprócz tego – zgodnie z przykazaniem Żuławskiego – potrafiła zadbać o innych.

Kostek wielokrotnie wspinał się z siostrą. Wytoczyli nawet nowe drogi. Jej góry wysokie się spodobały, jemu niekoniecznie. Jak wyznaje Oldze Morawskiej: „Jej [Dobrusi – przyp. red.] rozwój jako alpinistki był linearny i wkomponowany w środowiskową tradycję. Przyjęło się uważać himalaizm za koronę wcześniejszych osiągnięć. Moje aspiracje wyczerpywały się w górach typu alpejskiego”¹⁰. Mrówce to nie wystarczało.

W innym miejscu Konstanty Miodowicz mówi o siostrze tak: „Podobało mi się jej wspinanie, jej stosunek do gór i do ludzi. Absolutna lojalność wobec partnera w górach. Ona

była z innej epoki”¹¹.

Dobrosława miała szczęście. Spotkała na szlaku ludzi, którzy wiele ją nauczyli. Uczyła się nie tylko nowych umiejętności i zasad bezpieczeństwa, ale też – o czym wspomina w rozmowie z Olgą Morawską jej brat – postępowania w sytuacjach kryzysowych.

ŻONA

W górach tworzy się środowisko ludzi związanych pasją i doświadczeniami. Zbierają się w schroniskach. Bywa, że widzą się raz do roku. Pod Morskim Okiem albo w Dolinie Pięciu Stawów zaczynają się przyjaźnie i miłości. Na początku lat siedemdziesiątych w ten sposób rodzi się miłość Jana i Dobrosławy.

Przeglądam materiały poświęcone Mrówce. Wśród nich artykuł, który Jan Wolf napisał po 1986 roku i tragedii na K2. To jego osobiste wspomnienie o żonie. Spisane na maszynie, pełne przekreśleń, plam korektora, poprawek długopisem. Zatytułowane po prostu: *Dobrosława Miodowicz-Wolf*¹².

„Lat temu 15 w grudniu schronisko w Pięciu Stawach zapełniało się gawiedzią na święta. Była tam wtedy najmłodsza, ciekawa tego nowego świata lodu, świata krańcowych prób i doznań. Czuło się niemal, że przeciwstawia mu swoją młodość i prostotę spojrzenia. Zmieniały się cele i problemy, ale zaangażowanie i czysta prostota działań Dobrusi pozostały. Nie każdego na to stać, ale Ona była silna, raczej nie w fizycznym sensie, to było coś więcej, dużo więcej.

Potem spotkaliśmy się w skałkach. Na zawodach w Dolinie Będkowskiej była już pierwsza. Ale wspinaczka na czas raczej Ją nie interesowała, to było nie to, ją pociągały trudności, odkrywanie sposobu przejścia. Wspinała się bardzo po babsku, wolno, jakby z ukrytym zażenowaniem dobierając chwyt i stopnie. Tłumaczyłem, że tak nie można rozrzutnie szafować siłami, tkwiąc długo w chwycinach. Ona jednak spokojnie potrafiła odnaleźć klucz drogi, robiąc od strzału niektóre przejścia, z którymi ja nie mogłem sobie nigdy poradzić.

Wchodziła jednak w góry zawsze, by spotkać ludzi, byli dla Niej zawsze ważniejsi od problemów skały czy lodu. Skałki były też spotkaniem z przyjaciółmi i ich problemami, a najlepszym miejscem na przegadanie całego dnia źródło w Dolinkach. (...)

Nasze wspinanie zaczęło się trochę wcześniej, w '74, w grudniu, na ścianie Tatr, północnej Kieżmarskiego. Przed tym był jeden znamieny dzień, dzień podejścia. Dziś po latach pamiętam ten dzień jako najbardziej pracowity. Plecaki ponad 60 kg. Czułem, jak waga wbija mi nogi w głąb stawów biodrowych. Ramiona właściwie już nie bolały. Dobrze po południu doszliśmy do granicy lasu. Dalej było torowanie, bo ślady zawiewało natychmiast. Po podzieleniu plecaków poruszaliśmy się dalej ruchem wahadłowym. Mrówka nosiła bez żadnej ulgi, miała olbrzymi wór własnego wyrobu. Potykaliśmy się o kosówkę, zapadaliśmy po pas i krok, dwa po wierzchu. Wyciągaliśmy się z zasp na zmianę, wreszcie musieliśmy stanąć i zagotować herbatę. Mimo wszystko wieczorem do schroniska z całym dobytkiem doszliśmy. Tego dnia tylko we dwójkę. Dziś wiem, że podeszliśmy wtedy do tego bardzo ambicjonalnie, cóż, dla Mrówki miało to być pierwsze bardziej poważne wspinanie zimowe, a dla mnie... wiadomo.

Przez 7 lat naszego wspólnego wspinactwa zrobiliśmy zaledwie 52 drogi. Ale wszystkie z nich miały dużą wagę, jest kilka nowych dróg tatrzańskich, większość to jednak przejścia zimowe i alpejskie. (...)

Ostatnią naszą wspólną drogą i ostatnią tatrzańską wspinaczką Dobrusi była kwietniowa wycieczka na Kozią Przełęcz Wyżnią. Trochę na nartach, a potem wcale nie łatwa wspinaczka wprost od północy. Ściana prezentowała się wspaniale, była obludzona i w pięknej szadzi. Potem urodził się Łukasz i już nie związaliśmy się liną. Postanowiliśmy uprawiać alpinizm oddzielnie”.



Dobrosława podczas jednej z pierwszych wypraw w Tatry. Początek lat 70.
fot. archiwum prywatne Łukasza Wolfa

MAMA

Łukasz otwiera drzwi, jest późny wieczór na Mokotowie. W pokoju gospodarz trzyma przedmioty związane z dwiema najważniejszymi dla niego dziedzinami: architekturą i górami. Siadamy przy stole, przy którym powstają jego projekty. Przy świetle lampki próbujemy wyłuskać z pamięci to, co zostało.

– Pamiętam migawki: ona w kuchni, ona na spacerze, ona w pracy – mówi Łukasz Wolf, syn Dobrosławy i Jana. – Nie mogę pamiętać więcej, bo miałem kilka lat. Mama pracowała w Muzeum Etnograficznym, czasem mnie tam zabierała. Pamiętam więc te pomieszczenia, być może jej biurko. Pamiętam zdjęcie mamy, które wisiało w naszym mieszkaniu w bloku na Ursynowie. Widzę też mamę na lotnisku, kiedy wracała, widzę torbę podróżną, w której jest ananas przywieziony w prezencie.

Łukasz nie jest pewny, czy potrafi odtworzyć w pamięci jej twarz.

– Trudno powiedzieć – stwierdza. – Była dość drobną osobą, miała ciemne włosy, zwykle długie, ale czasem też krótkie. Tylko tyle. Kiedy wyjeżdżała, oprócz taty opiekowały się mną babcie. Mam też kuzynów w podobnym wieku, więc z nimi również spędzałem czas. Jak to w rodzinach, dzieci się podrzucało. Rodzice nie zabierali mnie na lotnisko, kiedy mama wyjeżdżała. Bo bardzo wtedy płakałem. Po powrocie mama musiała mi o wszystkim opowiadać, ale niewiele takich rozmów pamiętam. Zawsze były u nas slajdy i cały ekwipunek rodziców.

Była wielka szafa ze sprzętem. Widziałem wyprawowe beczki. Kiedy nauczyłem się czytać, to rozpoznawałem te wszystkie ważne słowa: Nepal, Himalaje, Karakorum.

To na nich Łukasz uczył się czytać, podczas gdy jego rówieśnicy znali raczej Asa i Alę z *Elementarza*.

Syn pamięta, że mama mogła ruszyć na wyprawę na K2 w 1982 roku. Ale nie pojechała przez niego.

– Była w ciąży, urodziła mnie zimą 1981 roku. Wtedy kobiety spod K2 przesłały mi, bobasowi, tę kartkę. Fajna pamiątka. Być może mama miała niedosyt, bo wszystkie te babki sobie jeździły, a ona siedziała w domu – podejrzewa Łukasz.

HIMALAISTKA

W góry wysokie trafia dość późno. Polskie kobiece wspinanie ma już swoje wielkie sukcesy: wejście na Gaszerbrumy w 1975 roku, Mount Everest Wandy Rutkiewicz trzy lata później. Wtedy do czołówki alpinistek dołącza drobna i krzepka Mrówka, pracownica Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie, wówczas także instruktorka taternictwa i alpinizmu. A co najważniejsze – partnerka Wandy Rutkiewicz, z którą wspina się w Alpach. Jej pierwszą wyprawą na ośmiotysięcznik będzie próba zdobycia K2 w 1984 roku.

Jan Wolf opowiada o żonie w cytowanym wyżej artykule: „Dla Dobrosławy zaczęły się góry wysokie. Zafascynowały Ją tak silnie, że chyba trochę zapomniała o ludziach i wbrew sobie poddała się indywidualizmowi królującemu na wysokościach”.

Po powrocie z udanej wyprawy na Broad Peak w 1983 roku Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska postanawiają zawalczyć o inny, trudny szczyt – K2. Szybko okazuje się, że jest okazja do zabrania się z wyprawą Szwajcarów. Swoją akces zgłasza też Wanda Rutkiewicz, która poleca swoją nową partnerkę wspinaczkową – Mrówkę.

Czerwińska, Palmowska, Rutkiewicz i Miodowicz-Wolf ruszają pod K2 z ekipą szwajcarską. Na miejscu zaczynają się sprzeczki. Kiedy Szwajcarom zbyt wcześnie kończy się jedzenie, Wanda Rutkiewicz chce, żeby zwrócili koszt przewozu jedzenia. W efekcie Szwajcarzy obrażają się na Polki i mówią, że wracają na dół. Kończy się czas, pogoda nie sprzyja, szanse na zdobycie szczytu maleją do zera.

Po powrocie do kraju okazuje się, że Wanda Rutkiewicz zaciągnęła na rzecz wyprawy dług. Zaczyna więc dzwonić do Polski (w tym czasie mieszka z mężem w Austrii) i domagać się, by w spłacie brały udział inne uczestniczki wyprawy. Na ciągłe telefony w końcu reaguje Mrówka. Dobrosława odmawia.¹³

Rutkiewicz wpada na pomysł, by zaprosić na następną wyprawę Szwajcarów i Francuzów, których wkład pokryje koszty poprzedniej ekspedycji. W 1985 roku Polki jadą więc na Nanga Parbat.

Tam Dobrosława Miodowicz-Wolf wchodzi tylko na przedwierzchołek Na grani szczytowej zastała Mrówkę pogorszenie pogody. Czowała się coraz gorzej, widziała obok jakieś nieistniejące postaci. Mogły to być pierwsze objawy choroby wysokościowej. Dlatego wtedy himalaistka zawróciła. Przekroczyła magiczną granicę 8000 m n.p.m, nie miała butli z tlenem, a niedotlenienie powodowało majaki. Reszta damskiej ekipy czeka w obozie IV. Himalaistki powoli tracą nadzieję na powrót Mrówki, ale w końcu Wanda Rutkiewicz bierze latarkę, termos,

kij i linę, i wychodzi do góry. Niewiele może zobaczyć w gigantycznej śnieżnej zamieci. Wreszcie dostrzega ślaniającą się postać. Jak wspomina w swojej książce *Nanga Parbat. Góra o złej sławie* Anna Czerwińska, Mrówce do szczytu zabraknie wtedy 50 metrów.

Jan Wolf w artykule wspomnieniowym¹⁴ o żonie napisze: „Cóż, tak się złożyło, nie miała szczęścia... i bolała nad tym bardzo. Samotnie walczyła o swój pierwszy siedmiotysięcznik. Samotnie pokonała wysokość 8000 m i próbowała wejść na Nanga Parbat. W samotności walczyła przez długie 6 dni, w huraganie na 8 tysiącach, o życie swoje i sześciu ludzi. Wreszcie została sama na poręczówkach żebra K2, by już z nich nie wrócić”¹⁵[cytowany artykuł Jana Wolfa z prywatnego archiwum Łukasza Wolfa, zachowano oryginalną pisownię, za wyjątkiem drobnych zmian stylistycznych].

Udana dla Rutkiewicz, Palmowskiej i Czerwińskiej wyprawa na Nanga Parbat sprawiła, że polskie himalaistki uwierzyły w siebie. Dla Mrówki była to jednak próba nieudana. Polki zaczęły się zastanawiać nad celem kolejnej. Wybrały K2.

Jest 1986 rok. Pakistan otwiera granice. Władze przyznają pozwolenie na zdobywanie K2 praktycznie każdemu. W sumie u podnóży jest wtedy w tym samym momencie dziewięć wypraw, prawdziwy tłum.

Początkowo na K2 były dwa zespoły: kobiece i męski (a w nim: Janusz Majer, Przemysław Piasecki, Wojciech Wróż i Peter Bożik). Dobrosława zdecydowała jednak na wejście inną drogą (żebrem abruzji) w zespole z Alanem Rouse, członkiem wyprawy angielskiej. Na tej drodze znalazł się też zespół austriacki (Alfred Imitzer, Hannes Wieser, Willi Bauer, zespół Kurta Diembergera z Austrii oraz Brytyjka Julie Tullis)¹⁶.

Jim Curran, uczestnik tamtej wyprawy, w książce *K2. Triumf i tragedia* napisze o Mrówce: „(...) prawie nie mówiła po angielsku i to częściowo było przyczyną nieporozumienia”¹⁷. Ludzie gór co prawda rozumieją się dobrze, ale nie bez słów.

Alan z Mrówką ruszyli o północy. Mrówka pożegnała się z Polkami.

Jim Curran zapisze w pamięci ostatnie słowa kierownika wyprawy. „Staliśmy w ciemnościach, gawędziliśmy i czekaliśmy, kiedy Mrówka wyjdzie z namiotu. Al wydawał mi się bardzo podniecony. Nagle zupełnie niespodziewanie powiedział mi, iż ma przeczucie, że nie wróci. Zbagatelizowałem to i odparłem, że ja mam takie przeczucie przed każdą wspinaczką; dotychczas nie sprawdzało mi się w stu procentach, więc zmieniliśmy temat. Wtedy przyszła Mrówka”¹⁸. Curran życzył im powodzenia i kazał uważać na siebie. A wtedy, jak wspomina Curran: „Mrówka nieśmiało i dość nieoczekiwanie objęła mnie i pocałowała w oba policzki – coś, czego większość Anglików nigdy nie opanuje. Potem ruszyli”¹⁹. I już nie wrócili.

SUPERDZIEWCZYNA

Willi Bauer po powrocie z góry wyrzuca z siebie słowa: „*Julie... dead, Alfred... Hannes... dead... Alan... dead*”²⁰. 13 sierpnia 1986 roku siada naprzeciw swoich kolegów (m.in. Krystyny Palmowskiej) i opowiada o tym, co stało się wyżej. Himalaiści, z którymi rozmawia Bauer, nagrywają wszystko na taśmę.

Zapis tej rozmowy znajdę w prywatnym archiwum Łukasza Wolfa. To kilkanaście poślizgniętych kartek z tekstem wystukany na maszynie, z ręcznymi poprawkami długopisem.

Zaczyna Krystyna Palmowska:

„Wyruszyliście 28 lipca, Mrówka z Alanem – 29-go. Oni byli stosunkowo wolni, prawda?

Willi Bauer: Nie wiem. Wyruszyłem 28-go, 29-go osiągnąłem obóz II, a 30-go obóz III.

– Mrówki wtedy nie widziałeś?

– Nie, nie widziałem Mrówki. Moi przyjaciele zeszli [do bazy – przyp. red.], a z dołu podeszli Hannes i Alfred. 1 sierpnia przystąpiliśmy do torowania, ponieważ musieliśmy znaleźć obejście seraka, który obrywał się na drodze do obozu IV. Tam postawiliśmy namiot. Wtedy też nadeszli Koreańczycy. Znacznie niżej ustawili swój namiot Mrówka i Alan.

– Kiedy to było?

– To było pierwszego i wszyscy szli po śladach (...)”²¹.

Już 2 sierpnia wspinacze chcą wejść na szczyt. Torują drogę, dochodzą aż do 8400 m. Okazuje się, że na górze ciągle leży tyle śniegu, że nie mogliby zdobyć szczytu bez biwaku. Zawracają, by ponownie zaatakować szczyt 4 sierpnia w pełniejszym składzie. W grupie będzie także Mrówka.

Dobrosława Miodowicz-Wolf „nie może nadążyć” za Alanem Rousem, ale – według relacji Bauera – „koniecznie chce iść do góry”. Willi Bauer i Alfred Imitzer razem stają na szczycie. Podczas zejścia najpierw spotykają Alana, potem Mrówkę – 150 m od szczytu. Willi mówi jej, żeby zawróciła, bo jest za późno i nadchodzi załamanie pogody. Polska himalaistka odmawia. Chwilę później przekona ją do tego Alan.

Podczas zejścia panują ekstremalnie złe warunki. Wieje silny wiatr. Julie Tullis odmraża się, podczas gdy jej namiot zostaje przysypany śniegiem. Maleją szanse na bezpieczne zejście. Wspinacze nie mają żywności, wody i niczego do stopienia. W obozie pozostają aż do 10 sierpnia. Alfred i Hannes zaczynają mieć objawy choroby wysokościowej. Polska himalaistka pomaga też przy torowaniu, wyciąga Bauera, kiedy ten zapada się w śniegu. Na dodatek okazuje się, że obóz III został zmieciony przez wiatr. Bauer ostro krytykuje Kurta Diembergera za brak pomocy. „Diemb też powinien torować” – mówi Bauerowi Mrówka.

W końcu wspinacze znajdują serak, poniżej którego są poręczówki. Muszą uwalniać liny spod śniegu. Mrówka zaczyna mieć wtedy – jak określa to Bauer – „problemy z przyrządem zjazdowym”. Lina, która musi przejść przez ósemkę z metalu, jest gruba, twarda i zamrożona. Mrówka ma trudności z przeciągnięciem jej przez przyrząd, zwłaszcza, że niedomagają zamrożone na kość, ukryte w grubych rękawicach palce. Willi Bauer w rozmowie z kolegami zaznaczy, że w ciągu sześciu dni w obozie IV kilka razy proponował wcześniejsze zejście, ale zawsze napotykał opór. Jego stronę trzymała tylko Mrówka.

Mijają kolejne godziny morderczego zejścia. Dobrosława Miodowicz-Wolf traci siły i zdrowie. Udaje jej się zejść, a właściwie zjechać, do 7100 m. To wtedy prawdopodobnie umiera z wyczerpania, przypięta do liny, która miała jej pomóc w bezpiecznym zejściu.

„Bardzo dziękuję, Willi” – kończy rozmowę Krystyna Palmowska.

„To straszne powiedzieć – mówi Bauer – że kiedyś poznałem taką superdziewczynę, a ona umarła”²².



Wierzyła w zasadę Wawrzyńca Żuławskiego: partnera wspinaczki nie można zostawić w górach nawet wtedy, gdy jest już tylko bryłą lodu.
fot. archiwum prywatne Łukasza Wolfa

ZAPOMNIANA

Konstanty Miodowicz napisze o zmarłej siostrze: „Dobrusia schodziła z podwierzchołkowych partii K2 w dramatycznych okolicznościach, przy niej umierali ludzie – doświadczeni himalaiści. Pomagała im. Jej nie pomógł nikt. Zasnęła, stojąc, przypięta do poręczówek, tuż nad namiotem jednego z obozów. (...) Niestety, nie było obok nikogo, żeby ją wybudzić. Szkoda, że zabrakło kogoś, kto by ją trącił łokciem. Pod koniec pierwszy szedł Willi Bauer, wrywając linę poręczową spod śniegu, a za nim Dobrusia i Kurt. Miała pecha. Diemberger to nie Żuławski”²³ – dodał brat Mrówki.

Łukasz Wolf pamięta tamte zdarzenia jak przez mgłę:

– Wydaje mi się, że tata przyjechał wtedy do mnie na wakacje. Byliśmy z kuzynką, kuzynem i babcią na działkach, w Ryczywole. Szliśmy drogą – tata zabrał mnie na spacer – pamiętam obraz tej drogi, mijane domki i słowa ojca. Pamiętam też rzeczy mamy, które przyjechały do Polski. Ale to musiało być już rok później, kiedy jej ciało zostało znalezione. Pamiętam tablicę wysyłąną w góry, która wcześniej leżała w domu. Kiedy później jako dorosły facet tam pojechałem, zobaczyłem tę tablicę. Przypominam sobie też mszę pogrzebową, która odbywała się w Krakowie, u dominikanów. Na pewno byłem smutny, ale nie wiem, czy płakałem. Na początku wydawało mi się, że to tylko sen, że zaraz się obudzę. Jako dziecko miałem takie marzenie, że mama wróci, że się odnajdzie.

Konstanty Miodowicz nie miał wątpliwości, że Diemberger stawiał tylko na siebie. Kostek powiedział Oldze Morawskiej: „Mając na względzie »staroświeckie« wartości ludzi gór, Diemberger zawiódł. Nie przeszedł najcięższej próby”²⁴. Znaleźli się w sytuacji kryzysowej, która powinna budować i zacieśniać więź. Stało się przeciwnie. Łukasz Wolf, wówczas jeszcze dziecko, pamięta, że Kurt Diemberger był w rodzinie Wolfów przez lata wspominany jako ten zły.

– Ten, który ją tam zostawił – jak mówi Łukasz. Prędko jednak prostuje: – Ale kiedy zacząłem na poważnie studiować materiały o mamie, doszedłem do wniosku, że na to wszystko złożyło się bardzo dużo niekorzystnych okoliczności. To tylko gdybanie. Trzeba sobie też zdawać sprawę, że Diemberger musiał być wtedy kompletnym wrakiem. Nawet z opisu Bauera wynika, że on był w najgorszej formie z nich wszystkich. Ludzie sobie pewnie nie wyobrażają, ja pewnie też, w jakim oni byli stanie. To byli ludzie umierający, ludzie w agonii. Przebywali na ośmiu tysiącach, w strefie śmierci, przez tydzień. To rekord, nigdy wcześniej ani później nie zdarzyło się, żeby himalaiści byli tam tak długo i przeżyli.

Syn zmarłej Mrówki nie feruje wyroków:

– Oceniać, siedząc w domu na kanapie, może każdy. Jestem wrogiem wszelkich komisji etycznych. Wspinanie się w Himalajach to ekstremalne sytuacje, w których ciało jest poddane bardzo trudnym warunkom. Doprowadzasz swój organizm do walki o życie. Działasz instynktownie. To instynkt. Samozachowawczy.

ZMARŁA

Rok po śmierci Mrówki jej ciało zostało odnalezione przez Japończyków. Odcięto je od liny i zrzucono. Anna Czerwińska, koleżanka z ekipy, pisze: „W 2005 roku, chodząc po tych poręczówkach, miałam obsesję i między obozem II a III ciągle tylko patrzyłam, czy natknę się na jakieś ślady po Mrówce”²⁵.

Odnalezienie ciała Dobrosławy uspokoiło jej rodzinę. Konstanty Miodowicz dowiedział się, co się stało. Mówi tak: „Była na linie, miała węzeł Prusika na przedramieniu, przyrzędem wpięła się w linę. Z tego wynika, że do końca zachowywała się racjonalnie (...). Myślę, że się zatrzymała na chwilę, zasnęła i to wystarczyło. Ten sen w innych warunkach trwałby kilka sekund, a tam przerodził się w sen wieczny”²⁶.

Jak wspomina Konstanty w rozmowie z Olgą Morawską, Wojciech Kurtyka wręczył mu parę slajdów wykonanych po znalezieniu zwłok siostry. Wie, że jego siostrę zawinięto w płachty biwakowe, po czym opuszczono rynnami do podstawy ściany. Spoczęła w szczelinie lodowca. Na Kopcu Gilkeya, symbolicznym cmentarzu osób zmarłych pod K2, zawisła tablica na jej cześć.

W 1986 roku na K2 ginie w sumie trzynaście osób, w tym troje Polaków: oprócz Wolf jeszcze Tadeusz Piotrowski i Wojciech Wróż. Tragedia, która spotkała Dobrosławę Miodowicz-Wolf, ściąga falę krytyki na austriackich wspinaczy, towarzyszących jej wtedy podczas trudnego zejścia.

Pamiętki po mamie Łukasz Wolf pielęgnuje do dziś. Po raz kolejny pochylam się nad wspomnieniem, które Jan Wolf spisał po śmierci żony. Dopiero teraz zauważam, że kiedy mowa o żonie w Tatrach i Alpach, nazywa ją „Dobrusią”. Kiedy wspomina o jej pierwszych wyjazdach w Himalaje, zaczyna pisać: „Dobrosława”.

NADAWCZYNI LISTU

Kiedy ginie jego mama, Łukasz Wolf ma 4,5 roku.

Kiedy umrze ojciec, skończy 11.

Jan Wolf także umiera w górach. Spada 250 m w dół przy zjeździe ścianą Kazalnicy i wpada do Czarnego Stawu. Łukaszem zajmie się odtąd jego macocha Joanna, potem dziadkowie. Łukasz, będący od tamtego dnia sierotą, pamięta złą wiadomość.

Opowiada:

– To też było podczas wakacji. Mama zginęła 10, tata 13 sierpnia, ale 6 lat później. Byłem na koloniach na Słowacji i dziadek po mnie przyjechał. Wróciliśmy w nocy, a następnego dnia odbył się pogrzeb. Dopiero wtedy się dowiedziałem, co się stało, bo po drodze nic mi nie powiedział. A mi nie przyszło do głowy, że coś się stało. Nie czułem żadnego niepokoju. Zagrałem sobie w filmie *K2. Dotknąć nieba*. Tak naprawdę w trakcie kręcenia stwierdziłem, że skoro już tam będę, to fajnie zabrać trochę materiałów, dzienników, archiwów osobistych, książek, i poczytać wszystko, co się da.

Nie jest tak, że wcześniej mnie to odrzucało. Wiedziałem, że będę chciał się z tym zapoznać, ale jakoś ciągle to przesuwalem. Musiałem to przetrawić. Dobrze, że się z tym zapoznałem. Nie staram się żyć przeszłością, rozpamiętywać. Ale dobrze jest wiedzieć.

Kiedy Eliza Kubarska, reżyserka i scenarzystka, się do mnie zgłosiła, nie miałem powodów, żeby jej odmówić. Powiedziała, że ma pomysł: pod K2 jadą dzieci osób, które kiedyś zginęły na tej górze. I sprawdzamy, co z tego wyniknie. Oprócz mnie pojechali Hania Piotrowska, córka Tadeusza, oraz Chris i Lindsey Tullis, dzieci Julie.

Miałem pewne obawy, bo to w końcu publiczne opowiadanie o własnych doświadczeniach, emocjach. Miałem wątpliwości, ale one nie przeważyły. Nie było więc ani entuzjazmu, ani

niechęci. Postanowiłem spróbować. Od pomysłu do wyjazdu minęło kilka lat.

Kiedy byliśmy już pod K2, przeszkadzało mi, że nie mamy czasu dla siebie. Brakowało wolnej chwili, by tam pobyc. Poza momentem w namiocie, tuż przed snem, to film wypełniał nam czas. Spałem w namiocie z Hanią, gadaliśmy wieczorami.

W moim domu był list z K2 z 1986 roku. Nigdy nie został otwarty. Na początku myślałem nawet, że to list od mamy do taty, a ponieważ mama zginęła, ojciec nigdy go nie otworzył. Przed wyjazdem przyjrzałem się temu i zobaczyłem, że to wiadomość od taty do mamy, której nikt nie odebrał. Tata nie miał potrzeby otwierać listu, ale też pewnie nie miał odwagi go wyrzucić. Po śmierci ojca też nikt nie wyrzucił koperty. Znalazłem ją przed wyjazdem i zabrałem ze sobą pod K2 w 2013 roku.

Nie wiedziałem, co napisano w środku, to nie było do mnie, więc nie zgodziłem się na nagranie tego, co czytam. W filmie jest tylko niema scena, w której stoję przed grobem mamy i czytam ten list. Samo to, że to ja go czytałem, było trochę krępujące. Ale jako dziecko mam chyba prawo.

Mój tata ożenił się drugi raz, miał córkę, która jest ode mnie młodsza o 8 lat. Mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu, kiedy tata zginął. Joasia, moja macocha, została i zajmowała się mną. W pewnym momencie miałem trudne relacje z Joasią, przed liceum, ale nie wiem, czy można to nazwać buntem. Na pewno dużo czasu spędzałem ze znajomymi, na imprezach i na wagarach.

Niemal do trzydziestki w ogóle nie analizowałem tego, co stało się mojej mamie, nie wchodziłem w tę historię. Odsuwałem to, zapewne w samoobronie, żeby nie żyć przeszłością. Babcia od strony mamy bardzo przeżyła tę śmierć. Spędzałem z nią wiele czasu i ona wielokrotnie wracała do tamtych wydarzeń. Wiedziałem, że tak nie można, bo to do niczego nie prowadzi, już nic nie rozwiąże. Trzeba żyć swoim życiem.

Dopiero po trzydziestce jakoś się oswoiłem z przeszłością. Teraz o tym rozmawiamy, ale kiedyś prośba o wspomnienie rodziców pewnie by mnie wkurzyła. Przeszedłem przez okres zaprzeczenia po śmierci taty. Przez parę lat w ogóle nic o nim nie mówiłem. Ani słowa. Może po prostu tego nie akceptowałem, nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Nie dotykałem tego, przynajmniej słownie.

Góry? Jeździłem w skałki jako dziecko, łąziłem po nich, biegałem. Zjeżdżałem też z tatą dużo na nartach, poza szlakami. Potem głupio mi było się przyznać, że chcę się wspinać. Kiedy w liceum moi znajomi powiedzieli, że planują robić kurs skałkowy, stwierdziłem, że ja też. Pod koniec studiów na Politechnice zacząłem częściej chodzić na AZS, na ściankę. Tam poznałem znajomych, którzy wspinali się więcej.

Byłem na trekkingach w górach wysokich, na Elbrusie, w Hindukuszu. Osiągnąłem pewne wysokości. Mam doświadczenia zimowe, ale nieduże. Wydaje mi się, że żeby robić coś trudnego w Himalajach, musiałbym poświęcić temu dużo czasu. Nie chciałem jeździć w Himalaje. Odrzucałem to. Stwierdziłem, że nie mogę tego robić rodzinie, bo to niebezpieczne. Ale na pewno by mi się spodobało.

¹ Komunistyczna organizacja młodzieżowa, utworzona jeszcze podczas okupacji, w podziemiu antyhitlerowskim.

² Organizacja młodzieżowa działająca od 1948 roku w Polsce, wzorowana na radzieckim Komsomole.

³ Informacje i cytaty dot. życia rodzinnego rodziny Miodowiczów pochodzą z książki A. Miodowicza *Zadymiarz*, Warszawa

1993, s. 22.

[4](#) Tamże, s. 37.

[5](#) Tamże.

[6](#) Tamże.

[7](#) Tamże.

[8](#) Informacje dot. górskich lektur Dobrosławy Miodowicz pochodzą z książki O. Morawskiej *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011, s. 11.

[9](#) Tamże, s. 11.

[10](#) Tamże.

[11](#) Tamże, s. 12.

[12](#) Artykuł pochodzi z prywatnego archiwum Łukasza Wolfa.

[13](#) A. Czerwińska, *GórFanka. W Karakorum...*, s. 139.

[14](#) Cytowany artykuł Jana Wolfa z archiwum prywatnego Łukasza Wolfa.

[15](#) W cytowanych w rozdziale tekstach zachowano oryginalną pisownię, z wyjątkiem drobnych zmian interpunkcyjnych i stylistycznych.

[16](#) Dobrosława Miodowicz-Wolf zdecydowała się na wspinanie w mieszanym zespole międzynarodowym. Pierwotny plan był inny: Polki miały się wspiąć wyłącznie w zespołach kobiecych.

[17](#) J. Curran, *K2. Triumf i tragedia*, Czeladź 1989, s. 87.

[18](#) Tamże, s. 121.

[19](#) Tamże.

[20](#) A. Czerwińska, *GórFanka. W Karakorum...*, s. 202.

[21](#) Oryginalny zapis z archiwum Łukasza Wolfa. Tłumaczenie: Janina Czerwińska i Krystyna Palmowska. Konsultacja tekstu z taśmy magnetofonowej: Max Eichinger.

[22](#) Tamże.

[23](#) O. Morawska, *Góry na opak*, s. 16.

[24](#) Tamże.

[25](#) A. Czerwińska, *GórFanka. W Karakorum...*, s. 207–208.

[26](#) O. Morawska, *Góry na opak*, s. 21.

AŻ RUNIE MUR



WANDA RUTKIEWICZ



fot. Woody Ochnio/Forum



ZNAKI

Wanda Rutkiewicz, od kiedy zniknęła, daje ludziom znaki.

Z książki sprzed czterdziestu lat wypada na moje biurko biała kartka z kalendarza.

„4 lutego 2013 roku, poniedziałek. Imieniny Andrzeja, Weroniki, Gilberta, Joanny, Jana, Józefa, Mariusza, Witosława.

1913 – w Paryżu pojawiły się pierwsze budki telefoniczne.

1913 – urodziła się Rosa Parks, amerykańska działaczka społeczna; była symbolem walki z segregacją rasową (zm. 2005).

1943 – urodziła się Wanda Rutkiewicz, jedna z najwybitniejszych polskich alpinistek i himalaistek; 16 października 1978 roku jako pierwsza Polka i Europejka, a trzecia kobieta na świecie, weszła na Mount Everest”.

W książce kupionej przez internet na pierwszej stronie odręczna dedykacja:

„Dla Zdzisława – pozdrowienia. Wanda Rutkiewicz, Warszawa, 18 maja 1980 roku”.

W kolejnej: zawieruszony wycinek z gazety z opisem programu telewizyjnego o wielkiej polskiej himalaistce.

Dla matki Wandy Rutkiewicz najważniejsze są znaki od córki.

„Z Wandą wszystko w porządku – mówi pani Maria dziennikarzowi. – Nie raz, nie dwa bywała w niebezpieczeństwie. I ja zaraz dostawałam od niej sygnał: oho, niedobrze!”¹.

Od wiosny 1992 roku matka Wandy nie ma żadnego sygnału.

BEZTROSKE DZIECIŃSTWO NA LITWIE

„Pięknie, choć płasko”² – opisze Wanda miejsce, w którym przyszła na świat 4 lutego 1943 roku. Płungiany na Litwie, 20 km od majątku rodziny Narutowiczów. Spędzi tam pierwsze 3 lata, z rodzicami wyjedzie do Wrocławia i tu się wychowa.

„Moja mama studiowała historię starożytną, (...) ale pierwszą pracę rozpoczęła w Centralnym Archiwum w Kownie, gdzie zajmowała się sprawami bardziej nowożytnymi – opowie Wanda Barbarze Rusowicz. – Mój ojciec pojawił się na Litwie w październiku 1939 roku. (...) W miesiąc po utracie przez Litwę niepodległości, czyli w lipcu 1940 roku, ożenił się z moją mamą”³.

Po epizodzie litewskim przez chwilę mieszkają w Łańcucie, gdzie na świat przychodzi młodsza siostra Wandy, Janina (dzisiaj Nina). Ale już w 1946 roku Zbigniew Błaszkiwicz, ojciec, dostaje pracę na Politechnice Wrocławskiej. Rodzina przeprowadza się do miasta. Błaszkiwiczowie zajmują dwupiętrowy dom szeregowy naprzeciw parku Szczytnickiego. Niedaleko znajduje się przyszła szkoła Wandy i Akademia Wychowania Fizycznego z obiektami sportowymi. Jeden z nich – boisko do siatkówki – będzie jej ulubionym.

Matka – Maria Błaszkiwicz – wychowana w rodzinie ziemiańskiej, ma doskonałe maniere

i szacunek dla modelu rodziny, w którym kobieta nie pracuje zawodowo, ale dba o dom, wychowuje dzieci. Zbigniew Błaszkiwicz z politechniki przeniesie się do biura projektów i zacznie pracować jako inżynier sanitarny. Wspecjalizuje się w dziedzinie oczyszczania ścieków metodą biologiczną.

Ojciec lubi sport – w wolnych chwilach zamienia się w żeglarza, strzelca sportowego, pływaka. Kiedy Wanda zacznie się na poważnie wspinać w Tatrach, a potem w górach wysokich, Zbigniew – podobnie jak jego żona – nie będzie zadowolony.

Głowa rodziny zabiera dzieci (Wandę i jej dwóch braci – najpierw jednego, potem drugiego) w Sudety, na Ślężę. Mała Wanda zapamiętuje, że wtedy była to dla niej wyprawa niemal himalajska. Ojciec uczy ją, że ważne jest odpowiednie przygotowanie, sprawny sprzęt.

Nina Fies, młodsza siostry Wandy, mówi dziś:

– Z domu pamiętam obdrapany sufit z dziurami, gdzieś wystające trzciny. Mimo wszystko mieliśmy dość bez troskie dzieciństwo. Było ono związane ze zwierzętami w domu – trzymaliśmy dwie kozy, kury, dwa psy i kota. Bardzo wcześnie należeliśmy do harcerstwa, wyjeżdżaliśmy na obozy. Wcześnie też zaczęliśmy się udzielać sportowo.

WYRWA W BEZTROSCE

Kiedy Nina mówi „my”, ma na myśli siebie, Wandę i Michała, który urodził się w 1949 roku. Jurek, najstarszy syn Błaszkiwiczów, zginie tragicznie w Wielkanoc 1948 roku.

Wanda Rutkiwicz wspomina: „Mój brat z innymi dziećmi z ulicy znalazł minę i któreś wpadło na pomysł, aby ją podpalić. Ja zapłakana wróciłam do domu, ponieważ nie chcieli się ze mną bawić”.

Wówczas pięcioletnia dziewczynka naskarzyła mamie, że koledzy z podwórka będą podpalać minę. Opowiada: „w połowie drogi usłyszałyśmy wybuch. Tak silny, że targnęło powietrzem, a z okien posypały się szyby. Kiedy dobiegłyśmy bez tchu na miejsce (...), ludzie zbierali strzępy dzieci. Zapamiętałam tylko płacz matki”⁴.

Nina Fies tak relacjonuje utratę brata:

– Co roku Niedziela Wielkanocna była smutnym dniem, bo była to kolejna rocznica śmierci brata. Z drugiej strony nigdy tak naprawdę na ten temat nie rozmawialiśmy.

Młodsza siostra Wandy zastanawiała się, jak to wydarzenie wpłynęło na rodzeństwo.

– Możliwe, że Wanda stała się przez to dojrzała – mówi. – Bardzo szybko musiała dorosnąć. Dla nas było to pierwsze zetknięcie się z faktem, że życie jest brutalne, ale musi toczyć się dalej. Człowiek nie ma na to zupełnie żadnego wpływu.

DOJRZEWANIE W TRYBIE PRZYSPIESZONYM

Wanda rzeczywiście musiała szybko dorosnąć. Rodzice kazali jej opiekować się młodszym rodzeństwem, za czym nie przepadała. „Po śmierci starszego brata byłam najstarsza – powie. – Nie znosiłam sprawowania opieki nad moją młodszą siostrą (...). Nie pamiętam natomiast tych momentów, kiedy zrozumienie i miłość dominowały w naszych stosunkach. Nie pamiętam, choć pewnie były. (...) Dla mnie było to ograniczenie mojej wolności – opiekowanie się młodszą

siostrą wtedy, kiedy chciałam robić coś sama. Mniej przeszkadzało mi zajmowanie się młodszym bratem (...). On nie próbował wkraczać w moje bardzo samodzielne życie”⁵. Państwo Błaszkiwiczowie starali się jak mogli, by zapewnić rodzinie godny byt. Ale to, zwłaszcza w tamtych czasach, nie było łatwe. „Można się zastanawiać, czy gdybym była rozpieszczana, wszystko miało dostępne na zawołanie, byłabym zupełnie inna – powie Wanda Barbarze Rusowicz. – Pamiętam, że pragnęłam mieć chociaż jedną lalkę, jedną jedyną. Kiedy połowa domu leżała jeszcze w gruzach (...), znalazłam taką szmacianą lalkę, prawie mojej wielkości, ale bez głowy”. Rodzice pragnęli zobaczyć uśmiech na twarzy Wandy, dokupili więc lalce brakującą część, ale okazało się, że nowa głowa nie pasowała. Wanda nadal marzyła o lalce, wystawała przed kioskiem i wgapiała się w wystawę. Niestety na marzeniach się skończyło. Zabawki były za drogie⁶.

TATRY I SKAŁKI PO RAZ PIERWSZY

Pierwszy raz Tatry widzi przejazdem, w czasie wycieczki szkolnej. Dopiero na koniec liceum – z kolegami, po zdanej maturze – wybierze się na pieszą wędrówkę, podczas której znajdzie się w najwyższych polskich górach⁷. Nawet nie marzy o tym, że kiedyś będzie je zdobywała najtrudniejszymi drogami.

Decyduje się na praktyczny kierunek studiów: elektronikę na Politechnice Wrocławskiej. Aktywnie udziela się w życiu studenckim. Dużo czyta, fotografuje, wędruje – na razie turystycznie – po górach. Odnosi sukcesy sportowe. Gra w siatkówkę w żeńskiej drużynie AZS, zdobywa akademickie mistrzostwo Polski w pchnięciu kulą.

Poznaje nowych ludzi. Jeden z nich zaprosi ją w Góry Sokole leżące w paśmie Rudaw Janowickich pod Jelenią Górą⁸.

Górska turystyka szybko staje się dla niej zbyt przewidywalna. Prawdziwie silne wrażenie wywiera na Wandzie wspinaczka w skałkach.

– W jej przypadku zaczęło się najniewinniej na świecie – mówi Nina Fies. – To było pod koniec pierwszego lub na początku drugiego roku studiów. Już wtedy Wanda zafascynowała się górami. To była dla niej również okazja do sprawdzania samej siebie. Wszystkie oszczędności wydawała na przewodniki tatrzańskie. Studiowałyśmy te przewodniki, żeby poznać drogi. Wanda miała to po prostu we krwi, a poza tym, jeśli cokolwiek robiła, to robiła to na sto pięćdziesiąt procent.

PIĘKNA ADEPTKA W SKALE

Szlify wspinaczkowe zdobywa – jak wielu himalaistów – właśnie w skałkach. Szybko trafia jednak w Tatry, konkretnie do szkółki wspinaczkowej na Hali Gąsienicowej. Tam poznaje wielu taterników i odtąd będzie się coraz lepiej odnajdywać w górskim środowisku.

Jest nowa, jak reszta kursantów i kursantek, ale na tle innych z pewnością wyróżnia się urodą. Na zdjęciach z wczesnego okresu Wanda ma dość krótkie, nie sięgające ramion ciemne włosy, smukłą sylwetkę, mocne, umięśnione nogi i silne ramiona. To, na co będą zwracać uwagę jej koledzy (i co będą jej później wypominać), to jej piękna, symetryczna, niemal posągowa twarz z dużymi oczami i szerokim uśmiechem, który z biegiem lat pojawiał się jednak coraz

rzadziej.

Instruktorzy na wspinające się dziewczyny patrzą niechętnie. Dochodzi nawet do tego, że podczas kursu pokazują zdjęcia z tragicznych górskich wypadków, by zniechęcić kursantki do wspinania. Na jednym ze zdjęć Wanda rozpoznaje martwego kolegę. Jest zszokowana i przygnębiona jego historią. Ale pozostaje idealistką, nigdy nie myśli, że kolejna górską śmierć może przydarzyć się właśnie jej.

– W tamtych czasach – mówi mi znany polski alpinista – na wspinające się dziewczyny patrzono w środowisku z pobłażaniem, a często po prostu przedmiotowo. Dziewczyny były od gadania przy ognisku, od tańca i zabawy, a nie od wspinania. Z Wandą to nasze męskie środowisko miało problem. Bo nie dość, że piękna, to jeszcze świetna w górach, lepsza niż niejeden facet. Do tego wszystkiego dochodził jej charakter. Była chłodna, zdystansowana, z niej nie można było tak sobie pożartować. Budziła jednocześnie zachwyt i respekt.

Bernadette McDonald wspomina Wandę nieco inaczej, jako cieplejszą i bardziej przystępną. Tak zapamięta pierwsze spotkanie z nią w 1982 roku: „Tym, co uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia, gdy stała przy barze z piwem w dłoni, było bijące od niej ciepło. Otaczało ją grono fanów, którzy słuchali jej opowieści, najpewniej o wspinaniu. Ruchem silnych, zniszczonych przez pogodę dłoni podkreślała czasem swoje słowa. Ale prawdziwa historia była wymalowana na twarzy”¹⁰.

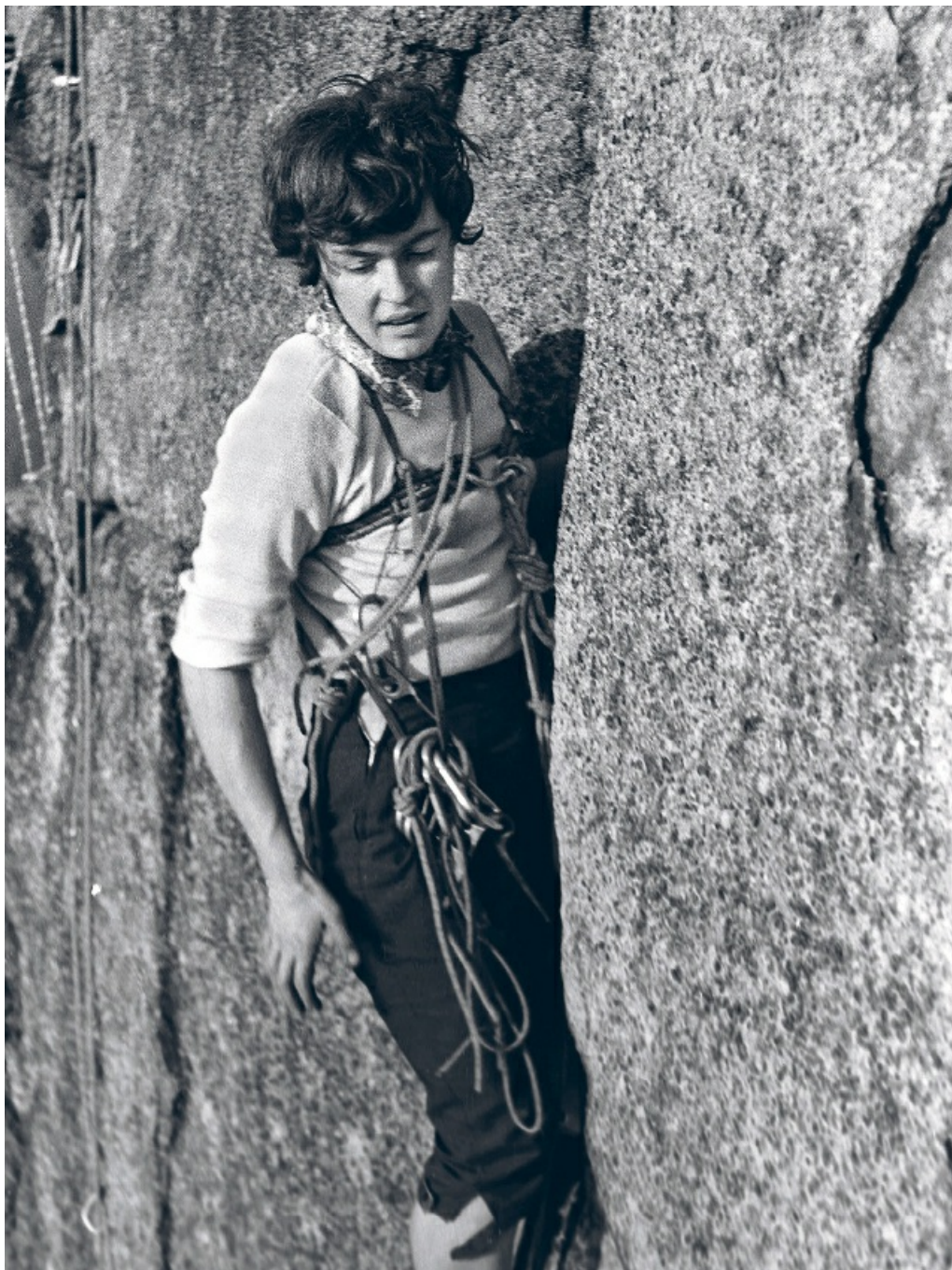
NIEOBECNY OJCIEC

Błaszkiwiczowie ledwo wiązali koniec z końcem. Mąż uważał, że żona powinna iść do pracy. Choć prawdopodobnie nieporozumienia na tle finansowym to problem powierzchowny, maskujący głębszy rozłam w małżeństwie. Mąż Marii nie krył rozczarowania żoną, która nie potrafiła gotować ani nie chciała słyszeć o podjęciu pracy zawodowej. To dodatkowo pogarszało sytuację i pogłębiało nieporozumienia w małżeństwie.

Z biegiem lat, jak wspomina Wanda ojciec oddala się, zamyka we własnym świecie. W 1968 roku Błaszkiwiczowie rozstają się. Zbigniew Błaszkiwicz jednak nie wyprowadza się z wrocławskiego mieszkania, prawie do końca życia zachowuje tam pokój, choć nie żyje z żoną.

Nina Fies zapamiętała z tamtego okresu:

– Ojciec miał swój pokój na górze, przychodził do nas na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, ale w sumie były to dwie odrębne rodziny: jedna – składająca się z nas czworga, i druga – samotny ojciec. Nie mógł znaleźć z mamą wspólnego języka. Mama również nie potrafiła z nim rozmawiać. Wydaje mi się, że wielu trudnych domowych sytuacji mogliby nam zaoszczędzić.



Wanda podczas jednej ze swoich pierwszych wspinaczek, wczesne lata 60.
fot. Bogdan Jankowski/Forum

ZŁO NIE WYPISANE NA TWARZACH

Ale najgorsze jeszcze przed nimi. Błaszkieicz wynajmuje połowę domu w Łańcucie pewnemu małżeństwu z dzieckiem. Nie zna tych ludzi, znajomi ostrzegają go: uważaj na nich, są podejrzani. W 1972 roku przyjeżdża do Łańcuta niespodziewanie i odkrywa, że małżeństwo

zdemolowało dom. Postanawia zgłosić to na milicję. Lokatorzy rzucają się na niego z siekierą i nożami. Oprawcy zakopują ciało w pobliżu domu i zaczynają się pośpiesznie wyprowadzać, co przyciąga uwagę milicjantów. Oboje zostają złapani. Przyznają się do winy.

Podczas rozpraw sądowych odczytywane będą kilkakrotnie ostatnie słowa Błaszkiwicza: „Jezus Maria, co wy robicie?”. Wanda zobaczy morderców ojca w sądzie. Po latach stwierdzi, że zdolności do popełniania zła nie da się rozpoznać po twarzy człowieka.

Sytuacja materialna rodziny, już wcześniej nie najlepsza, po nieoczekiwanej, tragicznej śmierci ojca ulega dalszemu pogorszeniu. Owdowiała matka i osierocone dzieci muszą radzić sobie same.

MATKA Z CÓRKĄ

Wanda zamieszka z matką pod jednym dachem, choć stosunki między nimi nie układają się idealnie. Kobiety nie miały ze sobą wiele wspólnego, a sporo je dzieliło. „Ja ceniałam przede wszystkim ścisłość, logikę, konkret, a mama była humanistką – powie Wanda. – Mamę cechowała pewna, według mnie, nieprecyzyjność sformułowań, definicji i bardzo emocjonalny stosunek do wielu spraw”¹¹.

Podobne zdanie o matce miała Nina Fies.

– Była osobą, która absolutnie nie pasowała do rzeczywistości, do warunków życia, w jakich się znalazła – tłumaczy siostra Wandy. – Myślę, że to też stało się powodem jej z Wandą nieporozumień. Została wychowana w domu, gdzie były służące, które gotowały, sprzątały. Mamy rolę w domu było ładnie wyglądać i umieć się znaleźć w towarzystwie. Mama wychowała się w dworku książęcym na Litwie, a później została postawiona przed brutalną rzeczywistością życia codziennego. Nie mogła sobie chyba z tym poradzić.

Kiedy rodzice się rozstali, rodzina utrzymywała się z alimentów, które ojciec płacił, choć nie zawsze chętnie. Mama, cały czas w nie najlepszej kondycji zdrowotnej, dalej nie szła do pracy. Z pomocą przyszła Wanda. Bardzo wcześnie zaczęła pracować, od studiów udzielała korepetycji, dostała stypendium.

MOJA ODREBNOŚĆ

Czy młoda dziewczyna nie buntowała się, że ciężar utrzymania rodziny spoczął po części na jej barkach? Zdaje się, że przyjmowała swoją rolę ze spokojem. „Życiem rodzinnym sterują bardzo dobrze określone reguły: wzajemne świadczenia wobec siebie, solidarność, lojalność. Tak było i jest między nami (...)”¹². Nie sposób jednak nie zwrócić uwagi, że Wanda w rodzinie nie szukała ciepła czy bliskości, raczej troszczyła się o wsparcie materialne i wypełnianie obowiązków. Kochała i szanowała swoją rodzinę, ale jednocześnie łaknęła własnej przestrzeni jak powietrza. Stosunki rodzinne scharakteryzuje w ten sposób: „Akceptowaliśmy się wzajemnie, ale nie wchodziliśmy w swoje odrębności”¹³. Owa „odrębność”, czyli sfera osobistej wolności, pełna wyzwań i sportu, była dla niej bardzo ważna. Wanda od wczesnych lat uprawiała lekkoatletykę. Później zainteresuje się też gramami zespołowymi, by w końcu postawić na indywidualne wyzwania.

NA BAKIER ZE STEREOTYPAMI

Wanda nie zawraca sobie głowy tym, co myślą o niej inni. Systematycznie buduje pozycję dobrze wspinającej się dziewczyny, która o górach myśli poważnie, niemal wyczynowo. W środowisku rozchodzą się wieści o ciemnowłosej piękności, która chodzi po Tatrach jak kozica.

Warunki, w jakich działają w tamtym czasie (pod koniec lat sześćdziesiątych) wspinający się ludzie, bywają bardzo wymagające. Na takie okoliczności trafia młoda, dwudziestoletnia, ambitna Wanda Błaszkiwicz. Żeby dostać szansę na wyprawę na ciekawe, niezdobyte szczyty (także tatrzańskie), a później pozwolenie na wyjazd zagraniczny, trzeba wykazać się w Klubie Wysokogórskim. Kluby, zarządzane przez doświadczonych wspinaczy, będą wkrótce działały w każdym większym mieście. Rozdzielają fundusze na wyprawy, prowadzą dokumentację przejść. Są typowymi socjalistycznymi organizacjami, bo choć każdy z klubów ma zasięg regionalny, tak naprawdę celem ich działalności jest kontrola środków płynących z centrali. W 1974 roku na bazie klubowych struktur powstanie Polski Związek Alpinizmu, który praktycznie skupi władzę nad ogólnokrajowym alpinizmem w Warszawie.

Dobrze w środowisku górskim czuje się też Wanda Błaszkiwicz. Okazało się, że wcale nie jest – jak niektórzy sądzili – samotniczką, lubi przebywać w zgranym towarzystwie. Wspomina: „Tworzyliśmy krąg ludzi, którzy mieli wspólną pasję. To dawało mi poczucie przynależności do grupy, w której nikt nikomu nie przeszkadza. Jeździli tam bardzo ciekawi ludzie, którzy mieli naprawdę coś do powiedzenia”¹⁴.

UPADEK Z DZIESIĘCIU METRÓW – WIĘCEJ SZCZĘŚCIA NIŻ ROZUMU

Jednak i ta sielanka nie potrwa długo. Mało brakuje, by kariera Wandy skończyła się już na samym początku.

– Wanda miała w Tatrach poważny wypadek. Wszystko stało się w mojej obecności, bo na początku również towarzyszyłam jej w górach – opowiada Nina Fies. – Odpadła od skały, wspinając się nad kolebą bez asekuracji. To było około dziesięciu metrów nad ziemią. Miała więcej szczęścia niż rozumu. Upadła na bardzo miękkie poszycie z suchych liści, które zamortyzowało jej upadek.

Co gorsza, wypadek obserwowała nie tylko młodsza siostra, ale także matka, która straciła już przecież jedno dziecko. Wanda miała mocno stłuczone żebra. Została przewieziona do szpitala im. Rydygiera we Wrocławiu. Siedziała na łóżku i płakała. Kazała siostrze przyrzec, że nie pójdzie w jej ślady, nigdy nie zacznie się wspinać. Jak wspomina Nina:

– Chodziło o to, żeby mama nie musiała się tak o nas niepokoić. Jeśli coś miałyby się stać, to tylko jednej, a nie obu.

Czy wypadek nie wywoła w Wandzie blokady psychicznej? Nie cofnie jej przed kolejnymi wyzwaniem? Czy strach, który siostra widzi w jej oczach, nie pozostanie w niej na zawsze?

– Nie wspinała się tylko przez pierwszy okres po wypadku. Ale nie trwało to długo – mówi Nina Fies. – Wandy nic nie było w stanie powstrzymać.

WANDA WALECZNA

– Wspinaczka to było jej drugie życie – mówi o Wandzie siostra.

– Drugie czy pierwsze? – pytam.

– Na początku jeszcze drugie. Później wszystko rzeczywiście zostało podporządkowane wyprawom, wspinaczce, treningom. Całe jej życie polegało na organizowaniu wypraw, zdobywaniu nowych celów, środków finansowych. Nie było to łatwe. Wszystkie formalności: załatwianie paszportów, wiz, sprzętu. Ile to było lataniny, pisaniny, zabiegów, próśb! Jej się to w jakiś sposób udawało – tak Nina zapamiętała godną podziwu determinację i waleczność siostry.

A jednak wizerunek pozbawionej słabości Wandy był zwodniczy.

– Rozpieściła nas tą swoją pewnością siebie. My, jej bliscy, nie zdawaliśmy sobie tak naprawdę sprawy z niebezpieczeństw, jakie na nią czyhały. Dla nas to była normalka: Wanda wyjeżdżała na wyprawę, wracała – odfajkowane! – przyznaje z perspektywy czasu Nina.

Michał Błaszczewicz, brat, także mówi, że Wanda była poukładana i świetnie zorganizowana. Podobno miała to po ojcu, który choć czasem sprawiał wrażenie nieporadnego, potrafił ustalić priorytety i realizować zamierzone cele. Zupełnie jak Wanda¹⁵.

ALPY WZYWAJĄ – NAJWYŻSZY SZCZYT EUROPY

W połowie lat sześćdziesiątych Wanda Rutkiewicz ma już na koncie trudne tatrzańskie przejścia. Staje się rozpoznawalną postacią w środowisku. Zauważa też, że w Polsce wspinają się coraz lepiej zdolne dziewczyny, i to – co docenia – w kobiecych zespołach. W Tatrach dorównuje jej choćby Halina Krüger-Syrokomka, kilka lat od niej starsza, z którą później nieraz spotka się w wysokich górach.

Zaczyna myśleć o większych wyzwaniach. Te czekają w Alpach. Chce zdobyć doświadczenie na lodowcach i ważnych drogach alpejskich, co przyda jej się już parę lat później, kilka tysięcy kilometrów na północ Europy. W Austrii bierze udział w kursie ratowników górskich, poznaje zasady poruszania się po lodowcu, główne niebezpieczeństwa. W latach 1964–1965 przechodzi pierwsze wielkie alpejskie ściany, najczęściej w mieszanych polskich zespołach. W Alpach wspina się między innymi z Haliną Krüger-Syrokomką.

W 1966 roku postanowi spróbować sił na większych wysokościach. Wspina się na turnię Aiguille de l'M razem z trójką innych Polaków. Potem rusza na Mont Blanc (4808 m n.p.m.) z Krzysztofem Cieleckim. Potrafią jednego dnia pokonać 1800 m przewyższenia. Zdarza się, że brną przez wysokie zaspy, bo nagle nocą spada śnieg. Wanda na Mont Blanc po raz pierwszy zaczyna odczuwać wysokość i silny wiatr. Trudne warunki zna z Tatr, ale w Alpach działają one jakby z podwójną siłą. Ma szczęście, że zabrała płachtę biwakową, którą teraz wyciąga z plecaka – może się za nią schronić, odtając, przebrać w cieplejsze ubrania. Staje na szczycie i czuje radość, mimo że to już nie pierwsze wejście w jej karierze. Czuje dumę, że znalazła się na najwyższej górze Europy i podziwia widoki – zza chmur przebija nieraz mocne, alpejskie światło¹⁶.

AZYMUT NA PÓŁNOC

Pod koniec lat sześćdziesiątych Wanda przegląda prospekty reklamowe z Norwegii. Czyta o niskich szczytach (do 2500 m n.p.m.), które nie dość, że pięknie położone, to jeszcze są trudne – przypominają te alpejskie, z długimi, rozłożystymi ścianami.

Wanda natyka się na nazwisko Arnego Heena, człowieka, który przyjmował od Niemców akt kapitulacji II wojny światowej. Heen – jak wspomni Wanda w książce *Na jednej linie* troszczy się o góry, buduje turystyczną infrastrukturę umożliwiającą eksplorowanie masywu Trollryggenu. Wanda już wie, do kogo się zgłosi po przyjeździe do Norwegii.

W wyprawie wezmą udział Halina Krüger-Syrokomaska, która razem z Wandą ma uczestniczyć w akcji górskiej, i Andrzej Paulo, który będzie tej wyprawy liderem. Arne Heen rzeczywiście chętnie przyjmuje polskich wspinaczy i udziela im potrzebnych informacji. Polska ekipa ma jeden cel – wschodni filar Trollryggenu. Heen jest pesymistą, nie wierzy w powodzenie wyprawy, ale okazuje życzliwość – dzięki jego wpływom norweskie media na bieżąco informują o działalności Polek.

Wanda i Halina najpierw wspinają się niezwiązane, ale wkrótce teren staje się wymagający i lina okazuje się potrzebna. Raz prowadzi Wanda, raz Halina. Wanda nie ma jeszcze takiej ambicji, która nie pozwoliłaby jej uznać wyższości partnerki, co później – według coraz częściej pojawiających się opinii – zacznie ją cechować. Zakłada stanowisko i ściąga Halinę, kiedy czuje, że potrzebna jej pomoc.

Przed nimi najtrudniejszy – zdaniem Heena – odcinek drogi. Norweg był przekonany, że Polki nie dadzą rady pokonać zdradliwego kominka. Nie ma w nim ani jednego miejsca, gdzie można by wbić hak, który utrzyma wspinacza w razie runięcia w dół. Alpinistki znajdują sposób: obchodzą kominek, wykorzystując szczeliny, których jest, o dziwo, mnóstwo. Jednak dalej jest już tylko trudniej¹⁷.

Na Trollryggenie Wanda wspiną się po raz pierwszy w tak trudnych warunkach. I to nie sama, ale w duecie z Haliną Krüger-Syrokomaską, alpinistką, która po latach będzie opisywana przez moich rozmówców jako przeciwieństwo Wandy.

Janusz Syrokomski, mąż Haliny, dobrze znał Wandę. Od wczesnych lat, tak jak wielu innych znanych alpinistów, Rutkiewicz bywała w mieszkaniu Syrokomskich na spotkaniach, przyjęciach. Syrokomski mówi o Wandzie tak:

– Była osobą tragiczną. Halina miała pracę, której też oddawała się z dużym zaangażowaniem, dom, dziecko i góry. Wanda miała tylko góry. Ciągle szukała. Przez jakiś czas była rajdowym kierowcą, wcześniej grała w siatkówkę. Szukała wrażeń.

Mąż Haliny do Wandy podchodzi z sympatią, ale też pewnym dystansem.

– Była wspaniałą dziewczyną, bardzo ją lubiłem, ale miała jedną wadę: dla sukcesu górskiego oddałaby wszystko, łącznie z własnym życiem – uważa. – Stąd inne dziewczyny nie bardzo chciały utrzymywać z nią kontakt, bo nigdy nie było pewne, czy dla swojego sukcesu nie poświęci siebie i innych. Halina miała opinię niesamowicie odpowiedzialnej osoby, która potrafi się nie tylko wspiąć, ale również wycofać.

OŁTARZYK WANDZI

Być może nie było do końca tak, że inne wspinaczki nie chciały utrzymywać z Wandą stosunków, choć oczywiście darzyły tę rodzącą się ikonę alpinizmu szacunkiem graniczącym z nabożnością. O pozycji, jaką cieszy się Wanda już we wczesnym okresie, świadczy opowieść Anny Czerwińskiej:

„Wyglądało to dość zabawnie, bo my w podartych gaciach od rana walczyliśmy na dużych bunkrach w Janówku, a tu przyjeżdża samochód, wtedy rzadkość. Zawiesiliśmy więc nasze działania i patrzymy, podchodzi do nas elegancka kobieta i mówi oficjalnym tonem:

– Dzień dobry. Jestem Rutkiewicz. Chciałam was poznać”¹⁸.

NA OKŁADKACH GAZET

Po sukcesie na Trollryggenie Wanda i Halina stają się w Norwegii niemal celebrytkami. Jeszcze podczas pobytu w górach przyjeżdżają do nich dziennikarze czasopisma „Alle Menen”, norweskiego odpowiednika „Playboya”. Pytają o wrażenia i robią zdjęcia. Każą się ustawiać w pełnym alpinistycznym stroju na tle skałek. W sierpniowym numerze „Alle Menen” Norwegowie, zamiast rozebranej kobiety, zobaczą dwie ubrane od stóp do głów Polki, które zdobyły ich ojczystą górę.

Po Trollryggenie Wanda decyduje się jeszcze na próbę eksploracji grupy górskiej Innerdalen w pobliżu Trondheim. Podczas wspinaczki z norweską koleżanką odpada od ściany. Jak wspomni, dlatego że dobrze działająca dotąd maszyna nagle po prostu przestała być posłuszna¹⁹. Zdarza się – można by pomyśleć.

Jednak dla Wandy jest to powód do poważnych rozterek. Usiłuje dojść przyczyn upadku. Szuka obiektywnego czynnika, który zawiódł. Upiera się, że to but zaklinował się w rysie, a ona niemal straciła równowagę, gdy próbowała wyswobodzić nogę. Rozmawia z Adamem Uznańskim, prezesem wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego, tłumacząc mu tę możliwą przyczynę niepowodzenia²⁰. Dla Uznańskiego przyczyna nie jest istotna. Ale dla Wandy jest to pierwsza okazja, by uświadomić sobie, że nie ma zupełnie niezależnych od człowieka niepowodzeń w górach. Za większość z nich odpowiada sam wspinacz.

To doświadczenie było dla Wandy jak prztyczek w nos. Potrzebny, by przypomnieć, że nikt nie jest nieomylny. Zwłaszcza w górach.

PRÓBA MAŁEJ STABILIZACJI

W latach 1964–1973 Wanda próbuje się ustakować. Pracuje w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych we Wrocławiu. Po pierwszym ślubie przeprowadza się do Warszawy, gdzie znajduje zatrudnienie w Instytucie Maszyn Matematycznych.

Praca, jak przyzna, daje jej poczucie bezpieczeństwa. Pewność, że przy całym jej szalonym, pełnym przygód życiu jest miejsce, gdzie może wrócić i oddać się czynnościom pozbawionym większego ryzyka. Praca przynosi też pieniądze, które, odkładane nieraz przez cały rok, można przeznaczyć na wkład w zorganizowanie wyprawy.

W warszawskim instytucie Wanda będzie pracować aż do 1991 roku, chociaż coraz częściej zdarza się, że w zakładzie bywa tylko od czasu do czasu, bo na urlop w góry wyjeżdża zimą,

wiosną i latem. W końcu zrezygnuje z zajmowanej posady. Będzie się utrzymywać z prelekcji, wykładów, książek, artykułów. Choć nie musi już iść do pracy na osiem godzin, jej dzień wypełni się spotkaniami od rana do wieczora.

Jedynym momentem spokoju i odpoczynku stanie się spacer z psami. Czy wtedy alpinistka pozwala sobie na psychiczny odpoczynek, zostawienie górskich spraw za sobą? Potrafiła być monotematyczna. Do tego broniła swojej niezależności i prawa do prywatności. „Tym, co cenię najbardziej, jest moja wolność, ale nie mam anarchistycznych skłonności. Nie chcę tylko być do niczego zmuszana, nawet do mówienia o sobie, jeśli nie mam na to ochoty. Gdy po raz pierwszy wyszłam za mąż, a potem się rozwiodłam, też niewiele o tym mówiłam. Rozstanie było sprawą tylko moją i męża”²¹.

Rzadko potrafiła zbroczyć z tematu gór i wypuścić się w rozmowie na bardziej osobiste wycieczki. Barbara Rusowicz tuż przed ostatnią wyprawą Wandy pyta ją o mężczyzn. Słynna już himalaistka, kobieta oskarżana przez niektórych o zbyt chłodny dystans, otwiera się chyba po raz pierwszy. „Wychodziłam za mąż, bo, po pierwsze, byłam zakochana, a po drugie, wydawało mi się, że wyjście za mąż i posiadanie dzieci należy do moich obowiązków życiowych. Ale okazywało się, że tylko mi się tak wydawało. Nie potrafiłam ugiać się, zagrać przeznaczonej mi roli”²².

Czy Wanda była bezkompromisową prekursorką współczesnych feministek, czy tylko uważną obserwatorką rzeczywistości? Podejrzewała, że kobiety często udają szczęśliwe przed sobą i przed innymi, „akceptują tradycyjny podział ról, to, że praktycznie wszystko jest przed nimi zamknięte poza obowiązkami rodzinnymi, że nie mogą decydować ani o sobie, ani o porządku społecznym czy państwowym, że w pracy są gorzej wynagradzane. Nie wyobrażam sobie, aby osiągnąwszy pewien poziom świadomości, można [było] się z tym pogodzić”²³. Wanda wolała nie iść na takie zgniłe kompromisy, nawet za cenę nieuniknionej samotności.

MAŁŻEŃSTWO: DO DWÓCH RAZY SZTUKA

Wyjdzie za mąż dwa razy. Każde małżeństwo przetrwa trzy lata. Po pierwszym mężu, Wojciechu, zostawi sobie nazwisko. Wojtka pozna podczas wspinaczek, ale mąż wkrótce przejdzie metamorfozę i skończy z górą. Drugi mąż Rutkiewicz będzie austriackim lekarzem, który pomoże jej stanąć na nogi – i to dosłownie – po ciężkim złamaniu podczas wyprawy na Elbrus w 1981 roku. Po ślubie Wanda zamieszka w Innsbrucku i nawet zaangażuje się w wychowywanie dzieci małżonka z poprzedniego związku. Ale i ta miłość nie wytrzyma próby czasu.

Członkowie rodzin innych alpinistek, z którymi rozmawiam, nie uważają, że kobieta powinna przede wszystkim odgrywać rolę żony i matki. Opowieść Janusza Syrokomskiego, męża Haliny Krüger, mówi o spełnionej miłości. Żona była dla niego do końca kobietą, którą podziwiał i adorował, i która jego uczucie odwzajemniała. Mimo że oboje mieli swoje – jak to nazywa Wanda – odrębności.

Podobnie ciepło swoje mamy wspominają Marianna Syrokomska (córka Haliny Krüger) czy Łukasz Wolf (syn Dobrosławy Miodowicz-Wolf). Choć spędzili z matkami mało czasu, bo obie wcześniej straciły życie w górach, to wspominają je z nostalgią i rozrzewnieniem. Alpinistki czasem zachowują się jak typowe matki Polki, które gotują, dbają o dom, poświęcają uwagę

dzieciom, ale jednocześnie tej typowości zaprzeczają. Można się nimi pochwalić na podwórku i w szkole. Piszą o nich gazety, dziennikarze przychodzą z kamerami nakręcić wywiad.

Dla rodzin tych himalaistek, jak wynika z naszych rozmów, nie istniał konflikt między domem a górami. Wspinaczki nie prowadziły podwójnego życia, z których jedno je zadowalało, a drugie przygnębiało. Góry i rodzina były w przypadkach Krüger-Syrokomskiej czy Miodowicz-Wolf światami równoległymi i równorzędnymi.

MIŁOŚĆ I WIERNOŚĆ GÓROM

Dla Wandy – mówią ci, którzy ją znali – życie było jedno: były nim góry. „Zawsze myślałam, że dziecko chcę mieć i mogę – mówiła Barbarze Rusowicz. – Dziś myślę, że człowiek czasem mówi rzeczy, o których nie ma pojęcia”²⁴. Tu Wanda przejawia pragmatyzm. Chyba zrozumiała, że jej życiowa pasja pochłania zbyt dużo czasu, energii i pieniędzy, by mogła jeszcze myśleć o rodzinie i potomstwie. Podejmuje wybór i go nie żałuje. „Nie czuję potrzeby potwierdzenia sensu mojego istnienia tylko poprzez macierzyństwo. A oprócz tego – jestem przekonana, że jeśli się chce, to zawsze można zrobić coś dobrego dla dzieci”²⁵ – tłumaczyła.

Nina Fies wspomina, że wspinaczka absorbowwała siostrę niemal bez reszty.

– Ciężko było jej jednak pogodzić uporządkowane życie z górami – przyznaje. – Chciała tego bardzo, sama o tym mówiła, że zazdrości mi normalnego życia rodzinnego, domu, męża, dziecka, bycia razem. Z drugiej strony, nie byłaby w stanie [tak żyć].

Próbowała przecież i poniosła porażkę. Jej pierwsze małżeństwo było nieudane, bo Wojtek miał zupełnie inne wyobrażenie o ich wspólnym życiu. Ona za to idealizowała romantyczną wizję małżeńskiego pożycia. Rzeczywistość okazała się inna.

Wanda nie założyła rodziny, ale ludzie pozostawali dla niej ważni. Nie była typem odludka czy samotnika. Czy potrafiła się przyjaźnić?

– Ona nigdy się tak naprawdę nie otworzyła – mówi Nina Fies. – Przyjaźń wymaga dwóch stron. Z kręgu ludzi gór prawdziwych przyjaciół nie miała. Bała się zawiści. Była nauczona smutnymi doświadczeniami.

Trudno zaprzyjaźnić się z zamkniętą w sobie osobą, która non stop kontroluje siebie i swoje emocje, by nie pokazać słabości.

Ale nawet żelazna Wanda nie była nieczuła jak skała. Czasem pękała.

– Tylko parę razy widziałam ją płaczącą – wspomina jej siostra. – Wandę, kobietę ze stali. Miała po prostu wszystkiego dosyć. Ona była na taką krytykę, wynikającą z zawiści, bardzo wrażliwa, ją to załamywało.

Nic dziwnego, że krytyka bolała ją do żywego. Musiała być notorycznie narażona na ataki zazdrości: odnosząca sukcesy himalaistka, do tego kobieta w świecie zdominowanym przez mężczyzn, która łamała stereotypy i zagrażała dotychczasowej męskiej pozycji. Jak podsumowuje Nina Fies:

– Najbliższych, jeśli ich miała, miała spoza kręgu ludzi gór.

SZALONE LATA SIEDEMDZIESIĄTE

Początek lat siedemdziesiątych to w Polsce czas, kiedy rodzą się wielkie górskie osobowości. Uznany już za swoją działalność w Tatrach Andrzej Zawada staje się pionierem wysokogórskiej wspinaczki. Krnąbrna osobowość łączy się w jego przypadku ze spokojem i rozważą – kiedy wymaga tego sytuacja. Zawada potrafi do siebie przekonywać, łatwo znajduje zwolenników swoich pomysłów. A te są ambitne. W 1971 roku taternik prowadzi pionierską wyprawę na Kunjang Czhisz w Karakorum (7852 m n.p.m.). Już rok później jest liderem (ten przydomek przyłgnie do niego na stałe) kolejnej zimowej ekspedycji – na Noszak (7492 m n.p.m.) w Hindukuszu.

Niemal jednocześnie uznanie w środowisku zdobywa Wanda Rutkiewicz. Nie jest już tylko młodą, zdolną taterniczką. Powoli staje się liderką w środowisku wspinających się kobiet. Ma w sobie coś takiego – mówią ci, którzy pamiętają tamte czasy – że wzbudza podziw i respekt. Co to jest? Być może powściągliwość i klasa, które odziedziczyła po matce. A może po prostu bogaty górski życiorys.

W 1970 roku staje na swoim pierwszym siedmiotysięczniku – Piku Lenina (7134 m n.p.m.). W ZSRR zaobserwuje wszechobecną biurokrację. Miasta, wsie i okolice gór obstawione są przez służby, milicja obserwuje każdy ruch alpinistów. Lokalni wspinacze używają archaicznego sprzętu, są nieufni. Wanda wyciąga wniosek: w Polsce nie jest jeszcze tak źle.

W 1972 roku rusza na Noszak. Hindukusz jest egzotyczny. Jadąc ciężarówką, obserwuje nowy dla siebie, nie spotykany wcześniej krajobraz. Czuje, że wyrывa się z siermiężnego komunizmu, że wspinanie może być oknem na świat, krokiem ku wolności²⁶.

Na początku lat siedemdziesiątych poznaje też ludzi, którzy później odegrają ważną rolę w jej karierze. Spotyka się między innymi z Januszem Onyszkiewiczem i jego żoną, Brytyjką Alison Chadwick. Wspina się z Krzysztofem Zdzitowieckim. Podziwia zdolności przywódcze Andrzeja Zawady.

ZARZEWIE KONFLIKTU

Jednocześnie polskie środowisko alpinistyczne styka się z alpinistami z Zachodu. Jednym z pierwszych wielkich, którzy dostrzegą potencjał Polaków, jest Reinhold Messner. Ambitny, ale humorzasty i trudny w obyciu, często będzie się spotykał z Polakami u podnóża Himalajów. Wandę będzie cenił i wielokrotnie podkreślał, że wśród Polek jest najlepsza.

W 1974 roku Wanda bierze ślub i już kilka miesięcy później znów jest w Pamirze. Choroba uniemożliwia jej wejście na szczyt. Po powrocie himalaistka trafia do szpitala. Mniej więcej wtedy wśród polskich alpinistów zaczyna krążyć pomysł zdobycia ośmiotysięcznika. Wanda jest głodna sukcesu, zwłaszcza że wcześniej przeżyła osobisty zawód.

Jednak sprawa nie potoczy się po jej myśli. Zaskoczona odkrywa, że nie została włączona do kadry na zimową wyprawę na Lhotse. Ma już na koncie trudne przejścia tatrzańskie (letnie i zimowe), Eiger oraz Trollryggen, a na dokładkę dwa siedmiotysięczniki. Jednak podczas tej wyprawy kobiety były tylko dodatkiem, ozdobnikiem. W środowisku mówi się lekceważąco o „wprowadzaniu” kobiet na wysokie szczyty. Wanda podobno miała się dowiedzieć, że jej potencjalny udział w wyprawie na Lhotse nie był mile widziany. Zrezygnowano z jej kandydatury dlatego, że spodziewano się, iż będzie dążyła do wejścia na szczyt, co miało zagrażać reszcie wspinaczy²⁷.

Tę teorię potwierdza siostra Wandy:

– Wchodzący w to wszystko układy damsko-męskie, urażona męska ambicja – mówi Nina Fies. – To było bardzo niskie, prymitywne. Czysta zawiść.

Do tego Wanda zwykła podgrzewać spory. Bernadette McDonald, która znała ją bardzo dobrze, potwierdza: „Kiedy musiała zmierzyć się z problemem albo rozbieżnością zdań, dążyła do konfrontacji – pisze McDonald. – Nigdy, zwłaszcza w górach, nie odpuszczała i nie szła na kompromis. Byłoby to dla niej oznaką słabości. Jednak ciągle kłótnie i konieczność stawiania na swoim były męczące i nawet ktoś tak stanowczy jak Rutkiewicz z czasem miał tego dość”²⁸.

– Wandzia to Wandzia – mówi himalaistka starszego pokolenia. Co to znaczy? – Zawsze wpłatywała się we wszystkie możliwe konflikty. Nie była lubiana przez innych wspinaczy. Szczyt znaczył dla niej wszystko.

Nie każdemu była w smak taka zaciętość. Jak wspomina wspinaczka partnerka Wandy:

– Była może i dobra, i ładna, ale wносиła tyle kłopotów na wyprawę, że wcale nie była tak chętnie zabierana. Musiała się wpychać. Każdy chętniej zabierze dobrą szarą myszkę niż barwnego koliberka.

Moja rozmówczyni znała Wandę na wylot, zarówno jej zalety, jak i wady. Na szczęście słabości starała się traktować z przymrużeniem oka. Może w tym tkwił sposób na Wandę.

Miała niską tolerancję na ludzką słabość, zarówno cudzą, jak i własną. Barbara Rusowicz, autorka wywiadu rzeki z himalaistką, pamięta, jak kiedyś w Warszawie nocowała u koleżanki, a nazajutrz miała się spotkać z Wandą. Niestety owa koleżanka miała okrutne bóle menstruacyjne, więc Rusowicz wezwała lekarza i zaczęła na jego przybycie. Jak wspomina: „Gdy wyjaśniłam Rutkiewicz powód mojego spóźnienia, oniemiała. Nie rozumiała, jak z tak błahego powodu można wzywać lekarza, zawracać mu głowę. Nie znosiła ludzi, którzy roztkliwiali się nad sobą albo nad sobą użalali”²⁹.

Wanda nie była potulną owieczką, ale nie można odmówić jej zdolności przywódczych. Aniela Łukaszewska, uczestniczka między innymi wyprawy na K2 w 1982 roku, widziała w niej przywódcę stada:

– Pozwalała na dyskusję, ale rzadko kiedy komuś udawało się przeforsować swoje pomysły. Uważam, że każdy dobry lider się tak zachowuje. A ludzie, którzy się wspinają, mają pewne [określone] cechy. Najczęściej jest to pewna zawziętość, upór, obstawanie przy swoim. Wtedy potrzebny jest decydujący głos w dyskusji.

Łukaszewska ma w tym sporo racji.

– Ponadto należy pamiętać – dodaje Aniela – że działa się w ekstremalnych warunkach, niskiej temperaturze, przy niskim ciśnieniu, braku tlenu.

KRYTYCZNA DLA KOBIET

Być może niesnaski wśród ówczesnych himalaistek podsycił fakt, że Wanda była bezlitosna dla słabości koleżanek po fachu. Mimo że krytykowała mężczyzn za tworzenie hermetycznych kółek wzajemnej adoracji, to jednak podziw dla ich umiejętności zwyciężał. Za to na kobiety potrafiła spojrzeć mniej przychylnym okiem. Mówiła: „Mało jest wybijających się, które chcą robić to przede wszystkim dla samej wspinaczki. Mężczyźni też wspinają się z różnych powodów, ale jest zdecydowanie więcej mężczyzn wspinających się »naprawdę« niż kobiet”³⁰. Czego

brakowało kobietom podczas wysokogórskiej wspinaczki? Wanda uważała, że wcale nie siły ani determinacji, ale „technicznego podejścia”. „Mężczyźni, jeśli chcieli, pełnili tutaj rolę nauczycieli”³¹. Dla ambitnych kobiet taka zależność i podrzędność była trudna do przełknięcia. Z czasem musiały iść własną drogą.

Z jednej strony Wanda skarżyła się, że nie potrafi być łagodna jak inne kobiety, z drugiej – nie wahała się użyć kobiecych wdzięków, by osiągnąć cel. Podczas wyprawy na K2 z pomocą pospieszył jej brytyjski lekarz, ewidentnie oczarowany urodą Wandy. Cierpliwie przeczesał jej włosy, aż znalazł uparte go kleszcza. Innym razem meksykański alpinista Carlos Carsolio czekał od ponad dwóch tygodni na pozwolenie na wspinaczkę w Pakistanie. Za to Wanda w starannym makijażu, w najlepszej sukience i butach na obcasach załatwiła sprawę ekspresowo. Z siedziby władz w Islamabadzie wyszła po paru godzinach, zwycięsko prezentując zezwolenie³².

OŚMIOTYSIĘCZNIKI NA CELOWNIKU

Po Pamirze przychodzi czas na ośmiotysięczniki. To pomysł Wandy, która otrzymuje wsparcie od Ewy Krasińskiej, pełniącej wtedy funkcję sekretarza komitetu organizacyjnego PZA. W Karakorum mają jechać dwa zespoły: męski i żeński, współpracujące ze sobą, ale mające inne cele.

Cel pierwszy: zdobycie przez zespół kobiety Gaszerbruma III (7952 m n.p.m.). Cel drugi: drugie wejście, ale pierwsze nową drogą, na Gaszerbrum II (8035 m n.p.m.). W zespole znajdują się alpinistki, które potem osiągną wielkie górskie cele, między innymi Krystyna Palmowska, Anna Czerwińska, Halina Krüger-Syrokomska, Anna Okopińska.

Polski rząd wpisuje wyprawę na listę oficjalnych wydarzeń sportowych w ramach obchodzonego akurat w 1975 roku Międzynarodowego Roku Kobiet. Ekipie ma towarzyszyć Andrzej Zajączkowski, który zamierza przywieźć z Gaszerbrumów film dokumentalny. Wanda Rutkiewicz nie wie jeszcze, jak wielką machinę uruchamiają polskie himalaistki swoim pomysłem. I jaką presję na siebie ściągną.

Wszyscy członkowie obu wypraw – męskiej i żeńskiej – muszą transportować ekwipunek pod Gaszerbrumy. Rozbijają namioty, dzielą się obowiązkami, organizują bazę. Wkrótce można już zacząć działać. Niezwykle ważne jest założenie obozu III, z czym alpiniści długo mają spory kłopot, ale w końcu się udaje. Jednak po kilkunastu dniach pojawiają się liczne problemy: Annę Okopińską boli ząb, Anna Czerwińska ma kontuzję kolana, Leszek Cichy odmraża nogi³³.

Perspektywa zdobycia pierwszego celu – Gaszerbruma III – zaczyna się oddalać. Wanda jest zdania, że nie można poprzestać tylko na jednym ataku³⁴. Po dyskusjach z zazdrosnymi o „swój” ośmiotysięcznik mężczyznami udaje jej się zdobyć ich akceptację. Teraz trzeba do pomysłu przekonać resztę zespołu. Choć nie będzie to łatwe.

Liderka Wanda wspomina: „Dyskusja (...) była bardzo burzliwa, nie brakowało dramatycznych spięć, niekiedy rozmywała się w szczegółach, robiła chaotyczna. Plan, prawdę mówiąc, nie wzbudził entuzjazmu. Ponieważ miał to być decydujący atak, budził w większości niepokój. Pierwszy uniósł się Leszek Cichy, twierdząc, że w ogóle nie należy wychodzić z zespołem w takim składzie, jaki pozostał. Wanda się zdenerwowała. »To co, należy w takim razie wracać do Warszawy?«. »Należałoby« – odparł Leszek. Wanda nie wierzyła własnym

uszom. W końcu ucina zdecydowanym głosem: »Koniec dyskusji na temat odwrotu«³⁵.

SZTURMEM NA SZCZYT

Rutkiewicz decyduje się zmienić pierwotny plan wyprawy. Postanawia zdobyć szczyt za wszelką cenę. Nawet za cenę zerwanych relacji. Rusza na szczyt Gaszerbruma III w zespole mieszanym w składzie: Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki.

Na początku prowadzą mężczyźni, torując drogę. Później, kiedy teren staje się trudny, a momentami „staje dęba”, jak opisze to Janusz Kurczab w tomie *Panie w górach* z serii Polskie Himalaje, trzeba działać razem. Wanda raz bardzo ostro rusza do przodu, innym razem musi na dłuższą chwilę się zatrzymać. Cała czwórka staje na szczycie o 17.30 po akcji trwającej dziesięć godzin³⁶.

Decyzja Wandy o wejściu na szczyt w mieszanym zespole wywołuje co najmniej niesmak. Himalaistki mają żal do Rutkiewicz, że naruszyła wcześniejsze ustalenia. A chyba jeszcze większy o to, że od początku nie poinformowała ich o swoich zamiarach otwarcie.

Zapada decyzja, że zespół kobiety również zaatakują szczyt. Ale ten wyższy – Gaszerbrum II. Początkowo kobietom towarzyszy oficer łącznikowy z Pakistanu kpt. Saeed. Ale na wysokości 7600 m n.p.m. nagle czuje się źle. Do obozu III sprowadza go Krystyna Palmowska, która w ten sposób traci szansę na zdobycie szczytu. Anna Okopińska rusza na Gaszerbrum II bez raków, które zginęły, ale po drodze dostaje raki od wycofującej się Palmowskiej. W ten sposób razem z Haliną Krüger-Syrokomską zdobywają szczyt położony powyżej 8000 m n.p.m.³⁷.

Himalaistki ustanawiają światowy kobiecy rekord wysokości. Choć przed wyprawą szerzej nie znane, prześcigają swoją wielką koleżankę Wandę Rutkiewicz. To one stają się pionierkami.



Po zdobyciu Everestu spadają na nią nowe obowiązki. Jest zmęczona zainteresowaniem mediów, nie spodziewała się tak wielkiej popularności. „Zaczęłam się bać” – powie.
fot. Włodzimierz Wasyluk//East News

GIEŁDA NAZWISK – NOTOWANIA WANDY

Tymczasem Wanda dostaje propozycję, której nie może odrzucić. W 1975 roku w Islamabadzie poznaje Karla Herrligkoffera, kierownika niemieckiej wyprawy na Nanga Parbat. Rok później

wymieniają listy. Herrligkoffer przekonuje się, że spośród Polaków, którzy mogliby zdobyć dla swojego narodu po raz pierwszy Mount Everest, idealną kandydatką jest właśnie Wanda³⁸. Wytrzymała, silna i przede wszystkim zdeterminowana. Nie zawiedzie, kiedy przyjdzie chwila słabości, nie wycofa się tak łatwo.

Jeszcze tego samego roku Wanda jedzie z nim na Nanga Parbat. Ale wyprawa będzie nieudana. Już we wczesnej jej fazie ginie Austriak Sebastian Arnold i himalaiści postanawiają się wycofać. Szansa pojawi się ponownie dwa lata później.

Mount Everest (8848 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Himalajów, „góra gór”, „dach świata” – czeka na Polaków. Polscy himalaiści mają już opinie świetnych wspinaczy, w latach siedemdziesiątych udowadniają swoją renomę Andrzej Zawada, Zygmunt Andrzej Heinrich czy młodszy: Leszek Cichy, Wojciech Kurtyka. W środowisku panuje przekonanie, że dłużej nie warto czekać, najwyższy szczyt świata się Polakom zwyczajnie należy. Pozostaje tylko pytanie, który spośród Polaków stanie na nim po raz pierwszy. Oficjalnie na gieldzie nazwisk nazwiska Polek się nie pojawiają.

– W alpinizmie było przekonanie, że owszem, kobieta może się wspinać, ale towarzysko – mówi Ludwik Wilczyński.

Rozmawiamy w jego domu w podkrakowskich Krzeszowicach. Wilczyński to alpinista i himalaista, zdobywca Dhaulagiri w 1980 roku (razem z Wojciechem Kurtyką).

– Kiedy pojawiał się sukces, zaczynał się problem – dodaje. – A przecież Wanda notorycznie odnosiła sukcesy. Pojawiała się naturalna tendencja do tego, żeby ją obśmiać.

TRUDNOŚCI *LAST MINUTE*

W 1978 roku Wanda Rutkiewicz zostaje włączona w skład międzynarodowej wyprawy, której celem mają być wierzchołki Mount Everestu i Lhotse. Wcześniej jedzie w Alpy razem z Anną Czerwińską i Ireną Kęsą. Przez cztery dni zimowej wspinaczki pokonują północną ścianę Matterhornu. To będzie dla Wandy największy – jak przyzna³⁹ – sukces alpejski, ale też rozgrzewka przed najtrudniejszym wyzwaniem.

Media PRL-u nagłaśniają uczestnictwo Polki w wielkiej, ambitnej wyprawie. Nie ma już dla Wandy odwrotu, porażka byłaby dla niej ciosem.

Wtedy podczas rutynowych badań w przychodni słyszy wyrok: anemia. Lekarze nie chcą wydać pozwolenia na wyjazd. Z tak niskim poziomem żelaza po prostu nie można przebywać w rzadkim powietrzu. Wanda jest załamana, nie może zrozumieć, skąd anemia u osoby, która właśnie wróciła z zimowej alpejskiej przeprawy⁴⁰.

Nie byłaby sobą, gdyby nie potrafiła załatwić takiej sprawy – wspomni po latach Janusz Kurczab w tomie *Panie w górach*⁴¹. Rutkiewicz idzie do przychodni raz jeszcze i z pełną powagą zapewnia, że za swój stan zdrowia i ewentualne konsekwencje choroby w Himalajach bierze pełną odpowiedzialność. Lekarze życzliwie zapominają o badaniu, po którym próżno szukać jakiegokolwiek śladu⁴².

12 sierpnia Wanda przyjeżdża na lotnisko Okęcie. Oddycha z ulgą, najgorsze ma za sobą, dla pewności klepie się tylko po kieszeniach kurtki... i nieruchomieje. Nie ma paszportu. Na ostatnią chwilę załatwiła coś na pocztę i musiała go tam zostawić. Wsiada w samochód i pędzi przez Warszawę⁴³. Okazuje się, że poczta jest już zamknięta. Uczynni urzędnicy otwierają

jednak po godzinach, a szefostwo lotniska wstrzymuje odlot samolotu⁴⁴. Tylko dzięki temu Wandzie udaje się polecieć do Nepalu.

W DRODZE NA EVEREST

Kiedy docierają do podnóża Everestu, w Nepalu właśnie kończy się pora monsunowa. Rodzą się wątpliwości, czy po tylu dniach opadów uda się skutecznie zaatakować szczyt. Dodatkowo Wanda od początku nie czuje się komfortowo wśród pozostałych wspinaczy. Patrzą na nią z góry, nie ufają jej. Kierownik, Kurt Herrligkoffer, proponuje jej ważne funkcje zastępcy kierownika i filmowca, wręcza kamerę i zestaw kaset. Himalaiści z Niemiec czują się o ten przywilej zazdrośni⁴⁵. Sama Wanda jest dla współuczestników wyprawy miłą. Potrafi mieć własne pomysły, nad którymi nie boi się dyskutować. Niemcy jednak uważają to za próbę wywyższenia się⁴⁶.

Wanda ma problemy z aklimatyzacją, pod tym względem odstaje od reszty. Nieraz podczas pracy w ścianie musi też filmować i wtedy marzną jej ręce. Narzeka na to głośno, co himalaiści przyjmują z agresją. Innym razem – jak wspomina w książce *Na jednej linii* – kiedy dowiadują się, że Polka w czasie ważnego podejścia nagrywała film, naskakują na nią.

Po latach w rozmowie z Barbarą Rusowicz himalaistka będzie się żalić, że nie potrafi być taka jak inne.

„Kobiety świetnie sobie radzą w takich sytuacjach, te prawdziwe kobiety, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Działają łagodząco. Potrafią miękkością, zainteresowaniem, pewną chytrą rozładować wiele konfliktów...”⁴⁷. Wanda obierała inną, bardziej radykalną strategię. „Po prostu odcinam się psychicznie od moich przeciwników, usamodzielniam się i unikając bezpośredniego zwarcia, robię dalej swoje sama lub z innymi”⁴⁸.

A tymczasem atmosfera pod Everestem gęstnieje. Niechęć wobec Wandy rośnie także dlatego, że spory zawsze kończą się wygraną Herrligkoffera, który jednocześnie sprzyja Polce. Kierownik wyprawy dzieli uczestników na dwa zespoły. Pierwszy na pewno spróbuje zaatakować szczyt Everestu, drugi – tylko jeśli będą temu sprzyjać okoliczności. Wandzie podczas poręczowania i stawiania kolejnych obozów przypadają takie same obowiązki jak mężczyznom. Nie narzeka, jest wręcz zadowolona, że przynajmniej w pracy traktują ją jak równą sobie.

Podczas jednego z podejść Rutkiewicz słyszy w bliskiej okolicy łoskot, odgłos, który zna z poprzednich wspinaczek. Zbliża się lawina. Wanda nieruchomieje, czeka na uderzenie i myśli: „To koniec”. Ale nagle odgłos cichnie: lawina szczęśliwie omija himalaistkę.

15 października kierownik wyprawy, zachęcony wejściem na szczyt pierwszego zespołu, informuje Wandę, że kolejny atak szczytowy nastąpi jutro.

Co Rutkiewicz wtedy czuje? Co myśli himalaistka, która ma szansę jako pierwsza Polka w historii zdobyć najwyższy szczyt na ziemi? Co ma w głowie dziewczyna z kresów, która drogę do podnóża Mount Everestu utorowała sobie własnym potem, krwią i nadszarpniętą reputacją?

Na szczyt będzie wchodzić w zespole mieszanym, między innymi z Willim Klimkiem i Siegfriedem Hupfauerem.

8848 m.

Pogoda piękna, niebo czyste.

Na szczycie wszystko będzie tylko niżej, nawet chmury.
Nad głową tylko niebo.

POD GÓRĘ

Wyprawa na Everest to nie lekki spacer. Temperatura na zewnątrz namiotu wynosi minus 30 stopni. W środku nie jest wiele cieplej – zamarza nawet para z ust. Ekipa rusza o 7.30, gdy zaświeci słońce. Pokonuje 850 m przewyższenia. Na szczęście uspokaja się wiatr, który wcześniej dawał się we znaki. Wspinacze muszą oszczędzać tlen, niosą tylko po jednej butli. Do wierzchołka południowego prowadziła stosunkowo łatwa droga. Za to już grań między tym punktem a szczytem jest niezwykle trudna, niebezpieczna, pełna zdradliwych punktów.

Zbliża się moment krytyczny, czyli ostatni trudny skalny uskok: Hillary Step. Wanda zostaje sama. Woła do kolegi: Zaczekaj! Tuż przed szczytem nie może złapać powietrza – wlot powietrza w masce tlenowej jest zatkany. Szybko zdejmuje maskę i dalej idzie już bez niej⁴⁹.

POLKA NA DACHU ŚWIATA

O godzinie 13.45 Wanda stanęła na szczycie.

8848 m n.p.m.

Nad głową tylko słońce.

Przez pół godziny cały zespół, czyli Rutkiewicz między innymi z Willim Klimkiem i Siegfriedem Hupfauerem, cieszy się sukcesem. Przychodzi czas na gratulacje i pamiątkowe zdjęcia. Wanda pamięta: „I tylko w krótkich momentach uświadamiałam sobie, gdzie jestem. (...) Świeciło słońce. Wyjęłam z plecaka i zostawiłam na szczycie mały kamyk przywieziony z Polski”⁵⁰.

Teraz trzeba wrócić.

„Zachowywałam największą ostrożność przy każdym kroku i przypominałam sobie o wszystkich przyjaciołach, których straciłam w górach”⁵¹.

Chwilę przed godziną 20.00 polskiego czasu telewizja podaje wiadomość: Karol Wojtyła został wybrany na nowego papieża.

W Rzymie dochodzi godzina 19.00, w Lukli, w Nepalu, jest niemal 23.00.

Wanda Rutkiewicz pada na śpiwór w namiocie pod szczytem Everestu i ciężko oddycha.

ALPINIZM: MĘSKI, KOBIECY I WANDY RUTKIEWICZ

Wanda nie daje się tak łatwo zaszufłakować. Aleksander Lwow po Evereście dzieli polski alpinizm na trzy typy: męski, kobiecy i Wandy Rutkiewicz. Zdobywczyni dachu świata drażni polskich alpinistów. Jest teraz dla nich nie tylko obiektem damsko-męskiej fascynacji, ale także czystej zazdrości.

„Irytowało ich także to, że Wanda skupiała na sobie całą uwagę publiczności, a ich wejścia (...) przeszły bez echa”⁵² – pisze McDonald. Poza tym „sami opowiadali się za czystszy

podejściem do alpinizmu – uprawianiem go dla siebie, a nie sławy. Przynajmniej tak twierdzili. Wanda natomiast na równi ze wspinaczką zajmowała się autopromocją. (...) Everest leżał na tacy i ona go wzięła. Jako pierwsza”⁵³.

Z biegiem lat Wanda zdobywa coraz większą odporność, nie tylko fizyczną. Z czasem hartuje się także psychicznie. Przechodzi ewolucję: od odważnej, pełnej idealizmu i energii młodej alpinistki do dojrzałej i nieco rozczarowanej światem i ludźmi gwiazdy himalaizmu.

Reinhold Messner, chyba najsłynniejszy żyjący himalaista, spotka ją jeszcze w latach siedemdziesiątych pod Noszakiem. Pamięta, jak zadzierali głowy i wpatrywali się w wierzchołek. Pisze o Wandzie: „jej oczy błyszczały, w gestach widać było pewność siebie, choć na scenie alpinistycznej nie była jeszcze gwiazdą”. Zwykle Wandę ciężko było skłonić do rozmowy, a co dopiero do zwierzeń. Ale wtedy było inaczej. Jak wspomina Messner: „opowiadała mi o swoich wyprawach, o nieszczęśliwym małżeństwie i niewesołym życiu w Warszawie (...)”⁵⁴.

NIECHCIANA SŁAWA

Nic dziwnego, że Wanda Rutkiewicz starała się chronić swoją prywatność. Skala popularności ją przerasta. Dbą o rozgłos, ale nie dla siebie, tylko dla swoich wypraw. Nie spodziewa się aż takiej sławy. O swoim zaskoczeniu mówi Barbarze Rusowicz: „Ten sukces zaskoczył mnie w chwili, kiedy byłam zupełnie na to nieprzygotowana”. W jej życiu panował względny chaos. Po rozwodzie przez trzy lata tułaczki przeprowadzała się chyba pięć razy. W końcu wprowadziła się do samodzielnego mieszkania. I przez dwa lata żyła wśród gołych czterech ścian. „Nie mogłam jednak niczego urządzić z powodu braku pieniędzy i czasu”⁵⁵ – przyznaje sama zainteresowana.

Wanda nie ma głowy, by skupić się na sobie. Media poświęcają jej mnóstwo uwagi. To ją wyczerpuje. Wspomni potem: „Udzielałam po kilka wywiadów dziennie. Przychodzili mnie fotografować. (...) To wszystko po prostu zważyło się na mnie (...), zaczęłam się bać (...). Walczyłam o swoją tożsamość. Nie mogłam się zidentyfikować, określić. Opowiadając o tym samym po raz któryś z rzędu, już nie wiedziałam, co jest prawdą, a co zmyśleniem”⁵⁶. Nietrudno było o zawrót głowy. „Wszystko, o czym mówiłam, brzmiało tak, jakbym nie mówiła o swoich przeżyciach czy wydarzeniach. Brzmiało jak wyuczony na pamięć tekst, nie odzwierciedlało moich przeżyć”⁵⁷. Nic dziwnego, że wkrótce Wanda ma dość. „Dlatego pragnęłam zacząć coś od początku, od nowa, z ludźmi”⁵⁸.

WYŚCIG PO ADRENALINĘ

Nie czeka długo na nowy początek. Zaczyna już w 1979 roku. Kiedy publiczność obserwująca rajdy samochodowe widzi pomarańczowego poloneza ostro wchodzącego w zakręt, nawet się nie domyśla, że za kierownicą siedzi bohaterka mediów.

Rutkiewicz robi licencję rajdową – najpierw dla kobiet, potem ogólną – zbiera środki na auto i zaczyna startować. Na początku w najniższej kategorii. Nie wygrywa, ale zajmuje zwykle drugie, trzecie miejsce. Samochody są dla niej po prostu pasją, oderwaniem od rzeczywistości, a przy okazji mocną dawką adrenaliny. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to już inna Wanda. Wanda, która nie idzie z życiem na kompromisy. Łamie nogę w kości udowej

na Elbrusie. Trafia do austriackiej kliniki. Jej kości składa austriacki chirurg Helmut Scherfetter, który później zostanie jej drugim, ostatnim mężem. Wanda zamieszka w Innsbrucku po ogłoszeniu stanu wojennego.

Mąż ma na nią duży wpływ. Relacja Wandy pokazuje nie tylko fascynację intelektualną jej mężem, ale także ewolucję jej światopoglądu: „Helmut mieszkał pośród piękna górskiego tyrolskiego krajobrazu, a jego dom był pełen roślin i zwierząt. Zaczął mnie edukować na temat pułapki technologicznego rozwoju, z pomocą której nasza materialna cywilizacja zatruwa środowisko. Podobne obawy dyskutowane były na Zachodzie długo przed tym, jak poruszyły opinię publiczną w Polsce, dlatego moje rozmowy z Helmutem znacznie zmieniły mój sposób myślenia. Ludzie, którzy stworzyli nuklearny reaktor, byli dotąd moimi bohaterami, ale teraz zaczęłam wątpić, czy reaktory mogłyby uczynić świat lepszym miejscem”⁵⁹.

To przez jej austriacki dom będą przechodzić całe wyprawy, zmierzające w tym czasie pod Himalaje i w Karakorum. Rutkiewicz organizuje sprzęt, załatwia dofinansowania, formalności. Rok później, chociaż noga nie do końca się zrosła, nieugięta himalaistka idzie o kulach w karawanie kobiecej wyprawy na K2. Zostaje kierowniczką ekspedycji⁶⁰.

Jest 1982 rok. W Polsce trwa stan wojenny. Pod Karakorum powoli, krok za krokiem, idzie polska karawana. Cel jest jasny, ale niezwykle trudny do osiągnięcia. Druga góra świata, budzące grozę K2. Wśród kobiet zmierzających do bazy pod szczytem jest ta, której nazwisko wymieniają na świecie obok Lecha Wałęsy i Jana Pawła II.

Idzie równo, nie odstaje. Wanda Rutkiewicz, pierwsza Polka na Evereście, rusza na K2 ze złamaną i źle poskładaną kończyną. Taki obraz Wandy wielu zapamięta na dłużej. To dla nich Wanda walcząca, nieustępliwa, dla której nie liczą się warunki. Inni będą syczeć z bólu i narzekać – ona pójdzie dalej⁶¹.

Ale rok 1982 zakończy się wielką tragedią. Halina Krüger-Syrokomaska, z którą Wanda zdobywała Trollryggen w Norwegii, umiera w jednym z obozów na K2. Wyprawa się wycofuje. Polki wrócą na drugi szczyt ziemi za dwa i cztery lata.



Wanda w polonezie podczas rajdu samochodowego. Karierę kierowcy zaczęła w 1979 roku.
fot. PAP/ Teodor Walczak

NANGA PARBAT – OSTATNI WSPÓLNY SZCZYT

W 1985 roku Wanda jest na Nanga Parbat razem z Krystyną Palmowską, Anną Czerwińską i Dobrosławą Miodowicz-Wolf *vel* Mrówką. Himalaistki walczą z porywistym wiatrem. Kiedy w końcu udaje im się zaatakować szczyt, pogoda znów nagle się załamuje. W tym momencie niedoświadczona, ale ambitna Mrówka jest na grani szczytowej. Do wierzchołka brakuje jej 50 m. Zaczyna jednak źle się czuć, słania się na nogach, widzi nieistniejące postacie, co może świadczyć o postępującej chorobie wysokościowej. W końcu się wycofuje, a ekspedycja wraca do bazy bez sukcesu.

Jeszcze w tym samym roku Wanda uczestniczy w kolejnej wyprawie na Nanga Parbat i zdobywa szczyt razem z Krystyną Palmowską i Anną Czerwińską. Po tym sukcesie drogi Czerwińskiej i Rutkiewicz rozchodzą się na zawsze.

Wanda poszła własną drogą. W 1986 roku odnosi kolejny historyczny sukces. Zdobywa K2 jako pierwszy wspinacz z Polski. Ale ta ostatnia wyprawa będzie również naznaczona tragediami. Tym razem w dramatycznych okolicznościach, z wyczerpania, wisząc na linie, umrze Dobrosława Miodowicz-Wolf. Wcześniej życie straci Liliane Barrard, z którą Wanda zdążyła się zaprzyjaźnić. Rok 1986 będzie dla Rutkiewicz przełomowy, bo wtedy po raz pierwszy zwątpi. Straci przyjaciół i będzie patrzeć z bliska na śmierć innych alpinistów.

MASOWY ALPINIZM – TŁOK W HIMALAJACH

Poza tym Wanda gruntownie zmieniła poglądy na alpinizm wyczynowy. Alpiści tak wprawili się w wyczynie sportowym, że dotychczas ekstremalnie trudne szlaki stały się w powszechnym mniemaniu łatwiejsze, chociaż obiektywnie stopień trudności przecież wcale nie zmalał.

Już w czasach ostatnich wypraw Wandy Rutkiewicz w Himalajach zaczął się robić tłok. Alpiści, różniący się pod względem umiejętności i ambicji, zjeżdżali w najwyższe góry świata masowo. Wyścig powodował ostrą rywalizację. Tylko rozgłos mógł zyskać sponsorów, a bez nich nie istniałby współczesny alpinizm wyczynowy.

W tym czasie niekwestionowane prowadzenie objąłby ten wspinacz, który w jak najkrótszym czasie zdobyłby wszystkie ośmiotysięczniki. Wanda Rutkiewicz zarzeka się, że na Koronie Himalajów i Karakorum jej nie zależy. W jej słowach, powtarzanych w wywiadach prasowych i telewizyjnych, słychać zmęczenie i wypalenie.

„W mieście wsiąkam w codzienność – powie Barbarze Rusowicz. – Powrót z wyprawy nie oznacza jej końca, pozostaje bowiem jej rozliczenie, napisanie czegoś o niej, opracowanie całej strony zdjęciowo-filmowej. Wywiady, autoryzacje. Dziesiątki rozmów telefonicznych. (...) To jest dosyć niezdrowy tryb życia”⁶². Nawet w domu Wanda nie może czuć się jak u siebie, bardziej jak w biurze. Potyka się o komputery, faks, ksero czy kabel od dodatkowego telefonu. Wszystko niezbędne, by przygotować kolejną wyprawę. A wszystko kosztuje. Wanda topi pieniądze w górach, nie stać jej więc na luksusy. Jak mówi: „Pewnie dlatego mieszkam w M3 i nie mam żadnych rezerw na przyszłość. Kiedy przed domem, gdzie mieszkam, pojawił się jakiś

piękny, nowy samochód, mąż gospodyni domu powiedział sąsiadom, że to mój, nie wiedząc, że jeżdżę pożyczonym »maluchem«⁶³.

UCIECZKA DO GÓR

Nie przepadała za codziennością. Jak wyglądał jej zwykły dzień? Wie to Nina Fies, która często przyjeżdżała do Warszawy, by pomagać siostrze przy organizacji wypraw czy kolejnych przeprowadzkach. Wanda zaczynała od tego, że wstawiała rano, wkładała dres i szła pobiegać z psem. To była najprzyjemniejsza część dnia. Po śniadaniu zaczynał się kierat. Zajmowała się albo organizacją, albo rozliczaniem wypraw. Papierkowa robota, magazynowanie, opisywanie sprzętu. Telefony, rozmowy, pisma. Wkrótce wir pracy przyprawiał ją o zawrót głowy.

Czy Wanda uciekała od codzienności? Jak mówi jej siostra:

– Na pewno uciekała DO gór. W pewnym momencie poczuła, że wszystkiego ma dosyć. Nie chciała wracać na dół, tylko być na odpowiedniej wysokości i zaliczać kolejne ośmiotysięczniki.

Wanda na pytanie o „ucieczkę” odpowiadała tak: „Idea, że można uciec od codziennych problemów w góry, jest błędna. Tam napotykasz wszelkie odmiany dobra i zła, tak samo, jak w świecie niżej”⁶⁴.

W 1991 roku ma na koncie osiem gór powyżej ośmiu tysięcy. Po K2 wejdzie jeszcze na Sziszapangmę, oba Gaszerbrumy, Czo Oju i Annapurnę. Za takie osiągnięcia przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Przeżyje kolejną osobistą tragedię. Podczas wyprawy na Broad Peak (8051 m n.p.m.) w 1990 roku na własne oczy zobaczy śmierć Kurta Lyncke-Krügera, neurochirurga i alpinisty z Austrii. Lyncke-Krüger pośliźnie się na lodowym podłożu i runie w dół.

Według osoby bliskiej Wandzie Austriak był wtedy dla niej kimś szczególnym. Do Polski Rutkiewicz wraca przybita. Znajomi pytają, co dalej. Wanda odpowiada, że w góry i tak niedługo wróci. Osobiste tragedie, niechęć środowiska, męcząca obecność w mediach, presja sukcesu? To nie ma znaczenia, bo teraz innego życia już sobie nie wyobraża.

KARAWANA DO MARZEŃ

Wanda szukała nowego wyzwania. Pragnęła raz na zawsze skończyć „sprawę ze szczytami ośmiotysięcznymi”. Rok po śmierci Kurta chciała wejść w jak najkrótszym czasie na osiem ośmiotysięczników. Myślała, że to ją uwolni od presji nieustannych sukcesów. Że udowodni całemu światu swoją wartość himalaistki, a świat w zamian w końcu jej odpuści⁶⁵.

Ludwik Wilczyński, himalaista, który wiele razy wspinał się z Wandą, przyznaje, że stała się znana po wejściu na Everest – w końcu była trzecią kobietą na dachu świata. Miała wtedy 35 lat i największe możliwości wysokościowe spośród najlepszych wspinaczy. Jednak w 1981 roku Rutkiewicz doznaje ciężkiej kontuzji i robi sobie przerwę. Wraca do alpinizmu po kilku latach. Na Nanga Parbat i K2 wchodzi już sporo po czterdziestce. Wilczyński ocenia trzeźwo, że program „Karawana do marzeń” przypadł niestety na moment spadku możliwości fizycznych, naturalny w tym wieku u każdego sportowca.

Jak mówi:

– Poświęciła się górcom w zupełności. Chciała zakończyć swoją wielką karierę jako pierwsza kobieta, która weszła na wszystkie ośmiotysięczniki. Przypieczętować górskie życie mocnym akcentem. Ale moim zdaniem było już na to za późno, a na pewno za późno w takim tempie. W środowisku były nawet takie komentarze: nie „karawana do marzeń”, tylko „karawan do marzeń”.



Wanda na szczycie Sziszapangmy z Ryszardem Wareckim, 1987.

fot. PAP/ Archiwum rodzinne Jerzego Kukuczki

GŁOWĄ W MUR

Wanda była przytłoczona celami, które sobie założyła. Jednocześnie miała coraz mniejsze możliwości fizyczne; każdy wspinacz z czasem może mniej. W grę wchodził nie tylko wiek, ale też doznane w przeszłości kontuzje.

– Ale Wanda należała do tych, którzy zawsze ciągną do końca – mówi Ludwik Wilczyński. – Tak jak Kukuczka, nazwany kiedyś przez Wojtkę Kurtykę „nosorożcem psychicznym”. To ktoś, kto prze do przodu i albo pęknie głowa, albo runie mur. Wanda była podobna.

Alpinizm wymaga uporu, ale nie ślepego. Trzeba jeszcze rozsądnie zarządzać siłami. Śmierć na Kanczendzondze w ocenie Wilczyńskiego: „była wynikiem splotu kilku okoliczności, z których najważniejsze to błędna decyzja kontynuacji wejścia bez zabezpieczenia i sprzętu biwakowego i oczywiście pogoda, decydująca”.

Nina Fies uznaje siostrę za realistkę, biorącą pod uwagę ryzyko. Przyznaje jednak:

– Wanda w trakcie planowania wypraw, w organizacyjnym ferworze, często zapominała, by zadbać o swoje zdrowie. Miała poważne problemy z hemoglobina. Organizm był wyczerpany i każda kolejna wyprawa zostawiała w nim jakiś ślad. Kiedy jej o tym mówiłam, zawsze to

bagatelizowała.

Austriaczka Gertrude Reinisch Wanda powie kiedyś: „Każdego roku próbuję na nowo stać się normalnym człowiekiem, ale wtedy góry wabią mnie do siebie z powrotem”⁶⁶.

WOLNOŚĆ OD STEREOTYPÓW

Sława Wandy sięga także zagranicę. Gertrude Reinisch spotka uznaną polską himalaistkę w 1986 roku po wyprawie na K2. Austriaczka widzi w Wandzie „wstydliwą diwę”, kobietę łączącą w sobie czasem zupełnie przeciwne cechy, silną, ale również starannie dobierającą słowa, by uniknąć niepotrzebnych nieporozumień⁶⁷. Mniej więcej w tym samym czasie Wanda zbliża się do Marion Feik, austriackiej prawniczki, młodszej od niej o kilka lat, która mimo to stanie się dla Wandy kimś w rodzaju matki. Współpraca kobiet ma też całkiem praktyczny wymiar – Feik staje się agentką, przedstawicielką Rutkiewicz na Zachodzie.

To przed Marion Feik – nie przed swoimi polskimi znajomymi i bliskimi – Wanda potrafi się otworzyć. W liście do przyjaciółki agentki ujawnia swoje górskie pasje i motywacje: „Chyba odkryłam, że mam trzy powody, dla których się wspinam. Pierwszy: uwielbiam być blisko Natury i odczuwać wspaniałość gór. Nie możesz ich docenić, patrząc na ich zdjęcia w domu; musisz ich prawdziwie doświadczyć. Po drugie, uwielbiam wspinaczkę i cieszę się dobrym czasem spędzonym z kolegami wspinaczami. I po trzecie, ubóstwiam przygodę i niebezpieczeństwo. Nie umiem bez nich żyć”⁶⁸.

W 1988 roku jury konkursu The Raichle Adventure Prize przyznaje jej pierwszą nagrodę za „wybitne osiągnięcia i przykład dawany innym”. Z tej okazji Wanda Rutkiewicz wygłasza niezwykle, jak na standardy, do których zdążyła wszystkich przyzwyczaić, szczerzy wykład. Jej słowa są mocne i stanowią swoisty manifest nie tylko kobiecego wspinania, ale kobiecości w ogóle. „Dla kobiety bycie zaakceptowaną znaczy prześcignąć mężczyzn, uwolnić się od starych stereotypów – mówi między innymi himalaistka. – Nigdy nie zostałam zaakceptowana jako równoprawny członek w męskiej ekipie. Kiedy wspiniałam się na Everest, mężczyźni ani razu nie zapomnieli wykorzystać okazji do przypomnienia mi, często w najsurowszy sposób, że jestem tylko kobietą i znajduję się w grupie atakującej szczyt, ponieważ chcieli chwalić się kobietą na szczycie (...). Kiedy wspinam się z mężczyznami, często myślą, że muszą brać za mnie odpowiedzialność, jednak ja chcę podejmować decyzje samodzielnie. Odbiór nas, kobiet, jako pozostających daleko w tyle byłby inny, gdybyśmy mniej mówiły, a więcej się wspiwały”⁶⁹.

PIERWSZE KROKI KARAWANY

Zanim wyruszy, do potencjalnych sponsorów i mediów roześle oświadczenie: „Nazwałam swój projekt »Karawaną do marzeń«, ponieważ to, co spróbuję osiągnąć, może się wydawać możliwe wyłącznie we śnie: przemieścić się z miejsca do miejsca, ponad kilkoma szczytami pomiędzy, tak jak karawany w dawnych czasach”⁷⁰.

W zdobyciu Korony Himalajów i Karakorum, a więc w realizacji celów „Karawany do marzeń”, ma jej pomóc Ewa Panejko-Pankiewicz. W końcu jednak w wyniku zbiegu okoliczności młodsza himalaistka musi się wycofać. Partnerem Rutkiewicz przed wyprawą na Kanczendzongę w 1992 roku zostaje Arkadiusz Gąsienica-Józkowy, alpinista z Zakopanego,

z którym – jak sądzą znajomi – łączy Wandę przyjaźń.

– Wandzia to Wandzia – mówi Ewa Panejko-Pankiewicz, kiedy pytam ją o współpracę z Rutkiewicz. – Była nietuzinkową osobą. Wanda żywiła wielkie ambicje, co czasem zrażało do niej ludzi. Ale ona te marzenia, które inni uważali za szalone, realizowała. Do tej pory miała fart. Jej życie górskie było pasmem szczęścia. Była ciągle pierwsza, była najlepsza, miała naturę prymuski. To się ludziom nie podoba, ludzie nie lubią kolorowych ptaków. Złośliwi zarzucali jej, że nie zrealizowała się jako żona i matka. Ale ja jej zawsze broniłam.

„Wandzia” miała trudny charakter, ale Ewa była dla niej dobrą partnerką. Miała swoje zdanie, była niezależna, nie ulegała. Potrafiła nawet przekonać Wandę do swoich racji. Jaka była na co dzień Rutkiewicz? Nieco osamotniona, „bez tłumy bliskich przyjaciół” – jak przyznaje Ewa.

– Miała natomiast bardzo duże rzesze wielbicieli swojego talentu. Skarżyła mi się, że oni są żądni różnych jej sukcesów, bo żyją jej życiem, a nie mają swojego – dodaje Panejko-Pankiewicz.

Przed swoją ostatnią wyprawą Wanda Rutkiewicz spotyka się z dziennikarką Barbarą Rusowicz. Mają napisać wspólnie wywiad rzekę. Książkę, która po raz pierwszy podsumuje jej życie. Wtedy krok po kroku himalaistka wyjaśnia plan zdobycia pozostałych sześciu ośmiotysięczników. „Cała zabawa polega na próbie wykorzystania zasady stałej aklimatyzacji. Coś, czego jeszcze nikt nie zrobił, niezależnie od tego, czy był mężczyzną, czy kobietą. Ja nie będę trzecią po Messnerze i Kukuczce. Ja będę pierwszą, która spróbuje czegoś nowego”⁷¹ – mówi Wanda. Pomysł wygląda na brawurowy, ale przemyślany. Rutkiewicz kalkuluje: całkowita utrata aklimatyzacji następuje po dwóch – trzech miesiącach. Musi robić przerwy między atakami szczytowymi wystarczająco długie, by odpocząć, i dość krótkie, by zachować aklimatyzację. Wychodzi jej miesiąc pomiędzy kolejnymi wierzchołkami.

„Pani teraz chce pobić rekord, ale chce pani prześcignąć samą siebie?” – pyta Rusowicz. „Głównie”⁷² – odpowiada Rutkiewicz.

OSTATNIE SPOTKANIA

Nina Fies pamięta ostatnie chwile z Wandą. To było jesienią 1991 roku, Nina z narzeczonym pomagali w organizacji prelekcji.

– W trakcie ostatniej rozmowy na żywo zaprosiliśmy ją na ślub, a ja poprosiłam, żeby była moim świadkiem. Wtedy rozmawiałyśmy po raz ostatni – wspomina siostra.

Przed wylotem z kraju Wanda jak zwykle odwiedzi matkę. Maria Błaszkiwicz swoim zwyczajem pobłogosławi ją przed wyprawą. O relacjach, jakie panują wówczas między nimi, opowie Michał Błaszkiwicz: „Wyprawy trwały długo, zatem ważne było, żeby podczas nieobecności Wandy dopilnować jej korespondencji i wszystkich bieżących spraw. W związku z tym mama mieszkała w Warszawie, zajmowała się wszystkim, o co ją poprosiła Wanda, pilnowała mieszkania, dbała o to, żeby wszystko było na swoim miejscu”⁷³. Mama przyjeżdżała w dniu wyjazdu Wandy, a kiedy córka wracała z wyprawy, wręczała mamie bilet do Wrocławia. Pomoc Marii była niezbędna, choć nieco uciążliwa.

7 lat później Wojciech Tochman pisze reportaż *Siedem razy siedem* o Wandzie Rutkiewicz. A właściwie o jej matce, która ciągle na córkę czeka. „Wiosną 1992 Maria Błaszkiwicz

przywiozła do Warszawy swoje dziwne księgi – notuje Tochman. – Przyjechała z Wrocławia, by pożegnać się z córką i zaopiekować się jej mieszkaniem⁷⁴. Pożegnanie jest podobno inne niż wszystkie.

LOSU NIE UNIKNIESZ

Czy Wanda Rutkiewicz się boi? Czy myśli o śmierci? Czy te myśli ją paraliżują? „Ilu ludzi ginie codziennie na szosach – mówi w rozmowie z Barbarą Rusowicz. – Ilu umiera w wyniku napadów, ilu umiera wysłanych na wojnę. (...) Nie uniknie się swojego losu”⁷⁵. Niektórzy wytykali jej, że niepotrzebnie podejmuje ryzyko. „Najbardziej drażni mnie to, że ryzykujemy życie dla czegoś, co wydaje się kompletnie bezużyteczne, nikomu niepotrzebne. Ale może jest to potrzebne tym, którzy to robią? Może oni po prostu potrzebują tego, żeby żyć, żeby istnieć?”⁷⁶ – pytała retorycznie Wanda.

W jednym z ostatnich listów do Marion Feik z 26 marca 1992 roku pisze: „Nie wiem, gdzie jesteś ani co robisz, ale wysyłam Ci same moje dobre myśli oraz najczulsze słowa. Jak na razie oddzielona od Ciebie, chciałabym, by zabrzmiały one bardziej wyraźnie. Potrzebuję Cię i błogosławię los, który połączył nasze drogi. Z miłością, Wanda”⁷⁷.

JUŻ PO WSZYSTKIM

25 maja 1992 roku o godzinie 16.00 Agencja Reuters, powołując się na Ministerstwo Turystyki Nepalu, podaje, że himalaistka Wanda Rutkiewicz dwa tygodnie wcześniej zaginęła podczas ataku szczytowego na Kanczendzongę. Już o 17.00 informację podają radiowa Trójka i Radio Zet.

Bliscy siedzą nieruchomo przed odbiornikami radiowymi. Maria Błaszkiwicz jest u siebie we Wrocławiu. Przyjmuje nowinę spokojnie. Nie ogląda *Wiadomości*, gdzie podaje się już informację o Wandzie. Słucha koncertu muzyki japońskiej w radiowej Dwójce. Uspokaja: Wanda się znajdzie.

Dwa tygodnie bez znaku życia to w Himalajach wieczność – mówią alpiniści, pytani przed kamerami przez dziennikarzy. „Takie informacje są najgorsze z możliwych – napisze Aleksander Lwow, polski alpinista i himalaista. – Nie mówią wprost tego, co wszyscy przeczuwają i co – logicznie rzecz biorąc – jest wiadome od pierwszej chwili. Przy tym wszystkim jednak pozostawiają cię nadziei, że to nieprawda, że może jednak się uda i wszystko szczęśliwie znajdzie swój finał”⁷⁸. Owego „cienia nadziei” Maria Błaszkiwicz będzie się trzymać do końca swoich dni.

MIEĆ W OCZACH GÓRĘ

5 czerwca do Polski wraca Arkadiusz Gąsienica-Józkowy⁷⁹. Maria Błaszkiwicz i jego syn Mikołaj wysłuchują relacji z Kanczendzongi.

Przez dwa tygodnie nie ruszają się z Wandą z bazy. Gąsienica-Józkowy zatruł się czymś, ma problemy żołądkowe, gorączkę. Wanda umawia się z Carlosem Carsolio, uznanym

meksykańskim himalaistą, który uczestniczy w wyprawie, że do obozu II idą razem, ale powyżej działają oddzielnie, wspierając się w razie potrzeby. Zgadza się na taki układ, bo Wanda chodzi wolno, Carlos szybciej.

10 maja spotykają się na wysokości 7350 m n.p.m., w miejscu przysypanego śniegiem obozu III. Wanda coś gotuje. Po posiłku zaczyna mieć kłopoty z żołądkiem. Mówi Carlosowi, że chce jeszcze przez jakiś czas zostać na tej wysokości.

Na drugi dzień rano Meksykanin dociera do obozu IV. Wanda pojawia się tam dopiero o 18.00. Jest zmęczona i odwodniona. Odpoczywa. 12 maja je ciepłe śniadanie i o 3.30 razem ruszają w stronę wierzchołka.

Carlos idzie pierwszy, toruje drogę. Po kilkunastu godzinach staje na szczycie. Wraca i na wysokości 8200–8300 m n.p.m. spotyka Wandę. Zatrzymują się na kilka minut, rozmawiają. Wanda, według relacji Carlosa, jest wtedy przytomna, wie, co robi. Postanawia zabiwakować i następnego dnia zaatakować szczyt. Carsolio schodzi do czwórki. Tam czeka na Wandę przez dwanaście godzin. Schodzi do obozu II, gdzie czeka jeszcze trzy dni. Wtedy zawiadamia przez radiotelefon Gąsienicę-Józkowego. Rusza znów w górę, ale wówczas załamuje się pogoda, zrywa się wiatr i zaczyna padać gęsty śnieg. Carsolio zawraca.

Czy namawiał Wandę, żeby zawróciła? Zastanawiał się nad tym, jak przyznał w rozmowie z jej bliskimi. Ale jej tego nie zaproponował. Bo dla niego była „tą wielką Wandą Rutkiewicz”. Wanda miała mieć w oczach tylko jedno: górę – opowiadał później⁸⁰.

Ciała Wandy nie odnaleziono. Ewa Panejko-Pankiewicz przypuszcza, że znajduje się ono albo na miejscu ostatniego biwaku, albo niżej – być może Rutkiewicz próbowała iść do góry, ale spadła. Jednak to tylko dywagacje.

– Wanda strasznie chciała wejść na Kanczendzongę, na którą nie weszła wtedy jeszcze żadna kobieta – mówi Ewa, która rozumie postawę Wandy.

Rutkiewicz nie chce schodzić z Carlosem, bo ten jest od niej młodszy, szybszy i przede wszystkim zdobył górę. A przecież to ona była gwiazdą alpinizmu.

– Nie wiem, kto musiałby tam być, żeby przekonać Wandę, że powinna schodzić. No, może papieżowi by się udało – kwituje Panejko-Pankiewicz.

WIECZNIE ZAGINIONA

„Mama nie chciała przyjąć ludzi, którzy przyszli z Polskiego Związku Alpinizmu złożyć nam kondolencje i powiedzieć, co się stało” – mówi Michał Błaszczewicz Oldze Morawskiej. Matka ich wyrzuciła. A dla wspinaczy nie było żadnych wątpliwości, że wyprawa Wandy zakończyła się śmiercią. Co zrobili?

„My uznaliśmy Wandę za zaginioną. Koledzy z klubu zamówili mszę za zmarłą, a my w intencji odnalezienia”⁸¹.

Jak śmierć ukochanej córki wytłumaczyła sobie matka?

Relacja Niny Fies:

– Mama do samego końca, dopóki mogła jeszcze trzeźwo myśleć, zawsze mówiła, że Wanda jest w klasztorze lamów, do którego uciekła od rzeczywistości, bo miała dosyć życia tutaj. Po prostu przeszła na drugą stronę i może kiedyś wróci. Podejrzewam, że w ten sposób mama chciała się oswoić z jej śmiercią.

Nina Fies o śmierci siostry dowiedziała się tak:

– Zadzwoił brat z wiadomością, że Wanda nie wróciła. To było straszne. Zapytał, czy mogłabym przyjechać do Warszawy, bo mama jest w bardzo złym stanie. Spakowałam się i pojechałam. Nie mogłam w to uwierzyć. Przecież Wanda tyle lat jeździła na wyprawy i nic jej się nie stało. Jechałam do tej Warszawy i wyobrażałam sobie, że Wanda może tam gdzieś leży i czeka na pomoc, na helikopter. A helikopter nie przylatuje.

Ale siostra, choć w szoku, powołuje się na zdrowy rozsądek. O Wandzie mówi:

– Nie mogła przeżyć. Taka sytuacja była fizycznie niemożliwa, przy wyczerpaniu organizmu, bez normalnego biwaku, bez ciepłych rzeczy. Żaden człowiek nie jest w stanie tego przetrwać.

Nina Fies ma świadomość, że siostra nie żyje.

– Mimo wszystko do dzisiaj jest jeszcze ziarenko nadziei – mówi jednak. – Bo a nuż, a może? Często, kiedy zbliżają się jej urodziny albo rocznica śmierci, Wanda mi się śni. Zostały po niej tylko pamiątki. I pamięć.

Wojciech Tochman w reportażu *Siedem razy siedem* pisze:

„Maria Błaszkiwicz jest jedną z trzech osób, które zaraz po wojnie zaszczepiły w Polsce Żywą Etykę Agni Jogi. (...) Żywa Etyka to nauka życia. Agni Joga to droga ognia.

– Na kilometr trąciło mi to czymś podejrzanym, okultyzmem i tymi wszystkimi seansami. Czyli szarlatanerią – te słowa swego wywiadu rzeki Wanda autoryzowała wiosną 1992, w bazie pod północną ścianą Kanczendzongi. (...)

Maria Błaszkiwicz udzieliła kilku wywiadów. Mówiła, że nie dziwi jej ani lekki strój Wandy, ani brak namiotu i śpiwora:

– Po południowej stronie Kanczendzongi córka miała coś w rodzaju kryjówek – depozytów, jak mówiła. Tam pozostawiła sprzęt i żywność podczas poprzedniej wyprawy. Wiedziała, że to święta góra i nie każdy może na nią wejść.

Maria Błaszkiwicz twierdziła, że Wanda interesowała się filozofią i religiami Wschodu:

– Fascynowały ją klasztory tybetańskie. Podkreślała, że tylko w górach czuje spokój i harmonię. Ona wyżej poszła, w Kosmos. (...)

Siedem razy siedem – czterdzieści dziewięć lat miała Wanda, gdy była blisko głównego wierzchołka Kanczendzongi. Nie wiemy, czy go zdobyła. Osiem razy siedem – pięćdziesiąte szóste urodziny córki obchodziła ostatnio Maria Błaszkiwicz, która powtarza: Wanda zaginęła 12 maja, siedem lat temu.

I zastrzega:

– Jeśli teraz nie wróci, nie szkodzi. To znaczy, że jeszcze nie czas. Że jeszcze muszę czuwać”⁸².

Michał Błaszkiwicz jako jedyny z rodziny przyjmuje śmierć siostry do wiadomości: „Po kilku miesiącach bronienia się w końcu uznałem, że Wanda zmarła”⁸³ – wyznaje.

Michał Błaszkiwicz umiera na raka mózgu 22 lipca 2013 roku.

Maria Błaszkiwicz umiera dokładnie pięć tygodni później, 29 sierpnia, w wieku 102 lat.

Nigdy nie uwierzy w śmierć Wandy.

DZWONEK DO DRZWI

Któregoś dnia Nina Fies słyszy dzwonek do mieszkania w niemieckim Bruchsal. Otwiera i od stóp do głów przechodzi ją dreszcz.

W drzwiach stoi Wanda.

– Wróciłam – oświadcza.

– Dlaczego nie dałaś znaku, dlaczego nie napisałaś, dlaczego nie zadzwoniłaś?! – Nina Fies wyrzuca z siebie słowa jedno po drugim.

– A po co miałam dzwonić – dziwi się Wanda – skoro wszystko u mnie w porządku?

To ostatni ze znaków, jaki Wanda daje tym, którzy nie przestali na nią czekać.

Wtedy Nina Fies budzi się we własnym łóżku.

To był tylko dobry sen.

¹ W. Tochman, *Siedem razy siedem*, (w:) *Wysokie Obcasy. Portrety*, (praca zbiorowa), Warszawa 2000, s. 19.

² B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz. Wywiad rzeka Barbary Rusowicz*, Toruń–Piła 1992, s. 7.

³ Tamże, s. 7–8.

⁴ Tamże, s. 8–9.

⁵ Tamże, s. 12.

⁶ Tamże, s. 16.

⁷ Informacja o pieszej wędrowce W. Rutkiewicz pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, Warszawa 1986, s. 8.

⁸ Informacja o wyprawie Góry Sokole pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. A Caravan of Dreams*, tłum. z niemieckiego D. Pevsner, Carreg Ltd., 2001, s. 18–19 (cytaty w tekście: tłum. z angielskiego M. Sepioło).

⁹ Informacja dot. poglądów W. Rutkiewicz na śmierć w górach za: G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. A Caravan of Dreams*, s. 19.

¹⁰ B. McDonald, *Ucieczka na szczyt*, s. 5.

¹¹ B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 20.

¹² Tamże, s. 21.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże, s. 39–40.

¹⁵ Opinia Michała Błaszkiwicz pochodzi z książki O. Morawskiej *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, s. 217.

¹⁶ Szczegóły wspinaczki w Alpach pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 34.

¹⁷ Szczegóły wydarzeń na Trollryggenie pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 45–53.

¹⁸ A. Czerwińska, *GórFanka. Moje ABC w skale i lodzie*, Warszawa 2009, s. 112–113.

¹⁹ Informacja o wypadku W. Rutkiewicz pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 51–52.

²⁰ Informacja o rozmowie z A. Uznańskim pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 51–52.

²¹ B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 25.

²² Tamże, s. 30–31.

²³ Tamże.

²⁴ Tamże, s. 42.

²⁵ Tamże.

²⁶ Opis przeżyć W. Rutkiewicz w Hindukuszu pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 26–29.

²⁷ Informacja o konkurencji z innymi wspinaczami pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 107.

- [28](#) B. McDonald, *Ucieczka na szczyt*, s. 86–87.
- [29](#) B. Rusowicz, J. Bandurska, *Więcej o Wandzie Rutkiewicz*, Toruń 1997, s. 58–59.
- [30](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 44–45.
- [31](#) Tamże.
- [32](#) Informacja o wizycie w siedzibie władz w Islamabadzie pochodzi z książki B. McDonald *Ucieczka na szczyt*, s. 86–87.
- [33](#) Informacje o fizycznych ograniczeniach himalaistów pochodzą z książki A. Czerwińskiej *GórFanka. Moje ABC w skale i lodzie*, s. 202–224.
- [34](#) Informacja o zdobyciu zezwolenia pochodzi z książki pod redakcją W. Rutkiewicz *Zdobycie Gasherbrumów*, Warszawa 1979, s. 20–28.
- [35](#) Tamże, s. 96–97.
- [36](#) J. Kurczab, *Panie w górach*, Warszawa 2008, s. 46.
- [37](#) Tamże, s. 47.
- [38](#) Informacja o kandydaturze W. Rutkiewicz do wyprawy na Mount Everest pochodzi z książki G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 43.
- [39](#) Informacja o największym sukcesie alpejskim W. Rutkiewicz pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej, *Na jednej linii*, s. 152.
- [40](#) Informacja o anemii W. Rutkiewicz i jej niedowierzaniu pochodzi z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej, *Na jednej linii*, s. 153.
- [41](#) Informacja o poglądach W. Rutkiewicz pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 33–34.
- [42](#) Informacja o pozycji W. Rutkiewicz przed wyprawą na Mount Everest pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 41.
- [43](#) Informacje dotyczące trudności przed wyprawą na Mount Everest pochodzą z książki J. Kurczaba *Panie w górach*, s. 52.
- [44](#) Szczegóły wydarzeń poprzedzających wylot na wyprawę na Mount Everest pochodzą z książki W. Rutkiewicz i E. Matuszewskiej *Na jednej linii*, s. 153.
- [45](#) Opinia o W. Rutkiewicz pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 44.
- [46](#) Opinia o W. Rutkiewicz pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 44.
- [47](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 89–90.
- [48](#) Tamże.
- [49](#) J. Kurczab, *Panie w górach*, s. 62–65.
- [50](#) Tamże, s. 62–63.
- [51](#) G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 46.
- [52](#) B. McDonald, *Ucieczka na szczyt*, s. 88.
- [53](#) Tamże.
- [54](#) Opinie i cytaty dot. W. Rutkiewicz pochodzą z książki R. Messnera *Na szczycie. Kobiety na górze*, Katowice 2012, s. 81.
- [55](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 84.
- [56](#) Tamże.
- [57](#) Tamże.
- [58](#) Tamże.
- [59](#) G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 51.
- [60](#) Informacja o objęciu funkcji kierowniczkii pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 49–51.
- [61](#) Informacja o wyróżnianiu się W. Rutkiewicz wśród innych wspinaczy pochodzi z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 54.
- [62](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 131–132.
- [63](#) Tamże.
- [64](#) G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 48.

- [65](#) Informacja o presji wywieranej na W. Rutkiewicz pochodzi z książki B. Rusowicz *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 152.
- [66](#) G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 60.
- [67](#) Tamże, s. 143.
- [68](#) Tamże, s. 145.
- [69](#) Tamże, s. 149.
- [70](#) Tamże, s. 158.
- [71](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 181–182.
- [72](#) Tamże.
- [73](#) O. Morawska, *Góry na opak*, s. 216–217.
- [74](#) W. Tochman, *Siedem razy siedem*, s. 19.
- [75](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 43.
- [76](#) Tamże.
- [77](#) G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 177.
- [78](#) A. Lwow, *Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później*, Kraków 2017, s. 395.
- [79](#) A. Gąsienica-Józkowy zmarł nagle w 2001 roku.
- [80](#) Relacja C. Carsolio pochodzi z książki G. Reinisch, *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 181–182.
- [81](#) O. Morawska, *Góry na opak*, s. 221–222.
- [82](#) W. Tochman, *Siedem razy siedem*, s. 20–25.
- [83](#) Tamże. s. 230.

OSTATNIA SZANSA



ALICJA BEDNARZ



fot. archiwum prywatne Alicji Bednarz

– *Teoretycznie powinnam już nie żyć – powie na powitanie i po swojemu się uśmiechnie.*

Ciche, zamknięte osiedle przy jednej z głównych arterii Krakowa. Chociaż za ogrodzeniem pędzą samochody, między blokami panuje spokój.

Alicja Bednarz odsuwa firankę i z okna macha do mnie: to tutaj, ta klatka, mieszkanie na parterze.



Z podwórka nie widać, że kobieta, która była na Gaszerbrumach i K2, porusza się przy pomocy balkoniku.

Kiedy się już spotkamy, skwituje, że osiedlowy spokój jest przesadny. Że kiedyś ludzie się do siebie uśmiechali. Sąsiad dbał o sąsiada. Teraz, jeśliby zadbał, mogliby go oskarżyć o wścibianie nosa w nie swoje sprawy.

– Ja pana przepraszam – powtórzy kilka razy. Właściwie będzie tak przepraszać co chwilę, bo nie przywykła do niedogodności. Żeby gościowi kawy nie zaparzyć, kurtki na wieszak nie odwiesić? – Ja pana przepraszam, ale tak mnie ostatnio lekarze urządzili. Od dobrych paru lat obiecywali: stanie pani na nogi, wymienimy kolana na nowe i jeszcze będzie pani biegać po tych swoich górach.

Dzisiaj, po wstawieniu endoprotezy, ciągle ciężko stanąć na nogi. Kiedy Alicja Bednarz chce wstać, musi prosić o pomocną dłoń. Stara się zachować pogodę ducha.

– Powinnam już nie żyć – powie – bo tak wywróżyła mi kiedyś Cyganka. Najpierw przewidziała dwie śmierci w rodzinie, które się niestety spełniły. Potem spojrzała mi na rękę i powiedziała, że nie mam się o co martwić, bo umrę w wieku 80 lat. Tyle że ja już 83 skończyłam.

POHARATANE HISTORIE

Na świat przychodzi w krakowskich Bronowicach w 1934 roku. Chrzest przyjmuje – co podkreśla – w kościele Mariackim. Wojnę zapamięta dość dobrze, bo to czas dzieciństwa, a dzieciństwo, nawet wojenne, pamięta się najlepiej.

– Sprzed wojny pamiętam, jak pakowałam ojcu gruszki na podróż, a ciocie obcinały w butach obcasy – powie mi Alicja Bednarz.

Przed wojną jej ojciec pracuje jako policjant. Po wojnie będzie miał przez to problemy, ale na razie musi dołączyć do tych, którzy biją się o ojczyznę na dalekich frontach. Mała Ala pakuje mu więc na drogę gruszki. Tata całuje ją i brata w czoło, mama płacze. Ojciec znika za drzwiami. Zanim zniknie, mówi jeszcze do żony: bierz dzieci i jutro wyjeżdżaj za mną. Ale żona na wyjazd się nie decyduje: w Polsce wojska, wybuchy, bombardowania, jak w takim świecie żyć, co dopiero jechać na Zachód. Ojciec trafi do obozu we Francji.

Rodzina zostaje przeniesiona z dużego mieszkania z Bronowic do kamienicy przy ul. Grabowskiego w Krakowie. Do dyspozycji mają pokój z kuchnią. Drugi pokój zajmuje dokwaterowany policjant, więc Bednarzowie gniją się razem w kuchni.

– Z wojny pamiętam głód – mówi Alicja Bednarz. Jakby ktoś stanął za człowiekiem i ścisnął go w pasie. Rarytasem są ziemniaczane placki, które mama piecze na blasze pieca, jeśli uda się zebrać parę kartofli.

Alicja z bratem jeżdżą tramwajem do Płaszowa, wówczas wsi pod Krakowem, i zbierają fragmenty produkowanych tam przed wojną drewniaków, których używają na opał. Matka czasami dorabia jako pomoc w kuchni, wtedy w domu pojawia się coś do jedzenia. Innym razem ryzykuje. Razem z sąsiadkami biorą prześcieradło, idą pieszo do wsi pod miastem i od rolników zbierają jajka, mąkę, co kto może i chce dać. W ciasnym mieszkanku Bednarz piecze bułki, daje dzieciom, a te biegają po kamienicy i sprzedają je sąsiadom.

Kamienica przy Grabowskiego mieści ludzi o poharatanych historiach. Na drugim piętrze mieszka rodzina Żydów. Tam się nie chodzi – mała Alicja doskonale zna tę zasadę – bo niczego dobrego nie może to przynieść. Na parterze dozorczyńni, która wie wszystko o wszystkich. W reszcie mieszkań: rodziny bez synów, ojców, dziadków. Babiniec. I jeden nauczyciel muzyki, którego do wojska cudem nie zaciągnęli.

NIE KONIEC UDRĘKI

Rodzina przedwojennego policjanta jest, jak mówi Alicja Bednarz, „pod kreską”. Ojciec rodziny jeszcze przez kilka lat nie wraca z tułaczki, matka zapada na ciężkie zapalenie opon mózgowych, cierpi. A dzieci dorastają.

Kiedy tata w końcu staje w drzwiach mieszkania przy Grabowskiego, Alicja myśli, że to jakiś obcy pan przyszedł. Dopiero później zagląda mu głębiej w oczy i poznaje.

Bednarz po znajomości dostaje propozycję pracy jako kierowca. Odmawia. Pchają go do partii. Też odmawia. Nie będzie zadowolony, kiedy córka oświadczy, że należy do ZMP.

Alicja Bednarz:

– Do ZMP zapisano całą klasę. Bez pytania. Oświadczone nam po prostu – bez naszej zgody – że od dziś należymy do związku.

GÓRSKI BAKCYL

– Pierwszy raz góry zobaczyłam w wieku 13 lat – wspomina Alicja Bednarz. – Zaraz po wojnie należałam do harcerstwa. Jeden z obozów mieliśmy w Sromowcach niedaleko Zakopanego. Z grupą koleżanek wpadłyśmy na pomysł, żeby się zerwać i pojechać w Tatry wozem drabiniastym. Zobaczyłam Halę Kondratową, weszłam na Giewont bez żadnych poręczówek. I już wsiąknęłam.

Ala od najmłodszych lat lubi się ruszać, jest sprawna, dobra w każdej dyscyplinie sportowej. W młodości gra w koszykówkę w „Budowlanych Kraków” (dawnym i dzisiejszym „Zwierzynieckim”). Za grę dziewczyny dostają od trenera bułki z szynką. Już jako siedmiolatka pożyczka od koleżanek narty i jeżdża na nich na Błoniach, które w tamtych czasach nie były tak płaską łąką jak dziś.

W liceum Alicja zapisuje się do klubu geograficznego. Tam poznaje nauczycielkę z pasją: zjeździ z nią Beskidy i Tatry. To wtedy połyka górskiego bakcyła na dobre. Wyjeżdża, kiedy

może, wakacje spędza zawsze w górach. Po liceum będzie mogła sobie pozwolić na częstsze wycieczki, bo zacznie pracę w PZU jako likwidatorka szkód w uprawach rolnych. Praca jest dość przyjemna, niezłe płatna i poważana. Alicja siedzi za biurkiem, często udaje się w teren do „zdarzeń”, a kiedy tylko wypada wolna sobota – rusza na południe.

Wspinaniem na wyższym poziomie rządzą kluby wysokogórskie. To one decydują, kto pojedzie na daną wyprawę. Od tych decyzji zależy górskie CV. A że Alicja zna już Beskidy jak własną kieszeń i przeszła sporo dróg w Tatrach, egzamin do KW zdaje dobrze.

W Morskim Oku poznaje Wandę Rutkiewicz.

– To była kobieta twarda. Znała swoją wartość, potrafiła dążyć do celu – wspomina.

W latach sześćdziesiątych Bednarz, jak większość dobrze rokujących taterniczek, wyjeżdża z ramienia klubu w Alpy. Potem wspina się w trudnym Hindukuszu. Przed środowiskiem udowadnia swoją wartość. W 1969 roku zdobywa – razem z Jadwigą Mruczek – Mont Blanc.

– Krakowskie środowisko skupione wokół Klubu Wysokogórskiego było specyficzne, nieprzyjazne – mówi dzisiaj. – Kiedy zdobyłam pierwszy siedmiotysięcznik, nie pamiętam już jaki, to nastawiono się przeciwko mnie, zazdrościono mi. Zazdrościli głównie mężczyźni, tak wtedy było.

ŚMIERĆ DO POTĘGI I PIERWSZE SUKCESY

W 1969 roku umiera brat Alicji, który cierpiał na okropne bóle głowy. Lekarze w czaszce wykryją guz wielkości łąbka od szpilki. Ale będzie już za późno. Tego samego roku umiera ojciec. Dziś Alicja już wie, że chorował na ołowicę, ciężkie zatrucie ołowiem, ale lekarze leczyli go na raka. Obie śmierci wywróżyła jej przypadkowo spotkana Cyganka.

O sukcesach we wspinaczce wróżka nie mówi. Ale tak czy inaczej – przyjdą. Alicja na pierwszy poczeką pięć lat. Po śmierci ojca i brata nadejdzie dla niej ciężki czas, ale zakończony włączeniem do społeczności wyprawowej.

Jako jedyna krakowianka, która była powyżej 7000 m n.p.m., zostanie zakwalifikowana do wyprawy na Gaszerbrumy w 1975 roku. Na szczyt wspinać się będzie pokolenie ludzi silnych, doświadczonych, bo pamiętających wojnę. Wkrótce o polskich himalaistkach będzie mówił cały świat.



Początki wspinaczki. Podczas kursu skałkowego, 1961.
fot. archiwum prywatne Alicji Bednarz

TERRA INCOGNITA

Wanda Rutkiewicz, kiedy nie zabrano jej na wyprawę narodową na Lhotse zimą, nie miała zamiaru czekać z założonymi rękami na zaproszenie. Postanowiła zorganizować kobiecą wyprawę z Polski, i to od razu do egzotycznego Pakistanu.

Była to nie tylko wyprawa w nieznanne strony, ale także z nieznanymi towarzyszками. Wanda zadbała o integrację zespołu, parę razy dziewczyny pojechały wcześniej do leśniczówki w Puszczy Kampinoskiej. Ale dopóki nie znalazły się razem w górach, nie mogły o sobie powiedzieć, że zjadły wspólnie beczkę soli.

WERYFIKACJA

– Przed wyprawą Wanda sprawdzała każdą dziewczynę – mówi Aniela Łukaszewska. – Część znała z innych wypraw: Halinę, Alkę Bednarz, Ankę Czerwińską. Pozostałe dziewczyny sprawdzała: jaki mają charakter, jak reagują. Każda musiała przed wyprawą jechać do Wandy, wykazać się. Doceniała nasze przejścia, uważała, że dobrze się wspinamy, ale chciała też wiedzieć, czy potrafimy współpracować. Takim testem, na co kogo stać, zawsze były Tatry. Za każdym razem, kiedy jestem przy Morskim Oku, to myślę: Boże, jakie ja piękne drogi tu zrobiłam! Siedzieliśmy w tej dolinie co roku po trzy miesiące i wybieraliśmy dwadzieścia, trzydzieści dróg, które potem robiliśmy. Z rzędu. Sam fakt, że weszło się w Tatry, że dotknęło się tego granitu – to było coś pięknego!

Alicja Bednarz pamięta, że nie tylko Wanda je sprawdzała.

– Przed wyprawą trzeba było chodzić na milicję. Oni wypytywali: po co to? gdzie? jak? Starsze koleżanki radziły, żeby mówić o wszystkim, tylko nie o najważniejszym. Tak też robiłam. Na milicji strasznie się wkurzyli i w końcu cofnięto mi pozwolenie na paszport. Pomógł mi partyjny sekretarz Instytutu Obróbki Skrawaniem – gdzie wówczas pracowałam – Bogusław Kapusta, bardzo porządny człowiek. Wstawił się za mną i własnym autorytetem poświadczył, że wrócę do kraju. Dopiero wtedy wydali pozwolenie na wyjazd – wspomina Bednarz.

JELCZ DO PAKISTANU

Zanim wyprawa ruszy z Polski, himalaistki muszą wszystko zorganizować same.

Cały ekwipunek do Pakistanu ma zawieźć specjalna ciężarówka marki Jelcz, którą trzeba najpierw pomalować. Zajmuje się tym „Alisonka”, jak mówią na Brytyjkę polscy koledzy. Na obudowie i przykrytej plandeką pace pojawiają się nazwy sponsorów wyprawy.

Na jelcza – jak w swojej książce *Moje ABC w skale i lodzie* wspomina Anna Czerwińska – pakowano ryż, cukier i makaron – dziś nikt nie wpadłby na pomysł, by gdziekolwiek zabierać ze sobą takie produkty.

Większość potrzebnych rzeczy – żelazka, aparaty fotograficzne Zenit, suszarki do włosów, kosmetyki – wspinacze muszą zabrać z Polski. Wyprawy w Himalaje czy Karakorum finansowane są dotacjami dolarowymi. Polska wyprawa na Gaszerbrumy też taką dotację dostaje. Państwo polskie przeznaczają na nią aż 25 tysięcy dolarów. Jakim cudem? W środowisku znana jest teoria, że to Wanda swoim urokiem osobistym przekonuje ministra sportu i turystyki i załatwia potrzebne pieniądze.

Na początku wśród uczestników wyprawy nastroje są bojowe. Podczas karawany himalaistki i himalaiści mają okazję – wielu po raz pierwszy – oglądać nieznanne kraje. W Afganistanie ciężarówka jedzie przez pustynię, na której nie ma nawet jednego krzaka czy kamienia.

Alicja Bednarz oświadcza w końcu zniecierpliwiona: „Ja się wypinam, jak chcę, to niech patrzą”¹.



Alicja Bednarz prowadząca kurs narciarski. Turbacz, przełom lat 60. i 70.
fot. archiwum prywatne Alicji Bednarz

MIÓD I DZIEGIEĆ POD GASZERBRUMAMI

– Życie w bazie nie jest aż tak trudne, jak mogłoby się wydawać – wspomina z perspektywy czasu Alicja Bednarz. – Zwykle mieliśmy duży, przestronny namiot. Najważniejsze, że była woda, którą można było podgrzać, ugotować. Myliśmy się w miednicach, polewając wodą głowę.

Zorganizowano prowizoryczną łazienkę, zadbano także o kuchnię. Jak mówi Bednarz:

– Ja zasłynęłam naleśnikami, które smażyłam w bazie, bo strasznie nie lubiłam konserw. Tych konserw, z których Polacy byli dumni, bo sami je przygotowywali przed wyprawą. Nie lubiłam ich smaku, więc kiedy mogłam, smażyłam naleśniki albo piekłam pączki. Kiedy były imieniny Wandy, zrobiłam – z kruchych ciastek, budyniu i galaretki – pyszny tort.

Pod Gaszerbrumami zespoły kobiece i męski działają wspólnie, dla dobra wyprawy. Po kilku tygodniach torowania drogi, zakładania poręczówek i pojedynczych prób wejścia wyżej zespół jest już jednak zmęczony i sfrustrowany. Słychać głosy o powrocie do Warszawy.

Uczestnicy zbierają się w namiocie, żeby przedyskutować, co dalej. Atmosfera robi się gorąca. Leszek Cichy zwraca uwagę, że atak szczytowy wygląda na rozpaczliwy.

„Wanda, chciałem ci zwrócić uwagę, że my tu już jesteśmy sześć–siedem tygodni i wszyscy, poza tobą, mają tego wszystkiego dość. (...) Na następny atak nie będziemy mieć już sił”² – wali prosto z mostu. Rutkiewicz nie daje się zbić z tropu, choć Cichy upiera się: „Ludzie będą wiedzieli, że to jest ostatni atak, wobec tego będą woleli zaryzykować biwak w czasie wejścia, niż się wycofać. Nastawienie ludzi, którzy wiedzą, że to jest ostatnia szansa, zwiększa możliwość wypadku”³. Mimo tych ostrzeżeń wyprawa rusza zdobyć szczyt.

„Wyprawa na Gasherbrumy – napisze po latach Janusz Kurczab, kronikarz polskiego himalaizmu – mimo ogromnych sukcesów, u wielu jej członków zostawiła niesmak. Tarcia

między uczestnikami, między grupą kobiecą a męską i wewnątrz tych grup, taktyczne gierki prowadzone przez Wandę Rutkiewicz sprawiły, że większość uczestników była w opozycji w stosunku do kierowniczk⁴. Młode uczestniczki wyprawy nie sprzeciwiają się silnej osobowości Wandy, która wśród alpinistów już wtedy cieszy się sporym respektem.

DRAMAT ALICJI

Pod Gaszerbrumami Alicja Bednarz przeżywa własny, oddzielny dramat. Uczestniczy w zakładaniu obozu szturmowego. Długo i ciężko pracuje w ścianie, podczas gdy reszta kobiet schodzi do obozu niżej. Przygotowuje drogę, którą później przejdą zdobywczyńie szczytu.

– W pewnym momencie poczułam się słabo – opowiada. – Uderzenia ciepła i zimna, na zmianę, wiotkie nogi. Wyprawowa lekarka mnie zbadała i wydała wyrok: zbyt wysokie ciśnienie, by uczestniczyć w akcji górskiej.

Bednarz musi zostać w niskich obozach, długo płacze, bo na wyjazd ciężko zapracowała. „Zobaczysz, pokazałaś, co potrafisz, to Wanda cię nie weźmie do ataku szczytowego” – słyszy od kolegi w obozie. Wanda rezygnuje z Alicji, bo ta pokazała swoją siłę. Przypuszczenia powtarzane po cichu w ekipie się potwierdzają. Rutkiewicz daje jej szlaban na jakiegokolwiek wyjścia do góry.

W filmie Andrzeja Zajączkowskiego *Temperatura wrzenia*, który dokumentuje tamtą wyprawę, jest scena, kiedy Alicja Bednarz rozmawia przez radiotelefon z przebywającą w obozie wyżej Wandą Rutkiewicz. Emocje buzują, ale tylko po jednej stronie. Bednarz płacze, łamiącym się głosem próbuje wytłumaczyć swoje racje. Rutkiewicz przeciwnie, spokojnym tonem wyjaśnia, że zdania nie zmienia.

„Słuchaj, Wanda, jest jeszcze osiem dni czasu do wyjścia z obozu – mówi do słuchawki Alicja Bednarz. – Czy nie pozwoliłabyś mi wreszcie w góry wyjść? Odbiór.

– Halo, słuchaj – odzywa się Wanda Rutkiewicz. – Los był chyba nie najmiłszy dla ciebie na tej wyprawie. Ale ja chyba pozostanę konsekwentna w swoim stanowisku. Alu, ta doktorka, aczkolwiek rozumiem, jak możesz bardzo cierpieć, bo sama bywałam w takich sytuacjach, niestety, nie zmienia swojego zdania.

– Tak, tylko ty byłaś u mnie kiedyś w namiocie i zupełnie co innego mówiłaś, a zupełnie inaczej postąpiłaś. Nie wiem, dlaczego ci zależało na tym, żeby mnie zgnoić, powiedz.

– Mnie zależało tylko na realizacji celów wyprawy. – Rutkiewicz wydaje się jeszcze bardziej opanowana i stanowcza niż chwilę wcześniej. – Jeżeli to robiłam tak, że gnoić niektórych, to będziecie mnie bić i oskarżać później, odbiór.

– Wiesz co, pieprzę twoje bicie i oskarżanie. – Alicja Bednarz podnosi głos. – To była moja ostatnia szansa i tyś mi ją przekreśliła. A w namiocie mówiłaś zupełnie co innego, inaczej wszystko pokierowałaś. To robiłaś z premedytacją według mnie”⁵.

– Wanda już taka była – mówi dzisiaj Bednarz. – Na pewno była stanowcza, ale też chciała tę swoją siłę zademonstrować na zewnątrz, pokazać ją. Pod Gaszerbrumami była kierowniczką, liderką. Musiała więc tę pozycję udowodnić.

Bednarz jest zmuszona czekać i patrzeć na kolegów z dołu. Ale szczytu nie będzie miała nawet szansy zdobyć.

OSTATNIA WYPRAWA

Dopiero 7 lat później dostanie szansę na wpisanie do górskiego CV mocnej pozycji. W 1982 roku otrzymuje propozycję wzięcia udziału w wyprawie na K2. Pod drugim najwyższym szczytem świata czuje się dobrze, nie choruje, nie łapie kontuzji. Działa w ścianie na równi z koleżankami. Ale i tam doświadcza nieszczęścia. Tym razem najpoważniejszego z możliwych.

– Doszliśmy do obozu II i wtedy zmarła Halinka – wspomina Alicja Bednarz. – Wszystkie się rozchorowałyśmy. Odechciało nam się wspinać, trzeba było zająć się sprowadzeniem ciała Halinki i pogrzebem. Co chwilę płakałyśmy.

To będzie ostatnia wyprawa Alicji. Zarzeka się jednak, że nie z powodu śmierci Krüger-Syrokomskiej.

– Przestałam się wspinać, bo musiałam się zaopiekować chorą, leżącą w łóżku matką. Mama umarła w 1982 roku. Pod koniec życia nawet mnie nie poznawała. Tak działała na nią nigdy nie leczona choroba. Powód rozstania z górami był więc prozaiczny, życiowy. Ale tęsknię do dziś – zapewnia.

Alicja Bednarz przegląda stare fotografie.

– Przyjaciół można równie szybko stracić, co zyskać – mówi. – Któregoś roku pojechałam z koleżanką do Tybetu. Miałyśmy przejść przez rwącą rzekę. Powiedziałam, że musimy się trzymać za ręce, bo inaczej popłyniemy z nurtem. Koleżanka nie trzymała się mnie, no i została porwana przez wodę. Cudem do niej dojrzałam i wyciągnęłam na brzeg. Tyle że po drodze, żeby w tym rwącym nurcie nie zginąć, zrzuciłam z siebie jeden plecak. Po wszystkim, niech pan sobie wyobrazi, miała do mnie pretensje. Miała pretensje, że przeżyłam.

Bednarz do dziś nie może w to uwierzyć. Ale nie była przyjaciółce dłużna. Jak dodaje:

– Odgryzłam się i przyjaźń się skończyła. Poszłyśmy każda w swoją stronę. Ja zawsze byłam taka franca. Nie dawałam sobie w kaszę dmuchać.

O pewnych sprawach Alicja Bednarz nie chce mówić. Na przykład o relacjach damsko-męskich i w ogóle o mężczyznach. Dlaczego?

– Bo nie i już. Samej jest mi dobrze. Mieszkam tu sama od 18 lat i nie chcę litości. Potrzebuję podjazdu do klatki, ale tyle przy tym załatwiania, że sobie odpuściłam. Nie będę się nikogo prosić. Do niedawna się nie prosiłam w ogóle, jeździłam samochodem – bo mam – ale teraz już nie mogę – odpowiada.

– Była pani w życiu szczęśliwa? – pytam prawie w progę.

– Byłam, i to nawet kilka razy.

– Kiedy?

– Na przykład na wulkanie w Iranie, kiedy marzyłam o chlebie z masłem i pomidorem. Albo wtedy, jak po powrocie z Afganistanu (po zdobyciu przez Polkę pierwszego siedmiotysięcznika – Kohe Tez) przywitała mnie na lotnisku Hania Wiktorowska i w ramach wdzięczności wręczyła mi jeden goździk. Dziś pewnie dostałabym wielki bukiet, ale proszę pana, ile ten goździk wtedy znaczył...



fot. archiwum prywatne Alicji Bednarz

¹ Cytat pochodzi z książki A. Czerwińskiej *GórFanka. Moje ABC w skale i lodzie*, s. 198.

² *Zdobycie Gasherbrumów*, s. 96–97.

³ Tamże.

⁴ J. Kurczab, *Panie w górach*, s. 47.

⁵ *Temperatura wrzenia*, film w reż. Andrzeja Zajączkowskiego, 1975.

MALEŃSTWO



EWA PANEJKO-PANKIEWICZ



fot. archiwum prywatne Ewy Panejko-Pankiewicz

*Himalaje to nie tylko zimne, lodowe szczyty.
To także doliny pełne soczystych barw, smaków i zapachów.
Indie na przykład pachną rzymskim kminem, Nepal pachnie
curry.*

*Są lata osiemdziesiąte. „Maleństwo” – ma 152 cm wzrostu –
idzie przez kolorowe ulice, chłonie widoki, zapachy i smaki.
Chłonie życie.*

Tutaj czuje się szczęśliwa.



30 lat później otwiera drzwi z tym samym uśmiechem. Siada przy stole w pokoju z widokiem na ogród, podaje kawę. Sama może pić tylko zbożową, rozcieńczoną mlekiem, po małym łyku, żeby nie przesadzić.

– Jem oczami, od kiedy zachorowałam – mówi. Dawne czasy wspomina bez zazdrości, nie ma do losu pretensji, chociaż powodów zebrałoby się sporo. Znowu delikatnie się uśmiecha:

– Jestem już z życiem pogodzona.

Z JASKIŃ W SKAŁKI

Ewa Panejko-Pankiewicz mieszka na przedmieściach Łodzi w dużym domu, razem z synem i jego narzeczoną. Porusza się o kulach, bo niedawno przeszła ciężką operację. Do dzisiaj co jakiś czas przerywa rozmowę, żeby przetrzymać ostry ból. Wtedy na chwilę się wyłącza, milczy. Na jej twarzy maluje się grymas. Ale tylko na chwilę. Najważniejsze – jak powie – że może żyć.

Rodzice Ewy Panejko pochodzą z Jeleniej Góry, dopiero później przeprowadzą się z córką do Wrocławia. Stąd najbliżej do popularnych wśród przyszłych himalaistów Sudetów. Mała Ewa poznaje te dość niskie, ale malownicze góry jako pierwsze.

Będąc nastolatką, zapisuje się na kurs grotolazów. Pociąga ją myśl, że jeśli tylko chce, może zajrzeć w głąb ziemi. Ma szesnaście lat, jest na obozie grotolazów w Dolinie Lejowej w Tatrach Zachodnich. Odkrywa, że dobrze sobie radzi w trudnych warunkach, jest fizycznie sprawna, rozciągnięta i jak na swój niski wzrost silna i wytrzymała. Kiedy po raz pierwszy zjeżdża na linie w głąb jaskini, uświadamia sobie, że właśnie to chce robić.

– Wtedy pierwszy raz zrozumiałam – mówi dzisiaj – że jeśli coś nam dobrze wychodzi, zaczynamy to jeszcze bardziej lubić. Wchodzimy w to. Tak się rodzą pasje na całe życie.

Przez dwa sezony eksploruje wszystkie znaczące jaskinie w Polsce. Szybko zaczyna jednak zauważać, że ten sport nie daje samodzielności, zbyt wiele w nim zależy od asekuracji i współpracy z innymi. A ją pociąga niezależny wyczyn.

– W jaskiniach dość wcześnie przeżyłam też ryzykowną przygodę – opowiada. – Zorganizowałam z koleżanką wyjście do Jaskini Miętusiej. Trochę się przeliczyłyśmy i zabrałyśmy zbyt ciężkie wory z ekwipunkiem. Karabinki, kombinezony, liny – wszystko to kiedyś sporo ważyło, nie tak jak dziś. Weszłyśmy tylko na początek i stwierdziłyśmy, że zawracamy, tak nam to wszystko ciążyło. Jaskinia znajduje się na zboczu góry. Powiedziałam

koleżance, że nie będziemy tego wszystkiego znosić, tylko zrzucimy to na dół. Zeszłam i czekałam na wory. Boże, jak ja się wtedy bałam, kiedy te wory na mnie leciały, że to wszystko mnie przygniecie! Na szczęście uskokczyłam.

W nowo odkrytej jaskini w Kletnie poznaje Bogdana Jankowskiego, słynnego taternika i alpinistę, partnera wczesnych wypraw Wandy Rutkiewicz. Jankowski zauważa w drobnej Ewie potencjał, zaprasza ją w skałki.

– Kiedy pierwszy raz wspięłam się po powierzchni, zrozumiałam, że to jest to – mówi Ewa Panejko-Pankiewicz. – Nigdy więcej nie wróciłam do jaskiń.



Brakowało im czwartego do brydża. „Dołączysz?” – Ewa podeszła do wysokiego, przystojnego bruneta i zaprosiła do gry. Tak poznała Krzysztofa, przyszłego męża. Morskie Oko, 1974.

fot. archiwum prywatne Ewy Panejko-Pankiewicz

GÓRSKA IDEALISTKA

Przez trzy sezony robi drogi w Tatrach wspólnie z koleżanką. Nie ma doświadczenia turystycznego w najwyższych polskich górach, poznaje je od razu z perspektywy wspinacza. Przed wyjściem na szczyt planują najpierw drogę powrotną. Chcą mieć pewność, jak należy bezpiecznie zejść. Tatry wiele ją uczą: przede wszystkim odpowiedzialności.

– Moja partnerka była ode mnie większa i silniejsza – opowiada Ewa. – Wypuszczała mnie wyżej, a potem jęczała, że jej ciężko i nie da rady. Dlatego musiałam szybko nadrabiać umiejętności i brać także jej strach na siebie. To była lekcja odporności psychicznej i samodzielności. Poza tym nauka hartu ducha. Chociaż chodziłyśmy po łatwych drogach, to byłyśmy samodzielne. Powoli uczyłyśmy się bezpiecznego chodzenia po górach.

Dlaczego zakochała się w górach? Jak mówi, zdecydowała faktura skały, kiedy czuła ją pod palcami. Ale też górskie towarzystwo i jego problemy, które były problemami ludzi dorosłych.

– Kiedy wracałam z wyjazdu do szkoły, widziałam rówieśników bawiących się na korytarzu piłeczką – mówi Ewa. – Wydawali mi się dziećmi. Góry dawały mi też niepowtarzalne emocje. Jakie? Strach i przezwyciężanie strachu. Poczucie zwycięstwa i radość.

Dziś Panejko-Pankiewicz przyznaje, że wtedy stawała się nieco radykalna.

– Kiedy zaczęłam chodzić po Tatrach zimą, trochę mi zawadzali narciarze.

Sądziła, że oni nie rozumieją gór tak dobrze jak ona. Że szpanują. Była wówczas górską idealistką.

Miała szczęście. Poznała wielkich ludzi. Wspomina:

– Moimi instruktorami byli Bogdan Jankowski i Jasio Franczuk, który zginął na Kunjang Czkusz, przeuroczy, dowcipny, mądry. Bardzo pilnował, żebym dobrze zdała egzamin przed wstąpieniem do Klubu Wysokogórskiego. W końcu, przy którejś okazji, zobaczyłam też sławną już wtedy, wielką Wandę Rutkiewicz. Pięknie ubraną i uczesaną, a przecież tak świetną w górach.

Jest przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ewa Panejko jedzie we Wrocławiu tramwajem. W kącie wagonu zauważa dziwną postać. To młoda, urodziwa dziewczyna o ciemnych włosach i z nogą w gipsie.

– Wtedy nie wiedziałam, kim ona jest. Dopiero później skojarzyłam, że to Wanda po kontuzji, której się nabawiła na Trollyggenie. Wtedy nie mogłam nawet przypuszczać, że kiedyś będziemy się razem wspinać w Himalajach. Że to ona wybierze mnie na swoją partnerkę – nie może się nadziwić Panejko-Pankiewicz.

Ale sama od początku uczestniczy w kształtowaniu się kobiecego alpinizmu, który swoje pierwsze wielkie chwile ma w polskich i słowackich Tatrach.

– Dlaczego kobiece wspinanie było dla nas tak ważne? To proste. Na początku wspinałyśmy się głównie z facetami. Bardzo często się zdarzało, że przechodziłyśmy naprawdę trudne drogi, ale zawsze było tak, że jak wspominało o tym, powiedzmy, w „Taterniku”, to pisano o facecie

i towarzyszącej mu kobiecie – tłumaczy Aniela Łukaszewska, uczestniczka między innymi wyprawy na K2 w 1982 roku.

– Był też inny powód – dodaje Danuta Wach, organizatorka kobiecej wyprawy „Sosbun” w 2011 roku. – Wiedziałyśmy, że jesteśmy w stanie zrobić daną drogę, ale same, bez facetów. Czułyśmy się równymi partnerami. Ja, jeśli się wspinam, to chcę się również podzielić swoim wyczynem, chcę być doceniona.

KOBIETOM PO DRODZE

– Osobiście cenię sobie najbardziej te drogi, które robiłam z Anielą „Aćką” Łukaszewską i właśnie z Ewką Panejko – mówi jeszcze Wach. – Bo to były nasze drogi. Przypominam sobie Filar Cubryny czy północną ścianę Mięgusza z Aćką. Nasze przejście, do samego końca, i jeszcze jak elegancko! Na sam wierzchołek! Tylko we dwie. Z Ewą zrobiłyśmy na przykład drogę Heinricha-Chrobaka na Kazalnicy. To było pierwsze kobiece przejście na ścianie, która do dzisiaj jest uznawana za bardzo trudną!

Pokonanie tej drogi w zespole kobiecym z Ewą było dla Danuty Wach szczególnie ważne, bo kilka dni wcześniej zrobiła podejście do ściany ze swoim mężem.

– Zbyszek poprowadził pierwszy wyciąg, a ja tak się wystraszyłam mitów o Kazalnicy, że nie byłam w stanie nawet spróbować przejść tego odcinka „na drugiego”. Sparaliżował mnie strach. Zbyszek – stojąc na stanowisku 30 m wyżej – wykrzykiwał, namawiał, prosił. Nic nie pomogło. Zjechał i wróciliśmy na tabor.

Wszystko się zmieni, kiedy po dwóch dniach zjawi się Ewka Pankiewicz. Duśce droga Heinricha-Chrobaka nie dawała spokoju, namówiła więc Ewę i poszły we dwie. Wach tak zapamiętała tę wspinaczkę:

– Pierwszy i drugi wyciąg hakowy, których się wcześniej tak strasznie bałam... prowadziłam ja! Potem zmieniałyśmy się co wyciąg. To była zupełnie inna droga!



W skałkach, początek lat 70.
fot. archiwum prywatne Ewy Panejko-Pankiewicz

SIOSTRZEŃSTWO LINY

To Wanda Rutkiewicz zaszczepia w Ewie Panejko ideę wspinania w kobiecych zespołach. Obie wychodzą spod ręki Bogdana Jankowskiego. Czują, że przejścia w zespołach mieszanych znaczą mniej niż te osiągnięte tylko z koleżankami. Męskie środowisko górskie patrzy na wspinające się

kobiety nieraz z pobłażaniem, a często z lekceważeniem. Wielkie sukcesy, które udowodnią, że „baby też mogą”, mają dopiero nadejść.

Ewa Panejko-Pankiewicz przyznaje jednak, że nic tak nie uczy, jak wspinanie się z lepszymi mężczyznami.

– Co tu dużo mówić, od nich wiele się nauczyłam – mówi. – Robiłam trudne drogi z Markiem Kęsickim, który potem zginął w Karakorum. Mówił tylko: No, mała, czas na Kazalnicę! I szliśmy. Potem zdobyłam też dużo trudnych gór z moim mężem.

Góry łączą Ewę Panejko i Krzysztofa Pankiewicza. Zamieszkają w Łodzi, najpierw w mieszkaniu w bloku, gdzie Krzysztof zamontuje miniściankę wspinaczkową. Ewa będzie uczestniczką wielu ważnych wypraw w Himalaje i Karakorum (między innymi na K2 i Kanczendzongę).

– Nie jest więc tak, że tylko „babskie” wspinanie się dla mnie liczyło – mówi Ewa Panejko-Pankiewicz. – Często kobiety świadomie decydują się na męskich partnerów, bo nie mają innego wyjścia: właściwą partnerkę ciężko znaleźć.

A jaka jest właściwa partnerka? Ewa tłumaczy:

– Taka, która będzie koleżanką, a może nawet przyjaciółką, i do tego będzie się świetnie wspiniała. Ja miałam w końcu szczęście, bo znalazłam Duśkę Wach. Zrobiliśmy razem bardzo trudną drogę Heinricha-Chrobaka na najtrudniejszej ścianie po polskiej stronie Tatr: Kazalnicy Mięgoszowieckiej. Z czasem przejścia takim samym jak najlepsze zespoły męskie. Poznałyśmy się jak zwykle: w schronisku w Tatrach. Tam się siedzi i rozmawia. Duśka była już wtedy znaną taterniczką. Podziwiałam ją. Miała swoją partnerkę: Anielę Łukaszewską, ale wkrótce jakoś tak się złożyło, że się dogadałyśmy i zaczęłyśmy jeździć razem w góry wysokie. W tym środowisku rzadko bywa inaczej: przyjaciół spotyka się w górach. Z Duśką przyjaźnimy się do dziś.

Mówią, że w górach przyjaźń nie istnieje.

– Może teraz to prawda – mówi dalej Ewa Panejko-Pankiewicz. – Ale w moim życiu taka przyjaźń była. Dziś zmienił się sposób chodzenia po górach. Na szlaki wychodzą sportowcy, wyczynowcy, którzy trenowali inne sporty ekstremalne. Oni traktują góry tak samo jak stadion. My też byliśmy ambitni i konkurowaliśmy między sobą. Ale potrafiliśmy ze sobą żyć. Dziś nie ma czegoś takiego jak braterstwo liny. W naszym pokoleniu to określenie było ważne.

Co to takiego: braterstwo liny?

– Trzeba wiedzieć, że partner właściwie cię zaasekuruje, będzie w stanie się z tobą wymieniać w prowadzeniu w ścianie – tłumaczy Aniela Łukaszewska. – Byłam kiedyś instruktorką w Alpach i jako kierownik miałam obowiązek koordynować wyjazd, sprawdzać, by wszyscy ludzie idący na górę obrali właściwą, odpowiednią dla ich umiejętności drogę. Żeby poznali drogi zejścia. To nie były formalności. Ten obowiązek to troska o bezpieczeństwo.

Anieli utkwiło w pamięci pewne przejście.

– Przypomina mi się jeden z uczestników. Młody człowiek, który nie miał właściwej aklimatyzacji wysokościowej, bo na początku akcji górskiej najpierw gdzieś pojechał, a po powrocie chciał wejść na Mont Blanc, najwyższy szczyt, który wybrał na swoją pierwszą alpejską drogę. Nikt nie chciał z nim iść, bo nie wróżyło to dobrze. Ale był bardzo uparty, więc musiałam z nim pójść. Nie dość, że musiałam go przez całą drogę przeciągnąć, bo w połowie dostał choroby wysokościowej, to jeszcze na dodatek, kiedy podeszliśmy pod seraki górne, położył się na ziemi i zażądał wezwania helikoptera. Powiedziałam, że w tym miejscu pilot nie będzie miał jak wylądować, więc musimy zejść niżej. I tak prosząc, grożąc, tłumacząc, udało mi

się sprawić, że wróciliśmy bezpiecznie. Przygoda skończyła się szczęśliwie, choć nie była, z wiadomych powodów, sukcesem sportowym. Partnerstwo w górach, znajomość osoby, z którą się wspinasz, szczególnie jeśli są to trudne drogi, są bardzo ważne – nie ma wątpliwości Aniela Łukaszewska.

– Trzeba się znać! Trzeba się przyjaźnić! – przekonuje Danuta Wach. – Nie rozumiem tych, którzy mówią, że w górach nie ma partnerstwa, a jest tylko układ. Bez partnerstwa nie ma wspinania.

– Jak tylko któraś z nas się źle poczuła, to druga była przy niej – mówi Ewa Panejko-Pankiewicz. – Czułam to bardzo mocno. Kiedy zaczęłam jeździć w góry wysokie, mój syn miał 2 lata. Była wielka presja rodziny i towarzystwa, żebym sobie odpuściła, bo to niebezpieczne. Oni się najzwyczajniej w świecie o mnie bali, ale zawsze im tłumaczyłam, że chodzę z przyjaciółkami, które mnie nigdy nie zostawią.

Ewa nie musiała wybierać między wspinaczką a rodziną, oba wybory szły ze sobą w parze.

– My w tych górach żyliśmy swoimi dziećmi, jak wracałyśmy z wyprawy, a w Polsce było szaro, buro i komunizm, półki w sklepie puste, to my tym dzieciom kupowałyśmy jakieś ciuszki, różne rzeczy. „A Rysiek? Jaki on duży teraz?” „A Nataszka?” – pytałyśmy się nawzajem.

Panejko-Pankiewicz wcale nie wydaje się dziwne, że himalaistki w obozie na 7000 m n.p.m. rozmawiały o swoich rodzinach:

– Mężczyźni gadali o kobietach, a my o dzieciach. Wszędzie nosiłam zdjęcie swojego syna. Jedna z koleżanek – a było ciężko, pogoda fatalna – mówiła: wyciągnij no zdjęcie Ryśka! Ona nie miała swojego dziecka i chciała tego uczucia choćby w taki sposób zasmakować.

Myślenie o dzieciach pomagało w górach. Niektórzy sądzą, że macierzyństwo w Himalajach ciąży, ale Ewa uważa raczej, że dodaje skrzydeł.

– Uważała, że ryzykują więcej od tych bezdzietnych – dodaje Panejko-Pankiewicz.

Himalaistka myśli, że miała sporo szczęścia, nie tylko tam w górze, ale też tu na dole.

– We wszystkich trudnych okresach mojego życia przyjeżdżały do mnie koleżanki z całej Polski – mówi. – Dzwonią cały czas, pytają, co słyhać. Dowiadujemy się o nasze dzieci, niektóre z dziewczyn są już babkami. To dla nas szalenie ważne. Takie siostrzeństwo liny.

CHOROBA PO RAZ PIERWSZY

W połowie lat siedemdziesiątych Ewa ma na swoim koncie wiele najtrudniejszych dróg w Tatrach. Jest pierwszą kobietą na Kurtykówce na Małym Młynarzu, drodze uznawanej wtedy za najtrudniejszą w Tatrach. Potem trafia w góry wysokie. Na początek jedzie w Alpy. Jej partnerką jest Agnieszka Smólska. Z Ireną Kęsą wspinają się drogą Cassina na Torre Trieste w Dolomitach. Są w ścianie dwanaście godzin. Stają na szczycie jako pierwsze kobiety. Potem czeka ją już afgański Hindukusz i wyprawa ze wspinaczami z Krakowa.

Ewa Panejko poznaje góry wysokie z różnych stron. W Hindukuszu panuje miła atmosfera, są wygłupy, zabawy, zawiązują się przyjaźnie. Ale już na K2 sytuacja pogarsza się z dnia na dzień, kiedy dochodzi do jednej z największych polskich tragedii w górach. W 1982 roku pod drugim najwyższym szczytem świata umiera nagle Halina Krüger-Syrokomska.

Wtedy pod K2 Ewa Panejko również czuje się źle. Wspinają się z Danutą Wach i Anielą Łukaszewską. W II obozie Ewa zaczyna majaczyć, zadawać dziwne pytania. Koleżanki dzwonią

do wyprawowej lekarki. Ewa prosi tylko o tabletkę, bo jest akurat piękna pogoda, chce więc przeć do góry. „Natychmiast na dół” – rozkazuje lekarka. Koleżanki sprowadzają Ewę do bazy, gdzie himalaistka dostaje tlen. To wtedy coś złego zaczyna dzieć się wyżej, w namiocie Haliny Krüger i Anny Okopińskiej.

– Tam tak po prostu jest – mówi dziś Ewa Panejko-Pankiewicz. – Człowieka dopada choroba i już. Kiedy koleżanka z wyprawy tak nagle odchodzi, czuje się niewyobrażalny smutek. Nie przyjaźniłyśmy się z Haliną, ale szanowałam ją, ceniłam. Ale czy człowiek zaczyna się wtedy bać o samego siebie? Nie. Ja się nie bałam.

CZWARTY DO BRYDŻA

1974 rok. W schronisku w Morskim Oku grupa znajomych chce zagrać w brydża. Ale do rozgrywki brakuje im jednego gracza. „Dołączysz?” – Ewa Panejko podchodzi do wysokiego, przystojnego bruneta i zaprasza go do gry. Przystojniak ma na imię Krzysztof i niedługo Ewa przyjmie jego nazwisko.

Pankiewicz jest już wtedy znany z wymagających i szybkich przejść. Zaczyna zabierać Ewę w trudne ściany, ma niespożytą energię, może się wspinać codziennie. Podczas wypraw dużo z Ewą rozmawiają, poznają się. I co chyba ważne – wspólna wspinaczka dobrze im idzie.

– To były dla mnie piękne, kolorowe czasy – mówi Ewa. Lata siedemdziesiąte i PRL wspomina dobrze. – My, taternicy, alpiniści, żyliśmy trochę lepiej niż cała reszta. Inni nie mieli wtedy paszportów, a nam je wydawano, dzięki czemu mogliśmy wyjeżdżać w Alpy czy Dolomity. Wyjazd za granicę to była super rzecz. Jeszcze w starym mieszkaniu przed każdą wyprawą, moją czy męża, robiliśmy imprezę, na którą przychodziło mnóstwo osób. Raz przyszła do nas milicja, bo było głośno. Mąż pokazał im paszporty, to oni uszy po sobie. Bo kto wtedy dostawał paszporty? Kapusie, ludzie z partii... No i alpiniści. Tego panowie milicjanci nie musieli wiedzieć. Widzieliśmy kolorowy świat poza naszą żelazną kurtyną, który dla innych był niedostępny.

Jak ubierały się pionierskie himalaistki w dobie komunizmu? Panejko-Pankiewicz wspomina innowacje w tej dziedzinie:

– Pierwsze prawdziwe polary i goreteksy dostałyśmy na wyprawę na K2. Dopiero wtedy dowiedziałam się, jakie to rewelacyjne ubiory, bo Polaków nie było stać na ciuchy z Zachodu. Trzeba było kupować to, co jest ważniejsze, czyli sprzęt, którego nie było w Polsce: liny, czekany.

W Polsce Ludowej produkuje się dobrej jakości sprzęt wspinaczkowy. Firma Polsport w Wałbrzychu wytwarza buty, Bezałin z Bielska-Białej liny wspinaczkowe.

– Ale nie był to tak dobry sprzęt jak ten z Zachodu – tłumaczy Ewa Panejko. – Za granicą były dobre haki, z twardej stali. Pierwsze raki mąż przywiózł mi z Alp. Do tej pory miałam kute, od rzemieślnika, a Krzysiek przywiózł mi dobre, lekkie. Potem przyszła era automatów, które zapinało się na butach jak wiązania narciarskie. Weszły wtedy w obieg buty plastikowe w wysokie góry.

Wyprawy na drugi koniec świata sporo kosztowały. Skąd polscy himalaiści w tamtych czasach brali pieniądze? Panejko-Pankiewicz:

– Na wiele wypraw to Wanda zdobywała sponsorów, którzy opłacali wszystko: sprzęt

wspinaczkowy, jedzenie, buty, namioty. Ale na przykład na kobiecą wyprawę w Himalaje Garhwalu zarobiłyśmy same, pojechałyśmy za pieniądze zarobione na robotach wysokościowych. To były trudne roboty fizyczne, ale bardzo dobrze opłacane, bo mogli je wykonywać tylko alpinści przy użyciu technik alpinistycznych.

Panejko-Pankiewicz nie wspomina jednak trudu i znoju, ale raczej małe radości.

– Przed wyprawą zaczęłyśmy pracować w fabryce domów gdzieś na Śląsku – opowiada. Robotnicy z tej fabryki podzielili się na grupki i każdy był fanem określonej dziewczyny. Pewnego dnia któryś robotnik spytał, na co zbierają. Kiedy wyjaśniły, że jadą w Himalaje, też szczerze się zdziwił: „W Himalaje? Takie małe kobitki?”. Ewa, choć najmniejsza z ekipy, wcale się tym nie przejęła. Ktoś jej kiedyś powiedział, że małe organizmy są bardziej wydajne.

MALEŃSTWO

Przezwise „Maleństwo” wzięło się z fascynacji jej kolegów *Kubusiem Puchatkiem*. Ksywka przyjmuje się, kiedy poznają się z przyszłym mężem, Krzysztofem, który będzie tak Ewę nazywał coraz częściej. Czy wcześniej Ewa, energiczna, wspinająca się dziewczyna, cieszyła się powodzeniem?

– Czułam się lubiana. Jasne, miałam i adoratorów, i po prostu dobrych kolegów. Ale tak jest w każdym środowisku – mówi Panejko-Pankiewicz.

Wkrótce liczy się dla niej tylko mąż. Co prawda Ewa nie bardzo pamięta, jak jej się oświadczył. Ale wie, że mu się ze ślubem spieszyło.

Oboje skończą chemię. On w Łodzi, ona we Wrocławiu. Ona będzie pracować na uniwersytecie, on zdecyduje się zrobić doktorat z farmacji. Krzysztof obawia się, że kiedy obroni dyplom inżyniera, upomni się o niego wojsko. Z kolei Ewa wybiera się w Hindukusz na kolejną wyprawę. Krzysztof biegnie więc do jubilera, bo – jak mówi dzisiaj jego ówczesna dziewczyna – boi się, że ona na niego nie poczeka.

– Ślub zaplanowaliśmy na koniec września. Ledwo na niego z tego Hindukuszu zdążyłam – opowiada Ewa Panejko-Pankiewicz. – Przywiozłam sobie piękną afgańską biżuterię i równie piękną sukienkę ślubną.

W 1978 roku oboje dostają pracę na uczelni w Łodzi i przenoszą się tam. Szefowa Ewy z Wrocławia, kiedy dowiaduje się o jej decyzji, mówi: „Za chłopem? Nie warto!”. Ale w Łodzi małżeństwo może dostać mieszkanie szybciej niż we Wrocławiu.

Ewa przeprowadza się do obcego miasta i nie może się przyzwycząić. Wrocław miał rynek, urocze uliczki, parki, Odrę. Centrum Łodzi wydaje się ciasne. Jednak stopniowo Ewa poznaje nową miejscowość i powoli zaczyna ją lubić. Szczególnie za architekturę fabryczną i pałacyki, których wnętrza opisywał choćby Władysław Reymont w *Ziemi obiecanej*.

W połowie lat osiemdziesiątych Ewa zaczyna szkolić kursantów w górach. W kieszeni ma uprawnienia instruktora taternictwa, chętnych jest wielu. Najczęściej dzwonią matki, które chcą posłać dzieci na wspinaczkę, ale trochę się boją. Wierzą, że jeśli się nimi zajmie kobieta, będą bezpieczne.

Kurs trwa nieraz całe lato. Syn Pankiewiczów zostaje w domu z babcią albo z ojcem, ale coraz rzadziej, bo i Krzysztof robi uprawnienia instruktorskie, więc malec częściej wyjeżdża z Ewą w Tatry.

Mama Ewy tolerowała jej wyjazdy na kursy i wtedy chętnie zostawała z wnuczką. Za to nie przepadała za wyprawami córki w góry wysokie.

– Zwyczajnie się o mnie bała. Nie chciała, żebym jeździła w Himalaje – mówi Panejko-Pankiewicz.

Syn Pankiewiczów za to niczego jej nie bronił. Ewa pamięta:

– Któregoś razu, kiedy szykowała mi się wyprawa, zapytałam go: „Rysiu, powinnam jechać?”. Potraktowałam go jak partnera, jak dorosłego. I okazał się mądrzejszy ode mnie. Spojrzał tylko na mnie i powiedział: „Co ja ci będę mówił, jak i tak pojedziesz”.

GÓRY BYŁY SILNIEJSZE

W domu często brakuje nie tylko mamy, ale i taty. Czasem sytuacje w górach, o których mały Rysio nie wie, bywają groźne zarówno dla zdrowia, jak i życia jego rodziców.

Aleksander Lwow wspomina w swojej książce, jak Krzysztof Pankiewicz – jego kolega, partner wypraw wspinaczkowych, ale też rywal zawodów wspinaczkowych – prowadził trudny wyciąg na Młynarczyku w Tatrach. Pomylił drogę i w pewnym momencie utknął. „Tkwił rozkrzyżowany na ścianie jak pająk, czuł, że dojrzewa i zaraz spadnie – relacjonuje Lwow. – W ostatniej chwili ujrzał na wysokości twarzy kępę trawy wrosniętą w szczelinę, więc wpił się w nią z całej siły zębami i... runął w dół, odpalając piękną jaskółę. Trawę i ziemię wypluł dopiero wtedy, gdy już bezpiecznie dyndał na linie. To się nazywa walka do końca!”¹. Ze wspinaczką nie było żartów. Czy mały Ryszard był tego świadomy?

Ewa wspomina:

– Pamiętam swój powrót z Gaszerbruma I, kiedy Rysio miał 10 lat. Po raz pierwszy zauważyłam, że cieszy się z mojego zwycięstwa. W naszym mieszkaniu na drzwiach toalety był plakat Messnera ze wszystkimi ośmiotysięcznikami. Na końcu widniała Sziszapangma. Powiedział do mnie kiedyś: „Mamusi, a ty na tą Sisiapangmę byś weszła?”.

Syn Ewy dopiero odrastał od ziemi, a już zadzierał głowę, patrząc na najwyższe wierzchołki świata. Zresztą Ewa opowiadała synowi o górach, starała się włączyć go w tę sferę życia.

– Jeździliśmy na spotkania z mediami razem – mówi mama-himalaistka. – Dziennikarka z Łodzi zaprosiła raz męża i syna do telewizji. Rysio zapytany o to, co czuje, mając mamę, która tyle wyjeżdża, tylko wzruszył ramionami. Powiedział, że kiedy kolega narysował K2, był oburzony, bo to przecież ja byłam na K2, a nie mama tamtego kolegi! Raptem poczuł, że jednak ma ze mną wspólne rzeczy.

Ale czy góry nigdy ich nie podzieliły? Jasne, że tak. Syn się buntował.

– Dzieci alpinistów albo idą w ślady rodziców, albo się nie wspinają – twierdzi Ewa.

Rysiek jeździł w góry od dzieciństwa, tata zabierał go w Dolomity, w wieku 18 lat był na Mont Blanc. Bardzo dobrze się wspiął. Zrobił kurs wspinaczkowy, ale nigdy go to nie pochłonęło.

– Powiedział mi tylko, że wchodzenie na wysokie góry jest „bardzo męczące”. To nie było dla niego. Denerwował się, że rodzice próbują narzucić mu swój świat. Bardzo tego pilnował. Nie lubił, jak się przy nim mówiło, że ktoś go nosił, woził w wózku. Bo wszyscy moi przyjaciele w zasadzie uczestniczyli w jego wychowaniu – wspomina Ewa dzieciństwo syna.

– To dla niego chciałam być silna. Przed wyjazdami starałam się trzymać fason. Nie było

żadnych łez, żadnych smutków. Wiedziałam, że bardzo chcę wejść na szczyt, ale muszę wrócić. I to było najważniejsze. Celem był zawsze bezpieczny powrót.

A jednak nie przeszło jej przez głowę, żeby rzucić góry dla rodziny. Góry były silniejsze. Chociaż lubiła czas spędzony z rodziną, ciągle wracała na wysokości.

Zawsze kończąc jedną wyprawę, w trakcie schodzenia planowałam następną.

PARTNERKI

Jest 1987 rok. Wanda Rutkiewicz jest już wielką gwiazdą himalaizmu. Przystankiem w drodze po kolejne ośmiotysięczniki jest dla niej wyprawa w Andy Patagońskie.

Na szczyt Cerro Torre (3128 m n.p.m.) – na którym nie było dotąd żadnej kobiety – mają wejść oprócz Wandy i Ewy także Ewa Szcześniak, Iwona Gronkiewicz-Marcisz i Monika Niedbalska. Alpinistki chcą pokonać trasę drogą Cesarego Maestriego, który w 1970 roku próbował zdobyć szczyt południowo-wschodnim filarem.

Wanda Rutkiewicz filmuje całą wyprawę i nieraz każe swoim koleżankom powtarzać pewne ruchy, by lepiej się nagrały. Obok zespołu polskiego wspina się norweski. Któregoś dnia podczas filmowania akcji nad Norwegami i Polkami obrywa się ogromny blok lodowy, który powoduje sporą lawinę. Pędzący śnieg omija polskie himalaistki, ale porywa jednego z Norwegów. Mężczyzna zostaje odnaleziony tylko dzięki natychmiastowej pomocy Polek.

Pech nie opuszcza wyprawy. Przeczekają w grocie biwakowej załamanie pogody. Kiedy ta się w końcu poprawia, wyruszają, nie wiedząc jeszcze, jak aura w Patagonii potrafi być kapryśna. Niedługo przed atakiem szczytowym pogoda znów się psuje i zespoły – himalaistki podzieliły się tymczasem na dwie grupy – muszą się wycofać.

Ale Wanda Rutkiewicz będzie tę wyprawę zaliczać do udanych. Przede wszystkim dlatego, że to na niej zaczyna ją łączyć z Ewą Panejko-Pankiewicz szczególna górską chemia.

EWA PROWADZI NA SZCZYT

W lipcu 1990 roku Ewa z Wandą są pod Gaszerbrumami. W zespole są jeszcze Austriaczka Gertrude Reinisch i Pakistanka Shad Meena. Szczyt okazuje się trudniejszy, niż himalaistki przypuszczały. Reinisch i Meena są na ośmiotysięczniku po raz pierwszy, dlatego tylko Polki we dwie podejmują się ataku szczytowego².

Rezygnują z wejścia na wierzchołek prosto z bazy. Muszą przedzierać się przez niemal dziewiczy teren, wysokie śniegi, bo wcześniej w tym sezonie nie było pod Gaszerbrumami żadnej innej ekspedycji. Na wysokości 7100 m n.p.m. spotykają jedynie wyprawę południowokoreańską, zwlekającą, aż ktoś lepszy przetoruje i zaporęczyje drogę.

Długo czekają na polepszenie pogody. Mija cenny czas. Zbliża się termin zakończenia wyprawy, więc kiedy tylko warunki się zmieniają, himalaistki ruszają do góry. Idą wielkim, śnieżnym kuluarem, potem linami poręczowymi, które same wcześniej założyły. A kiedy te się kończą, muszą znowu torować sobie drogę przez śnieg. Mimo sporych wyzwań, jakie stawia przed nimi góra, prą dalej. Szczególnie w dobrej formie jest Ewa Panejko. Momentami Wanda i dwóch Koreańczyków, którzy idą śladami Polek, nie nadążają za nią³.

W końcu zostaje ich trójka, bo jeden z Koreańczyków odstaje daleko w tyle. Każde wspina się oddzielnie. Wieje wiatr, pada lekki śnieg, który zasypuje ślady. Wspinacze nie widzą się nawzajem, idą niemal po omacku. Droga na Gaszerbrum I staje się coraz bardziej stroma. Tak że himalaiści muszą się wspinać krok za krokiem, wbijając w ścianę czubki raków i czekany. To Ewa Panejko-Pankiewicz idzie pierwsza.

Wanda Rutkiewicz pamięta, że podczas wspinaczki było kilka tak zwanych momentów. Polki czekało trudne zadanie: długie podejście, ponad tysiąc metrów do szczytu. Do tego pogoda była kapryśna. Rutkiewicz w rozmowie z Barbarą Rusowicz chyli czoła przed Panejko: „Muszę przyznać, że ten dzień należał do Ewy (...) torowała ten decydujący odcinek, kilkaset metrów do szczytu, i to tak szybko, że nie mogłam jej dogonić”⁴.

Stają na szczycie i ogarnia ich strach. „Bo nie bardzo było wiadomo, jak to zrobić – wspomina Rutkiewicz. – Trzeba w dół, ale którą? (...) Udałam sama przed sobą, że nic nie wiem o tych tonach śniegu nad nami, które mogą się w każdej chwili obsunąć, w każdej chwili ruszyć. Na szczęście nic takiego się nie stało”⁵. Trzeba bezpiecznie zejść. Dla każdego zdobywcy ośmiotysięcznika to wyzwanie. Czas biegnie szybko, jest coraz zimniej, wieje wiatr, ślady znikają pod śniegiem.

Zapada decyzja o biwakowaniu. Wspinacze rozbijają biwak na stromej półce skalnej. Ochroniają się specjalną płachtą, którą na szczęście zabrała ze sobą Wanda Rutkiewicz. Wtedy zaczynają się kolejne kłopoty. Komuś wypada z rąk urządzenie do gotowania wody. Koreańczyk źle się czuje. Ewa łączy się z lekarzami przebywającymi w bazie, opowiada o sytuacji. Na dole zastanawiają się, czy powiedzieć himalaistkom, żeby zostawiły partnera i ratowały własne życie. Na szczęście Ewa znajduje tabletkę, daje ją Koreańczykowi, który dzięki temu trochę odżywa.

Ruszają w dół. Mają trudności z określeniem drogi, związują się liną, poruszają się lodowym podłożem. W pewnym momencie Koreańczyk znów naraża życie towarzyszek, potykając się o którąś z wystających skał. Spada, niemal pociągając za sobą Ewę Panejko. Lód robi się coraz twardszy, a wspinacze mają do dyspozycji tylko jedną krótką, dwudziestometrową linę.

„Kiedy ja stałam na górze, to asekurowany z góry, jako pierwszy, schodził Koreańczyk, a zaraz po nim, wpięta luźno karabinkiem do liny, Ewa. I następowała zmiana”⁶ – relacjonuje mozolną przeprawę Wanda. Polki czuły się niepewnie. Nie wiedziały, czy mogą ufać swojemu towarzyszkowi. Jak wspomni Rutkiewicz: „Koreańczyk, który w nocy ucierpiał najbardziej, schodził już trochę mechanicznie i nieostrożnie”⁷.

Ewa ratuje się przed upadkiem, nie daje się pociągnąć osłabionemu mężczyźnie. Ten w końcu się podnosi, cała trójka odzyskuje równowagę. Dochodzą do namiotu, w którym czeka drugi z Koreańczyków. Okazuje się, że zaliczył lot w dół i cudem nie zginął. Ale w namiocie brakuje gazu. Nie ma więc szans na zagotowanie wody. Trzeba schodzić. Łącznie nie piją już trzy doby. Powoli tracą nadzieję. Nagle Wanda dostrzega poniżej, na przełęczy, migotające światło. To namiot, w którym czekają śpiwory, jedzenie i picie.



Podczas wyprawy na K2 w 1982.
fot. archiwum prywatne Ewy Panajko-Pankiewicz

NIEUDANY PLAN

Jeszcze tego samego roku Ewa Panajko-Pankiewicz będzie towarzyszyć Wandzie Rutkiewicz w drodze na Makalu. Choć „towarzyszenie” to w tym przypadku złe słowo. Na Gaszerbrumach Wanda podziwia tempo i samozaparcie partnerki. Panajko jest szybka i silna, nie odpuszcza mimo złych warunków, jakby chciała wielkiej Wandzie pokazać, na co ją stać. W tym swoim uporze trochę nawet Rutkiewicz przypomina.

Jakie miała plany, o których wówczas wolała milczeć? Chciała, tak jak Reinhold Messner i Jerzy Kukuczka, stanąć na szczytach wszystkich czternastu ośmiotysięczników. Do Korony Himalajów i Karakorum brakowało jej ośmiu wierzchołków: Manaslu, Makalu, Dhaulagiri, Lhotse, Broad Peak, Kanczendzongi, Czo Oju i Annapurny.

Rutkiewicz planowała jedną kilkunastomiesięczną wyprawę, którą nazwała „Karawaną do marzeń”. Główną jej partnerką miała być właśnie Ewa Panajko-Pankiewicz. Jak napisze potem Józef Nyka: „Wanda zakładała, że raz zdobytą aklimatyzację wykorzysta do serii wejść non-stop na wysokie szczyty. Opracowany harmonogram nie uwzględniał warunków pogodowych i czegoś takiego jak wyczerpanie się sił organizmu, czego już wcześniej doświadczyło kilku realizujących podobne pomysły panów. Plan był od początku nierealny”⁸.

We wprowadzeniu go w życie ma Wandzie pomóc Ewa. Partnerka, która udowodniła swoją siłę w trudnych momentach. Ta część koncepcji jednak nigdy się nie spełni. Wanda musi znaleźć innego partnera (wybierze mężczyznę), bo Ewa nie znajduje sponsorów, którzy sfinansowaliby jej udział w wyprawie na Czo Oju w 1991 roku. Rok później, podczas zdobywania

Kanczondzongi, Wanda zaginie w okolicach szczytu.

PRYZSTANEK KOŃCOWY

W 1994 roku Ewa Panejko-Pankiewicz jedzie w Himalaje po raz ostatni. 2 maja wejdzie na szczyt Sziszapangmy.

– Była to wyprawa ku pamięci Wandy Rutkiewicz. Po tej zwycięskiej eskapadzie nie planowałam kończyć kariery, ale też nie paliłam się do kontynuacji mojej górskiej ścieżki – ocenia z perspektywy lat. Ale wtedy zaczęły się jej kłopoty ze zdrowiem i nie było rady.

Niby nic złego się nie dzieje. Nie ma sygnałów, które każą myśleć o najgorszym. Jest tylko rutynowe badanie. Ale Ewa pamięta:

– Zaniepokoiłam się o swoje zdrowie po raz pierwszy w życiu. Postanowiłam zrobić wszystkie badania.

Miała trafne przeczucie. Podczas USG brzucha okazuje się, że śluzówka żołądka jest niepokojąco zmieniona. To wczesne stadium. Nie ma przerzutów – to najważniejsze. Ale trzeba usunąć cały żołądek i okoliczne węzły chłonne.

Po operacji Ewa nie ma łaknienia. Jak sama opisuje: „nie wiem, co to znaczy głód. Jem z przyzwyczajenia”. Dla kobiety, która zawsze była zdrowa i aktywna fizycznie, to duża zmiana. Ale Panejko-Pankiewicz zaakceptowała swoje ograniczenia.

– Pogodziłam się z tym, nie walczę. Wybieram natomiast to, co sprawia mi najwięcej przyjemności, tak w tej chwili żyję – deklaruje.

Czy nie tęskni do gór?

– Pewnie, ale też jakoś specjalnie nie dążę do powrotu. Ciągłe natomiast z wielką przyjemnością przestaję w towarzystwie swoich przyjaciół z gór – zapewnia Ewa. Kiedy była ostatnio w Tatrach? „Dawno temu”.

Parę lat temu żył jeszcze on. Od gałęzi, na której siedział, do betonu, na który spadł, były tylko 2 metry. W głowie zrobił się krwiak.

– Nie wybudził się ze śpiączki farmakologicznej. Do końca reagował na nasze wizyty w szpitalu. Czuł naszą obecność. Tuż przed śmiercią głąskałam go po nodze. Powiedziałam: „Słuchaj, Krzysiek, ty się zbieraj do domu, bo tam wszyscy na ciebie czekamy” – wspomina Ewa Panejko-Pankiewicz. Wtedy po jego policzku spłynęła łza. Następnego dnia umarł.

W kwartalniku „Góry” żegnają go przyjaciele. Piszą szczerze o tym, jaki był. Andrzej „Zenuś” Pilarczyk pamięta długie rozmowy: o polityce, dzieciach, książkach, filmach, ale przede wszystkim – o górach⁹. Jeździli wspólnie w skałki, gdzie trenowali przed wyprawami w Tatry. Zaczynali czasem w połowie lutego. Pojawiali się wtedy w jakiejś wiosce w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i przyciągali spojrzenia mieszkańców oryginalnym wyglądem. Krzysztof Pankiewicz lubił językowe gry. „Panku” lubi rzucić dziwnym zlepkiem słów: „Tak ad hoc circa jebał”, albo przed wyjściem do trudnej wspinaczki – co doprowadza kumpla do szewskiej pasji: „Jaramy, Zenuś, bo to może nasz ostatni”¹⁰. Andrzej Wilczkowski żegna Pankiewicza z nieukrywanyymi emocjami: „Panie Wszzechmogący, Stworzycielu wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych, wszystko się dzieje według Twojej woli. I tak ma być. Tylko nie wiedzieć czemu, my tu płacemy jak te bobry”¹¹.

W ostatniej drodze towarzyszą Pankiewiczowi liczni przyjaciele. Tak zapamiętał to

Aleksander Lwow: „Pogrzeb zgromadził wspinaczkowy tłum, gdyż »Panku« (...) był popularnym i lubianym członkiem naszej sosjety. Widać to było gołym okiem na cmentarzu”¹². Pożegnalne przemówienie wygłosił nestor polskiego alpinizmu, pisarz Andrzej „Wilk” Wilczkowski. Pomstował do nieba, że nie tak miało być. „To ja miałem być pierwszy...” – skarżył się.

Gdy urnę z prochami Krzyśka składano do grobu, rozbrzmiał utwór *Another Brick in The Wall* Pink Floydów. „Taka muzyka, jaki nieboszczyk i jego środowisko – mocna, pełna życia, wspaniała. Smętna w swej naturze *Cisza*, grana na trąbce na polskich cmentarzach od Helu po Zakopane, zupełnie by do zgromadzonego tam towarzystwa nie pasowała”¹³ – pisał Lwow. Tamtą piosenkę pamięta też żona zmarłego.

– *The Wall* tak wstrząsnęła tłumem, że wszyscy zaczęli płakać – wspomina.

ZŁAPAĆ RÓWNOWAGĘ

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych Ewa zaczyna uprawiać jogę, która stanie się nieodłączną częścią jej życia.

– Joga bardzo mnie wciągnęła, byłam zaskoczona, że tak mi się w niej wszystko podoba – opowiada Panejko-Pankiewicz. – Ćwiczyłam wszędzie: w ogródku, w sypialni. Chodziliśmy też wraz z koleżanką i kolegą na zajęcia z instruktorami.

Nie szukała niczego, co jej zastąpi góry. To był przypadek. Nową dyscyplinę polecił jej kolega podczas festiwalu górskiego. A ona z miejsca zapalała miłością do technik jogicznych.

– To był strzał w dziesiątkę – wspomina Ewa.

Ostatnio ma kłopoty z biodrem. Przechodzi operację. Dziś wspiera się na kulach. Ale do jogi wróciła.

– Koncentracja w trakcie praktyki jest podobna do tej, którą przeżywa się podczas wspinania – mówi. – Joga uruchamia nie tylko ciało, ale i umysł. Pozwala oderwać się od codzienności.

Pora kończyć rozmowę.

– Pani Ewo, niech mi pani powie: czy było warto? – zadaję ostatnie pytanie.

– Niech pan sobie pilnie zanotuje: warto, warto, bardzo warto!



Krzysztof Pankiewicz w obiektywie Ewy, lata 70.
fot. archiwum prywatne Ewy Panejko-Pankiewicz

¹ A. Lwow, *Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później*, s. 47.

² Informacja o relacjach W. Rutkiewicz i E. Panejko-Pankiewicz pochodzą z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 130–131.

³ Szczegóły zdobywania Gaszerbrumów pochodzą z książki G. Reinisch *Wanda Rutkiewicz. Caravan of Dreams*, s. 130–131.

[4](#) B. Rusowicz, *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz*, s. 145–146.

[5](#) Tamże, s. 146.

[6](#) Tamże, s. 148.

[7](#) Tamże.

[8](#) J. Nyka, H. Adams Carter, J. Marmet, *Wanda Rutkiewicz. To już dziesięć lat*, tekst napisany dla kapituły Medalu Zasługi im. Króla Alberta I, www.nyka.home.pl, dostęp: 10.04.2017.

[9](#) A. Pilarczyk, *A obiecałeś mi jeszcze...*, „Góry” nr 6 (181), czerwiec 2009, s. 40.

[10](#) Tamże.

[11](#) Tamże, s. 41.

[12](#) A. Lwow, *Zwyciężyć znaczy przeżyć*, s. 47.

[13](#) Tamże.

MATKA O SZEŚCIU RĘKACH



JOANNA PIOTROWICZ



foto. Aleksander Lwow

Droga prowadzi to w górę, to w dół, ostrymi zakrętami między łądeckie skały. Tutaj samochód musi zwolnić. Spokoju tej okolicy nie wolno zakłócać.

Uśmiecha się. Poznaje jej długie, kręcone, jasne włosy. Jaśniejsze niż na zdjęciach. Joanna Piotrowicz mieszka w Konradowie koło Łądka-Zdroju od 1985 roku.



Wraz z mężem kupiła tu stary wiejski dom, w którym ściany i podłogi pamiętają kilka ostatnich wieków. Pod tym adresem założyła najpierw gospodarstwo agroturystyczne, a później szkołę alpinizmu. Wystarczy, że przejedzie z kursantami parę kilometrów i już jest w skałkach.

Zacząła się wspinać jako nastolatka w Górach Sokolich. Eksplorowała Tatry, a wkrótce potem Alpy: Matterhorn oraz wejścia w zespołach kobiecych na Mont Blanc, Mount Maudit, Mount Blanc du Tacul, Grossglocknera; Bałkany i Himalaje w rejonie Langtang. Weszła na najwyższy szczyt całej Ameryki – Aconcaguę (6962 m n.p.m.), była kierowniczką tej wyprawy. W roku 1999 obok himalaistek Ewy Panejko-Pankiewicz, Danuty Wach, Ewy Szcześniak znalazła się w składzie ekipy kobiecej na Czo Oju. W 2000 roku jako druga Polka stanęła na Chan Tengri (7010 m n.p.m.).

Ze swoich wypraw przywiezie stos notatek i dzienników, które staną się materiałem do felietonów publikowanych na łamach „Gór i Alpinizmu” oraz „Taternika”.

„Jest jedną z nielicznych polskich alpinistek, które po urodzeniu dzieci nie zrezygnowały ze wspinaczki na najwyższe góry świata”¹ – napisze o niej dziennikarka Aldona Bejnarowicz. Artykuł zostanie zatytułowany: *Nie porzucę gór nawet dla moich dzieci*. Ciekawe, jak wygląda życie kobiety, żony i matki w górach.

HIMALAISTKA

„Wysoko w górach – nieważne, czy w Tatrach, czy w Himalajach – kiedy każdy ruch wymaga maksymalnej uwagi, kiedy wspina się w stromej ścianie, kiedy szukam występu, którego mogę się chwycić, by podciągnąć się wyżej, nie myślę o dzieciach, które zostały w domu. Wtedy każdy krok, każdy chwyt – to moje być albo nie być. Ale kiedy odpoczywam, zastanawiam się, co u nich słychać. Czy są zdrowe? Czy Zuza odrobiła lekcje? Czy Zbyszek był na angielskim...? To normalne. Kiedy wtulam się w śpiwór, nasłuchując wyjącego za ścianą namiotu wiatru, moje myśli biegną do Konradowa, do mojego domu, do moich ukochanych... Zasypiam, mając pod powiekami widok ich roześmianych twarzy... Tęsknię. Jak każda matka”².

NA DNO DUSZY

Jej droga w góry, jak sama twierdzi, była prosta. Jako dziecko jest bardzo aktywna. Rodzice jej w tym pomagają, a właściwie nie przeszkadzają. Próbuje wszystkiego: narciarstwa, łyżwiarstwa, rowerów, kajaków. W szkole średniej trafia w skałki – i nic jej więcej nie trzeba.

– Wspinanie zapewniło mi wszystkie potrzebne emocje. W tym skupiały się wszelkie wartości, które znajdowałam pojedynczo w innych dyscyplinach – mówi Joanna.

W skałkach spotyka ludzi, z którymi dobrze się rozumie, ale też znajduje adrenalinę, rywalizację, możliwość fizycznego wyżycia się. Od początku radzi sobie dobrze. Jest sprawna fizycznie. Co sprawność oznacza dla niej?

– Trzeba być dobrze rozciągniętym, wytrzymałym, mieć dobrą koordynację ruchową. I motywację do treningów – mówi. – Ja się nigdy nie wspinałam na poziomie sportowym, nie startowałam w żadnych zawodach. To tak jak z innymi dyscyplinami: sportu, sztuki, muzyki – każda z nich wymaga poświęcenia czasu. Zaczynałam się wspinać na początku lat osiemdziesiątych. Najpierw w skałkach, potem na celownik braliśmy Tatry. A potem były Alpy, a gdzieś w tle Himalaje. Tak wyglądała ścieżka rozwoju. Teraz te poszczególne dyscypliny są osobnymi dziedzinami, wspinacz skałkowy nie czuje zupełnie potrzeby wyjeżdżania gdzieś wyżej, a himalaiści często nie przechodzą przez etap skałkowy. Dla mnie to było naturalne.

Nie narzeka na komercjalizację gór. Nie wspomina z rozrzewnieniem dawnych czasów. Dla niej dziś w górach nie jest gorzej niż kiedyś, lecz po prostu inaczej. Choć zwraca uwagę na to, że jeśli chodzi o alpinizm, należy odróżnić sport od komercji.

– Wejście na Everest w charakterze klienta nie jest wyczynem sportowym, a w tej chwili nie jest to już w ogóle żaden wyczyn – mówi Joanna Piotrowicz. – Teraz to jest bardziej zmaganie z samym sobą. Kiedyś rozmawiałam z nieżyjącym już Arturem Hajzerem, który przyznał mi rację, kiedy powiedziałam, że to rodzaj turystyki. Oczywiście na najwyższym, skrajnie wysokim poziomie, jednak turystyki, nie sportu. Człowiek jest pod opieką, ma zaporcęzowaną drogę, ktoś rozbija za niego namioty, podaje mu herbatę. Podchodzi pod górę i wie, którędy będzie szedł. Jest przygotowany.

Joanna woli odkrywać góry na własną rękę. Co w nich znajduje?

– Widocznie góry dają mi to coś, co powoduje, że chcę do nich wracać. Bardzo trudno to coś nazwać – mówi.

Dina Štěrbová w książce o wspinających się kobietach z całego świata podaje najważniejsze – jej zdaniem – usprawiedliwienie ludzkiej obecności w górach, zwłaszcza Himalajach. Pragnienie wspinania się na najwyższe szczyty i podejmowania ryzyka po prostu tkwi w wybitnych jednostkach. „Ta podstawowa i niezbędna dla przetrwania gatunku potrzeba zapisana jest w naszych genach” – pisze Štěrbová³. Dzięki temu ludzkość wciąż ewoluuje.

Štěrbová uważa podejmowanie ryzyka za warunek konieczny ludzkiego rozwoju. „Motywacja ludzi pragnących narażać życie i zdrowie w górach najwyższych jest rodzajem atawizmu mającego źródło u samego początku cywilizacji. (...) Niewątpliwie z jakiegoś powodu istotne jest, żeby ludzkość pielęgnowała tę cechę swojego gatunku, by ta nie zanikła i się nie zdegenerowała”⁴ – pisze. W przeciwnym razie zostalibyśmy niewolnikami cyfrowych technologii, którzy zapomnieliby o bożym świecie.

Według Štěrbovej istnieje jeszcze inne uzasadnienie zdobywania górskich szczytów. Autorka ma na myśli aspekt estetyczny, którego ludzie są spragnieni. Góry są piękne, jeśli nie najpiękniejsze. „Wspaniałe i nieokiełznane, wciąż się zmieniają. Swoim ogromem przybliżają nam wyobrażenie nieskończoności zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, i dają nam tak potrzebne poczucie, że oto przekraczamy kolejne granice. Umożliwiają dialog z absolutem i pomagają porównać hierarchie wartości, odróżnić istotne od nieistotnego, małe od prawdziwego. Człowiek religijny powiedziałby, że góry są dziełem bożym”⁵. Ale nie chodzi tu

bynajmniej o zawłaszczenie gór dla religii, wręcz przeciwnie: o nadanie im uniwersalnego znaczenia. Choć buddyjskie przysłowie, przytoczone przez Štěrbovą, głosi: „Człowiek musi wejść na prawdziwe wyżyny, by mógł spojrzeć na dno swej duszy”⁶. W góry nie ucieka się przed sobą, ale właśnie wychodzi na spotkanie z sobą samym, tym prawdziwym, nie pozbawionym wad.

STUDIA Z GÓR

Na poważnie Joanna Piotrowicz zaczyna się wspinać w 1980 roku w wieku 17 lat. Zaledwie 2 lata później kończy kurs taternicki. Wkrótce może już żyć ze swojej pasji.

– Żeby dotrzeć do stopnia instruktora, musiałam najpierw przejść przez całą ścieżkę kariery taternickiej – opowiada.

Najpierw czekał ją kurs skałkowy i stopień sympatyka. Potem kurs tatrzański i tytuł taternika kandydata. Następny krok to taternik samodzielny, a później, po przejściach zimowych i egzaminie, taternik zwyczajny. Dopiero po przejściu tej ścieżki można było aplikować na kurs instruktorski, niezwykle wymagający. Prawdziwe studia z gór. Istniały wówczas trzy stopnie: młodszy instruktor, instruktor i starszy instruktor. Teraz odpowiednio: instruktor skałkowy, tatrzański i alpinizmu. Potem pojawiła się możliwość zdania egzaminu państwowego na AWF i uzyskania uprawnień instruktora wspinaczki wysokogórskiej.

– Przez wiele lat byłam jedyną instruktorką czynnie szkolącą w Tatrach. Było nas sto kilkadziesiąt, ja – jedyna kobieta. Dziś zawsze powtarzam moim dzieciom, żeby robiły to, co lubią – mówi Joanna Piotrowicz.

Do domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadza się w 1985 roku.

– Lata osiemdziesiąte to w Polsce szarobury czas. Dom na wsi był szybkim sposobem na własny kąt – opowiada. – Znajomi polecili Konradów, mówili, że to taka ładna, urokliwa miejscowość. Przechodząc obok tego domu, stwierdziłam: to będzie ten! Nie wiedziałam nawet, czy jest do kupienia, ale to była miłość od pierwszego wejrzenia. Po niecałym roku, zaciągnięciu różnych kredytów i pożyczek mogłam tu zamieszkać. Budynek był bez bieżącej wody, bez łazienki. Trzeba było to wszystko zrobić.

Nie żałowała wyprowadzki z miasta. Dziś mówi:

– Czuję się tu wyjątkowo na swoim miejscu. To taka moja nisza, jest mi tu dobrze. Dzieci też uważają, że to ich gniazdo, matecznik. Ten dom łączy się ze wspomnieniami. Kształtujemy go według naszego pomysłu. Kilka rzeczy mi w nim doskwiera, ale nie na tyle, żeby myśleć o zmianie. W tej chwili jest dla mnie za duży, dzieci mieszkają w Londynie, ale planują powrót. Mają pomysły na siebie.

KOBIETA IDZIE PO TRUPACH

W czasach głębokiej komuny Joanna wybiera wolność. Szkoląc ludzi w górach, ucieka od szarej polskiej rzeczywistości.

– Wtedy o tym tak nie myślałam – mówi. – Po prostu robiłam swoje.

Zarabia nie tylko na prowadzeniu kursów. Jak większość polskich alpinistów w tamtych

czasach pracuje na wysokościach.

– Miałam odpowiednie uprawnienia wspinaczkowe, więc należałam do nielicznego grona wybrańców. Myłam okna, malowałam budynki, kominy. Robiłam wszystko. Czy się nie bałam? Strach zawsze jest. Jak ktoś mówi, że się nie boi, to albo kłamie, albo jego należy się bać. Strach nas ostrzega przed niebezpieczeństwem. Jeśli włoży się rękę do ognia, to zapieczę. Cofamy ją. Tak samo jest ze strachem przed ekspozycją. Strach jest dobrą rzeczą, ostrzega nas przed tym, że coś jest nie w porządku, wmagamy dzięki niemu czujność. Nie może to być natomiast strach paraliżujący.

Jak w tamtych czasach kobieta radziła sobie w tym na wskroś męskim środowisku?

– Nam kobietom pod pewnymi względami jest trudniej. Szkołę dużo dziewczyn. Podczas wspinania traktuję je tak samo jak chłopaków, bez taryfy ulgowej. Ale jeśli kursantka trafi do zbyt opiekuńczego instruktora, który nie będzie wymagał, tylko się nią opiekował, nie stanie się ona dobrym wspinaczem. To takie ludzkie: jeśli ktoś za kogoś coś robi, to ten drugi się rozleniwia, nie uczy. O mężczyznach, którzy się wspinają, mówi się: niezależny, odważny, twardy, realizuje się mimo niesprzyjających warunków. A o kobietach: kłótniwa, stawia na swoim, idzie po trupach, a przede wszystkim jest wyrodną matką, zostawia dzieci i ryzykuje.

Na przestrzeni lat Joanna Piotrowicz obserwuje jednak pewne zmiany:

– Dziewczyny zaczęły być bardziej samodzielne finansowo. Mam kilka kursantek, które robią teraz Koronę Ziemi i same to sobie finansują. Nie muszą się już pytać, czy mogą.

Joanna przyznaje jednak, że przeważnie kobieta jest słabsza od mężczyzny. Na swoich kursach nie puszcza dziewczyn „na lekko”, ale też nie obładowuje ich tak jak silnego kursanta. Przekonuje:

– Z tym nie należy walczyć na siłę. Tak po prostu jest. My, kobiety, inaczej funkcjonujemy w terenie. Nie gorzej czy lepiej, po prostu inaczej. Nie mamy testosteronu, przeświadczenia, że po nas choćby potop.

W co ubierają się alpinistki? Obecnie kobiece górskie ubranie niewiele się różni od męskiego. Od lat panuje tu wszędobylski uniseks. Ujednocianie ubiorów zaczęło się zresztą już dawno. Joanna Piotrowicz pisze, powołując się na Zygmunta Klemensiewicza: „Strój pań powinien się w swym składzie zbliżać, o ile możliwości, do męskiego. W szczególności konieczne jest na wycieczkach trudniejszych użycie spodni, które i w łatwiejszym terenie znacznie są wygodniejsze od najkrótszych choćby spódniczek. (...) Nie trzeba chyba dodawać, że noszenie w górach gorsetów, wysokich obcasów z korkami, batystowych bluzek i strojnych kapeluszy jest niedopuszczalne (...)”⁷.

„Jak my to robimy? Gdy na którymś z festiwali filmowych w Katowicach żona jednego z reżyserów zapytała mnie na osobności – jak się to robi tam w górach, mając na myśli damskie sikanie, odparłam bez namysłu, że odkąd zostałam instruktorem PZA, sikam na stojąco. Ileż prawdy jest w stwierdzeniu, że największym naszym sekretem jest sam fakt, że w ogóle musimy sikać. Pani Meyer [autorka książki *Ekologiczna defekacja, czyli jak się załatwiać, żeby nie załatwić lasu*] dowodzi, że jeżeli tylko uporamy się z psychiką, to przy odrobinie praktyki my także możemy oddawać mocz „po męsku”, w niedbałej pozie i ze zblazowaną miną, dumne, że sprostaliśmy wyzwaniu, spisując się na medal.

Dziewczynom wspinającym się latem poleca sposób, który nazwałabym „przerwa podczas wspinaczki zapieraczką”. W namiocie idealnym rozwiązaniem jest puszka po kawie. Zaś metodę ze specjalnym lejkiem dla kobiet (stosowaną czasami w żeglarskim) uważam za doskonałą do

wykorzystania w górach wysokich”⁸.

MATKA

Dina Štěrbová, nie tylko autorka książek o górach, lecz również alpinistka, co prawda widzi, że góry przyciągają ludzi do działania bez względu na płeć, ale zauważa także, że cele kobiet i mężczyzn są różne. Pisze: „Ojcowie rodziny z pewnością również niechętnie opuszczają małe dzieci, pomaga im jednak świadomość, że będzie nad nimi czuwała troskliwa matka. (...) Natomiast gdy w góry postanawia jechać kobieta, jej decyzja obarczona bywa rozdzierającymi serce wątpliwościami i wyrzutami sumienia”⁹. Štěrbová mówi tu zarówno o sobie, jak i o bohaterkach swoich książek. Kobietom trudno uwolnić się od dylematów. Jak je przeżywają? Jak rozwiązują? Pisarka podaje różne przykłady życiowych wyborów: „Niektóre alpinistki postanowiły nie mieć dzieci, gdyż uważały, że nie da się pogodzić macierzyństwa ze wspinaczkowym stylem życia. Inne nie chciały być w związkach, gdyż nie spotkały człowieka, który rozumiałby ich pasję, a przecież bez zrozumienia związek jest niemożliwy. Niektóre wspiwały się tylko do momentu, gdy zostały matkami, niektóre nie wyrzekły się ani gór, ani dzieci, a na wyprawy wyjeżdżały z mieszanymi uczuciami”¹⁰. Istniało parę możliwości, żadna nie była idealna.

AŚKA, MASZ U MNIE PORÓD

W Alpy Joanna Piotrowicz po raz pierwszy wyjeżdża w 1984 roku. Dość wcześnie, bo zaczęła się wspinać cztery lata przedtem, w 1982 roku robiła kurs tatrzański – a już dwa lata później jedzie na alpejskie szlaki jako tak zwana delegowana przez Klub Wysokogórski. Mówi, że Alpy może nie są trudniejsze od Tatr, ale są inne, bardziej rozległe, z dłuższymi drogami.

Potem były Himalaje, a następnie siedmiotysięczniki w innych górach.

– Egzotyka zaczyna się już u podnóża gór – opowiada Joanna. – To było wiele lat temu, więc i helikoptery, i sprzęt – wszystko było bardzo archaiczne. Gdy jak się leci starym sowieckim Mi-24, a pod spodem widać szczątki innego, to emocje buzują.

Piękno majestatycznych gór wynagradza jednak wszystko.

W 1987 roku Joanna Piotrowicz jedzie po raz pierwszy w Himalaje w rejon Langtang (na granicy Nepalu i Tybetu). Przed nią szczyty powyżej 7000 m. Zanim jednak zacznie się wspinać, po drodze wyprawowe cargo – ekwipunek, ubrania, jedzenie – zaginie w Moskwie. Ekipa musi zrobić przymusowy postój w Delhi. Himalaiści zostają uwięzieni w stolicy Indii aż na miesiąc. Z nudów szwendają się po mieście i często imprezują. Podczas jednej z takich imprez wyprawowy lekarz – tak się składa, że ginekolog – zapewnia ją: „Aśka, masz u mnie bezbolesny poród!”. Wszyscy wybuchają śmiechem, łącznie z samą zainteresowaną. Jednak już trzy lata później umiejętności wyprawowego lekarza okażą się bardzo potrzebne.

Pewnego razu, po powrocie z Tatr, zaniepokojona różnymi dolegliwościami, zgłasza się na badanie, które potwierdza czwarty miesiąc ciąży oraz poważne komplikacje. Joanna jedzie do ginekologa, który w Indiach obiecywał jej pomoc. Dzięki doktorowi Januszowi Kysiakowi, który wówczas „rodził” wiele wspinaczkowych, „trudnych” dzieci, wszystko kończy się pomyślnie.

„Na świat przyszedł Zbyszek. Tuliłam go, pielęgnowałam i karmiłam. Doświadczalam szczytów, które dotychczas były dla mnie nieosiągalne, a które zdobyć musi każda matka. Nieprzespane noce, paniczny strach po pierwszej gorączce albo niemoc, kiedy nie mogłam ukoić płaczu niemowlęcia... Dawałam mojemu synkowi wszystko, co mogłam, ciągle jednak myślałam o górach, które czekały na mnie, nieporuszone, cierpliwe. Wiedziałam, że chcę, że muszę w nie wrócić... Nie mogłam się doczekać!

Nigdy nie zapomnę, kiedy pierwszy raz udało mi się wyrwać z domu. Zbyszek skończył wtedy roczek. Patrzyłam na Tatry i czułam się tak, jakbym spotykała dawno niewidzianych przyjaciół. Chciałam biec, przytulić się do nich. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Ale całą radość zepsuli mi znajomi, którzy zdziwieni pytali, co zrobiłam z dzieckiem. Dla nich było oczywiste, że kiedy kobieta zostaje matką, automatycznie rezygnuje ze wspinania się.

Bardziej jednak irytujące było to, że pytali mnie, a nie mojego męża. Jakby to była wyłącznie moja sprawa. Jak gdyby wychowanie dziecka należało tylko do matki, a ojciec nie miał żadnych obowiązków. Nie rozumiałam, dlaczego mierzą nas inną miarą. Tak było za każdym razem, kiedy pojawialiśmy się w górach. Ich zdziwienie było jeszcze większe, gdy 2 lata później urodziłam Zuzię i niedługo potem znów wybrałam się na wspinaczkę. Na początku próbowałam tłumaczyć swoją obecność w górach, ale niewielu było takich, którzy chcieli przyjąć moje argumenty.

Nie wiem dlaczego, bo przecież ci, którzy kochają góry tak samo jak ja, wiedzą, że nic nie zastąpi smaku zwycięstwa na szczycie ani zachodów słońca, kiedy kolory nabierają wyrazistości i czujesz otaczający cię świat każdą komórką ciała...”¹¹.

SZCZĘŚLIWA MATKA, SZCZĘŚLIWE DZIECI

Joanna do dziś nie rozumie, skąd to inne traktowanie kobiet w górach, teraz jednak podchodzi do tej kwestii z większym dystansem. Żartuje, że wspinająca się matka po prostu ma sześć rąk.

– Z perspektywy czasu nie wiem, jak ja to wszystko ogarniałam – przyznaje.

Praca, dom, kursy w skałkach, Tatrach, wyjazdy na wyprawy.

– Kiedy pojawiły się dzieci, stwierdziłam, że trzeba te kursy robić bliżej, w skałkach łądeckich. Krótko mówiąc, praca przyjeżdżała do mnie. Gdy wyjeżdżałam w Tatry, pomagały mi koleżanki, rodzina. Czysta logistyka – opowiada o trudach pogodzenia pasji z życiem codziennym. – Ale nigdy nie żałowałam swoich decyzji – dodaje z przekonaniem.

„Kiedy wyruszam na kolejną wyprawę, nie mam wyrzutów sumienia. Wiem, że o wiele gorzej czułabym się, rezygnując z realizowania swoich marzeń. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że nigdy już nie poczuję wolności, której zaznać możesz tylko wtedy, gdy stoisz na szczycie i nic nie zasłania nieba, kiedy czujesz w sobie siłę i wierzysz, że możesz dokonać wszystkiego. Takie życie to nie dla mnie. Byłabym zwyczajnie nieszczęśliwa. A czy nieszczęśliwa matka może wychować szczęśliwe dzieci? Moim zdaniem – nie.

Myślę o nich, kiedy tylko mogę sobie na to pozwolić. Gdy zesłiśmy z Chan Tengri, natychmiast zadzwoniłam do domu. W Polsce był wtedy środek nocy. Dzieci spały, ale wiedziałam, że mój telefon będzie dla nich miłą niespodzianką, że tęsknią za mną, tak jak ja za nimi. Przypominały mi o nich dwie ulepione z modeliny figurki, które czułam w kieszeni polaru, kiedy tylko wkładałam tam rękę”¹².



Joanna Piotrowicz: „My kobiety funkcjonujemy w górach inaczej. Nie mamy testosteronu. Tego przeświadczenia, że po nas choćby potop”.

fot. Janusz Czermak

¹ Aldona Bejnarowicz, *Nie porzucę gór nawet dla moich dzieci*, „Olivia”.

² Fragmenty artykułów Joanny Piotrowicz publikowanych w ogólnopolskich czasopismach; z prywatnego archiwum Joanny Piotrowicz.

³ D. Štěrbová, *Tęsknota i przeznaczenie. Pierwsze kobiety na ośmiotysięcznikach*, Katowice 2016, s. 24.

⁴ Tamże.

⁵ Tamże, s. 25.

⁶ Tamże, s. 25–26.

⁷ J. Piotrowicz, *Z kobietą na jednej linii*, „Góry i Alpinizm”, nr 3 (27), 1996.

⁸ Fragmenty artykułów Joanny Piotrowicz publikowanych w ogólnopolskich czasopismach; z prywatnego archiwum Joanny Piotrowicz.

⁹ D. Štěrbová, *Tęsknota i przeznaczenie. Pierwsze kobiety na ośmiotysięcznikach*, s. 27.

¹⁰ Tamże.

¹¹ Fragmenty artykułów Joanny Piotrowicz publikowanych w ogólnopolskich czasopismach; z prywatnego archiwum Joanny Piotrowicz.

¹² Fragmenty artykułów Joanny Piotrowicz publikowanych w ogólnopolskich czasopismach; z prywatnego archiwum Joanny Piotrowicz.



fot. EAST NEWS



CZEŚĆ II

DZIŚ

UCHWYCIĆ STRACH



KINGA BARANOWSKA



fot. Kinga Baranowska

Wiosną 2009 roku Kinga Baranowska staje na wierzchołku Kanczendzongi jako pierwsza Polka w historii. Zdobywa górę 17 lat po tym, jak próbowała to zrobić Wanda Rutkiewicz. Wyprawę poprzedzają długie przygotowania.

– Najpierw w mojej głowie musiał zajść pewien proces – mówi Kinga Baranowska. – Kiedy wybierałam się na Kanczendzongę, wiedziałam, że były tam tylko dwa wejścia kobiece.



Tylko jedna z kobiet, które się tego podjęły – Gerlinde Kaltenbrunner – żyła. Wcześniej wiele zaginęło lub zginęło. Statystyka nie była więc zachęcająca.

Z dylematem mierzy się, jak mówi, długo przed wyprawą, przez dobre kilka lat. Zastanawia się: o co, do cholery, chodzi w tej górze, że tak „wycina” kobiety? Co takiego się dzieje, że nie wchodzi, wycofują się lub giną? Przez pięć lat przed wyjazdem polskiej himalaistki na Kanczendzongę nie rusza ani jedna wyprawa z całego świata. Jak więc zorganizować wyprawę, na którą nikt nie chce pojechać?

Zaczyna się znów bliżej interesować Wandą Rutkiewicz, postacią, o której już we wczesnej młodości namiętnie czytała. Analizuje, jak himalaistka próbowała zdobyć górę. Czyta biografie innych kobiet, które podejmowały się podobnego wyzwania. Przegląda statystyki, sprawdza miejsca, w których następowały wycofy. W końcu – jak twierdzi – zna niemal każdy metr Kanczendzongi, dokładnie wie, jak przebiega droga, które miejsca są kryzysowe i gdzie znajdują się „czarne punkty”, na które szczególnie trzeba uważać.

Gdy uznaje, że są odcinki drogi, których może nie przejść, jedzie w Tatry potrenować. Nie jest pewna, czy we wszystkich momentach starczy jej kondycji, więc zmienia własny trening. Wie, że Kanczendzonga jest nie tylko wysoka, ale także bardzo rozległa. Kinga zaczyna więc regularnie biegać, żeby zwiększyć fizyczną wytrzymałość, choć wcześniej tego nie robiła.

– Długo zastanawiałam się, czy jestem właściwą osobą na właściwym miejscu, czy to jest właściwy moment – wspomina Baranowska. – Uznałam, że jeśli nie odpowiem sobie twierdząco na te wszystkie pytania, nie mam czego szukać na Kanczendzondze.

Tuż przed wyjazdem ma w głowie całą drogę.

– Niezwykle ważne jest, żeby przygotować się tak, jakby na tę górę weszło się już wcześniej – mentalnie. Na miejscu nie możesz sobie zadawać pytań: po co tutaj jestem, co mam teraz zrobić? Na to jest już za późno – tłumaczy himalaistka. Przyzna, że Kanczendzonga okaże się najtrudniejszym ośmiotysięcznikiem w jej życiu.

Pierwszego dnia, jeszcze w Kathmandu, dowiaduje się, że na Dhaulagiri ginie Piotr Morawski, z którym Kinga była razem na dwóch ośmiotysięcznikach: Broad Peak i Nanga Parbat. Jest jedyną osobą z Polski na wyprawie.

Na wierzchołku wyciąga kamerę i filmuje. Pogoda jest ładna, powietrze przejrzyste. Powolne ujęcie sąsiednich szczytów zapiera dech w piersiach. Widzowi udziela się podniosła, niemal dramatyczna atmosfera. Słysząc szybki, urywany oddech Kingi, która zwraca się wprost do obiektywu:

– Wierzchołek Kanczendzongi. 8600. Kanczendzonga. Ten szczyt dedykuję Wandzie

Rutkiewicz. Wiem, że mi pomagała tutaj. Dziękuję jej bardzo.

TE SAME PYTANIA, INNE ODPOWIEDZI

Spotykamy się w hotelu w Zakopanem. Długo szukamy miejsca, w którym moglibyśmy spokojnie porozmawiać. Siadamy z kawą na hotelowym tarasie. Słońce wschodzi coraz wyżej, więc stopniowo, z pytania na pytanie, cofamy się w przyjemny cień. W oddali widzimy Tatry, w których Kinga zaczynała z licencją studenckiego przewodnika.

– Podobno nie lubisz pytania o to, dlaczego chodzisz po górach – zaczynam.

– Często je słyszałam. Poza tym odpowiedź na nie będzie inna, kiedy ma się 20 lat, a inna 20 lat później – mówi. – Z każdym rokiem – mam nadzieję – stajemy się trochę inni, dojrzałsi.

– Jakie byłyby odpowiedzi w twoim przypadku? – naciskam.

– Kiedy miałam 20 lat, to była pewnie ogromna ciekawość, entuzjazm, zachwyt. Kiedy znalazłam się w Tatrach na pierwszym, drugim, trzecim szczycie, miałam poczucie, że jestem metr nad ziemią, w jakimś niesamowitym miejscu. Rozpierała mnie energia. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale chciałam tu wracać. Wiedziałam, że mnie to wzbogaci jako człowieka, chociaż wtedy nie rozumiałam, co to znaczy. Zaczęłam więc coraz częściej jeździć w Tatry, chociaż dla mnie, pochodzącej z Kaszub, była to długa wyprawa. Z biegiem lat i wraz z kolejnymi wyprawami te odpowiedzi również się zmieniały. Pierwszy ośmiotysięcznik był spełnieniem marzeń, zwieńczeniem długiej drogi, którą przeszłam przez Alpy, góry Tien-szan, kursy w klubach wysokogórskich i bycie z ludźmi ze środowiska. Dziś mam na koncie dziewięć 8000 m, w tym trzy zdobyłam jako pierwsza Polka w historii. Powyżej ośmiu tysięcy metrów byłam kilkanaście razy, bo oprócz sukcesów było też kilka nieudanych prób. Dziś moja motywacja jest więc inna, dużo bardziej złożona i głębsza. Mam mnóstwo doświadczeń. Pięknych i trudnych.

Zapytana o złe doświadczenia, Kinga Baranowska protestuje. Nie chce ich dzielić na „złe” i „dobre”, te słowa nie oddają prawdy. I nawet jeśli ma w pamięci jakieś trudne i bolesne doświadczenie, jest ono dla niej doświadczeniem wzbogacającym. Choć niektórych z pewnością nie chciałaby powtarzać.

Pamięta sytuację z początków wspinania. Ma wtedy idealistyczne, romantyczne wyobrażenie o ludziach ze środowiska. Ale okazuje się, że nie wszyscy tacy są. W pewnym momencie, jak wspomina Baranowska, z jej oczu „spada zasłona”. Przekonuje się, że człowiek pozostaje człowiekiem niezależnie od scenerii. Potrafi być w porządku, ale może też nie okazać braterstwa, solidarności.

– Nie lubię uogólniania, dzielenia ludzi na „dobrych” i „złych”, jakby nie było nic pomiędzy. Tymczasem bywamy po prostu słabi. I tej słabości bardzo się boimy, wstydzimy. A w górach ciągle się z nią mierzymy. Ja też bywam – mówi. – Wyznaję zasadę, że człowiek powinien się starać być dobry każdego dnia. I to, że kiedyś zachowałam się *fair*, nie zwalnia mnie z odpowiedzialności za to, jak zachowuję się dzisiaj.

Twierdzi, że każdy wspinacz prędzej czy później zmierzy się z dylematem: poświęcić siebie i pomóc drugiemu, czy za wszelką cenę przeć do przodu.

– Może miałabym dzisiaj więcej szczytów, gdybym nie musiała się wycofywać i udzielać komuś pomocy – przyznaje. – Ale na pewno każda z takich sytuacji zbudowała mnie jako człowieka i niczego nie żałuję.

KASZUBSKI KRĘGOSŁUP

Pochodzi z Łebna, wsi pod Wejherowem. Rodzice mieli małe gospodarstwo. Dla Kingi pomaganie w pracy na roli jest czymś naturalnym, nad tym się nie dyskutuje. Pije mleko prosto od krowy, bawi się z innymi dziećmi na świeżym powietrzu. Po szkole nieraz pomaga w żniwach, sianokosach, zbieraniu truskawek, porzeczek. Do tej pory w jej domu rodzinnym, do którego stara się wracać, wypieka się własny chleb.

Dziś Kinga uważa (choć nie zawsze tak było), że wychowanie na wsi ma mnóstwo zalet. Uodparnia, zapewnia fizyczną wytrzymałość, kontakt z naturą. Kasprowy? Jak powie, będzie go zdobywała „jak bułkę z masłem”. Tatry, przynajmniej na początku, nie są dla niej żadnym ogromnym wysiłkiem, wyczynem. Od dziecka jest zahartowana, nie boi się wyzwań, także dla własnego organizmu.

W jej szkole nie ma profesjonalnych sportowych fakultetów, jest kilku nauczycieli z pasją w oku, którzy dbają, żeby uczniowie nie zaniedbywali też rozwoju fizycznego. Nie nazwałaby siebie typem prymuski, ale nauka w dzieciństwie i młodości jest dla niej ważna. W ocenach i zachowaniu bywa najlepsza w klasie. Powód? Głównie wychowanie przez rodziców, którzy przywiązywali do tego wagę, Kaszubów z krwi i kości.

– Wydaje mi się, że Kaszubi mają charakter, kręgosłup – mówi. – Rodzice zawsze powtarzali, że cokolwiek robimy, mamy to robić dobrze, uczciwie. To niby banał, ale dla mnie to bardzo ważne. Dziś jestem rodzicom wdzięczna za wiele postaw, które wtedy mogły mi się wydawać nieznośne.

Wychowuje się w przekonaniu, że jako osoba dorosła powinna zacząć sobie radzić sama.

– Wiem, że dziś może to brzmieć dziwnie, bo bywa, że ludzie mieszkają z rodzicami do trzydziestki – zauważa. – W mojej rodzinie dzieci usamodzielniały się dość wcześnie.

W wieku 19 lat Kinga wyprowadza się z domu. Wyjeżdża na studia – najpierw geografię – do Gdańska. Na początku mieszka w akademiku i dziś wspomina ten czas intensywnie, bo „dużo się działo”. Dużo wtedy trenuje, ale też dużo się uczy. Wystarczy wyjść na korytarz – i już jest na imprezie. Zarywa noce i nad książkami, i na balangach. Dzięki temu, jak mówi, zdążyła się naimprezować. W odpowiednim momencie życia miała już inne potrzeby. Już w trakcie studiów dorabia: w sklepiku studenckim i różnych knajpach, sprzedaje też książki na Monciaku w Sopocie. Od czwartego roku studiów pracuje w dużej firmie na część etatu.

Od zawsze marzyła o geografii. Studiuje również ekonomię jako drugie studia magisterskie, ale ich nie kończy. Coraz więcej przebywa w górach – w Tatrach i Alpach.

Studia to jedno, ale doświadczenie zdobywa także w górach, i to coraz wyższych. Wspina się głównie w Alpach, które uczą ją dbania o bezpieczeństwo i asekuracji.

– Tatry zimą są ogromnym wyzwaniem.

Czy jeśli ma na koncie wspinaczki w Alpach, jest już „doświadczoną alpinistką”?

– To nie tak. Można przez całe życie jeździć w Tatry, a i tak pewnych dróg pewnie nigdy nawet „nie dotknę”. Tatry, szczególnie zimą, są ogromnym wyzwaniem. Można mieć pole do popisu do końca życia.

Kinga znajdzie je już niedługo – w 2003 roku – w Himalajach. Wcześniej jednak uczestniczy w kilku wyprawach na pięcio-, sześć- i siedmiotysięczniki. Zdobywa Chan Tengri od strony południowej. Skoro jest już na siedmiu tysiącach – myśli – może warto spróbować o tysiąc

wyżej, choć to inna trudność, zupełnie inne warunki dla ludzkiego organizmu? Nie ciągnie jej do Everestu, którego nie zdobędzie do dzisiaj. Na początku nie próbowała dlatego, że – jej zdaniem – nie zaczyna się od najwyższej góry świata. Dziś powodem są tłumy, które ustawiają się w kolejce, żeby zdobyć Everest, i w związku z tym trudno na niego wejść bez tlenu. Można się odmrozić, stojąc długo w miejscu, ale od początku chciała wchodzić na ośmiotysięczniki bez wsparcia butli z tlenem.

Pierwszym ośmiotysięcznikiem stanie się dla niej Czo Oju.

LEGENDA Z BLISKA

Kiedy dziś Kinga wspomina siebie z roku 2003, widzi odważną dziewczynę przekonaną o własnych umiejętnościach, ale nie mającą doświadczenia. Choć zastrzega, że za 20 lat będzie podobnie patrzeć na siebie z dziś, to jednak mówi:

– Wtedy rzeczywistość okazała się inna. Miałam dobrą kondycję i jako takie przygotowanie techniczne, ale brakowało mi pokory i cierpliwości. To częste podejście kogoś, kto robi coś po raz pierwszy. Czuje entuzjazm, euforię, jest optymistą. Nie boi się. Bo nawet nie wiadomo czego ma się bać. Żeby zacząć się bać, najpierw musisz ten strach „uchwycić”, nazwać.

Na Czo Oju (8201 m) okaże się, że ma za mało doświadczenia w terenie. Jak mówi, we wspinaczce są *rules and principles* – i w jej przypadku tego drugiego zabrakło.

O swoim pierwszym ośmiotysięczniku opowiada tak:

– Nawet jeśli czujesz się dobrze, wydaje ci się, że jesteś mistrzem świata, to pewnych rzeczy nie należy „przeskakiwać”. Trzeba je zrobić cierpliwie, krok po kroku. Wtedy się poddmrażałam i była to dla mnie ogromna naučka, ale też lekcja zarazem. Dowiedziałam się wszystkiego o dobrej aklimatyzacji i profilaktyce przed odmrożeniami. Kiedy widzę, że ktoś nie przestrzega pewnych norm, potrafię go upomnieć.

Nie tylko własne przeżycia budują wspinacza, ale także autorytety.

– Niektóre drzwi zostały już wyważone. Warto się uczyć od ludzi bardziej doświadczonych – tłumaczy Kinga.

Uwielbiała opowieści ludzi gór, mentorów. Na Czo Oju pojechała wprawdzie z dwójką niemal równolatków, między innymi z Sylwią Bukowicką, później miała jednak okazję podpatrywać „starszyznę”.

Piotr Pustelnik spotyka Kingę Baranowską jeszcze w 2002 roku.

– To był chyba festiwal filmowy – opowiada zdobywca Korony Himalajów. – Podeszła do mnie, zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła, że wybiera się na Czo Oju. Potem kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Nie miałem oporów przed dzieleniem się wiedzą z młodą, początkującą alpinistką. Przeciwnie: dla mnie to obowiązek, by przekazywać doświadczenie. Większość naszych rozmów krążyła wokół spraw technicznych, jak używanie radiotelefonu, odżywianie, ubiór. Dla Kingi stało się to niemal obsesją.

Jak Baranowska odnalazła się w górskim środowisku?

– Na początku było ono zamknięte. Wydawało mi się niedostępne i odległe – mówi. – Ale tak bardzo kochałam góry i tak mocno chciałam w nich być, że tylko to mnie interesowało. Jeździłam na różne festiwale, działałam w Klubie Wysokogórskim w Trójmieście a potem w Warszawie, uczestniczyłam w tatrzańskich obozach. Zauważyłam, że między moim

pokoleniem a pokoleniem tych wielkich jest duża różnica wieku, niemal przepaść, także jeśli chodzi o doświadczenie. Oni byli bardzo zaawansowani, potem następowała luka, a potem byliśmy my, młodzi. Nie było między nami łącznika. Jednak udało nam się zawiązać relacje i współpracować.

Do tego stopnia, że na kolejny ośmiotysięcznik Kingę zaprasza legenda polskiego himalaizmu Piotr Pustelnik.

– Piotr zawsze był życzliwy i kontaktowy, interesował się nami – mówi Baranowska.

– W 2006 roku już wiedziałem, że Kingę stać na duże rzeczy – mówi Pustelnik. – Przez skórę dało się wyczuć, że mam przed sobą materiał na doskonałą himalaistkę. Miała cechy ludzi dużych gór, i to ludzi przez wielkie „L”.

Jakie to cechy?

– Trudno je nazwać. Po prostu obserwujemy kogoś i widzimy: jak się zachowuje, jak słucha, jak reaguje na trudne sytuacje, nawet jak się porusza. To rodzaj trudnego do określenia talentu do gór. Kinga to miała. Prezentowała postawę, którą nazywamy „*get up and go*”: jeśli trzeba działać – po prostu wstaje i działa. Już wtedy było po niej widać, że jest gotowa wewnętrznie, że wszystko ma doskonale poukładane. Takich osób spotkałem w życiu kilka. Wśród nich była właśnie Kinga.

Na Broad Peak Kinga Baranowska obserwuje swego mentora z bliska. Dziś przyznaje, że taka możliwość jest dla młodego wspinacza niemal bezcenna. Chociaż Pustelnik ma już swój wiek, to młodych bije doświadczeniem o kilka długości. „Sprzedaje” Kindze „tipy”, drobne umiejętności, porady. Proste, ale jakże ważne.

– Mając taki przykład, miałam wrażenie, że wskoczyłam ileś poziomów wyżej – mówi Kinga. – To naprawdę wiele daje.

22 lipca 2006 roku punktualnie o północy dzwonią nastawione budziki. W obozie III Kinga Baranowska razem z międzynarodową ekipą zjada mały posiłek i rusza do ataku. Porównuje Karakorum do ośmiotysięczników w Tybecie: tu jest zdecydowanie cieplej, chociaż i tak, mając na sobie cienką puchową kurtkę, Baranowska trochę marznie. Po godzinie drogi zostaje sama z trójką Basków, reszta się wycofuje. Na drodze na szczyt zalega sporo śniegu. Niedługo na horyzoncie przed oczami wspinaczy rozpościera się słynny przedwierzchołek Rocky Summit, za nim – sam szczyt. Kinga Baranowska poprawia skarpetki – ma już wtedy doświadczenie odmrożeń z Czo Oju. Nagle jej partner Roberto „Gorri” Rojo „traci paliwo”, nie może iść. Kinga zostaje z nim sama, pilnuje, żeby jadał. Na szczęście Bask powoli odzyskuje siły, ale nie decyduje się tego dnia na atak, namawia Kingę, żeby goniła przodującą dwójkę.

Na szczycie Kinga staje w blasku słońca. Ale na razie nie pada w euforię – wie, że przed nią i resztą ekipy trudne zejście. Schodzą bezpiecznie. Dwa dni później – już w bazie – świętuje swoje imieniny przy konfiturach i hiszpańskich oliwkach. Na zdjęciu z imprezy siedzi obok Piotra Pustelnika. „Mówi najciszej z naszej głośnej i wybuchowej międzynarodowej mieszanki – napisze o nim Kinga po powrocie – lecz gdy mówi – wszyscy uważnie słuchają”¹.

HIMALAISTKA ZA BIURKIEM

Przed każdą trudną wyprawą musi odpowiedzieć sobie na pytanie: czy jeśli nie zdobędę szczytu, mam do czego wracać?

– Jak na nie odpowiadasz? – pytam Kingę.

– Świadomie nie chcę stawiać gór w moim życiu na pierwszym miejscu. One są ważne, kocham je, ale nie chcę, by przesłaniały mi inne rzeczy. Ważna jest dla mnie rodzina, przyjaciele, relacje z ludźmi bliskimi i dalszymi, praca i niestanie w niej w miejscu, czyli całe mnóstwo rzeczy – mówi pewnie.

Nasza rozmowa na chwilę schodzi na sprawy codzienne. Himalaistka przyznaje, że nigdy nie mogła sobie pozwolić na niezarabianie pieniędzy. Musiała myśleć o zapłaceniu rachunków, raty kredytu i o tym, co jutro włoży do garnka.

– Nie jest dobrze być oderwanym od rzeczywistości – mówi. – Super jest być w górach, uwielbiam to w każdej postaci – tatrzańskiej, himalajskiej, bieszczadzkiej. Ale aby być w górach, ponad chmurami, trzeba też twardo stąpać po ziemi. Żeby nie odlecieć. I żeby pamiętać, że moje życie jest tu, na nizinach.

Na pierwsze ośmiotysięczniki weszła, pracując w korporacji (branża: teleinformatyka). Nieraz pracuje i załatwia logistykę swoich spraw do 22.00 po to, żeby móc potem pójść na urlop i wyjechać w góry. Kiedy wraca z wyprawy, siada za biurkiem i przejmuje część obowiązków osoby, która zastępowała ją pod jej nieobecność.

– Lubiłam tę pracę, ale w pewnym momencie już nie dawałam rady ze zmęczenia. Miałam poczucie, że i tu, i tu nie jestem dobrze przygotowana, co mogło wpłynąć na moje bezpieczeństwo – mówi.

Lubi pracę w firmie głównie dlatego, że może się uczyć, rozwijać. I kontaktować z ludźmi. Doświadczenie, jakie z tego wyniesie, będzie mogła wykorzystać w organizacji wypraw, rozmowach z ludźmi, negocjacjach z agencją, sponsorami i w prowadzeniu własnej działalności. Praca uczy ją samodzielności. Przygotowuje do etapu, na którym znalazła się teraz – wolnego strzelca, który sam musi sobie pracę zorganizować.

– Dzięki tamtej pracy okrzeplam – zauważa.

Twierdzi, że w góry nie ucieka.

– My, Polacy nie musimy uciekać obecnie w góry za granicę, mamy Tatry. Nie jest tak jak za czasów Wandy czy Krzyśka Wielickiego, którzy wielokrotnie mówili, że chcieli uciec od szarej komunistycznej rzeczywistości. Dla wielu z nich ważne było, żeby w ogóle zdobyć paszport. Ja nie muszę tego robić, mam paszport w szufladzie. Jestem zadowolona ze swojego życia tutaj – podsumowuje.

Choć sama nie chce tego przyznać, nieraz wykazuje się ogromną siłą. Katarzyna Skłodowska, partnerka Kingi Baranowskiej z Dhaulagiri w 2008 roku, tłumaczy:

– Organizm Kingi jest bardzo odporny na oddziaływanie dużych wysokości. Ona ma niesamowitą zdolność aklimatyzacji, bardzo dobrze toleruje wysokość. A bywa różnie. Kobiety generalnie są słabsze fizycznie, chyba nie aklimatyzują się najlepiej. Kinga to ma.

Piotr Pustelnik:

– Na Broad Peak po jednym wyjściu do góry czuła się źle. Tak samo jak jej ówczesny partner. On do końca wyprawy miał złe samopoczucie, a Kinga zaaklimatyzowała się po następnym wyjściu. Szybko dostosowywała się do warunków i uczyła się na błędach. Po odmrożeniach na Czo Oju nigdy więcej do nich nie dopuściła.

– Innym czynnikiem, który wpływa na sukcesy Kingi w górach, jest na pewno jej silny charakter – dodaje Katarzyna Skłodowska. – Żeby się nie poddawać, iść do góry mimo

przeszkód, trzeba być bardzo wytrzymałym psychicznie.

NANGA POZWALA WEJŚĆ

Na Nanga Parbat w 2007 roku² w Pakistanie Baranowska znów wspina się z Roberto „Gorrim” Rojo. Działają tu cztery wyprawy, nie ma żadnego Pakistańczyka wśród wspinaczy, bo mówią o tej górze: *killer mountain* (góra zabójca). Kinga jest jedyną kobietą na tej wyprawie. Po kilku dniach akcji górskiej na 7000 m, znacznie powyżej bazy, która mieści się 4100 m n.p.m., są mocno zmęczeni.

Na atak szczytowy umawiają się z trzema Chilijczykami. Okazuje się jednak, że kierownik ich wyprawy zakazuje im wyjścia, do ataku wyznacza inne osoby z ich kraju, w innym dniu. Tak więc spotykają się z niemal już egzotycznym (z lat osiemdziesiątych i wcześniejszym) stylem zdobywania góry.

Kinga wraz z Gorrim jest już ponad 10 dni poza bazą. Himalaistka czyta SMS-a od znajomej osoby, która ją wspiera i doradza cierpliwość. Pomaga. Baranowska postanawia działać. Odkopać namiot, nagotować wody. Sporo roboty przed wyjściem.

W drodze na szczyt wraz z partnerami przedzierają się przez śnieg. Po trzech godzinach Kinga czuje, że odmraża palec u stopy. Jest stromo, zdejmując but, musi bardzo uważać, ale nie może sobie pozwolić na odmrożenia. Ściąga więc jedną część buta i masuje palce. Zabieg pomaga.

Na szczyt Kinga dociera wraz ze świtem. Łączy się z bazą, słyszy gremialne „hurrra!” z gardeł Piotrka Morawskiego i Petera Hamora. Stoi obok kilku Chilijczyków, którzy po raz pierwszy w historii osiągają szczyt Nangi, ale są chyba niezbyt ukontentowani widokiem kobiety. Kinga obserwuje szczyty, które zdobyła już wcześniej. W sercu ma ogromną wdzięczność z powodu wejścia i jednocześnie wielką prośbę, by zejść bezpiecznie do bazy, która znajduje się ponad 4 km niżej. W końcu to tam jest „meta”, a nie tu na szczycie.

Kariera himalaistki nabiera tempa. Jednego roku – 2008 – zdobędzie aż dwa ośmiotysięczniki: Dhaulagiri i Manaslu, jako pierwsza Polka w historii.

Na Dhaulagiri znajdzie się w zespole z himalaistką z Olsztyna Katarzyną Skłodowską. Himalaistki działają zgodnie, same wynoszą w górę cały ekwipunek, łącznie z namiotami. Kindze udaje się zdobyć szczyt, choć tego roku na Dhaulagiri panuje prawdziwy tłok (są światowej sławy wspinaczki, między innymi Edurne Pasaban czy Gerlinde Kaltenbrunner), a problemy zaczynają się dopiero przy zejściu. Ich przyczyną nie jest jednak pogoda, ale człowiek.

Historia, którą opowiada Katarzyna Skłodowska, pokazuje charakter Kingi Baranowskiej:

– Podczas zejścia Kinga trafiła na zespół zagranicznych wspinaczy – nieważne skąd, nazwiska są nieistotne. W każdym razie jeden z nich nie wziął ze sobą czołówki – lampy, która oświetla drogę przed himalaistą. Kinga na niego czekała. Kosztem własnego zdrowia, bo długie przebywanie na wysokościach jest bardzo groźne. Pomagała wspinaczowi bezpiecznie zejść, świeciła mu własną czołówką.

– Solidarność w górach jest elementem naszego himalaistycznego „dekalogu” – komentuje Piotr Pustelnik. – Pomoc partnerowi powinna być w nas głęboko „zaszyta”. Jeśli ktoś nie ma tej elementarnej empatii, nie można go nazwać człowiekiem gór.



Makalu. Rok 2013.
fot. Rafał Fronia

GÓRY, CZYLI DOBRO I PIĘKNO

W 2009 roku Kinga Baranowska staje na scenie podczas ważnego dla ludzi gór wydarzenia – wręczania Kolosów. Otrzymuje nagrodę w kategorii alpinizm za 2008 rok. Jej wybory znajdują potwierdzenie, staje się uznana, doceniona. Czy nagroda ją zmienia?

– Dokładnie nie pamiętam, ale mogło być tak, że odebrałam Kolosa i za chwilę pojechałam na kolejną wyprawę. Byłam wtedy tak bardzo w środku gór, że nie miałam głowy do żadnych nagród – mówi Baranowska. – Nie chcę powiedzieć, że nie szanuję nagród, że jestem ponad to. Nie. To fajne docenienie ze strony środowiska, taki uścisk dłoni: „dobra robota”. Ale wtedy Kolos wylądował na parapecie, a ja wzięłam torbę i za chwilę byłam w Himalajach. Myślę, że nie miałam nawet czasu pomyśleć, czy mnie to zmieni, czy nie.

Słońce wschodzi coraz wyżej i coraz mocniej świeci nam w oczy. Znowu więc przesuujemy stolik w cień.

– Czego nauczyło cię bycie w górach? – pytam Kingę Baranowską.

– Więcej: ono mnie ukształtowało! – odpowiada. – Góry były i są – chociaż teraz może mniej – podstawą mojej wyobraźni, myślenia o świecie. Gdybyśmy mieli mówić o takich pojęciach jak piękno, dobro, szlachetność, miłość, drugi człowiek – większość z nich dojrzała tak naprawdę w górach. Piękno to stanie na szczycie góry – ze szczytu jest dla mnie najpiękniejszy widok na świecie, mistyczny, zahaczający o tajemnicę. Dobro to drugi człowiek i to, ile mu dałam i ile od niego otrzymałam: milion rzeczy, głupi kubek herbaty w bardzo trudnych momentach. Przekonanie, że można na ludzi liczyć. Relacje międzyludzkie to partnerzy, przyjaciele górscy: Kasia Skłodowska, Ferran Latorre, Piotrek Pustelnik, Gerlinde Kaltenbrunner i mnóstwo innych osób z Polski i zagranicy, które bezinteresownie coś dla mnie zrobiły i spowodowały, że ja też mogłam otworzyć swoje serce w taki sposób. Nie znałam siebie od niektórych stron, a dzięki górcom wiele się o sobie dowiedziałam.

– Czego na przykład? – dopytuję.

– Mnóstwa rzeczy. Jest takie zdanie, z którym się poniekąd zgadzam, choć nie pamiętam, czyjego jest autorstwa: „Poznać siebie to więcej, niż wskrzeszać umarłych”. Mocne. Całe życie będziemy siebie poznawać. Nie mówię o takim „kręceniu się wokół siebie”. Dla mnie poznawanie siebie odbywa się przede wszystkim w relacji z drugim człowiekiem. W górach poznałam także mnóstwo swoich słabości, ale też rzeczy, w których radzę sobie dobrze. Kiedy poznasz siebie „po całości”, przyjmiesz to, zaakceptujesz – w tym rzeczy, które wcale nie są przyjemne – dopiero wtedy możesz powiedzieć, że trochę siebie znasz. Wbrew pozorom daje to większy spokój i wewnętrzną siłę, harmonię. Jeśli znasz siebie od słabych stron, nabierasz też więcej pokory i wyrozumiałości dla słabości innych ludzi. Pytasz, czy taką wiedzę zyskuje się z wiekiem. Odpowiem: oby tak było. Mam nadzieję, że w moim przypadku tak jest.

ULGA, NIESMAK I WDZIĘCZNOŚĆ

Zapytana o to, który z ośmiotysięczników był dla niej najtrudniejszy, odpowiada bez wahania: Kanczendzonga.

Podczas przygotowań w środowisku widzi niepokój. Zamiast „Super, trzymamy kciuki!”, słyszy „Aha, no to uważaj”.

– Mentalne przygotowanie do wyprawy to nie tylko wyjątkowa umiejętność, ale obowiązek himalaisty. Jeśli ktoś tego nie robi, bardzo się naraża – tłumaczy Piotr Pustelnik. – Tu, na ziemi, nie można zostawiać bałaganu.

W 2009 roku kwartalnik „Góry” publikuje *Pocztówki Kingi z Kangi* – relację ze zdobywania Kanczendzongi przedstawioną na zdjęciach (autorstwa Kingi Baranowskiej i Ferrana Latorre) wraz z krótkimi opisami. Na pierwszym zdjęciu Kinga wychyla się z namiotu uśmiechnięta, pełna zapału. Na drugim – moczy się w lodowatym górskim strumieniu, tuż po przedarciu się przez dżunglę w trzydziestostopniowym upale. Dalej widać już trudy, z którymi musiała się mierzyć. Autoportret – dziś powiedzielibyśmy: *selfie* – przedstawia Kingę ze smutnymi, zmęczonymi oczami i zarumienionymi policzkami. Właśnie zeszała z obozu I, gdzie spędziła dwa dni. Wcześniej brała antybiotyk, który „działał, jak chciał”, dlatego jej organizm z trudem się regenerował. Kiedy wracała do bazy, marzyła tylko o śnie.

Dzień przed atakiem szczytowym chce przespać choćby kilka godzin, ale ciągle czuwa. Nasłuchuje, czy ustał wiatr, zastanawia się, czy tej nocy uda się ruszyć na szczyt. Czas potrzebny jej na atak szczytowy szacuje na kilkanaście godzin. Ruszy pół godziny po północy.

Pokona między innymi najtrudniejszy odcinek Kanczendzongi, który wymaga niezwykle skupienia i czujności. Ferran Latorre, autor fotografii dokumentującej ten odcinek, zaraz po jej wykonaniu zaczął mieć halucynacje, dlatego jak najszybciej musiał schodzić niżej. Odcinek to niemal jedna lita skała z „trójkowymi” i „czwórkowymi” momentami na wysokości 8500–8600 m.

– Każdy moment był trudny – wspomina dzisiaj Kinga Baranowska. – Od chwili, kiedy wsiadasz do samolotu, zaczyna się wyprawa. Już ten moment jest ważny, już jesteś na wyprawie. Nie chodzi nawet o skupienie, które wymaga niesamowitej energii. Chodzi o pewną wewnętrzną harmonię, którą trzeba przekuć w konstruktywne działanie. Już przed wyprawą staram się mieć w głowie wszystko poukładane. Nie jesteśmy robotami. Wyłączenie myśli, zmartwień nie jest możliwe, kiedy jedziesz na parę tygodni. Nie staniesz się kimś innym. Trzeba więc mieć

poukładane życie, odpowiedzieć sobie wcześniej na pytanie, czy chce się tam jechać i czy jest to dobre w tym momencie. Co będzie, jak wrócę? Co, jeśli nie wejdę? Nie może być tak, że wracasz, a twój świat jest kompletnie rozwalony. Te wszystkie myśli tam w górach i tak cię dopadną, więc lepiej się tym zająć przed wyprawą i pojechać z czystą głową.

Po szesnastu godzinach akcji górskiej Kinga zdobywa szczyt jako pierwsza Polka w historii. Z wierzchołka zapamięta kilka uczuć: niesmaku, ulgi, wdzięczności. Niesmak, bo ktoś na wierzchołku zostawił pustą butlę z tlenem – zwyczajnie nie chciało mu się jej znosić. Ulga, bo to wreszcie koniec morderczej wspinaczki. Wdzięczność, bo właśnie zwieńczyły się wieloletnie przygotowania. Po zejściu do bazy dochodzą kolejne emocje: radość i szczęście.

Kinga jeszcze raz wraca myślami na Kanczendzongę i opowiada o tym, jak ważny we wspinaniu się na wysokie góry jest wewnętrzny, duchowy porządek:

– Jesteś tutaj w roli dziennikarza. Jeśli jednak przyjechałeś tu z osobistym problemem, to jasne, mógłbyś wyłączyć myśli na godzinę, ale ten problem i tak pozostawałby ci z tyłu głowy. Gdybym przywiozła taki problem w góry, niczego dobrego bym nie dokonała. Od siebie nie uciekniesz. Gdziekolwiek nie pojedziesz, tam zabierzesz siebie samego.

Na szczycie Kanczendzongi znów pojawia się pewna myśl: wspomnienie o Wandzie Rutkiewicz, tej, która Kanczendzongę próbowała zdobyć dwa razy. To wtedy Kinga zwraca się do kamery z osobistą dedykacją.

TU ODBYWA SIĘ WALKA

Choć jeszcze wiele wyzwań przed nią, umie spojrzeć na to co było z dystansu.

Tak, lubi swoje życie. Lubi ludzi i mimo wielu doświadczeń nie jest nimi rozczarowana. Ale czy mogłaby powiedzieć, że jest kobietą spełnioną? Czy dokonała już wszystkiego, czego mogła dokonać? Jakie wyzwanie może jeszcze stać przed kobietą, która zdobyła dziewięć ośmiotysięczników?

Wyznaje:

– Z jednej strony mam ochotę powiedzieć: tak, jestem spełniona. Z drugiej – nie. Tak, bo umiem się cieszyć dniem codziennym, małymi rzeczami. Ale nie zawsze tak było. Teraz, kiedy rozmawiamy, myślę sobie, że fajnie jest tak siedzieć na tarasie, rozmawiać i patrzeć na Tatry w środku tygodnia. Bardzo to doceniam. Z drugiej strony mam plany i marzenia. Chciałabym zrobić jeszcze wiele rzeczy.

Jakich?

– Poczucie spełnienia daje mi na przykład uczenie innych, dzielenie się, puszczenie doświadczeń w ruch, robienie czegoś społecznie. W pewnym momencie życia wyrasta się z dążenia do wyłącznie własnej satysfakcji, z hedonizmu. I całe szczęście. Patrząc też, jak lepiej mogą wykorzystać zawodowo doświadczenie, które posiadam; jak ono się może przydać innym ludziom. Doksztalam się cały czas w tym kierunku, sama się też dużo uczę, rozwijam.

Cieszę się z tego, co ma i kim jest. Czy niczego nie żałuje? Pewnie znalazłyby się rzeczy, z których nie jest specjalnie dumna, ale ich rozpamiętywanie niczego nie zmieni. Można jedynie wyciągnąć jakieś wnioski.

– Ciężko się żyje z pretensjami do samego siebie i świata – mówi. – Nie chciałabym być taką osobą na starość.

Jaka jest na co dzień? Kiedy trzeba czekać na dobrą pogodę i mierzyć się z wolno płynącym czasem?

– Na pewno bardzo skryta, zamknięta w sobie – mówi Piotr Pustelnik. – Nie jest typem odludka, ale lubi posiedzieć sama w namiocie i w ciszy poczytać książkę. Waży słowa, jest powściągliwa. Niektórzy myślą, że to stwarzanie dystansu, ale ja Kingę znam – to po prostu jej styl bycia. Jeśli reaguje emocjonalnie, co zdarza się rzadko, to znaczy, że musiało się stać coś naprawdę ważnego.

Jej silna osobowość daje o sobie znać w ciągu kilku lat, kiedy w imponującym stylu zdobywa kolejne ośmiotysięczniki. Podczas gdy wejścia innych himalaistów z całego świata nieraz poddawane są krytyce (bo, na przykład, odbywały się przy przesadnej pomocy tragarzy lub z tlenem), do osiągnięć Kingi nie może być zastrzeżeń. Relacje z nich są pełne entuzjazmu i niekrytego podziwu. Po każdym Kinga pisze też tekst i publikuje zdjęcia, najczęściej w kwartalniku „Góry”. Każde jej wejście staje się sukcesem całego środowiska górskiego.

Wiosną 2010 roku jest pod Annapurną (8091 m) – ośmiotysięcznikiem uznawanym za najgroźniejszy na świecie. Towarzyszy jej dobry znajomy z poprzednich lat Piotr Pustelnik, który będzie próbował zdobyć szczyt po raz piąty w karierze.

W drodze do bazy ekipa zwiedza pięknie położone nepalskie miejscowości. Fotografuje codzienność na nepalskiej prowincji. Kinga, jak zawsze uśmiechnięta, chłonie widoki i atmosferę – tego roku wielu jej znajomych himalaistów osiągnie mniejsze lub większe sukcesy.

Tak jak Eburne Pasaban, baskijska himalaistka, która 17 kwietnia staje na szczycie Annapurny. Tym samym do skompletowania Korony Himalajów pozostanie jej tylko jeden szczyt – Sziszapangma (8027 m; Pasaban zdobędzie ją już 17 maja tego samego roku). Kinga zaprzyjaźnia się z Eburne. W relacji pisze, że wstała o szóstej rano, żeby pożegnać koleżankę osobiście. Czuje smutek, bo „kobiet w Himalajach jest tak niewiele”⁴. Relacjonuje:

„Ciężko pisać o tym, co się dzieje tak naprawdę w naszych głowach, sercach. Bo to tu się odbywa największa walka. Walka ze strachem, ze swoimi słabościami, z bólem. Trudno tu mówić, przynajmniej do III obozu, o wielkich trudnościach technicznych, bo są w niektórych miejscach (jest kilka pionowych, a nawet przewieszonych seraków) założone poręczce przez grupę Eburne. Powyżej faktycznie są bardzo »podejrzane« odcinki, oglądałam zdjęcia z wejścia Eburne na szczyt. Chociażby ostatni kuluar, wyprowadzający na wierzchołek, jest oblodzony, schodzi się ze szczytu twarzą do ściany, no i na żywca oczywiście. Tak wysoko nikt nie poręczy niczego, więc jest czujnie. A wszystko, co już jest powyżej siedmiu, ośmiu tysięcy metrów – jest czujne”⁵.

Himalaiści, w tym Kinga, zmagają się nie tylko z pogodą (czekając, aż przyjdą lepsze warunki), ale i ze strachem. Jeden z uczestników w drodze do obozu III dostaje w głowę – na szczęście chronioną kaskiem – sporym odłamkiem lodu. Annapurna straszy, ale i pociąga swoim lodowym pięknem.

Kinga zdobywa szczyt 27 kwietnia jako druga po Wandzie Rutkiewicz Polka w historii. Nieco wcześniej na wierzchołku staje Piotr Pustelnik, który tym samym kompletuje Koronę Himalajów. Ostatnie zdjęcia z tej wyprawy na stronie internetowej Kingi Baranowskiej pokazują ją i Piotra Pustelnika na lotnisku. Oboje nie kryją szczęścia. Dla niej będzie to siódmy ośmiotysięcznik, dla niego – ukoronowanie całej górskiej kariery.

Losy himalaistów ze starszych pokoleń i losy Kingi będą się splatać jeszcze nie raz. W 2012 roku himalaistka wyjeżdża na Lhotse – górę, na której zginął Jerzy Kukuczka. W Nepalu

odwiedza Elizabeth Hawley, zwaną „Miss Hawley”, urodzoną w 1923 roku była reporterkę agencji Reuters, która zajmuje się dokumentowaniem wejść na himalajskie szczyty, prowadząc kronikę himalajską. Stosuje przy tym niemal matematyczną metodę pracy: pyta wspinaczy o każdy szczegół, minuta po minucie. „Pamiętała nie tylko mnie, ale także Wandę i Jurka. Potrafi nagle powiedzieć: No ale mi się wydaje, że w 1979 to oni jednej butli używali w nocy... Tak niesamowitą ma pamięć. Trzeba mieć niezły mózg”⁶ – opowie o tym spotkaniu Kinga Baranowska.

Pierwsza próba ataku na Lhotse, w towarzystwie Pawła Michalskiego, nie udaje się ze względu na trudne warunki pogodowe. Michalski postanawia wrócić do kraju. Kinga się nie poddaje. 22 maja przekazuje do kraju za pośrednictwem swojej strony internetowej informację: „Spróbuję jeszcze wyjść. Bez żadnej presji. Po prostu zobaczę, jak mi pójdzie. Faktem jest, że dziewiętnastego staliśmy na 8200 m, więc dużo czasu na regenerację nie zostało. Od dwóch dni dużo śpię i jem. Dam Wam znać, co dalej”⁷.

Wspina się ścianą zachodnią, drogą klasyczną. Już trzy dni później staje na szczycie. Tak jak w przypadku poprzednich swoich ośmiotysięczników – bez pomocy tlenu⁸.

„Za pierwszym razem popełniliśmy kilka błędów – powie w wywiadzie po powrocie do Polski. – Za późno wyszliśmy. Żeby uniknąć odmrożeń, wyszliśmy rano, a nie w nocy, i optymistycznie założyliśmy, że to będzie bardzo krótko trwało, natomiast wcale tak nie było. Szliśmy długo i po południu byliśmy dopiero w połowie drogi i szczyt wypadłby dopiero wieczorem, co dla mnie nie jest akceptowalne. (...) Zostawiłam sobie plan B, i wszystkie rzeczy na górze. Cały czas wierzyłam, że to niemożliwe, żeby tak odpuścić od razu. Następne okno pogodowe miało być już za pięć dni. Kiedy powiedziałam o tym pomysłu Pawłowi, to popukał się w głowę i powiedział: zapomnij. Ja nie mogłam się tak po prostu pożegnać. Za drugim razem wyszłam o drugiej w nocy i na szczycie stanęłam o dziesiątej rano”⁹.

Wejście dedykuje Jerzemu Kukuczce.

Na jej profilu facebookowym Artur Hajzer 25 maja 2012 roku zamieszcza post: „Przyznaję, że wątpiłem w sukces Kingi – w to, że Kindze się uda. DLATEGO PODWÓJNIE GRATULUJĘ!!! I za pesymizm przepraszam – to był ostatni raz. Z pierwszego ataku Kinga wróciła do bazy 20 maja. Dziś stanęła na szczycie. Wychodzi mi więc na to, że wyszła z bazy następnego dnia po powrocie – 21 maja – bez regeneracji, bez odpoczynku, bezpośrednio po powrocie z 8200 m. Jest to coś mega trudnego do wyobrażenia. Ja bym na pewno zdechł w takiej sytuacji i ani dygnał. Kinga znowu pokazała, że potrafi walczyć do końca. Chciałbym u moich kolegów widzieć podobne pokłady motywacji (...)”.

Chociaż zejście jest dla niej męczące i trudne, Kinga potrafi się zdobyć na poczucie humoru i dystans. Wysłała do Polski wiadomość: „W bazie od rana ogromne pakowanie. Idzie mi średnio, gdyż marzę o masażu i pobycie w SPA. Plecy od plecaka dostały znowu w kość”¹⁰.

Kolejna informacja pojawia się trzy lata później. 17 lipca 2015 roku górskie portale przynoszą niezwykle ważną wiadomość: Kinga Baranowska zdobyła Gaszerbrum II. To jej dziewiąty ośmiotysięcznik. Tym samym o jeden wyprzedziła Wandę Rutkiewicz. Nie ma końca pochwałom i gratulacjom. Także dlatego, że Kinga znów stanęła na wierzchołku bez użycia tlenu.

Osiągnięcie to okupione jest wysiłkiem. Jak przyzna sama himalaistka, Gaszerbrum II to „góra lawin i szczelin”¹¹, dość niebezpieczna, choć technicznie nietrudna. W nocy przed wyjściem do ataku szczytowego pogoda zaczyna się psuć, pada silny śnieg, wieje porywisty

wiatr. Ślady poprzednich wspinaczy zostają zasypane. Tak opisuje wejście na szczyt: „Wszyscy poruszali się bezwzględnie w nocy, gdy śnieg był choćby minimalnie zmrożony, ze względu na zagrożenie lawinowe i szczeliny. W drugiej części wyprawy temperatura nawet w nocy nie spadała poniżej zera, co powodowało duże trudności z przemieszczaniem się przez lodowiec. Oczywiście jest, że stając po dwóch tygodniach na szczycie, nie przebywałam zbyt wiele w bazie. Każda ekipa miała też za zadanie wynieść liny poręczowe do góry, co też uczyniliśmy”¹².

Na wierzchołku staje 17 lipca, piętnaście dni od stawienia się w bazie. Historia zatoczy koło: Baranowska porówna trudność Gaszerbruma II do swojego pierwszego ośmiotysięcznika – Czo Oju, który zdobyła 12 lat wcześniej.

– Czy nie żałuję, że Kinga nie wspina się już na ośmiotysięczniki? Oczywiście, że żałuję – mówi Piotr Pustelnik. – Uważam, że talent jej skali powinien być skonsumowany do końca. W jej przypadku Korona Himalajów to minimum. Obawiam się, żeby za kilka lat środowisko nie mówiło o niej jako „zawiedzionej nadziei polskiego himalaizmu”. A wiem, że środowisko o najlepszych w naszym gronie potrafi bardzo szybko zapominać.

BÓG

Zauważam na palcu Kingi Baranowskiej sygnety z wygrawerowanym krzyżykiem. Postanawiam zapytać się o to.

– Wiara jest dla mnie przede wszystkim relacją z Bogiem, tak jak ma się relację z drugim człowiekiem – mówi himalaistka.

I przyznaje, że jest to relacja, która przez całe życie się rozwija, odkąd była dzieckiem, choć bywało różnie. Pojawiają się wątpliwości, niewiadome, mnóstwo pytań, podważań i negacji. Ale one są naturalne.

– Tak – mówi Baranowska – modłę się także w górach. Nie musi być to żadna formułka, choć formułki często potrafią być bardzo głębokie. Czasem jest to normalna rozmowa, jak z przyjacielem. Pod warunkiem że nie traktuje się Boga jako idei.

Bywało tak, że zwracała się w modlitwie o pomoc w górach. To typowa, jak mówi, modlitwa prośby. Nie było to jednak zaklinanie rzeczywistości, proszenie Najwyższego, żeby zesłał cud, kiedy sami nic nie robimy.

– Wiara to nie magia ani handel z Bogiem – mówi Kinga.

Wchodzimy na temat, o którym część himalaistów mówić nie lubi. Kinga Baranowska nie wstydi się dzielić swoimi przemyśleniami o czymś, co można by nazwać „filozofią gór”.

– Tak, bycie w górach to dla mnie nie tylko cyfry, liczba ośmiotysięczników, trudności dróg, statystyka. Wchodzę tam całą swoją osobą, a nie jestem przecież tylko zestawem mięśni i ścięgien. Bardzo mocno tam siebie samych i relacji z drugim człowiekiem doświadczamy, bo nie ma żadnych rozpraszaczy. To również doświadczenie głębokie, duchowe. W bardzo wielu kulturach i religiach na szczytach gór działy się ważne rzeczy (choćby dekalog). Nawet Kordian kłócił się z Bogiem na szczycie Mont Blanc.

Baranowska zauważa jednak, że każdy człowiek będzie szukał w górach czegoś innego. Bywa zapraszana do towarzyszenia grupom podczas wycieczek w góry. Celem wyprawy jest na przykład obserwowanie wschodu słońca nad Mount Everestem. Grupa stoi na trzech i pół, czterech tysiącach metrów wczesnym rankiem, czekając na słońce. Kiedy tylko się ono pojawia,

część grupy woła: wow! To najpiękniejsze, co widziałem! Druga część kręci nosem: ale beznadzieja, kupa szarych kamieni i tyle!

A przecież patrzymy na to samo.

– To, co zobaczymy, zależy od tego, co mamy w środku – podsumowuje Kinga Baranowska.

Czy wiara pomagała jej w górskiej drodze?

– Z całą pewnością Bóg czuwał nade mną, choć z moją wiarą bywało oczywiście różnie. Wiara to nie to samo, co pewność – podkreśla. – Wątpliwości będziemy mieć do końca życia. Dlatego tak ważne jest, żeby starać się codziennie, tak jest ze wszystkim. Znane są przypadki himalaistów, którzy zginęli, bo popadli w rutynę i uznali, że do łatwiejszego szczytu nie muszą się przygotować. Tak samo jest tutaj, w pracy, na uczelni, na ulicy. Myślę, że po prostu trzeba mieć w sobie pokorę.

Słońce znalazło się w zenicie i mocno świeci w oczy. Dobra pora, żeby skończyć.



Noc ataku szczytowego na Annapurnę, 2010.

fot. Kinga Baranowska

¹ K. Baranowska, *Broad Peak. Po jasnej stronie partnerstwa*, „Góry”, nr 10 (149), październik 2006, s. 64.

² Szczegóły wyprawy na Nanga Parbat pochodzą z artykułu K. Baranowskiej *Nanga Parbat. Lekcja pokory*, „Góry” nr 9 (160), wrzesień 2007, s. 32–35.

³ K. Baranowska, *Pocztówki Kingi z Kangi*, „Góry”, nr 11 (186), październik 2009, s. 28–34.

⁴ J. Kurczab, *Kinga Baranowska donosi spod Annapurny*, www.wspinanie.pl, dostęp 03-07-2017.

⁵ Tamże.

⁶ *Kinga Baranowska: Odpuszczenie wydawało mi się niemożliwe*, wywiad na blogu www.goryksiazek.pl, dostęp 03-07-2017.

⁷ *Sukces na Lhotse. Kinga Baranowska zdobyła szczyt*, off.sport.pl, dostęp 03-07-2017.

8 J. Kurczab, *Kinga Baranowska zdobyła Lhotse*, www.wspinanie.pl, dostęp 03-07-2017.

9 *Kinga Baranowska: Odpuszczenie wydawało mi się niemożliwe*, wywiad na blogu www.goryksiazek.pl, dostęp 03-07-2017.

10 Tamże.

11 K. Tekieli, Kinga Baranowska, *Gasherbrum II jest górą nieprzyjazną i niebezpieczną*, www.wspinanie.pl, dostęp 03-07-2017.

12 Tamże.

SPRĘŻ



AGNIESZKA BIELECKA



fot. Romuald Bielecki

W sekundę łapie kontakt. Niska, szczupła, z szerokimi ramionami. Podobna do mamy; pani Bielecka na zdjęciach z lat osiemdziesiątych wygląda jak jej starsza siostra.

Siedzimy w małej kuchni w mieszkaniu przy głównej ulicy Wrocławia. Jest wczesny wieczór. Agna – jak mówią na nią wszyscy – jest ciągle w ruchu, nie usiedzi w miejscu.



Właśnie wróciła z Tychów, niedawno wysiadła z pociągu. Ma dwie doby, żeby pożyć u siebie. Chociaż dla niej dom jest pewnie wszędzie tam, gdzie można rozłożyć karimatę i namiot. W środowisku mówią, że jest mocna. Ona sama nazywa to „sprężem”. Czymś, co pcha do przodu, do góry.

Jej chłopak tylko się wita i znika. Czasem wychodzi na balkon, żeby zapalić. Chyba trochę się irytuje: ma ją tylko na kilka dni, Agna za chwilę wyjeżdża z wycieczką do Omanu, a tu dziennikarz wyjmuje z ich wspólnego życia kilka cennych godzin.

– To dla mnie ważne – mówi Agna. – Co jakiś czas wrócić do miasta, pochodzić po ulicach, wypić piwo w pubie. Przytulić się do chłopaka w ciepłym łóżku. Normalnie pożyć.

SIOSTRA

Pierwsza wzmianka poświęcona Agnie w książce Adama Bieleckiego, jej brata, to jej osiemnastka i jego złamana stopa¹. Agna chce urządzić imprezę z okazji urodzin. Rodzice zwalniają mieszkanie, jadą z młodszym o pięć lat Adamem w skałki do Ryczowa w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Tam podczas parkowania samochodu ojciec najeżdża synowi na stopę. Na pogotowiu okazuje się, że noga jest złamana w trzech miejscach. Wszyscy wracają więc do Tychów, gdzie trwa zabawa. Bielecki senior dzwoni do córki domofonem i prosi, żeby zeszła na dół z dwoma silnymi kolegami. Tak wnoszą Adama na górę. Impreza trwa dalej. Brat Agny przyznaje w książce, że wtedy po raz pierwszy się upija.

Agnieszka z bratem nigdy nie rywalizują. Przeciwnie – razem będą jeździć na wyprawy, wspierać się, pomagać nawzajem i wzajemnie nad sobą czuwać. To Adam pierwszy zaczyna interesować się górami. Po latach powie, że jako nastolatek pochłaniał górskie książki. Podczas któregoś z wczesnych wyjazdów w Tatry do jego ekipy dołącza siostra. Potem pojedą wspólnie na Pik Lenina, gdzie Adama porwie lawina, a Agna zgubi się po drodze.

Zawsze mogą liczyć na wsparcie rodziców, szczególnie ojca, który nieraz ocala dzieciom skórę: przegląda prognozy pogody, pomaga ustalić trasę. Romuald Bielecki, z wykształcenia inżynier, pracujący w kopalni pod ziemią (organizuje transport górników), jest dla dzieci przykładem. Szczególnie tego, że w życiu na sukces trzeba ciężko pracować, często własnymi rękoma. Mama Bieleckich, według Adama, zawsze boi się o dzieci, kiedy te wypuszczają się coraz dalej i wyżej. Ale ich pasję w końcu akceptuje.

Agna dużo podróżuje. Dociera na nowe kontynenty, i to różnymi środkami transportu. Kiedy przepłynie Atlantyckim jachtem, będzie żeglować podczas sztormów.

Piotr Tomala, himalaista:

– Poznałem Agnę na odprawie u Artura Hajzera przed wyjazdem na Dhaulagiri. Nasze środowisko jest jak mały okręt, na którym wszyscy pasażerowie się znają, więc od razu wiedziałem, kim ona jest. Była świeżo po przepłynięciu Atlantyku. Bardzo wesoła, zawsze uśmiechnięta. Pamiętam jej kolorowe ubrania z Azji – spędziła w Indiach wiele miesięcy. Potem spotkaliśmy się jeszcze na szkoleniu medycznym, a potem – już na lotnisku.

Agna jest jak kot: zawsze spada na cztery łapy. Podobnie jak brat będzie niezmiennie mocnym punktem ekipy, oparciem. Podczas swojej pierwszej wyprawy w Himalaje jest kierowniczką bazy: czuwa nad logistyką, komunikacją, organizacją życia codziennego. I już wtedy przechodzi trudny egzamin z odpowiedzialności. Z sąsiedniej wyprawy, która z polską narodową wyprawą dzieliła przez ponad dwa miesiące bazę, nie wraca troje ludzi. Zginęli podczas próby ataku szczytowego.



Na grani Dhaulagiri, wiosna 2013.
fot. Jerzy Natkański

STUDENTKA

Jak jednak wyznaje Agna, wspinacze potrzebują życia na krawędzi, nie odnajdują się w codzienności.

– Część z nas, alpinistów, jest trochę niedostosowana – mówi. – Ewolucyjnie przystosowaliśmy się do trochę innego życia niż mieszkanie w blokach i jeżdżenie samochodami. Nie pasujemy do systemu społecznego, w którym musimy funkcjonować. Jasne, zawsze możemy się z niego wypisać i zamieszkać na Alasce albo w dżungli, ale to wymaga radykalnego odcięcia się od rzeczy, które jednak trzymają nas „za jedną nogę” tutaj, na ziemi.

Przyznaje, że sama zaczyna „ogarniać” swoje życie późno. Drugą pracą magisterską broni w wieku 32 lat. Nie umie się zdecydować, by porzucić życie studentki.

– Nikogo nie bulwersuje, że pracujesz jako kelnerka. Status społeczny studenta wszystko usprawiedliwia – tłumaczy.

Po maturze zaczyna studiować, najpierw geografię. Po licencjacie robi sobie rok przerwy na podróżowanie. Wspomniany drugi fakultet skończy w Szwajcarii na studiach azjatyckich, na które musi zarobić w Anglii. Chwyta się różnych zajęć, pracuje dorywczo, zaczyna też zabierać wycieczki w różne rejony świata.

Studia, praca, zwykłe życie – to tylko tło dla wielkiej pasji. W końcu Agna pochodzi z Tychów, miasta Krzysztofa Wielickiego, pierwszego zdobywcy Mount Everestu zimą. Razem z bratem od najmłodszych lat tworzą własny świat, w którym czują się dobrze: tu najważniejsza jest przygoda. Bardzo szybko postanawiają, że spróbują się wspinać sami. Pierwszy jest Adam, ale szybko dołącza do niego Agna. Wchodzą coraz wyżej i w coraz lepszym stylu. Powoli stają się znani w środowisku jako ci, którzy mogą być przyszłością wspinaczki wysokogórskiej.

Najpierw Agna wspina się w Alpach, Afryce i na Alasce. Poznaje Artura Hajzera, już wtedy legendarnego himalaistę, wcześniej partnera wspinaczkowego wielkiego Jerzego Kukuczki. Artur Hajzer w programie Polski Himalaizm Zimowy da szansę młodemu Adamowi Bieleckiemu. Na początku będzie nieufny, ale z czasem przekona się, że Bielecki jest silny, wytrzymały i zdeterminowany. Podobne cechy Hajzer zobaczy w Agnie. Dla aspirującej himalaistki Hajzer stanie się wzorem, mistrzem, ale też przyjacielem. Będą spędzać długie godziny na rozmowach.

KOBIETA

Agna i Adam idą łeb w łeb. Czy traktowano ją inaczej, ponieważ jest kobietą?

– W sportach wytrzymałościowych nie ma większej różnicy między możliwościami kobiet i mężczyzn – mówi Bielecka. – Wiadomo, że sprintu żadna nie pobiegnie tak szybko jak facet. Ale w górach wysokich, we wspinaczce wysokościowej, w sportach wydolnościowych – płeć nie ma żadnego znaczenia. Niczego nie muszę nikomu udowadniać, nie mam takiej potrzeby. Mam poczucie, że „pierwsze kobiece wejście” czy „pierwsza kobieca wyprawa” to może było potrzebne w czasach Wandy Rutkiewicz czy Arlene Blum, kiedy kobiety traktowano jako ozdobę wypraw, a nie partnerów. Trzeba było udowodnić, że kobiety mogą być w górach samodzielne. Jeśli coś zostało zrobione, to zostało zrobione. Nieważne przez kogo. Podkreślanie kobiecego wejścia czy wyprawy w obecnych czasach ma w mojej opinii sens co najwyżej marketingowy.

Jak układają się stosunki Agny ze wspinaczami?

– Na moich wyprawach, z niewielkimi wyjątkami, były w zasadzie same chłopcy. I luz, pełna współpraca – twierdzi. – Miałam z chłopakami zupełnie partnerski układ. Traktowaliśmy się jak równi.

Rzecz wyglądała nieco inaczej, kiedy spotykała starszych wspinaczy. Jak sama zauważa:

– Czasami miałam wrażenie, że to kwestia pokoleniowa. Jak się zdarzali w bazie polscy wspinacze ze starszego pokolenia, to partnerskiego traktowania nie było. Dla nich byłam maskotką. Choć i od tego też są wyjątki. Należy do nich choćby Artur Hajzer. Na początku nie był przekonany do obecności kobiet na wyprawie. Przed Gaszerbrumem zrobił mi przesłuchanie, istną rozmowę o pracę: co umiesz? jakie masz doświadczenie? ile możesz na to przeznaczyć

pieniędzy? Kompletny, totalny konkret! Na wyprawie docenił mój wkład i zaproponował mi udział w kolejnych. Moja płeć nie miała znaczenia.

Piotr Tomala, partner Agny z wypraw na Dhaulagiri i Broad Peak, opowiada:

– Rzeczywiście, Agna ma „spręża”. To nie tylko to parcie do góry, niepoddawanie się mimo trudności, ale także głód wspinania, który w sobie ma. Byliśmy razem na Dhaulagiri i Broad Peak – za każdym razem Agna była bardzo głodna szczytu. Byłem na wyprawach z kilkoma kobietami i mam porównanie. Agna jest bez wątpienia najtwardszą z nich. Ta „twardość” przejawia się nie tylko w tym, że kiedy przez dwie godziny toruje drogę i nikt jej nie zmienia, to toruje dalej. Także w mocnej psychice. Spędzanie czasu z samymi facetami na małej przestrzeni przez 4–5 dni nie jest dla kobiety łatwe. Zdarzają się niewybredne żarciki, jak to w męskich kręgach, najczęściej z założenia niewinne i sympatyczne, lecz dla wielu kobiet przykre. Ale nie dla Agny. Kobiecie w bazie jest trudno, a wyżej, w obozach, jeszcze trudniej. Na przykład w kwestiach fizjologicznych. Jeśli chce się siku, a siedzimy w jednym namiocie, to trzeba się odwrócić i już. Agna takimi rzeczami się nie przejmuje, w ogóle nie przywiązuje do nich wagi.

KIEROWNICZKA BAZY

Jest 2012 rok. Brat Agnieszki zdobywa zimą Gaszerbrum I razem z Januszem Gołąbem (po raz pierwszy w historii). Obaj zapisują się w historii i potwierdzają, że stać ich na wiele. Agna przebywa wtedy u podnóży, sprawuje odpowiedzialną funkcję – jest kierowniczką bazy. Bielecki i Gołąb, a także Gerfried Göschl, Cedric Hählen i Nisar Hussain idą do góry.

Agna wspomina trwogę tamtego czasu:

– Przeżyłam tam największą traumę, największe rozklekotanie wewnętrzne w moim życiu. Wtedy w ogóle nie znałam się na wyprawach himalajskich. Choć na szczęście stosunki w bazie były świetne, bardzo koleżeńskie, pozbawione aspektu współzawodnictwa. Wyobrażenia świata zewnętrznego i mediów są takie – jak ostatnio powiedział mój brat – że skaczymy sobie do gardeł, ścigamy się, kto będzie pierwszy na szczycie. Nic z tych rzeczy! Każdy ma swoją drogę, swój cel. Nie ma żadnej morderczej rywalizacji.

Zgodnie ze słowami Agny, zespół Gerfrieda Göschla umawia się z Arturem Hajzerem, że razem zaplanują atak szczytowy. Ale okno pogodowe na szturm w zimie trafia się tylko jedno, czasem zdarzą się dwa, ale nie więcej. Ekipy wspólnie analizują prognozy pogody i wymieniają się informacjami. Zastanawiają się, jak znaleźć się tego samego dnia na szczycie. Tak, żeby wszyscy dokonali tego jako pierwsi.

Agna siedzi w bazie jak na szpilkach. Po jednej stronie wspinają się jej brat Adam i Janusz Gołąb. Po drugiej zespół Göschla. Dla obu ekip Agna jest jedynym źródłem wiedzy o pogodzie i warunkach.

– Mam Adama i Janusza cały czas na nasłuchu, jesteśmy ciągle w kontakcie – opowiada dzisiaj Agna. – Z drugiej strony mam Gerfrieda, który odzywa się, jak chce. Czasem więc przerwy w łączności trwały pół dnia, czasami cały dzień i nie było wiadomo, co się dzieje. Przed ostatnim kontaktem z Gerfriedem cisza trwała dwadzieścia cztery godziny, więc już wtedy byłam mocno zdenerwowana. Ostatni kontakt nawiązaliśmy już po tym, gdy chłopaki – Adam i Janusz – weszli na szczyt. Gerfried o tym usłyszał. Musiałam mu powiedzieć, nie widziałam powodu, żeby tego nie robić. Usłyszałam wtedy, że jego ekipa czuje się dobrze, ale poszło im

trochę wolniej, niż się spodziewali – relacjonuje tamtą pierwszą wyprawę Agna.

– Dzień, maksymalnie dwa dobrej pogody umożliwiające atak szczytowy – dopowiada – oznaczają, że do ostatniego obozu trzeba dojść w złej pogodzie. Na Gaszerbrum I pogoda nie pozwoliła na dotarcie do trójki i chłopaki musieli się cofnąć do obozu II. Gdy nie udało się wejść do trójki w zaplanowanym terminie, wspólnie zastanawialiśmy się, czy jest szansa na kolejną próbę. Wtedy po analizie prognoz powstała koncepcja nocnego wyjścia do ataku szczytowego, tak żeby na szczyt wejść o świcie 8 marca. Wiadomo było, że 8 marca koło południa załame się pogoda – jedyną szansą na wejście na szczyt w tej sytuacji było więc wyjście z ostatniego obozu 7 marca w nocy. W tym czasie właśnie miałam przerwę w kontaktach z Gerfriedem.

Na szczycie duet wspinaczy staje około 8.45. Piętnaście minut później odzywa się Göschl. Mówi, że chce wychodzić do szczytu z ostatniego obozu. Dla niego i jego zespołu jest już zdecydowanie za późno.

Agna pamięta, jak bardzo była podekscytowana tym, że Austriak żyje i się odezwał, i że zrugła go potem za milczenie. Emocje sięgały zenitu.

– Z tego wszystkiego nie byłam potem pewna, czy wystarczająco dobitnie przekazałam im, że w żadnym wypadku nie mogą iść do góry, bo za sześć godzin będzie tam piekło – wspomina dziś Agna. – Oglądałam filmy, które Darek Załuski nagrywał podczas wszystkich rozmów radiotelefonicznych w czasie obu ataków, i okazało się, że ta kluczowa informacja została przekazana. Powiedziałam, że pogoda jest tylko do 12.00.

To była ostatnia wymiana informacji z Gerfriedem Göschlem; nigdy więcej już go nie usłyszy.

Bielecki i Gołąb schodzą do obozu II, gdzie spędzają noc. Mija dwanaście godzin, potem trzydzieści. Artur Hajzer przestaje mieć wątpliwości. Na nagraniu filmowym, na którym Bielecki i Gołąb schodzą, widać, że na zboczu góry silnie wieje wiatr, pada mocny śnieg.

Agna stwierdza, że skoro takie warunki panowały w dwójce, czyli na wysokości 6400 m n.p.m., to trudno sobie wyobrazić, co się musiało dziać wyżej. Shaheen Baig i Artur czekali na Janusza i Adama w obozie II, Agna z Darkiem Załuskim – w bazie. Kierowniczka bazy miała sporo na głowie. Jak relacjonuje:

– Była jeszcze dramatyczna sytuacja z Tamarą Styś-Załuską, która schodziła z Gaszerbrumu Południowego, odmrożona. Darek, obecnie mąż Tamary, był więc tym przejęty. Ja równolegle miałam naszych w dwójce, Adama odmrożonego, walkę o Tamarę, a od Gerfrieda dalej żadnego znaku życia. Zastanawiałam się, co mam robić. Zawiadamiać Mohameda, naszego ówczesnego agenta, który był wtedy w Berlinie, czy organizować akcję ratowniczą? Wcześniej Gerfried nie odzywał się dwadzieścia cztery godziny, jak na razie jeszcze nie minęło tyle czasu. Nie wiem... Jednocześnie zaczęła do mnie dzwonić na telefon satelitarny żona Gerfrieda. Tak, w końcu odebrałam. Ktoś musiał. Zapytała mnie, co się dzieje. Musiałam jej powiedzieć. A tak naprawdę sama nie wiedziałam, co się działo. Hajzer już parę godzin wcześniej mówił: już po nich, nie ma szans, żeby ktoś to przetrwał tam, na górze.

Co Agna powiedziała kobiecie, która umierała ze strachu? Przyznała, że załamanie pogody nastąpiło już dawno temu. Że od doby nie ma kontaktu z Gerfriedem, ale już wcześniej zdarzały się takie sytuacje. Do tego Polacy zostawili namioty, paliwo, baterie, żeby schodzący mogli się ogrzać, napić ciepłej wody, więc może...

– Przedstawałam tę sytuację szczerze, tak jak ją widziałam – pełna nadziei, że wszystko będzie dobrze – ale jednocześnie nie ukrywałam niesprzyjających okoliczności – mówi Agna.

Pamięta, jakby to się wydarzyło wczoraj:

– Rozmawiałam z kobietą, która pełna niepokoju i nadziei czekała. W trakcie tej rozmowy, kiedy staram się być rzetelna, słyszę, jak jej się załamuje głos, jak próbując być osobą racjonalną i rzeczową, zwyczajnie się łamie, puszczają jej emocje. Potem dochodziłam do siebie parę godzin – przyznaje młoda kierowniczką.

Gerfried się nie odzywał. Nie wrócił żaden z nich.

Czy Agna coś sobie wyrzuca?

– Krążyło mi potem po głowie, że może mogłam być trochę bardziej kategoryczna. Nie miałam doświadczenia, nie wiedziałam, że do ludzi na takiej wysokości trzeba mówić krótko, prosto i rzeczowo, bardzo stanowczo, nie liczyć na ich zdrowy rozsądek, bo jego tam po prostu nie ma. Poza tym brakowało mi bezczelności, żeby mówić takiemu Gerfriedowi, co ma robić. Byłam tam żółtodziobem, świeżakiem, pierwszy raz na takiej wyprawie. W życiu nie przebywałam na takich wysokościach. Ogarniałam bazę, kręciłam filmiki, robiłam relacje, które mi zdawały chłopaki, liczyłam, ile mamy zapasów, przekazywałam prognozę pogody. Tyle. Nie podejmowałam strategicznych decyzji, nie przyszło mi to nawet do głowy. Nie miałam wpływu na ich decyzje, z wielu względów. Absurdem jest myślenie, że mogłam ich uratować. Nikt nie mógł – mówi Agna.

To nie znaczy, że nie zadaje sobie pytania o przyczynę tragedii. „Myśmy mieli inne zasady” – stwierdza. W polskiej ekipie obowiązywała zasada kontaktu.

– Jak chłopcy raz ruszyli do góry, a mi w namiocie padły baterie w radiu i poszłam spać, to dostałam od Hajzera opieprz, że nie można się było ze mną połączyć. Od tego czasu mieliśmy stały nasłuch, obowiązkowo. Byliśmy w tak bliskim kontakcie, że mogliśmy śledzić prawie każdy swój ruch. Któregoś razu jemy sobie w bazie lunch i słyszę rozmowę, w której Adam mówi przez radio: „No, opuść mnie na linie, mam już dno tej szczeliny”. Kurwa, co oni tam robią? – myślę. Okazało się, że pod Młodym zarwał się most, wpadł do szczeliny. Dzięki temu, że wiedziałam, co się u nich dzieje, praktycznie non stop, nie było emocjonalnych spięć. Gerfried pożyczył od nas radio na atak szczytowy, żeby mieć kontakt z bazą, i zostałam poproszona o przekazywanie informacji jego zespołowi podobnie, jak to robiłam w przypadku mojego zespołu – ocenia z perspektywy czasu Agna.

MIASTOWA

Bielecka zostawia tamte tragiczne wydarzenia za sobą. W końcu z każdej góry trzeba kiedyś zejść.

– Kiedy wracam do miasta, schemat się powtarza: muszę sprawdzić maile, zapłacić rachunki, podzwonić – mówi. – Stosuję wtedy prokrastynację: robię porządki, pranie, wieszam nowe firanki, byle tylko odwlec obowiązki. Staram się jednak unikać kłopotów. Muszę być w miarę na bieżąco z podatkami, opłatami, czynszem, żeby podczas wypraw mieć spokojną głowę.

Jak alpinistka radzi sobie z finansami? Przyznaje:

– To bywa różnie. Mam taką pracę, która nie daje żadnej gwarancji dochodu, ale jeszcze nigdy nie było tak, żeby jakoś nie było.

Agna lubi wracać nie tylko z gór, ale też z pracy, czyli tak naprawdę z podróży. Od dwóch lat pracuje albo na Spitsbergenie, albo w Omanie. Jest przewodnikiem, pływa w kajakach

morskich, wyrusza na trekkingi.

– To praca w terenie zupełnie dzikim. Ładujemy wszystko do kajaków i przemieszczamy się z miejsca na miejsce, mieszkamy w obozach. Żyję pod gwiazdami, myję się w słonej wodzie, gotuję dla całej grupy. Z drugiej strony czasem zdarza mi się pracować z tak zwanymi pięciogwiazdkowymi klientami, którzy robią objazdówkę po Meksyku i kwaterują się w drogich miejscówkach. Wtedy doceniam dobre żarcie w tych dobrych hotelach – tłumaczy.

Jednak te ekskluzywne wyprawy trafiają się Agnie rzadziej, częściej są to przygodowe, pozbawione wygód wyjazdy. Wtedy lubi wracać do domu, tak samo jak cieszą ją powroty z gór.

– Fajnie, że mogę mieć wodę w kranie, że w domu jest ciepło, że mogę położyć po mieszkaniu nago, bo w jurcie na Spitsbergenie raczej tego nie mam.

Po takim powrocie widzenie się Agnie wyostrza. Żałuje, że ludzie w swoim normalnym życiu nie zauważają tylu rzeczy. Luksus powszednieje, przestaje być luksusem. Jak mówi przewodniczka:

– Kiedy jadę na Spitsbergen na trzy miesiące, to mam przy sobie dwie pary gaci i trzy koszule. Gdy wracam do Wrocławia, mam całą szafę. Od czasu do czasu mogę nawet włożyć obcasy, aczkolwiek zdarza mi się to niezwykle rzadko.

Cieszą ją takie drobiazgi, właśnie dlatego, że nie ma ich na co dzień. Przyznaje uczciwie, że jej życie bywa stresujące, w końcu nie ma zagwarantowanej comiesięcznej pensji. Dopiero od kilku miesięcy nie ma współlokatora. Dotąd musiała dzielić z kimś mieszkanie, bo nie była pewna, czy zarobi wystarczająco dużo, żeby mieć na czynsz. A jednak nie wolałaby iść do stałej pracy ani zaciągać kredytu mieszkaniowego.

– Funkcjonuję w ten sposób już ponad 7 lat i nigdy nie było tak, że czegoś brakowało – zapewnia. – W najgorszym wypadku pojedę do Anglii na zmywak, znajdę jakąś alternatywę. Pomiędzy 2012 i 2014 rokiem, kiedy nagromadziły mi się okazje do wyjazdów w Himalaje, trochę podupadłam finansowo. Cztery wyprawy w ciągu dwóch lat wydrenowały mój budżet do zera. W 2015 roku nie wyszedł wyjazd na Labuche Kang III Wschodni i wtedy pierwszy raz miałam poczucie, że może to i dobrze, bo odbiję się trochę od dna, doprowadzę do ładu mieszkanie, kupię lodówkę. No i sobie kupiłam.



Na zachodniej ścianie Lhotse, wrzesień 2012.
fot. archiwum prywatne Agnieszki Bieleckiej

PECHOWIEC

Życie w górach daje czasem w kość.

– To jest tak, że praktycznie obcy sobie ludzie jadą na wyprawę, na której będą musieli ze sobą spędzić wiele czasu – mówi Piotr Tomala. – Bywa tak, że po kilku tygodniach wspólnego życia przeszkadza nawet sposób oddychania czy jedzenia partnera. Ale z Agną tak nie było. Ona jest twarda jak facet. Jako kobieta nie miała specjalnych forów z naszej strony i wcale nie chciała, żeby dawać jej taryfę ulgową. Nie pieściła się, działała jako równoprawny partner. Dźwigała tak samo ciężki plecak.

Agna ma natomiast w górach pecha. Druga jej wyprawa z Arturem Hajzerem to zdobycie Lhotse jesienią 2012 roku. Bielecka podkreśla, że czuła się traktowana na równi z innymi uczestnikami wyprawy. Dużo jej to daje. Wszystkie plecaki ważą tyle samo, na pierwszym wejściu do obozu III Agna dostaje 100 m liny do zaporęczowania. Każdy ma konkretny przydział obowiązków, himalaistka nie czuje żadnej taryfy ulgowej. Hajzer stosuje swoją „demokrację”. Pyta wszystkich o opinię, a potem sam podejmuje decyzję. Konsultuje, słucha, ale odpowiedzialność za wybór bierze na siebie, co w wielu wypadkach – jak przyznaje Agna – okazuje się bardzo słuszne. Bo to on ma największe doświadczenie, a reszta nie zawsze zdaje sobie sprawę z pewnych kwestii. To na Lhotse Agna przekracza granicę 8100 m n.p.m. Ogromny sukces. Ale zaraz potem – znowu tragedia.

W Himalajach trwa kapryśna jesień. Pierwszy atak szczytowy kończy się wycofaniem do obozu z powodu załamania pogody. Agna pamięta, że wiał silny wiatr.

– Planując drugi atak szczytowy, wiedzieliśmy, że wiatr wcale nie będzie łżejszy na podejściu do obozu III – opowiada. – Według prognoz w dniu ataku miało być lepiej. Wyszliśmy więc z założenia, że będą takie same warunki pogodowe jak przy pierwszej próbie, ale może lepiej się przygotujemy i uda się dotrzeć do trójki przed planowanym oknem pogodowym, żeby być gotowym na atak szczytowy.

Wychodzą do obozu III. W trójce pogoda jest – zgodnie z prognozami – fatalna. Rano ciągle siedzą w namiotach i czekają, kiedy Artur Hajzer oświadcza nagle: „Słuchajcie, przestało wiać, ja idę!”. Kto zdążył zebrać sprzęt i przygotować ubranie, rusza za nim. Wychodzą więc Agna, Artur Małek, dwóch Szerpów i Aleksiej Bołotow, który idzie samotnie, bo jego ówczesny partner – Alexander Gavan – wycofał się ze względu na złe warunki.

Dochodzą wspólnie do czwórki. Jest późno. Zanim wykopią platformę w śniegu i rozbiją namiot, zrobi się ciemno. Wkrótce okaże się też, że rozstawiają się w złym miejscu, co chwile zasypuje ich śnieg i trzeba się odkopywać.

Okno pogodowe ma nastąpić następnego dnia i trwać tylko przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Po nieprzespanej nocy himalaiści stwierdzają, że muszą odpocząć. Chcą o świcie przestawić namiot w lepsze miejsce i spróbować się zdrzemnąć. Są na wysokości 7900 m n.p.m., gdzie ich organizmy przestają się już regenerować. Dowodzi Hajzer. Agna pierwszy raz w życiu jest tak wysoko. „Powyżej trójki z każdym dniem pobijałam swój rekord wysokości” – powie później. Artur Małek także nie był nigdy wcześniej tak blisko nieba.

Wychodzą pod szczyt wieczorem. Bielecka ma problem z rozgrzaniem rąk i nóg. Czuje się nieźle, idzie dość szybko, ale jej nogi pozostają na granicy komfortu termicznego, podczas gdy ogrzewacze chemiczne i elektryczne pracują pełną parą. Na paskach wiszą jej na rękach czekan i kijek. Nie jest w stanie ich porządnie trzymać, bo od razu przymarzają jej kciuki.

„Artur, kurde, marznę, marzną mi ręce i nogi!” – woła po drodze do Hajzera. „Klaszcz i kop w śnieg! – odpowiada. – To ci pomoże!”.

Po drodze gubią Artura Małka. Jak można kogoś zgubić po drodze na szczyt? Wydaje się to niemożliwe, a jednak się zdarza.

Każdy idzie swoim tempem – mówi Agna. – Nie pamiętam szczegółów, czy Artur Małek powiedział nam przez radio, że zawraca. Prawdopodobnie to zrobił, bo mieliśmy cały czas kontakt, i to, że nie widziałam Małka, nie niepokoił mnie. Z Hajzerem szliśmy mniej więcej równo, czasem on trochę przede mną, czasami ja przed nim, za nami był Aleksiej Bołotow. W pewnym momencie Aleksiej postanowił zawrócić, Artur Hajzer zasugerował, żebym do niego dołączyła.

Agna robi w głowie szybką kalkulację: dochodzi północ, przed nią zachodnia ściana, więc zanim słońce przejdzie przez górę, będzie gdzieś 10.00 rano, dopiero wtedy pojawią się promienie słoneczne i zacznie się robić trochę cieplej. Chemiczne ogrzewacze podziałają sześć godzin, baterie w tych elektrycznych, nastawionych na maksimum, jakieś pięć. A będzie coraz wyżej i coraz wyżej.

Dzisiaj Agna mówi:

– Wiedziałałam, co się może zdarzyć: że zanim uda mi się wyciągnąć ogrzewacze z kieszeni na piersi (nie mówiąc już o wymianie baterii, bo do tego trzeba ściągnąć rękawice), poodmrażam sobie ręce i najzwyczajniej w świecie nie będę w stanie się ogrzać. A jak się nie rozgrzeję, to na pewno wrócę bez palców. Prosty rachunek: za dużo czasu upłynie do momentu, kiedy się zacznie robić cieplej, a to, co mi zostało w ogrzewaczach, wyczerpie się za szybko. A palców

trochę szkoda. Zdecydowałam się więc na odwrót z Aleksiejem. Zeszliśmy na dół i tyle. A potem się wszystko jeszcze bardziej skiepsciło.

W namiocie w obozie IV spotkała Artura Małka, który zawrócił, bo „nie czuł, że jest w formie”, w swojej najlepszej wydolności. Zakładał, że będzie jeszcze kolejny atak. Wkrótce Artur Hajzer powiedział przez radio, że są z Szerpami na wejściu do Kuluaru Japońskiego, ale Tenzing – młodszy Szerpa – się odmroził, nie ma czucia w palcach, więc wszyscy zawracają.

– Po powrocie do namiotu Tenzing dostał herbatę, suche rękawiczki, zastrzyk z heparyny, obkuliśmy go po palcach – zero czucia, biała skóra. Chłop był przerażony, i wcale mu się nie dziwię – kwituje Agna.

Po piętnastu, dwudziestu minutach do namiotu wraca Artur Hajzer. Widać, że wysokość zrobiła swoje: wolno mówi, zrywa się z miejsca, chce gdzieś ruszać. Jednocześnie nadal nie ma Temby, z którym Hajzer poróżnił się w kwestii drogi powrotnej do obozu. Agna i Artur Małek próbują się dowiedzieć, gdzie jest starszy Szerpa, co się z nim stało. Hajzer mętnie opowiada, że nie wie. Potem próbuje odpocząć, ale ma „zrywy”, kładzie się, zapada w letarg, po czym zrywa się z krzykiem: „Gdzie Temba? Musimy go szukać!”.

Co się stało? Agna wie, że takie sytuacje można trafnie ocenić dopiero później, na dole, bo na górze umysł nie funkcjonuje prawidłowo. Hajzer chce iść szukać Temby, Bielecka wybija mu to z głowy. Przekonuje: „to był człowiek, który najlepiej znał tę górę, był na niej kilka razy – to jak my mamy teraz wyjść i go szukać? Jeśli wyjdziemy, to pobłądzimy, nie trafimy z powrotem do namiotu”. Hajzer wpada na pomysł, żeby krzyczeć do Bołotowa, bo może Temba do niego poszedł. Namioty stoją na jednej platformie, jeden naprzeciwko drugiego. Aleksiej nie odpowiada. Pojawiła się hipoteza, że może Temba zszedł od razu do obozu III. Szerpowie często chcą schodzić jak najniżej.

Agna wie, że na górze najmniejsze detale odgrywają kolosalną rolę. Podczas tamtej wyprawy dostała lekcję:

– W nocy, gdy zesłam do namiotu, ściągnęłam raki. Byłam w takim stanie, że zgodnie ze starą zasadą zostawiłam je metr od namiotu, tam, gdzie stałam. I weszłam do Artura Małka napić się ciepłej wody... po czym zapadłam w letarg. Rano wygrzebałam się ze śpiwora, a moje raki nie wiadomo gdzie.

Gdyby je zgubiła, to oznaczałoby koniec. Tymczasem Hajzer gotuje wodę, Tenzing schodzi z Bołotowem. Polacy powoli dochodzą do siebie. Agna bierze łopatę i zaczyna szukać zguby. „Kop, bez raków nie zejdziesz!” – ordynuje Artur Hajzer.

Wtedy przez radio Agna słyszy rozmowę Szerpów koreańskiej wyprawy, którzy są wtedy w dwójce.

– Znam troszeczkę hindi, więc nasłuchuję – opowiada himalaistka. – Przekazuję Arturowi, że są złe wieści. Szerpowie mówią, że chyba widzą zwłoki pod ścianą. Niestety, rzeczywiście zobaczyli pod zachodnią ścianą Lhotse, poniżej trójki, ciało Temby.

Tą samą drogą wcześniej szli Hajzer, Małek, Bołotow i Bielecka.

– To wygląda mniej więcej tak – mówi Agna – jest Western Cwm [walijskie słowo określające dolinę lub kotlinę – przyp. red.], Icefall, po lewej Everest, Przełęcz Południowa, Lhotse i Nuptse. Po Icefallu wychodzi się na 6200 m, tu stoi dwójka, z której idzie się około godziny pod ścianę, raczej po płaskim terenie, po czym zaczyna się zachodnia ściana i koło 7300 m jest trójka. Tu są seraki, na których robi się lekko płasko, i dlatego tam się zakłada obóz III. Stamtąd droga prowadzi do góry, ale się rozdziela na Przełęcz Południową, po lewej jest obóz IV

pod Everestem, a do Kuluaru na Lhotse wspina się lekko w prawo. Tam trzeba wykopać platformę pod obóz IV, bo ściana jest stroma od samej podstawy. Po około godzinie drogi od trójki – może trochę więcej – jest tak zwany Yellow Band. Tam jest ścianka, stroma i mocno wylodzona. Może mieć do sześćdziesięciu stopni nachylenia.

Tenzing z Bołotowem schodzą. Agna wie, że dla niej to koniec wyprawy. Nie ma już czasu na kolejny atak szczytowy. Musi wracać do Polski, gdzie czeka ją praca. W bazie odbywa się narada. Niektórzy twierdzą, że kontynuowanie ekspedycji byłoby dla nich nieetyczne.

– Ja miałam pracę, więc byłam wolna od jakiegokolwiek dylematu – opowiada Agna. – Jednak prognozy pogody nie dawały szans na kontynuację, miało być tylko gorzej. W efekcie wszyscy się zwinęliśmy.

Pozostawało rozbitcie emocjonalne po śmierci Temby. Tym większe, że Szerpa wychowywał samotnie troje dzieci. Członkowie ekipy odwiedzili jego rodzinę w Katmandu. Dziećmi zaopiekowali się wujkowie. Nie mogli się za bardzo porozumieć.

– Sztuczna, krępująca sytuacja dla obu stron. I ogromne poczucie bezradności – wyznaje Agna.

ROZPRĘŻONA

W 2013 roku na Dhaulagiri Bielecka ma poczucie, że ekipa, z którą jest, ma słabego „spręża”.

– Niestety wszystko się tam rozłaziło – mówi dzisiaj. – Warunki były faktycznie takie sobie, ale na Lhotse też mieliśmy podobne, a jednak działaliśmy, nikt się na nikogo nie oglądał, tylko zakasywaliśmy rękawy i do góry. Tu brakowało mi zdecydowania.

W górach uczuciem dominującym jest nuda.

– Agna potrafi być towarzyska, godzinami opowiadać o Azji, o różnych historycznych i kulturowych uwarunkowaniach tamtej części świata – mówi Piotr Tomala. – Czasem potrafi też zaszyć się z książką w swoim namiocie i przez kilka dni czytać albo słuchać muzyki. To bardzo zdrowe, żeby zachować proporcję między relacjami międzyludzkimi a własnym, oddzielnym światem. Inaczej można zwariować.

Po długim czekaniu na lepszą pogodę Agna stwierdza, że musi się ruszyć. Startuje z Jerzym Natkańskim. Ale po drodze powinny im się noga.

– W drugim wyjściu, już po założeniu jedyńki, bardzo długo szukaliśmy miejsca na założenie II obozu. Załamała nam się pogoda, rozbiliśmy tę dwójkę trochę chaotycznie – każdy tam, gdzie znalazł bezpieczne miejsce.

Wtedy pogoda sypie się zupełnie. Rano wszyscy więc znoszą sprzęt w jedno miejsce i zostawiają depozyt na samej grani, oznaczając go tyczkami.

– Nie wiem, dlaczego nie zaznaczyliśmy tego punktu na GPS – mówi Agna. – Krótko mówiąc, kiedy następnym razem poszliśmy z Jurkiem zakładać dwójkę, depozytu nie było. Spędziliśmy tam pół dnia, przekopując śnieg, i nie znaleźliśmy śladu! Po nas wyszła druga ekipa, też go nie znalazła. Trzeba było wszystko wynosić od nowa i zakładać dwójkę jeszcze raz. W końcu stanęła niżej, dużo za nisko. Zwątpiłam trochę w mój zespół.

Agnieszka nie wierzy, że z taką ekipą szarpną się na atak szczytowy, zaczyna więc rozmawiać z Hiszpanami, którzy doszli na miejsce. Tego dnia ma urodziny, więc wybierając się do hiszpańskiego obozu, bierze butelkę pod pachę. Zaczyna wypytywać, czy jeśli w jej zespole

nie będzie chętnych, to będzie mogła zabrać się z nimi. W drodze do obozu I na Dhaulagiri jest odcinek pełen niebezpiecznych szczelin. Na tym odcinku w 2008 roku zginął Piotr Morawski. Agna wie, że lider wyprawy, Jerzy Natkański, nie puści jej samej do ataku szczytowego. Żadnych samotnych rajdów! – powtarza.

Wtedy pojawia się okno pogodowe i wszyscy nagle wychodzą do góry. Mają fatalną aklimatyzację, bo nikt wcześniej nie był nawet w trójce. Wcześniej trzeba było wynieść depozyty, idą więc do góry w trójkowym zespole: Jerzy Natkański, Piotr Tomala i Bielecka. Znowu zaczyna mocno wiać i Natkański zarządza odwrót. Agna idzie do końca poręczówek, żeby złapać chociaż trochę aklimatyzacji. Chce dojść, dokąd się da, bezpiecznie, na poręczach, a potem zawrócić.

Prze do góry. Jednak w pewnym momencie kończą się poręczówki, a zaczynają lód i naga skała. Agna siada na kamieniu, wyciąga kamerę i nagrywa filmik, w którym narzeka prawie z płaczem, że znowu musi wracać, choć wcale nie jest tak źle, wieje, ale da się wytrzymać i można założyć trójkę. Ale decyzja zespołu brzmi: odwrót.

Na dole himalaistka znowu dogaduje się z Hiszpanami. W końcu wszyscy wyruszają razem. Jednak z trójki wychodzi tylko polska ekipa, zdaniem Agny – za późno. Po dwustu metrach zespół decyduje, że wraca. Agna przeżywa chwilę trwogi, bo oznacza to, że nie ma z kim iść dalej.

– Byłam wściekła, ale z perspektywy czasu uważam, że żadna decyzja o odwrocie nie jest złą decyzją – mówi.

W końcu Agna decyduje się na atak w dwójkowym zespole z Pawłem Michalskim z sąsiedniej wyprawy, którego partner został zmuszony do zawrócenia do trójki.

– Byliśmy z Pawłem pierwszymi osobami w tym sezonie, które poszły powyżej wysokiej trójki. Miałam ochotę powalczyć, bo zawrócić zawsze można. Zupełnie nie czułam, żeby to był moment, w którym chcę się poddać. Usiedliśmy w miejscu właściwej trójki na 7400 m n.p.m. i czekaliśmy nie wiadomo na co. W końcu Paweł stwierdził: dobra, siostra, idziemy! Ale wahał się, bo nie znał mnie do końca. Podejrzewam, że bał się iść z nieznanym partnerem. W końcu poszliśmy – wspomina Bielecka.

Idą równo, dobrze się czują, w miarę szybko pokonują wysokość. Nakręcają się nawzajem. W głowie Agna odtwarza szkolenie z Arturem Hajzerem. Hajzer ostrzegwał, że w warstwie szczytowej Dhaulagiri jest odcinek techniczny, potem żleb śnieżny, kamień (tak zwany Kamień Gerlinde), trawers przez śnieg, a w końcu „otwarta książka”, czyli strome podejście na grań szczytową, którym idzie się na przełęcz.

– Tam, obok ciała w różowych albo zielonych butach, ma być punkt orientacyjny – tłumaczy Agna. – Potem trzeba iść w lewo i za dwadzieścia minut dociera się do szczytu.

Paweł Michalski nie był pewny, gdzie iść dalej. Zamiast dołem, jak kazał Hajzer, ruszyli górą, gdzie dostrzegli szczątki poręczówek. Agnieszka miała słabą aklimatyzację. Jak wspomina:

– Wtedy chyba pierwszy i ostatni raz zdarzyła mi się sytuacja, kiedy mój umysł zaczął ze mną pogrywać. Widziałam to, co chciałam zobaczyć.

Mającą gdzieś poręczówki, których nie ma, a kamienie przypominają plecaki.

– Tam, na górze, decyzje podejmuje się bardzo impulsywnie. Dlatego plan ataku szczytowego należy robić w bazie, dużo wcześniej. Jedyna zmiana, jaką możesz na wysokości wprowadzić do tego planu, to decyzja o odwrocie – wyłuszcza zasadę bezpieczeństwa Agna.

Tymczasem idą z Pawłem na szczyt, ale po drodze ona gorzej się czuje.

– Zaczęło mi się kręcić w głowie, a ponieważ obiecałam partnerowi, że będę go o takich rzeczach informować, to powiedziałam: stary, coś dziwnego mi się dzieje z głową. Na to on: dobra, może jeszcze te pięćdziesiąt metrów.

Potem, kiedy on chciał zawracać, to ona go mobilizowała.

– W ten sposób nawzajem się ciągnęliśmy – mówi dalej Agna. – Wyleźliśmy na grań Dhaulagiri i wtedy wszystko stało się jasne.

Okazało się, że są na wysokości 8100 m n.p.m., a od szczytu dzieli ich około trzech godzin drogi. „Totalna załamka” – wspomina Agna. Zobaczyli, że poszli tak zwaną drogą pierwszych zdobywców, która na Dhaulagiri wyjątkowo nie jest najłatwiejszą drogą – choć początkowo naturalnie się narzuca. Po wyjściu na grań szczytową jednak okazuje się, że pomimo niewielkiej już deniwelacji droga do szczytu jest długa i trudna. Było za późno żeby kontynuować.

– Najzwyczajniej w świecie pobłądziliśmy jak ostatnie łosie, zamiast się trzymać analizy i planów, poszliśmy na żywioł – ocenia Agna.

Spontaniczne decyzje podejmowane na tej wysokości rzadko się opłacają.

SAMA

Z wyprawy Bielecka wraca więc znów bez szczytu. Jest przełom wiosny i lata 2013 roku. Kilkadziesiąt dni po tragedii na Broad Peak, w której zginęli Maciej Berbek i Tomasz Kowalski. Po powrocie z Dhaulagiri Agna nie zdąży się spotkać z Arturem Hajzerem, który już szykuje się do wyprawy na Gaszerbrum I. Spędza dobę u znajomych w Warszawie, stamtąd wybiera się na Denali w Stanach Zjednoczonych, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Z Hajzerem rozmawia kilka godzin przez telefon. Opowiada mu o wyprawie i pechu, który znowu ją spotkał. Artur uspokaja, że jeszcze będzie szansa, to nic straconego. Jeszcze nie raz spotkają się na wyprawie – zapewnia.

To będzie ich ostatnia rozmowa.

Agna przyjeżdża do Warszawy, robi u znajomych „przepak” i przepierkę, po czym leci na Denali. Pamięta, że tę dwu- lub trzygodzinną rozmowę z Arturem Hajzerem zakończyła słowami: „Dobra, nie będę ci więcej truła, masz swoją wyprawę, jesteś już pewnie na niej myślami, pogadamy, jak wrócisz!”. Nie wrócił.

Prosto z Denali Agna przyjeżdża do Warszawy, znów tylko na dwadzieścia cztery godziny, po czym leci do Peru, gdzie prowadzi dwa trekkingi, jeden po drugim. O wypadku Artura na Gaszerbrumie I dowiaduje się dzień przed odlotem pierwszej grupy, zupełnie przypadkowo. Adam Bielecki pyta na Facebooku, czy ktoś zna włoski. Agna ma w grupie dziewczynę, która dobrze zna ten język.

– Kiedy zaczęła tłumaczyć tekst, zorientowałam się, o co chodzi – wspomina dziś Agna. Dowiedziała się, że dwóch Polaków zaginęło na Gaszerbrumie i nie wiadomo, co z nimi. – Potem się dowiedziałam, że Artur wysłał SMS-a do Izy, swojej żony, że Marcin Kaczkan spadł. Miałam wyrozumiałą grupę, przejęli się. Tydzień wcześniej dotarła do mnie wiadomość o zamachu na Nanga Parbat – byli wtedy na tej górze moi znajomi, na szczęście nic im się nie stało, ale zanim się o tym upewniłam, pierwszy raz w czasie pracy zgubiłam bilety autobusowe całej grupy i przegapiłam przystanek, na którym mieliśmy wysiąść. Kumulacja złych wieści

przypadła na grupę w Peru. Co teraz? Może pójde do jakiegoś baru i będę piła przez tydzień?

Na drugim końcu świata znalazła pomocną dłoń. Piotr Tomala podał jej kontakt do Cecylii, Peruwianki, która studiowała w Polsce psychologię i mówiła dobrze po polsku.

– Kupiłam butelkę wina i pojechałam. Powiedziałam jej, w jakiej jestem sytuacji. Kazała mi jechać do hotelu, zabrać swoje rzeczy i wrócić, bo będę u niej mieszkać przez tydzień – mówi Agna.

Kobiety siedziały razem na patio u Cecylii rozmawiały, głównie o Arturze.

To była pierwsza sytuacja w życiu Agny, kiedy straciła kogoś tak bliskiego. Po wyprawie na Lhotse Hajzer zaproponował jej współpracę. Jeździła na wyprawy unifikacyjne Polskiego Himalaizmu Zimowego, a parę godzin w tygodniu poświęcała na zajęcia asystentki w PHZ.

– Prowadziłam dokumentację, tłumaczyłam listy, wysyłałam korespondencję, sortowałam fotografie i filmy. Był taki moment między Lhotse a Dhaulagiri, że rozmawialiśmy po kilka razy w tygodniu, bo coś musieliśmy uściślić, dogadać. Numer do Artura był jednym z najczęściej wybieranych w moim telefonie – mówi Agna.

Ale łączyła ich nie tylko praca. Byli sobie po ludzku bliscy. Jak mówi Bielecka:

– Miałam do niego bardzo dużo sympatii, myślę, że odwzajemnionej. On potrafił mnie wkurzyć, ja umiałam go opieprzyć. Fajny układ, zupełnie uczciwy, partnerski, oparty na szacunku.

Wtedy zakończyła się dla niej pewna epoka.

– Kiedy dowiedziałam się o śmierci Artura, nie mogłam w to uwierzyć. Potem pomyślałam również o tym, że tu się kończą moje Himalaje. Bo wszystkie wyprawy, na jakie pojechałam, w dużej mierze były dzięki niemu. Dzięki temu, że mi zaufał i zabrał mnie na tę pierwszą. Ale z rozpędu pojechałam na Broad Peak. I z rozpędu go zdobyłam – opowiada.

Góry nigdy nie przestają zadziwiać. I całe życie uczą.

– Tak naprawdę najwięcej nauczyłam się podczas wypraw, na których nie osiągnęłam sukcesu. O Broad Peak, który zdobyłam w 2014 roku, nie ma co opowiadać. Po prostu na niego wszłam. Ale porażki czy raczej niepowodzenia nauczyły mnie wielu rzeczy. Robienia listy punktów do odhaczenia, narzucania sobie *deadline*’ów. Trzymania się planów ustalonych na dole, niepodejmowania żadnych decyzji na górze, z wyjątkiem tej o powrocie.

Agna dowiedziała się też czegoś o sobie.

– Może jest to bolesne, bardzo frustrujące, ale wiem, że nie jestem na tyle uparta, na tyle ambitna, żeby nie podjąć racjonalnej decyzji o odwołaniu – mówi.

Po odwołaniu spod Dhaulagiri myślała, że już nigdzie więcej nie uda jej się pojechać. Organizacja wyprawy pochłania mnóstwo czasu, wysiłku i przede wszystkim pieniędzy.

– Na miejscu ciężko harujesz na to, żeby wejść na szczyt. A czasami musisz zawrócić. To strasznie boli – przyznaje Agna.

Wierzy, że nie warto odmrażać sobie palców, byleby tylko stanąć na wierzchołku.

– Dążenie do szczytu też jest wartością. Liczy się sam fakt, że mogę tam być i sterana jak szlag dochodzę do obozu. Czuję się zadowolona, bo przetorowałam kawał drogi i okazało się, że jestem równie silna jak koledzy. To daje mi satysfakcję. Albo to, że ktoś szedł po moich śladach – dodaje Bielecka.



Na szczycie Broad Peak, 27 lipca 2014. Od lewej: Piotr Tomala, Agnieszka Bielecka, Marek Chmielarski.

fot. Piotr Tomala

W 2014 roku na wyprawie na Broad Peak Middle Agna jedenaście dni przed planowanym atakiem na główny cel wyprawy, którym był niższy, lecz trudniejszy od głównego szczytu wierzchołek. Dowiaduje się, że nie weźmie w nim udziału. Kiedy słyszy o tym od kierownika wyprawy, idzie do swojego namiotu i nie wychodzi z niego przez pięć dni. W rozmowach z uczestnikami wyprawy okazuje się, że nie była to decyzja całego zespołu, jak zostało jej powiedziane, ale wyłącznie kierownika.

Agna opowiada tę historię ze swojej perspektywy:

– Na Broad Peak przyjechaliśmy pierwsi, zaporęczowaliśmy kawał drogi. Po nas zaczęli przyjeżdżać inni. Tłum ludzi! Utknęłam w korku na wejściu na przełęcz, jakiś Koreańczyk dyszał mi na kark, a nie bardzo dało się go obejść, jest tam naprawdę wąziutkie gardło. W końcu trafiliśmy na okno pogodowe i weszliśmy na szczyt. Ale od tamtej pory wiem, że nie chcę dążyć do zdobycia Korony Himalajów i Karakorum, do kolekcjonowania rekordów. Na tej wyprawie trochę straciłam zapał do letniego zdobywania ośmiotysięczników w sezonie, klasycznymi drogami. Wśród całej masy innych ludzi – różnie do tematu przygotowanych.

Piotr Tomala:

– Chętnie pojedę z Agną na kolejną wyprawę. Jesteśmy razem w szerokiej kadrze na wyprawę zimową. Myślę, że to kwestia czasu, byśmy spotkali się w górach wysokich.

Agna nie ma zamiaru „pisać historii”.

– Ważne jest to, co przeżywam, moje osobiste odczucia i reakcje. Żeby mieć satysfakcję, nie muszę pobijać rekordów. Nie jest dla mnie tragedią, że od dwóch lat nie wyszła mi żadna wyprawa. Ja jestem słabym organizatorem, chyba nie mam wystarczającej motywacji, żeby sama

zorganizować wyprawę, partnerów i fundusze na ośmiotysięcznik, to jest dużo pracy i dużo pieniędzy, a ostatnio dużo pracuję zarobkowo i jestem zaangażowana w inny projekt sportowo-naukowy. I tak mam ciekawe życie, robię fajne rzeczy. Koszt wyprawy na ośmiotysięcznik to w moim przypadku trzy lata ciężkiej harówki. Czy warto? Nie wiem. Dziś nie upieram się na ośmiotysięczniki, bo znajduję frajdę również w górach, które magicznej cyfry 8 na początku nie mają. Z drugiej strony, jeśli kiedyś trafi się okazja...

¹ Informacja o przebiegu imprezy pochodzi z książki A. Bieleckiego, D. Szczepańskiego, *Spod zamrzniętych powiek*, Warszawa 2017 (e-book).

STYL ZUCHWAŁO-BEZCZELNY



IZABELA CZAPLICKA



fot. archiwum prywatne Izabeli Czaplickiej

– *Jeśli bardzo chcesz, to zgoda: opowiem ci o pasji. O tym, czym pasja jest dzisiaj, w czasach, w których trudno znaleźć dwie godziny, żeby usiąść i pogadać. O tym, jak to jest, kiedy liczą się odwaga i spontaniczność, przychodzi spać pod stołem w schronisku i przeżywać tydzień za pięć euro po to tylko, żeby zaznać przygody.*



Jestem menedżerką. Na stronie internetowej firmy doradczej, gdzie pracuję, pod moim zdjęciem napisano: „Jeżeli szukasz partnera w biznesie, który pomoże Ci zdobyć Koronę Himalajów, ona wskaże Ci najlepszą trasę”. Jestem zapracowaną kobietą, ale w góry jeżdżę, kiedy tylko mogę.

Wspinałam się w Tatrach, Alpach, Andach i Himalajach. Jednak sama nigdy nie nazwałabym się himalaistką. Dla mnie to termin zarezerwowany dla takich autorytetów jak Wanda Rutkiewicz, Anna Czerwińska czy Krystyna Palmowska. Ale wiem też, że dzisiaj wspinanie się w Himalajach wygląda zupełnie inaczej niż za ich czasów.

Obecnie do ośmiotysięczników ustawiają się kolejki. Płacisz – wchodzisz na szczyt. Pod okiem przewodnika, z pomocą tragarzy. Mnie interesują szczyty, których wcześniej nikt nie zdobył, o których mało kto wie. Wyjazdy, na których będziemy tylko ja i góra. Ciekawe, rzadko uczęszczane miejsca, które wymagają ode mnie samodzielności.

Dlatego w 2011 roku postanowiłam pojechać w Himalaje. Wspólnie z Agnieszką Konopką wybrałyśmy Baruntse (7129 m n.p.m.). „Ta góra jest jak kobieta” – napisałam potem w artykule. Nieprzewidywalna, niedostępna, ale jaka piękna.

W DRODZE NA „BLANKA”

Na początku, chyba jak większość alpinistów, Izabela Czaplicka robi kurs skałkowy. Ale nie wspina się w Tatrach. Przynajmniej nie od razu. Swój tatrzański debiut zalicza na studiach, na pierwszym roku, z Pawłem (przyszłym mężem Agnieszki Konopki), który pochodzi z rodziny z taternickimi tradycjami. Iza łapie się na wspólny wyjazd, a o krewnych Pawła mówi:

– Mieli w domu mnóstwo starego sprzętu, stalowe czekany, wysłużone, przedpotopowe raki, chętnie dzielili się sprzętem i wiedzą.

Jest wiosna, tuż przed sesją egzaminacyjną. Dziś Iza pamięta, jak idąc do Morskiego Oka, wkuwa teorie św. Alojzego do egzaminu z filozofii. Właśnie wtedy wchodzi na Mnicha, dosyć prostą, „dwójkową” drogą. Jej celem jest obeznanie się z terenem, z fakturą skały, z górską rzeczywistością.

Jej pierwsze poważne góry to jednak Alpy. Trafia tam z marszu. Rok 2003, jadą z koleżanką Agnieszką na trekking u podnóża Mont Blanc. Przez Niemcy pociągiem, potem stopem przez Szwajcarię. Pierwszy raz dołączają do nich wtedy koledzy – i pierwszy raz alpinistki idą na lodowiec. Wtedy, w tym lodowcowym terenie, znajomi wspinacze pokazują im, co to jest lina, uczą technik związanych z poruszaniem się wśród szczelin.

Rok później dziewczyny jadą już na „Blanka” same, ale znów spotykają się ze znajomymi, z którymi były tam rok wcześniej.

– Znalazłyśmy się tam w narciarskich kombinezonach z watoliny – opowiada Iza. – Z profesjonalnego sprzętu miałyśmy tylko raki. I jakieś dziadowskie buty: zwykłe trekkingowe. Do dziś zastanawiam się, jak mogłam w nich wejść na „Blanka”. To był wyjazd studencki, nie miałyśmy pieniędzy, w grę absolutnie nie wchodziło spanie w schronisku, więc wtargwałyśmy tam namiot. Chciałyśmy się gdzieś rozbić, ale uświadomiono nas, że nie wolno, więc skończyłyśmy, śpiąc pod stołem, bo obsługa schroniska była na tyle miła, że przyjęła nas za darmo. Miałyśmy przy sobie pięć euro, z czego trzy i pół wydałyśmy na colę. Pamiętam, że wzięłam ze sobą jeszcze słoik oliwek, to była niby taka nagroda za wejście.

Dziewczyny miały wówczas więcej entuzjazmu niż wiedzy.

– Pojechałyśmy tam praktycznie bez przygotowania. Na miejscu chodziłyśmy do biura przewodników górskich w Chamonix i dopytywałyśmy, co i jak. Korzystałyśmy z internetu, czytałyśmy relacje innych ludzi i na tej podstawie chciałyśmy zaplanować drogę, obliczyć czasy, opracować całą logistykę – opowiada Czaplicka.

Z perspektywy lat żałuje, że nie wjechała kolejką, tylko szła pieszo, a na Aconcaguę niepotrzebnie sama niosła ciężki plecak. Dziś woli się oszczędzać i nie nadwierać organizmu bez potrzeby. Doskonale pamięta uczucie spod „Blanka”.

– Wtedy, pod Mont Blanc, coś we mnie do gór wysokich „zapikało” – mówi. – Było przepięknie. Ta przestrzeń! W Tatrach na horyzoncie masz cywilizację. W Alpach bezkres się ciągnie. O Himalajach nie wspomnę. Byłam tym wszystkim zachwycona i wiedziałam, że od gór wysokich już nie będzie ucieczki.

SZEŚCIOTYSIĘCZNIKI NA KONCIE

Kiedy Iza opowiada o wyprawie w Andy, jej oczy błyszczą.

– Aga jest ode mnie trochę niższa, więc wyglądałyśmy tam jak dwa krasnale – mówi z uśmiechem. – Kiedy spotykałyśmy lokalnych przewodników, zwłaszcza na Aconcagui, nie mogli się nadziwić, że robimy wszystko same. Wyglądałyśmy jak dwie dziewczynki, które zgubiły się w górach.

Ale na takie przygody trzeba zarobić. Jak wspomina Iza:

– Trzy miesiące w Ameryce Południowej kosztowały nas dziesięć tysięcy złotych. Wtedy dolar stał nisko, więc łatwo było sprowadzić sprzęt ze Stanów. Bilety kosztowały około dwóch tysięcy. To było niedługo po naszych studiach, Aga znalazła zatrudnienie w Anglii, ja byłam półtora roku w Brukseli, gdzie pracowałam w Parlamencie Europejskim. Udało nam się zaoszczędzić i postanowiłyśmy, że pojedziemy dzięki temu na długie wakacje. Najpierw mieszkaliśmy w Chile, u chłopaka poznanego na portalu couchsurfingowym. Potem pojechałyśmy do Argentyny na Aconcaguę. Udało nam się na nią wejść stylem „zuchwało-bezczelnym” – opowiada.

I dodaje:

– Uczyłyśmy się na własnych błędach. Próbowaliśmy się przygotować, korzystając ze źródeł, które miałyśmy. Nie byłyśmy na żadnych kursach wspinaczkowych taternickich, lecz jedynie na skałkowych, miałyśmy doświadczenie, ale tylko letnie. Za to czytałyśmy książki, relacje, zastanawialiśmy się, jak to zrobić z głową. Korzystałyśmy też z doświadczeń znajomych, między innymi Tomka Kowalskiego, który w 2013 roku zginął na Broad Peak.

Wyprawa przebiegła sprawnie. Dziewczyny zdobyły Aconcaguę w niecałe dwa tygodnie. Nie miały problemów z aklimatyzacją, była świetna pogoda. Udało się.

– Wiesz, to jest tak, że jak się zrobi odważny krok, to marzy się o kolejnym, jeszcze odważniejszym. Po Argentynie pojechałyśmy razem do Peru, potem do Ekwadoru. W Peru trafiłyśmy do Kordyliery Białej, ale w porze deszczowej. Codziennie o 12.00 był taki prysznic, że nic się nie dało zrobić. Góry nas jednak zachwyciły, więc postanowiłyśmy, że wkrótce wrócimy – mówi Czaplicka.

Tymczasem dziewczyny muszą udać się w drogę powrotną do Polski i jakoś zorganizować sobie życie. Jak opowiada Iza:

– Umówiłyśmy się, że na rozmowach kwalifikacyjnych powiemy, że mamy już plany na wrzesień i jeśli ktoś chce nas zatrudnić, musi te nasze plany uwzględnić. To znowu zuchwały krok. Po prostu powiedziałam, że muszę wyjechać, bo kupiłam już bilety – co nie było prawdą – i innego wyjścia nie ma. Udało się. Adze zresztą też.

Pojechały we wrześniu w peruwiańską Kordylierę. Tam zdobyły cztery góry. Pomagało to, że obozy bazowe są wysoko położone.

– Spędziłyśmy tam cztery tygodnie i wspięłyśmy się na dwa pięcioletniki i dwa sześcioletniki. Na jednym z nich po drodze był lodowiec, związanie się liną, szczeliny, pokonanie trudności pogodowych i mentalnych – wspomina Iza.

SPOTKANIE ZE ŚMIERCIĄ

Do Agnieszki dociera informacja, że Aleksandra Dzik, himalaistka z Krakowa, wybiera się z większą wyprawą na Chan Tengri i Szczyt Zwycięstwa. Jadą z Izą do Krakowa, rozmawiają o potencjalnej wyprawie. Aleksandra Dzik chce jednak atakować górę od innej strony, więc Agnieszka i Iza jadą oddzielnie.

Już w Azji spotykają... O! Dzik. Dopiero na miejscu okazuje się, że himalaistka z Krakowa zdecydowała się zdobywać górę od tej samej strony, co Iza i Agnieszka. Współpraca idzie dobrze, w bazie panują dobre nastroje. Ale na Chan Tengri wejść się nie udaje. Pogoda jest bardzo zła, wspinacze siedzą głównie w namiotach.

– Podjęliśmy próbę ataku, bo wydawało się, że będzie okno pogodowe, wyszliśmy w kierunku szczytu – opowiada Iza. – Ale po kolei się cofali, bo warunki się nie poprawiały. Kiedy wróciliśmy do obozu, okazało się, że się przejaśniło, zrobiło się ładnie.

Tego dnia na szczycie stanęła tylko para Rosjan, lecz Rosjanka odmroziła sobie policzek.

– Nam się nie udało, ale zachowaliśmy zdrowie – mówi Iza, która wolała posłuchać głosu zdrowego rozsądku.

Ostatecznie tylko Aleksandra Dzik udaje się wejść na szczyt. Akurat w dniu, kiedy reszta grupy spod Chan Tengri musi zmierzać do powrotnego helikoptera.



Lądowanie helikoptera w bazie od północnej strony Chan Tengri.
fot. archiwum prywatne Izabeli Czaplickiej

DWÓCH TAKICH SAMYCH GÓR NIE MA

Czaplicka mówi, że góra górze nie równa.

– Wszystko zależy od szczytu – twierdzi. – Na przykład Aconcagua jest zdradliwie łatwa. Nie wymaga żadnych umiejętności wspinaczkowych, więc jest tam bardzo dużo ludzi z przypadku i wielu z nich kończy z chorobą wysokościową albo odmrożeniami. Chan Tengri to już zupełnie inna bajka. Występują tam elementy wspinaczkowe, góra jest zaporęczowana, ale trzeba mieć pewne umiejętności i możliwości sprzętowe, żeby wejść. Poza tym pogoda bywa bardzo kapryśna. Ją się odczuwa podwójnie. Lodowce, z którymi wcześniej się spotykałam, wydawały się bezpieczne, a na Chan Tengri były przysypane śniegiem, miały zakryte szczeliny. Były więc momenty wymagające wyjątkowego skupienia i rozwagi. Tien-szan działa na wyobraźnię. Słuchałyśmy opowieści o ludziach, którzy w tych szczelinach ginęli, a chwilę potem same tamtędy szłyśmy.

GÓRSKA ŚMIERĆ

Czaplicka miała w górach kontakt ze śmiercią. Opowiada:

– Kilka sezonów wcześniej w drodze na szczyt Chan Tengri zginął polski wspinacz, Waldemar Graj. W sezonie, w którym tam byliśmy, jego ciało wisiało na linie, zupełnie odkryte. Dopiero przed naszym wyjściem ruszyli tam rosyjscy przewodnicy, owinęli jego ciało i odsunęli od poręczówek. Wcześniej mówiono nam, że „trzeba przejść przez Waldemara”.

Później szef bazy dał Izie i Adze czapkę Waldemara z prośbą, żeby przekazały jego żonie.

Zrobiły to.

Co Czaplicka wtedy czuła?

– To uświadomiło mi, że śmierć jest blisko i że będzie coraz bliżej – mówi.

Coraz częściej się na nią natykała. Wylicza:

– Jeszcze przed Tien-szanem dwójka moich kolegów z harcerstwa zginęła na Matterhornie. Jednak najmocniejszym ciosem była dla mnie śmierć Tomka Kowalskiego, z którym znałam się jeszcze z czasów studenckich, ze ścianki. Mieliśmy coroczne wigilie wspinaczkowe. Nie zdążyłam się z Tomkiem powspinać.

Ale to nie koniec śmiertelnej listy. Swego czasu Iza działała w jaskiniach. Z pewnej wyprawy w Tatry zapamięta Marcina Tyszkę, który właśnie jechał na Aconcaguę.

– Przegadaliśmy całą drogę powrotną. Rok później zginął w Tatrach, w terenie zejściowym, poleciał z deską śnieżną. Albo Grzegorz Kukurowski, który niedawno stracił życie na północnej ścianie Shivlingu – dwa sezony wcześniej byliśmy razem na sylwestrze w Morskim Oku – wylicza Czaplicka.

To jednak nie sparaliżowało jej strachem i nie spowodowało blokady. Jak mówi:

– O tych wszystkich tragediach nie myślę w trakcie wspinania. Nie mam traumy. Wspinam się bardzo zachowawczo, zawsze. Prawie w ogóle nie ryzykuję, jestem mistrzynią odwrotów.

EMOCJE NA WYSOKOŚCIACH

Nie znaczy to, że w drodze na szczyt nigdy nie spotyka ekstremalnych sytuacji. Zwłaszcza że na górze nawet najmniejszy drobiazg urasta do rangi ogromnego problemu. Iza wspomina szczególnie wyprawę na Chan Tengri. Okazało się, że wspinaczka w duecie jest okupiona pewnymi kosztami.

– Miałam wtedy problemy z rakiem plus wolniej się od Agnieszki rozkręcałam. A było tak zimno, że ona nie była w stanie na mnie czekać. Gdyby się zatrzymała, bardzo by zmarzła, być może musiałaby zawrócić. Poszła przodem, a ja szłam pewnie kilka minut za nią. Pogoda była straszna i w pewnym momencie poczułam, że chcę wrócić, bo jest mi zimno, źle i nie mogę iść dalej. Zawróciłam.

Wtedy tandem po raz pierwszy się rozdziela. Tak się składa, że Aga niesie prowiant, a Iza termos z herbatą. Czaplicka nie była w stanie dogonić partnerki, próbowała jakoś przekazać jej gorący napój. Ale Agnieszka myślała, że koleżanka zostawia ją bez herbaty. W końcu też zawróciła. Emocje wzięły górę, dziewczyny pokłóciły się.

– Dwie babki, które wcześniej uchodziły za nierozłączne, teraz na siebie wrzeszczą – wspomina Czaplicka.

Dziś nie żałuje, że wtedy obeszła się smakiem zwycięstwa.

– Uważam, że zawsze trzeba wiedzieć, kiedy zawrócić. To żaden wstyd. Jeśli chcesz robić w górach rzeczy spektakularne, to ryzykujesz. Ja tego nie umiem. Przede wszystkim chciałam wrócić do domu – mówi Iza o swoich priorytetach. Po chwili jednak dodaje: – Wspinam się zachowawczo, czasem może zbyt zachowawczo, ale jest mi z tym dobrze. Bo ja jednak nie chcę zostać w górach. Chyba że w wieku 80 lat. Wtedy chętniej w górach niż w szpitalu.

PRZESUWANE GRANICE

Iza Czaplicka zdradza, że wcale nie szczyt był dla niej najważniejszy. Co się liczy? Droga do gór. Bycie w górach.

– Dla mnie najważniejsze było pokonywanie własnych słabości – mówi. – Czerpałam satysfakcję z tego, że zrobiłam odcinek, który był dla mnie trudny wspinaczkowo, przezwyciężyłam swoje ułomności fizyczne, udało mi się przełamać.

Mimo że góry konfrontują ją z jej słabością, zmuszają do przebywania w trzydziestu stopniach poniżej zera, kiedy zamarzają palce i nie można złapać oddechu, Iza i tak je kocha. Dlaczego?

– Na to pytanie nie da się odpowiedzieć, to się czuje. Ja nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Po części dlatego, że tam jest po prostu pięknie – wyznaje.

A przeciwności? To właśnie one dodają życiu smaku.

– Gdy wracasz z zimowego wspinania, doceniasz, że masz ciepły prysznic. Czujesz, że żyjesz. Bardzo lubię przebywać w ekstremalnych warunkach. To szalenie satysfakcjonujące. Pozwala doceniać małe przyjemności: ciepłą herbatę, wygodne łóżko lub to, że w ogóle ma się gdzie spać. Lubię przesuwać sobie tę granicę strefy komfortu, a nie granicę wysokości czy ryzyka – podkreśla Iza.

SPOTKANIE Z LEGENDĄ

Dzięki tej zachowawczości, a może po prostu dzięki rozsądkowi, Izie będzie dane zejść daleko. Kiedy wracają z Agą z Tien-szanu, czują, że teraz pora na Himalaje, a konkretniej Baruntse. Najpierw trzeba jednak zmontować ekipę. Na początku nawet nie przypuszczają, że do wyprawy dołączy legenda: Anna Czerwińska.

– Wydaje mi się, że miała porachunki z tą górą – mówi dziś Czaplicka.

Wcześniej Iza pojechała zimą na Ararat, gdzie zwerbowała kolejne osoby do wyprawy na Baruntse, między innymi Marcina Dudka i Roberta Dziecha. Do ekipy dołączy też Paweł Lulek, z którego tatą Czaplicka była na pierwszej wspinaczce na Mnichu.

Do zdobycia góry Izabela przygotowuje się intuicyjnie, bo ma spore doświadczenie. Wspinała się już letnio i zimowo w Tatrach. Pod względem obsługi sprzętu najwięcej daje jej kurs taternictwa jaskiniowego. Biega, żeby podtrzymać kondycję.

– Nigdy nie miałyśmy z Agą problemu z aklimatyzacją, dlatego że jesteśmy drobne – mówi Iza. – Nigdy nie miałyśmy też problemów z noszeniem sprzętu.

Tę formę wypracowywały jednak przez lata. Bardzo dawno temu, jeszcze w liceum, były w Bieszczadach. Szły przez połoniny i rozmawiały, że chodzenie z plecakami to głupota. Ale Czaplicka dodaje:

– Później zaczęłyśmy chodzić z obciążeniem w górach wysokich. To było stopniowe przygotowywanie do Himalajów, trening, który rozciągał się na lata.

Największym wyzwaniem jest dla nich logistyka. Nigdy nie były w Himalajach. Mają ambitny plan: nie chcą korzystać z usług agencji i nie chcą, żeby była to wyprawa „guide’owana”, jak mówi się w środowiskowym żargonie, czyli pod opieką przewodników.

– Pamiętam, że odbyłam wiele dyskusji z Anią Czerwińską, z którą ciężko było mi

podejmować jakąkolwiek polemikę, bo to człowiek z taką historią i autorytetem. Ustalałyśmy różne szczegóły, logistykę, organizację – mówi Iza z onieśmieleniem w głosie. – Zwracała się do mnie jak do kierownika wyprawy, choć przecież to legenda.

Spotkanie z legendą ujawniło różnice między pokoleniami, ale wszystkim wyszło to na dobre. Czerwińska chciała zabrać ze sobą kucharza, Czaplicka nie widziała takiej potrzeby.

– Ania dzięki swojemu doświadczeniu wiedziała, że regeneracja jest ważna, że takie elementy są istotne – mówi dziś Iza. – Nie jeździła już na wariata. My chcieliśmy zrobić to niskim kosztem i zupełnie inaczej, po swojemu.

W końcu kucharz pojechał, a Iza sporo nauczyła się od Anny. Czerwińska nie traktowała nikogo protekcjonalnie.

– Zupełnie się nie odczuwało, że to osoba, która jest taką gwiazdą – podkreśla Iza.

Anna miała w sobie dużo pokory.

– Na początku po prostu poprosiła, czy może do tej wyprawy dołączyć. Jakby dopiero zaczynała – opowiada Iza o tym, jak spotkała idolkę.

Niestety kobietom nie udało się podziać razem, bo Czerwińska miała problemy ze zdrowiem i została w bazie.

– Żałuję, że nie miałam z nią za wiele kontaktu. To ogromna strata – wyznaje Czaplicka. – Warto byłoby być bliżej niej, choćby dla jej wspaniałych opowieści.

ZWROT AKCJI

Wyprawa na Baruntse trwa. Uczestnicy dzielą się na zespoły, które współpracują przy zakładaniu obozów i poruszaniu się w ścianie. Iza dostaje dwóch partnerów. Większość osób stopniowo się wykurusza, wszystkich po kolei dopada paskudna infekcja, która uniemożliwia im działania. Iza zostaje na placu boju z Marcinem Dudkiem.

Nagle przeżywa załamanie. Dziś opowiada o nim tak:

– Po dwóch dniach oczekiwania w obozie III stwierdziłam, że odpuszczam, mam dosyć i schodzę. Zbliżał się termin opuszczenia bazy, mieliśmy zamówionych tragarzy, żeby zdążyć na powrotny samolot, kończyło nam się jedzenie. Zostawiłam Marcina w ostatnim obozie, dałam mu swój prowiant i gruby śpiwór i zesłam niżej. Miałam dość.

A tu nagły zwrot akcji. Przewodnicy komercyjnej wyprawy poręczowali drogę. W przedostatnim obozie przekonali Izę, żeby nie schodziła, bo niedługo skończą ubezpieczać przejście, więc himalaistka będzie mogła zdobyć szczyt. Podzielili się z nią jedzeniem. Iza nie kryje wdzięczności:

– To było fantastyczne. Zwykle to się nie zdarza. Natchnęli mnie chęcią działania. Zawróciłam. Weszłam z powrotem do obozu III, kazałam Marcinowi oddać śpiwór – relacjonuje.

GÓRY PO HORYZONT

Pojawia się okazja, więc postanawiają: atakujemy następnego dnia, potem szybko schodzimy, pakujemy się bez odpoczynku i idziemy krótszą drogą na dół, do Lukli. Ekipa wyraża zgodę, można ruszyć.

Iza pamięta to doskonale:

– Na początku byłam trochę szybsza. Znów wyszło to samo, co wcześniej. To, że nie da się na kogoś czekać, bo jeśli się zatrzymasz – a było naprawdę bardzo zimno – to natychmiast tracisz siły. Udawało nam się jednak poruszać w bliskiej odległości. Trafiliśmy na techniczny odcinek, gdzie zrobiłam błąd taktyczny. Zamiast wejść bez asekuracji łatwym terenem, wpakowałam się w poręczówkę, która wisiała w pionie w lekkim przewieszeniu. Straciłam tam bardzo dużo siły i strasznie spadło mi tempo. Marcin ruszył przodem i próbował na mnie czekać chyba pół godziny. W końcu jednak nie dał rady stać w tym zimnie, co jest dla mnie absolutnie zrozumiałe, i wszedł na szczyt pierwszy. Minęliśmy się, kiedy schodził. Powiedział, że chciał zaczekać, ale po prostu musi biec na dół. Spotkaliśmy się trochę niżej, gdzie było ciut cieplej. Przy kopule szczytowej strasznie wieje, jest bardzo nieprzyjemnie i nie da się tam wytrzymać – opowiada Iza o warunkach, jakie panują na himalajskich wysokościach.

A tego, jak jest na szczycie, tak łatwo nie da się opisać. Iza próbuje:

– Było przepięknie. Wspaniała pogoda, doskonała przejrzystość i widok. Bezkres gór. Reszta wydaje się znajdować niżej, cały świat jest niżej. Obok małe obłoczki i góry, góry, góry. Po horyzont. Niesamowite. I wtedy ta myśl: że teraz trzeba uciekać, bo droga powrotna jest najtrudniejsza.

Na szczycie Baruntse Iza spędziła kilka minut. Zrobiła zdjęcia i zaczęła schodzić. Była strasznie zmęczona. Poza tym myślała, że Marcin będzie na nią czekał trochę wyżej. Ciężko się idzie samemu:

– Nie, nie czuje się samotności, ale potworne zmęczenie. Wtedy, podczas powrotu, nie ma miejsca na metafizykę. Pozostaje tylko walka z własną słabością.



Pod Baruntse, 2011.

fot. archiwum prywatne Izabeli Czaplickiej

PRZYMKNĄĆ OCZY

Izabela Czaplicka stanęła na Baruntse jako pierwsza Polka w historii.

– Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia – mówi. – Dla mnie bicie rekordów nie jest ważne.

Jednak wyprawa skończyła się gorzej dla tandemu Izabeli z Agnieszką.

Po powrocie z wyprawy drogi Izy i jej partnerki rozchodzą się na dobre. To była dla Izy fundamentalna zmiana.

– Nie wyobrażałam sobie, żeby jechać w góry wysokie z ludźmi z przypadku, których znalazłam przez internet i wcale nie znam – wyjaśnia Czaplicka. – Tym bardziej że potem jest często tak, że siedzicie przez trzy tygodnie w namiocie, bo jest brzydka pogoda, i musicie jakoś razem funkcjonować. To niełatwe, zwłaszcza w ekstremalnych warunkach. Wolę jechać z dobrą ekipą w Bieszczady niż z nieznanymi w Himalaje.

Z perspektywy czasu stwierdza, że kiedy przestała się wspinać z Agnieszką, o wiele szybciej się rozwijała.

– Chciałyśmy iść wyżej – przyznaje Iza. – Ograniczało nas jednak to, że cały czas byłyśmy we dwie. Kiedy się wspinasz z nowymi ludźmi, uczysz się, zdobywasz jakieś nowe spojrzenie. Miałam poczucie, że nie mogę robić trudniejszych rzeczy, bo jeszcze do tego nie dojrzałam.

Obie stałyśmy w miejscu.

Nie każdy może się wspinać w wysokich górach. Jakie wskazówki daje Iza?

– Trzeba być silnym, żeby to wszystko dźwigać. Ważna jest też oczywiście psychika. W zimowych warunkach musisz się liczyć z załamaniem pogody, z tym, że szybko robi się ciemno, że można o wiele łatwiej stracić orientację. Wtedy mocna psychika się przydaje. Liczy się też szybkość, trzeba się szybko wspinać. I warto mieć sprawdzonego partnera. Nie związałabym się w górach wysokich z żadną osobą, z którą wcześniej się nie wspinałam.

Czaplicka zaznacza, że partner wspinaczkowy nie musi być przyjacielem.

– Ważne, żeby była to osoba zaufana, taka, na której ci zależy i której zależy na tobie. Potrafiłabym o wiele więcej zaryzykować, ratując kogoś bliższego niż nieznanego. W pewnym momencie przestałam jeździć w góry wysokie, bo zabrakło mi osób, z którymi chciałam tam jeździć – przyznaje.

Ale to nie koniec wysokogórskich przygód Izabeli Czaplickiej. Pojedzie jeszcze w Himalaje Indyjskie, w dolinę Miyar, na kaukaską Uszbe, zacznie wspinać się intensywnie w Tatrach oraz Alpach. Jednak jej życie to nie tylko góry. Iza robi też karierę w dużej poznańskiej firmie. Założy rodzinę i urodzi córkę.

Na razie „bierze na wstrzymanie”.

– Czekam na odpowiednią czasoprzestrzeń – mówi, kiedy siedzimy nad owocową herbatą w centrum Wrocławia.

Czy będzie się wspinać, mając dziecko?

– Znam to pytanie – odpowiada. – Ja wiem, że nie byłabym w stanie z tego zrezygnować. Szczęśliwa mama to szczęśliwe dziecko. Myślę, że jeśli nie robisz rzeczy, które sprawiają ci satysfakcję i czynią cię szczęśliwym, to wzbierają w tobie żal i frustracja. Dziecko też to czuje. Moja znajoma, mama, która także się wspina w wysokich górach, wielokrotnie spotykała się z ostracyzmem. W stosunku do mężczyzn to nie występowało.

Iżę to dotyka, ale stara się robić swoje.

– Przez pierwsze miesiące po tym, jak na świecie pojawiła się Tola, nie wspinałam się. Ale tylko dlatego, że mam do gór stosunkowo daleko. Pięć tygodni po porodzie byłam już jednak na nartach w Karkonoszach. Tata Toli, choć sam jest aktywny, lata na paralotni, jest obecny, karmi małą z butelki, dzięki czemu od początku mogłam ruszać w góry praktycznie co weekend. Teraz mam blisko w Karkonosze, więc jeżdżę na skitury. Muszę to robić i chcę. Ale robię to z umiarem. Wiem, że stopniowo znowu dotrę w Himalaje.

Skąd to wie?

– Bo chociaż to banał, to ja po prostu ciągle do nich tęsknię – mówi. – Widzę je, gdy tylko przymknę oczy. Serio.

GRANICE HARDKORU



ALEKSANDRA DZIK



fot. archiwum prywatne Aleksandry Dzik

Środek tygodnia, południe, krakowski Salwator. Tę małą knajpkę dopiero co otworzyli. Aleksandra Dzik podobno zawsze tu przychodzi, kiedy chce pogadać. Ale to nie będzie zwykła rozmowa. Wrócimy tam, pod Nagą Górę. Do namiotów, w których nagle powietrze stanie się gęste. Do obozu, z którego schodzili z ciężkimi sercami.

– Do Chińczyka strzelali, oberwał w ucho, sturlał się z moreny – mówi Ola. – Ktoś, kto był wyżej, słyszał ten dźwięk. Myślał, że strzelają do kóz.



DROGA

Głośna muzyka i półmrok. W ciemnościach dobrze się mówi o krainie wiecznego światła.

Ola jest drobna, ma włosy kręcące się na końcówkach i szeroki uśmiech. Kiedyś do sesji zdjęciowej zafundowali jej pełny makijaż, a na głowie zrobili artystyczny nieład. Fotograf kazał pozować na ścianie, więc wspięła się parę metrów. W prawdziwych górach nie wygląda jak w telewizji.

Ola pochodzi z Katowic, ale łamie stereotyp śląskiej baby. Nie dała się zamknąć w domu, by wychowywać dzieci i czekać na mężczyznę.

– Moja rodzina w ogóle była trochę inna – mówi. – Tata jest matematykiem, a mama psychologiem, oboje nadal są aktywni naukowo, pracują na uniwersytecie.

To ojciec, który sam jeździ w wysokie góry, zaszczepia w Oli pasję. Wojciech Dzik ma na koncie trudne przejścia w Tatrach i Alpach. Jeszcze niedawno wybrał się na wyprawę oldbojów do Pakistanu, eksplorował tamtejsze himalajskie doliny.

– Temperament mam po nim. Nigdy nie chciałam siedzieć w domu i robić klusek – kwituje Ola.

Sama zaczyna już w dzieciństwie od plastikowych nart, w których chodzi po Beskidach. Dzisiaj w górskim środowisku, jeśli zapytać o Aleksandrę, powiedzą: „A, to ta od skialpinizmu”.

Skialpinizm łączy wspinaczkę, podchodzenie na nartach i zjazdy ze szczytu. Młoda Ola jeździ w Beskidy z rodzicami, wybiera się na narciarskie wycieczki w liceum, potem kontaktuje się ze Studenckim Kołem Przewodników Beskidzkich i zaczyna eksplorować polskie góry na poważnie.

W domu tata opowiada o wysokich szczytach. Historie zapierają Oli dech w piersiach: porywisty wiatr, śnieżyce, słońce jakby na wyciągnięcie ręki i lodowate strumienie, w których trzeba się myć.

W dzieciństwie Ola razem z bratem przenoszą się w wyobraźni w góry. Dziś pamięta to tak: w domu była komórka, w której zalegało mnóstwo rzeczy po dziadkach, sprzętu górskiego taty i tak dalej. Rodzeństwo wysoki stos różnych szpargałów nazywa „K2”. Obok kolejna sterta, tym razem wyższa, ale łatwiejsza do wejścia – „Mount Everest”. Oboje się na nie wspinają, zdobywają szpargałowe góry w zespole. Innym razem mała Ola bierze kartkę, rysuje stożek o stromym, bardzo stromym zboczu, a pod nim małe, malutkie ludziki.

Są też górskie książki i starsi koledzy: z pokolenia ojca – instruktora wspinaczki, i nieco młodszy – z klubu wysokogórskiego. Potrafią opowiadać, słuchanie ich historii się nie dłuży. Byli

„tam”, dotknęli „tego” albo przynajmniej się do „tego czegoś” zbliżyli. A teraz opowiadają o nieogarniętej przestrzeni, którą mają pod stopami, kiedy wisząc w ścianie, spojrzą w dół.

Mniej więcej wtedy w Oli rodzi się to, co u większości ludzi gór: przekonanie, że innej drogi niż pod górę po prostu nie ma.



Pierwszy sezon skiturowy. Ola z tatą na Rysiance, 2003.
fot. Michał Dzik

PANTERA

Kiedy pierwszy raz, na początku studiów, widzi Alpy, fascynują ją. Potem – jak mówi dzisiaj – przesuują się jej granice „hardkoru”. Wtedy hardkorem był brak funduszy.

– Bywało różnie – wspomina Ola. – W studenckich czasach nie mieliśmy pieniędzy, więc kiedy brakowało nam prowiantu, wchodziliśmy gdzieś w Austrii do sklepu i patrzyliśmy na jedzenie. Może to był ten hardkor?

Pod kątem aprowizacji i finansowania wyprawy nie było łatwo.

– Wtedy Alpy to był większy hardkor niż niektóre ośmiotysięczniki; nasz styl był bardziej ekstremalny pod względem warunków bytowych i wyżywienia niż wiele współczesnych wejść na szczyty dużo wyższe, ale komercyjnych, kiedy ludzie wchodzą jako klienci.

W samych górach też zdarzały się ekstremalne akcje. Jak opowiada Ola:

– To tam przeżyłam swoją pierwszą graniczną sytuację. Był 2007 rok. Rwę się do torowania najbardziej z całej międzynarodowej ekipy, bo tak bardzo chcę pokazać, że dorównuję facetom wytrzymałością. Prę do przodu, toruję drogę, ale źle to wszystko rozgrywam. Za późno rozbijamy biwak, nie przygotowujemy sobie ciepłego słodkiego napoju i sterczymy gdzieś wysoko, na prawie 7000 m n.p.m.. To był mój hardkor, o którym potem opowiadałam kursantom.

Dwa lata później Ola jest na Piku Pobedy z męską, bardzo mocną ekipą z Kazachstanu i Azerbejdżanu. Idą sprężystym krokiem do przodu. Ola jeszcze nie przygotowana, nie ma dobrego sprzętu, odpowiednich ubrań. Także prze do góry, w końcu się wycofuje, ale przy zejściu trochę odmraża palce, przez co trudno jej wykonywać operacje sprzętowe. Kolega motywuje ją do schodzenia w niewybredny sposób – opowiada o wronach, które ich rozdziobią, jeśli nie da rady dalej samodzielnie się wycofywać.

Rok później Ola jest na tej samej górze. Sytuacja się odwraca. Teraz to ona motywuje innych podczas nagłego załamania pogody. Wieje bardzo silny wiatr, w niektórych miejscach śnieg zalega po pachy. Ola wejdzie na szczyt i wróci do kraju jako zdobywczyni tytułu Śnieżnej Pantery – pięciu siedmiotysięczników byłego ZSRR.

Ale na wyprawie nie jest lekko. Ekipa ma problemy z zejściem (na 7000 m n.p.m.). Ale członkowie wzajemnie się wspierają. Idą. Jeden z Polaków, Kuba Hornowski, ratownik TOPR-u, który w zejściu pomaga osobom z innych zespołów, traci później odmrożone palce. To są właśnie góry. Czasem łaskawe. Innym razem śmiertelnie groźne.

KOMPROMISY

Po maturze Aleksandra Dzik studiuje MISH na Uniwersytecie Śląskim, gdzie robi magisteria z psychologii i socjologii. Interesują ją psychologia społeczna, procesy w małych grupach, zagadnienie płci kulturowej. Po magisteriach postanawia uzyskać doktorat. I połączyć pracę z pasją.

Już podczas studiów magisterskich robi kurs przewodnika beskidzkiego w SKPB w Katowicach. Zapisuje się do Klubu Skialpinistycznego Kandahar, startuje w zawodach skialpinizmu, a także innych dyscyplin. Coraz częściej wyjeżdża w góry i są to góry coraz wyższe.

W pracy doktorskiej będzie chciała odpowiedzieć na pytanie, czy kluby górskie wpływają na rozwój obywatelskości ich członków. Rozmawia z klubowiczami i sympatykami spoza klubów. Im więcej robi wywiadów, tym bardziej czuje, że praca naukowa to szukanie potwierdzenia z góry obranej tezy.

– Czułam, że muszę coś udowodnić na siłę – opowiada. – Niektórym się wydaje, że ludzie chodzący po górach są w jakiś sposób – moralnie, intelektualnie i fizycznie – lepsi od ogółu. Bierze się to stąd, że w dawnych czasach wspinacze pochodzili z elit. Inaczej niż piłkarze, których sport wziął się z tradycji kopania przez tłuszczę ściętej głowy jakiegoś nieszczęśnika. Ale ten górski etos ludzi z elit został przeorany między innymi przez komunę. Dziś środowisko jest dużo bardziej zróżnicowane. Obecnie wspinacze reprezentują cały przekrój społeczny. Nie można stwierdzić, czy przynależność do tego środowiska wpływa jakkolwiek na postawy obywatelskie. Z moich badań zaczęło wychodzić, że ludzie mają po prostu różne postawy i nie mogą generalizować.

Ostatecznie Ola swojego projektu nie kończy. Nie może się dogadać z opiekunem naukowym. Ma na siebie inny pomysł, interesują ją odmienne koncepcje niż promotora. A że nigdy nie lubiła się podporządkowywać, rezygnuje. Odpuszcza karierę naukową i stawia na to, co zna najlepiej. Zakłada firmę, która będzie prowadzić wycieczki poza utarte szlaki, także w góry wysokie.

– Dziś cieszę się, że podjęłam tę decyzję – mówi. – Bo to, co robiłam na uczelni, nie dawało mi poczucia sprawstwa, odpowiedzialności za coś istotnego ani kreatywności. Góry i dalekie wyprawy to większe wyzwanie. Muszę opanować obcy język, przygotować, wyszkolić klientów, zdobyć wiedzę z różnych dziedzin, która pozwoli mi zaopiekować się ludźmi gdzieś daleko w świecie. Jeśli popełnię błąd, nie mogę go skreślić ani udać, że mam rację – w przeciwieństwie do tego, jak byłoby na ścieżce naukowej. W mojej pracy błąd oznacza tragedię. Wierzę w to, co robię. Wolę, żeby moja wiedza i umiejętności były weryfikowane przez życie, a nie recenzentów naukowych. Nie idę na zgniłe kompromisy. Góry to kompromis oparty na rzeczywistości, która na żywo, tu i teraz, weryfikuje twoje możliwości.

Aleksandra Dzik preferuje więc sprawdzian w realnych sytuacjach. To, co mówi, nie znaczy, że nie idzie na żadne ustępstwa.

– Jeśliby zmusiła mnie sytuacja życiowa, miałabym kogoś na utrzymaniu, to zacisnęłabym zęby i mogłabym wytrzymać tam, gdzie nie do końca mi się podobało. Wszystko zależy od stopnia determinacji. Ale ja już od liceum jeździłam w góry, żeby uciec od próżnego świata moich koleżanek. Dziewczyny rozmawiały tylko o perfumach. Kiedy zaczynałam trenować na studiach, kierowała mną taka motywacja: zamknąć wszystkie sprawy jak najszybciej. Motywowało mnie to do zdawania egzaminów w zerówkach. Po to, żeby nie mieć tego na głowie, żeby zachować czysty umysł. Potrafiłam spać dwie godziny na dobę, wrócić z egzaminu, zrzucić eleganckie ciuchy, jechać w góry, a na drugi dzień startować w zawodach biegowych. Rodzaj relacji, jaki się nawiązuje w górach, uwidacznia, jak te na nizinach są zafałszowane – mówi z przekonaniem.

Na wysokości nie ma miejsca na fałsz. Ola ma na ten temat teorię:

– W górach z ludzi wychodzi ich małość. Zwłaszcza z tych, którzy traktują góry instrumentalnie jako narzędzie podniesienia poczucia własnej wartości, zbudowania prestiżu społecznego w kolejnej dziedzinie życia. Wtedy porażka bardzo boli, bo pokazuje, że nie wszędzie, nie w każdej sytuacji człowiek jest dla siebie bogiem. I że nie jest na tym świecie sam.

Ola żywi przekonanie, że w górach liczy się wspólnota.

– W sytuacjach trudnych współpraca jest nieodzowna i ludzie się o tym czasem boleśnie przekonują – mówi krótko.



Pierwsze wspinaczki w Tatrach. Kościelec, początek lat dwutysięcznych.
fot. Tomasz Borowiec

SIŁA

Przeciętny człowiek nigdy nie znajdzie się na wysokości powyżej 8000 m n.p.m. Dlatego Aleksandra Dzik próbuje opowiedzieć, jak tam jest.

– Tak wysoko (lub niżej, jeśli nie masz aklimatyzacji) czujesz się przymulony. Jest

niebezpiecznie, bo masz świadomość, że tu, w promieniu kilkuset metrów, nie ma ratowników, jak się coś stanie, to nikt ci nie pomoże.

Ale nie wszystko na górze wygląda tak strasznie.

– Są oczywiście piękne widoki. Choć niektóre mi już spowszedniały. Bywa, że nowicjusze cieszą się tym majestatem, a na mnie dany krajobraz nie robi już wrażenia. Natomiast nowe góry swoim widokiem zawsze mnie cieszą. Każdy konkretny wierzchołek robi wrażenie, gdy go widzę pierwszy raz. Porusza mnie teren nieznan, bez ludzi. Ponadto teraz często po zejściu z lodowego świata gór cieszę się na widok kwiatów, zieleni. A gdy jestem poza górami, drażni mnie płaski horyzont. Kiedy nie widzę białych, ośnieżonych wierzchołków, to za nimi tęsknię – wyznaje Aleksandra.

Jak wygląda droga na ośmiotysięcznik krok po kroku? Aleksandra Dzik podaje przepis na zdobycie szczytu:

– Najpierw trzeba się zaaklimatyzować. Przystosować swój organizm do mniejszej ilości tlenu, niższego ciśnienia. Wysokość zyskuje się bardzo powoli. W razie złej pogody zdarza się długie czekanie. W górach wysokich po założeniu obozów i przenocowaniu na wysokości mniej więcej 1000 m poniżej szczytu, w celu regeneracji organizmu po procesie zdobywania aklimatyzacji schodzi się na kilkudniowy odpoczynek do bazy. A potem, jeśli sprzyjają prognozy i dobrze się czujemy, przychodzi pora na atak szczytowy. Jeżeli idziemy tak zwanym stylem obłędnym, to znaczy, że wspinamy się od obozu do obozu, gdzie odpoczywamy po drodze. Góry są różne. Na każdą z nich można wejść paroma różnymi drogami. Czasem wchodzi się łatwo, a czasami wisi się w ścianie. Dlatego dziś odchodzi się od przyznawania nagród za sam fakt zdobycia szczytu. Nagrody górskie otrzymuje się za wejścia nowymi sportowymi drogami, w sportowym stylu – wyjaśnia Ola.

Za to ekscytacja na szczycie sięga zenitu, ale trwa tylko przez chwilę.

– Radość jest przez moment. Nie ma czasu na wzniosłe emocje – twierdzi himalaistka. – Dzisiaj trzeba wszystko udokumentować, zostawić ślad po sobie, zatknąć flagę narodową i flagę sponsora. Na górze najczęściej myśli się tylko o tym, żeby jak najszybciej wracać, bo zapada zmrok, pogoda się psuje. Czasami nic nie widać, bo są mgła i silny wiatr. Gratulacje czekają dopiero w bazie. Wtedy myśli się, że teraz człowiek się umyje, zje, wypije coś ciepłego.

Co ciekawe, Aleksandra Dzik wcale nie uważa, żeby do wejścia na ośmiotysięcznik potrzebna była niewyobrażalna siła fizyczna. Przynajmniej kiedy wybiera się drogę klasyczną.

– To kwestia raczej wytrzymałości fizycznej i psychicznej, znajomości własnego ciała, doboru sprzętu, stroju, przyjęcia optymalnej taktyki wejścia oraz dbania o odżywianie, nawadnianie, wypoczynek. Siła fizyczna jest potrzebna we wspinaczce w terenie pionowym. W górach wysokich na wielu drogach klasycznych są tylko pojedyncze odcinki, gdzie trzeba rozwiesić poręczówki, a później się po nich wspinąć. Przede wszystkim przydają się wytrzymałość, doświadczenie, myślenie, ale to wszystko przychodzi wraz z latami wysokogórskiego stażu.

A filozofia wspinania się według Aleksandry Dzik?

– To dla mnie szansa samorealizacji, mierzenia się z własnymi granicami, rozwoju, podnoszenia poprzeczki. Ale też odcięcie się od świata, od wiecznego sprawdzania telefonu. Tak na co dzień nie bardzo mogę sobie pozwolić, aby się wyłączyć, a tam muszę zamknąć za sobą wszystkie sprawy. Wyprawy w wysokie góry to też test umiejętności współpracy w zespole. Ja dobieram sobie ludzi pod względem doświadczenia i zaufania. Nie przeszkadza im to, że jestem

kobietą, nie ma niedomówień. Jesteśmy zamkniętą grupą zadaniową, od której nie da się uciec, musimy przetrwać, nie pokłócić się. Tam następuje weryfikacja relacji z kolegami, przyjaciółmi, ale i własnego zachowania w stosunku do innych, postawy w rozwiązywaniu trudności. Na poważniejsze wyprawy, komercyjne również, nie zabieram ludzi tylko na podstawie „nizinnych zasad promocji”. Nie ufam komuś, komu wydaje się, że opowieścią o sobie, o swoich życiowych osiągnięciach i niezniszczalnym charakterze przekona mnie, żebym wprowadziła go na wymarzony szczyt. Jeżeli za słowami takiej osoby nie stoją konkretne wejścia, wtedy proponuję na początek inny, łatwiejszy wyjazd, gdzie mogę poznać tego człowieka naprawdę. Bo w górach nie działają takie mechanizmy jak na nizinach. Miasto więcej wybacza. Na wysokościach potknięcie oznacza lot w dół.

Ola organizuje wyprawy dla klientów i widzi, że góry coraz bardziej się komercjalizują. Trochę jej to przeszkadza, ale trzeźwo zauważa, że zawsze idealizuje się minione czasy. Ona woli tego nie robić.

– Przecież większość pierwszych wejść na szczyty dokonywano w minionych stuleciach z lokalnymi przewodnikami – przekonuje. – Prowadzenie ludzi w góry za pieniądze to fajna rzecz. A z perspektywy klienta, który nie ma wystarczającego doświadczenia, bezpieczniej to robić z przewodnikiem niż samemu.

Dzik nie ukrywa jednak, że z powodu mody na alpinizm i kolejek ustawiających się na szczyty góry cierpią. W Karakorum widziała na własne oczy sterty śmieci zostawione przez bogaczy, którzy podczas wejścia wykorzystują tragarzy wysokościowych, zupełnie nieświadomych ekologicznie.

– Kiedyś w Kirgistanie szłam z trekkingiem w charakterze tragarza i sprzątałam. Miejscowi koledzy na początku podśmiewali się ze mnie, lecz później przyznali mi rację. A już trzy lata później w rejonie tym wprowadzono ścisłe regulacje problemu odpadów – opowiada. Tak przyszło jej wyprzedzić swoje czasy.

– Góry się zmieniają – podsumowuje Ola. – Globalizują się jak wszystkie dziedziny życia. Nie warto się na to obrażać. Tak już jest i będzie. Tam, gdzie dociera człowiek, docierają jego zalety i wady. Kiedyś góry były niebezpieczne tylko ze względu na naturę.



Na szczycie Gaszerbruma II, pierwszego ośmiotysięcznika w życiu. Z Marią Chytrykową, 2011.

fot. archiwum prywatne Aleksandry Dzik

CZŁOWIEK

Nanga Parbat nie jest łatwym szczytem. Jak wspomina Tadeusz Piotrowski: „Dla większości pretendentów do tytułu zdobywcy Naga Góra nie była jednak łaskawa. Ogromna ich większość musiała pogodzić się z przegraną, przełknąć z uśmiechem gorzką pigułkę porażki. Na nic się zdały wszelkie poczynania i nadludzki nawet wysiłek, parcie do przodu częstokroć na przekór zdrowemu rozsądkowi, upór i determinacja. Góra przywoływała na pomoc burze śnieżne, lawiny, huraganowe wiatry i dojmujący mróz. I człowiek okazywał się istotą zbyt słabą, aby skutecznie przeciwstawić się przeciwnościom natury. Musiał przegrać”¹.

BÓG JEST WIELKI

Przychodzą 22 czerwca 2013 roku, wieczorem. Jest ich szesnastu. Krzyczą po angielsku: „Talibowie!”, „Al-Kaida!”, „Poddajcie się!”.

W bazie pod Nanga Parbat przygotowują się do snu himalaiści z Ukrainy, Słowacji, Chin, Litwy, Nepalu i Pakistanu. Zostają wyciągnięci siłą z namiotów. Przybysze wiążą im ręce i każą klękać. Kierują lufy karabinów w stronę ich głów. Chcą pieniędzy.

Wspinacze przyznają, że mają dolary i euro. Napastnicy ciągną ich za sobą do namiotów, każą wyciągać banknoty. Niszczą wszystkie telefony komórkowe, satelitarne i radia.

Padają strzały. Najpierw trzy serie. Potem pojedyncze. Słychać krzyki: „Allahu Akbar!”, „Osama bin Laden!” – to wołają oprawcy. „We’re not Americans!” (Nie jesteśmy

Amerikanami!) – krzyczą ofiary.

– Z personelu ginie jeden Pakistańczyk, kucharz naszej wyprawy, Ali Hussein – mówi Aleksandra Dzik. – Jako jedyny z obsługi był szyitą ze Skardu, pozostali wywodzili się z sunnitów, miejscowych z doliny Diamir. Przypuszczalnie oni zostali powiadomieni o ataku i zapewnieni, że jeśli nie będą stawiać oporu ani nie ostrzegą naszych, nic im się nie stanie.

Jeden ze wspinaczy wrywa się i rzuca w przepaść. Udaje mu się przetrwać skok na zbocze, napastnicy najwyraźniej uważają, że zginął. Później wróci do obozu i przez ocalały telefon satelitarny zaalarmuje agencję turystyczną, która zorganizowała ich wyprawę. Drugą osobę – pakistańskiego wspinacza Sher Khana – oprawcy zostawiają przy życiu celowo. Choć jest wyznawcą znienawidzonego przez nich izmailizmu, jest też Pakistańczykiem, dlatego prawdopodobnie wybierają właśnie jego, aby przeżył i swoją opowieścią o przebiegu zbrodni wzmógł przerażenie świata.

W bazie od kul ginie jedenaście osób. Napastnicy zabijają metodycznie jedną osobę po drugiej. Reszta – około czterdziestu ludzi – pozostaje w tym momencie w różnych obozach założonych na zboczach Nagiej Góry.



Ostatnie spojrzenie na bazę pod Nanga Parbat po zamachu terrorystycznym w 2013 roku.
fot. archiwum prywatne Aleksandry Dzik

KRES NIEWINNOŚCI

– Wszyscy czuliśmy się tak jak Nazir Sabir, słynny pakistański alpinista, który jako pierwszy został powiadomiony o tragedii i wezwał armię – mówi dzisiaj Ola. – Byłam kierownikiem organizacyjnym naszej wyprawy, jednej z kilku tam działających. Organizowałam, negocjowałam, pilnowałam logistyki i marketingu. Ekipa składała się z kilku zespołów. Każdy

chciał iść inną drogą. Ja moderowałam dyskusje, komunikowałam się z Rosjanami i Pakistańczykami, bo znałam języki. Gdy to się stało, byłam w obozie II.

Dzisiaj już wiem: nie można zaufać wynajętym ludziom. Nie można się z nimi czuć bezpiecznie. A wtedy bazę obsługiwali obcy, wynajęci ludzie. Cała ta sprawa była podejrzana. W grę wchodziły czynniki systemowe. W lansowanej za pośrednictwem mediów rok po ataku wersji twierdzono, że miał to być rabunek, a napastnikom coś poszło nie tak, dlatego zabijali. Ale fakty mówią co innego. Ja miałam w namiocie dużo pieniędzy – nic nie zginęło. Napastnicy byli przygotowani, wiedzieli, gdzie kto mieszka, zabierali dokumenty, niszczyli sprzęt. Musiała nastąpić zdrada ze strony personelu.

Nie jest tak, że islamski fundamentalizm bierze się z pokładów zła tkwiących samoistnie w danych wyznawcach czy religii, że sam z siebie się rozprzestrzenia i zbiera krwawe żniwo. Nie od dziś wiadomo, że terroryści w Pakistanie są wspierani. Jeśli nie pomagają im się bezpośrednio, to przynajmniej przymyka oko na niektóre ich działania. Tam, pod Nangą, ktoś musiał terrorystów poinformować, a potem pozwolić im na spokojne, metodyczne działanie i bezpieczne wycofanie się. Złapano wiele osób, raczej przypadkowych, za kilka dni je wypuszczono. Do dziś nie schwytano większości sprawców – kończy Ola.

Potem przyzna, że to był moment, kiedy wspinanie się straciło dla niej niewinność, przynajmniej w symbolicznym sensie. Tak zareagowała nie tylko ona, ale też cała społeczność ludzi gór na świecie, która była wstrząśnięta.

– Mit, że góry to sacrum, przestrzeń, gdzie nie docierają zło i podłość nizinnego świata, został obalony – mówi. – To był dla nas, pozostających wyżej w obozach, wielki szok, ale za chwilę zaczęło się poszukiwanie rozwiązań, bo nie byliśmy na coś takiego przygotowani. Przystawiliśmy się na działanie.

KAPITAN STATKU

Nie było wątpliwości, że wyprawa dobiegła końca.

– Do bazy, na miejsce wydarzeń, zeszliśmy pod wieczór drugiego dnia. Znosiliśmy na dół rzeczy tych ludzi, którzy zginęli. Ja, jako kierownik, trochę jak kapitan statku, schodziłam ostatnia, z kolegą, który mi towarzyszył. Dowiedziałam się, że nasz bliski znajomy zginął. Ale w czasie schodzenia trzeba było mimo wszystko działać racjonalnie, były to strome, pionowe zejścia, wiele osób zjeżdżało po linach, należało nieustannie uważać, by liny się nie przetańczyły i nie zerwały. A przecież każdy był w szoku – relacjonuje Ola Dzik.

Dalej opowiada:

– Gdy potem skonfrontowaliśmy różne drobne fakty, opowieści ocalałych osób, zwłaszcza tych, którzy bazę opuścili najpóźniej, dostrzegliśmy wiele sygnałów, których pierwotnie nie byliśmy w stanie odczytać, a które mogły zwiastować nadciągającą tragedię i sugerować zdradę przynajmniej części personelu. Dziwne było też, że szef obozu zaproponował, że przechowa telefony, pieniądze. Później wysyłał po angielsku SMS-y, a po angielsku rozmawiają ze sobą członkowie plemion posługujących się różnymi dialektami, języka tego używa też armia. To świadczy, że mógł być zaangażowany w ten zamach. Przede wszystkim dziwnym znakiem była wizyta w bazie na dwa dni przed zamachem brodatych mężczyzn w białych szatach, podających się za nauczycieli religijnych, i ciepłe ich przyjęcie przez szefa. Zostaliśmy przesłuchani na

miejscu, kiedy dotarła do nas policja. Mówiono nam, że na dole jest wojsko. Opowiadano o zatrzymaniach, jednak później okazało się, że aresztowano raczej przypadkowych ludzi. Później zostaliśmy przewiezieni helikopterem do Islamabadu, ponieważ żołnierze zamknęli przejście doliną. Wcześniej, jeszcze z góry, dzwoniłam do kolegi, żeby poinformował, że był zamach i że żyjemy. Do rodziców napisałam SMS-a.

A jednak Aleksandra Dzik nie powiedziała sobie: dobra, kończę z tym. W końcu nie był to wypadek górski. Mógł się zdarzyć wszędzie, ale zdarzył się w górach.

– W tym przypadku góry prawdopodobnie nas uratowały. Terroryci podobno szli do naszego obozu, ale nie mieli raków, nie dali rady się wspiąć. Uratowała nas trudność gór – dopowiada.

Traumatyczne wydarzenia nie zasiały w niej ziarna strachu.

– Ciągle wierzę w góry. Nie zrezygnuję z nich tak łatwo. Natura bywa kapryśna, a człowiek zły i groźny. Ale jeśli zrezygnujemy, jeśli ugniemy się przed naturą i przed ludzkim złem, przegramy.

¹ T. Piotrowski, *Naga Góra – Nanga Parbat*, Warszawa 1990, s. 5.

ŻYCIE, PYCHA I ŚMIERĆ



KATARZYNA SKŁODOWSKA



foto. Maciej Ostrowski

Na Dhaulagiri Katarzyna niesie ze sobą podwójny ciężar. Między jednym a drugim obozem wyprzedzają ją towarzysze, radzą: „Kaśka, schodź, w takim stanie nie warto”. Czuje się źle, miała gorączkę, brała antybiotyki. Wycofuje się, wpada do pustego namiotu, gotuje wodę i jest zupełnie sama. Pod Białą Górą przez dwa dni zostaje sama z myślami, które biegną pięć tysięcy siedemset kilometrów na zachód, do Olsztyna.



TRAGICZNA SERIA

Na rynku w Olsztynie trwa leniwe popołudnie. Spacerowicze jedzą lody, siedzą parami na ławkach, wystawiają twarze do słońca.

Katarzyna Skłodowska mknie rowerem przez Stare Miasto, zatrzymuje się przed kawiarnią. Sporo przed czasem. A przecież ciężko się z nią umówić, ciągle jest zajęta. Długie dyżury w szpitalu, potem prywatna praktyka. Do tego rower i treningi karate – w końcu jest posiadaczką czarnego pasa.

W młodości wspinaczka jej nie interesuje. Kręcą ją za to sztuki walki. Kiedy wyjedzie do Warszawy na studia, wyjrzy przez okno Klubokawiarni Medyk i zobaczy siedzibę Klubu Wysokogórskiego. Koleżanka, z którą trenuje karate, opowiada jej o tatrzańskiej wspinaczce. Namawia: spróbuj. Ale Katarzyna ciągle do skał się nie przekonuje.

Po maturze jedzie w Tatry, widzi je pierwszy raz. I podczas tego wyjazdu dzieje się coś, co u kogo innego mogłoby wywołać dożywotni uraz do gór. Ale nie u niej.

– Koleżanka, ta od karate, miała w tym czasie tragiczny wypadek. Dziś niestety jest sparaliżowana od pasa w dół – opowiada Katarzyna Skłodowska. – W drodze powrotnej odwiedziłam ją w szpitalu i to spotkanie mną wstrząsnęło.

Wypadek koleżanki jej nie zablokował. Znała jego przyczynę. Ktoś rzucił znajomej linę z węzłem, ona pomyślała, że to gotowe wiązanie, i się wpięła, wtedy lina się rozwiązała.

– Później starałam się po prostu tego unikać – mówi Kasia. – Uważam, że mam wpływ na to, żeby wspinąć się bezpiecznie. Jednak nie wszystkie sytuacje są do przewidzenia.

Pomimo trudnych początków zaczęła chodzić w góry coraz częściej.

– Wolałam zejść z wytyczonego szlaku, pójść inną drogą, zapuścić się w nieznaną teren – opowiada.

Jeszcze studiując medycynę, robi kurs wspinaczkowy. Jedzie na Halę Gąsienicową, pyta ludzi, czy może przypadkiem nie brakuje im partnera do liny. Odzywa się jeden chłopak. Idą razem na Zamarłą Turnię. Potem odbędą jeszcze kilka wyjazdów.

ZDOBYĆ GÓRĘ

Pod koniec studiów Kasia trafi w Alpy. Wejdzie na kilkanaście czterotysięczników. Widzi, że Tatry to nie cały świat: w Alpach są dużo większe przestrzenie, dłuższe odległości. Tutaj wspinaczka to rozkładanie sił, planowanie, stopniowe zdobywanie góry.

Uczy się cennej umiejętności: wycofywania się.

– Na Chan Tengri (7010 m n.p.m. w górach Tien-szan) weszliśmy dosyć szybko, ale dokuczały mi pewne dolegliwości, oprócz bólu głowy miałam zaburzenia widzenia – mówi Katarzyna. – Przeszło mi i dosyć sprawnie weszliśmy na szczyt. Gdybym miała wtedy więcej doświadczenia, zeszałabym do bazy, kiedy te dolegliwości się pojawiały.

Nie jest pewna, czy wówczas by całkowicie zrezygnowała, ale na pewno dałaby sobie więcej czasu. Doświadczenie podpowiada więcej rozwagi:

– Zdarzyło mi się wycofywać. Również w Alpach, bo była niepewna pogoda, słabe warunki. W tamtym roku w Andach zaliczyłyśmy z koleżanką pierwszy cel (La Esfinge 5325 m w Cordillera Blanca), ale drugi (Rasac 6017 m w Cordillera Huayhuash) odpuściłyśmy, bo stwierdziłam, że jest jednak zbyt niebezpiecznie. Pogoda była niepewna i byliśmy same w dolinie.

Choć zrezygnować ze szczytu wcale nie jest łatwo. Z Chan Tengri w 2004 roku Skłodowska nie zarządziła odwrotu. Relacjonuje:

– Dziewiątego dnia od wyjścia z bazy zdobyłam szczyt. Wynieśliśmy rzeczy do jedyńki i wróciliśmy do bazy. Pomału przemieszczaliśmy się do góry i weszliśmy na wierzchołek. Z obozu III szliśmy około dziewięciu godzin. Wiało straszliwie i było potwornie zimno, minus 20 stopni. Czasami nie byłam w stanie nabrać powietrza, bo wiatr wiał z przodu. Ruszyliśmy z partnerem i trzema chłopakami, spośród których jeden się wycofał. Później mi powiedzieli, że gdyby nie to, że szłam pierwsza, też by odpuścili – mówi Kasia, która wówczas zmobilizowała towarzyszy. I dopowiada: – Poszło nam to dosyć sprawnie, ale byłam chyba jedyną osobą, która po tym wejściu nie miała żadnego uszczerbku na zdrowiu. Kolega miał przymrożone palce nóg, ktoś piętę, kto inny palce u ręki – na szczęście niegroźnie – a ja nic. Przeżyłam mój pierwszy wyjazd, byłam bardzo nakręcona, a jednocześnie nie wiedziałam, co to są te góry wysokie. Mimo tak słabej pogody stwierdziłam jednak, że trzeba spróbować. Udało się.

LEKCJA OD GÓR

Katarzyna jest lekarką i poznała reakcje organizmu na ekstremalne warunki. Jak mówi:

– Nauczyłam się przede wszystkim tego, co to jest wysokość i jak człowiek na nią reaguje. Zdobycie trochę wiedzy o odmrożeniach.

Ale to nie jedyna nauka zdobyta na szczytach.

– Ludzkie reakcje zmieniają się razem z wysokością – mówi Skłodowska. – W trudnych sytuacjach łatwiej zauważyć, kto jest kim. Na przykład po tym, czy ktoś jest w stanie zrobić herbatę i poczęstować nią drugą osobę, dać z siebie więcej, niż musi. To wszystko kosztuje, wymaga pewnego wysiłku.

Bywa różnie.

– Na wyprawach komercyjnych widziałam, że ludzie zwracali uwagę tylko na siebie. Widziałam też, jak ginie człowiek, na Dhaulagiri i na Gaszerbrumie, ze zwykłego zaniedbania i braku wrażliwości innych ludzi.

Pod Dhaulagiri były aż trzy polskie wyprawy. W jednym miejscu znalazło się wiele znanych postaci: Artur Hajzer z Ryszardem Pawłowskim, Anna Czerwińska, Jerzy Natkański. No i Katarzyna Skłodowska z Kingą Baranowską. Dziś Kasia opowiada:

– Wśród Hiszpanów były dwie osoby, które nie radziły sobie w ścianie. Ich koledzy zostawili

tych słabych w tyle. Dopiero Radek Jaroš i Zdenek Hrubý z Czech, którzy byli z nami w bazie, pospieżyli im z pomocą. Radek opuszczał jednego na linie, a drugi schodził samodzielnie na poręczówkach. Kiedy byłyśmy poniżej obozu II, oni byli ciut nad nami. Co jakiś czas się odwracałam i na nich patrzyłam. W pewnym momencie zobaczyłam, że jest ich nie trzech, tylko dwóch. Wtedy w ogóle nie pomyślałam, że coś się stało. Potem Radek przyszedł do namiotu i powiedział, że jeden z Hiszpanów był już tak wycieńczony, że spadł. To pokazuje, jak trudno o ludzkie odruchy na dużych wysokościach, gdzie każdy walczy o przetrwanie i pomoc drugiemu człowiekowi może kosztować własne zdrowie i życie.

Podobną sytuację widziałam na Gaszerbrumach:

– Też był tłum, wielka wyprawa irańska. Jeden z polskich himalaistów dogadał się w bazie z Hiszpanem, że razem zaatakują wierzchołek. Była słaba pogoda, ale w końcu zrobiły się warunki i kilku Irańczyków oraz Polak z Hiszpanem weszli do obozu III. Następnego dnia mieliśmy iść na szczyt, ale załamała się pogoda. Słabo się czułam i jakoś tego nie widziałam, więc stwierdziliśmy z kolegą: schodzimy. Reszta została, poszła na górę dopiero kolejnego dnia. Polak uznał, że trzeba zawracać. Hiszpan jednak zdecydował, że sam spróbuje zdobyć szczyt. Dziś Polak twierdzi, że czekał na swojego towarzysza, ale ponieważ tamten nie przychodził, to wrócił sam. Słabo mówił po angielsku, więc powiedział Irańczykom tylko: „*Luis is dead*”. Wszyscy zeszli, nikt się tym Hiszpanem nie zainteresował. Jednej nocy było widać świecącą się czołówkę na trawersie. Świeciła się przez dwie noce. Nikt w kierunku tego światła nie wyszedł – kończy Katarzyna.



Shivling 6543 m n.p.m.
fot. PhotoNonStop/East News

MAŁA STABILIZACJA

Medycynę kończy w 1996 roku. Wraca do Olsztyna, żeby zacząć pracę na oddziale ginekologicznym w szpitalu miejskim. Wychodzi za mąż i w 2002 roku na świat przychodzi jej córka. Już półtora roku później jedzie w Alpy. Mąż zabiera małą Stefanię na kemping w pobliżu Chamonix. Czas w przerwach między wspinaniem mama wykorzystuje na kontakt z córką.

Kiedy 2 lata później znajdzie się na Chan Tengri, w kirgiskiej jurcie wybiera dla Stefy prezenty. Ogląda małe filcowe buciki. Obok stoi mężczyzna, Niemiec, jak się później okaże – również wspinający się.

– Zaczynamy rozmawiać i okazuje się, że oboje mamy dzieci w podobnym wieku – mówi dziś Katarzyna. – „Tak? To co ty tu robisz?!” – dziwi się mężczyzna. Zatkąło mnie na tyle, że nic mu wtedy nie odpowiedziałam, ale pomyślałam: *vice versa*. Jeśli wspina się kobieta, uznaje się jej pasję za fanaberię i egoizm. Bo co to za matka, która zostawia dziecko i wyjeżdża na miesiąc? A facet egoistą nie jest, on „realizuje siebie” – ironizuje Skłodowska.

Kiedy może, stara się stracony czas z córką nadrabiać. Zabiera Stefę na rower, w Tatry i Alpy. Kiedy się wspina, a córka zostaje u podnóży gór pod opieką znajomych, Kasia słyszy nieraz krytykę.

– Czasami zostawiałam córkę w pobliżu z kolegami, bo lubiła się bawić z ich dziećmi – wyjaśnia matka wspinaczka. – Dla mnie był to pewien kompromis. Mogłam się spokojnie wspiąć, a potem zająć się Stefą.

– Córka ma 15 lat i widzę, że mamy trochę gorszy kontakt, niż mogłybyśmy – mówi dalej. – Dawniej próbowałam ją trochę górami zarazić, ale ona się przed nimi broni. Wiem, że przechodzi teraz trudny okres. Myślę sobie też, że gdybym nie jeździła w góry, gdybym z nich zupełnie zrezygnowała, mogłoby być jeszcze gorzej. Bo czułabym się sfrustrowana. A tak mogę się realizować i być szczęśliwa.

Od kilku lat Katarzyna Skłodowska jest po rozwodzie. Ale w jej najbardziej aktywnych górskich latach mąż wspierał ją i nie miał pretensji o częste wyjazdy.

Skłodowska zastanawia się, co jest trudniejsze: wspinanie się na wysokie góry czy wychowywanie dziecka. W końcu odpowiada:

– Chyba to drugie. Najtrudniejsze jest bycie konsekwentnym. Ale też umiejętność zachowywania się nie tylko jak zły policjant. Pragnę być też osobą, której dziecko będzie się chciało zwierzyć.

A co będzie, jeśli pewnego dnia córka zwierzy się matce, że chce się wspiąć? Kasia zapewnia: „powiem: okej, super”. Sama uległa pasji, wie, że ta pomaga w życiu, daje coś więcej niż szara codzienność.

– Ostatnio przyszła do mnie pacjentka w ciąży z pytaniem, czy może się wybrać w góry. Co mogłam jej odpowiedzieć, skoro sama wyjeżdżałam ze Stefą w brzuchu? Trzeba tylko na siebie uważać. Tak jak wszędzie, nawet na ulicy. Nie wolno szarżować. W górach trzeba po prostu myśleć – przestrzega.

LEKARKA W GÓRACH, HIMALAISTKA W SZPITALU

Są chwile, w których wiedza medyczna ją ratuje. Na Shivlingu w Himalajach indyjskich pije

mało płynów i wkrótce odczuwa tego skutki. Spada jej samopoczucie, w głowie wiruje, nogi odmawiają posłuszeństwa. Katarzyna zwyczajnie nie może się ruszyć. Musi zrobić zastrzyk z lekiem przeciwozrętkowym. Nawadnia się i wraca do sił – nazajutrz zdobywa szczyt.

Lekarka Katarzyna Skłodowska wie, jak zachowuje się ludzkie ciało na wysokościach zarówno z teoretycznego, jak i praktycznego punktu widzenia.

– Przede wszystkim szybko się odwadniamy. Odwodnienie z kolei bardzo nas osłabia. Im wyżej, tym wydatek energii jest coraz większy i tracimy jeszcze więcej płynów, więc bardzo ważne jest ich regularne dostarczanie do organizmu. Stąd w opowieściach wspinaczy bardzo istotną rolę odgrywają urządzenia do gotowania – bo dzięki nim można roztopić śnieg i wypić trochę ciepłej wody – objaśnia.

– Najbezpieczniej jest zmniejszyć wysokość, jak najszybciej zejść. Skutki działania wysokości widziałam na własne oczy. Artur Hajzer na Dhaulagiri w pewnym momencie zaczął się dziwnie zachowywać, mówić dziwne rzeczy. Został wtedy sprowadzony z obozu II przez Jarka Jarosa i odzyskał sprawność. Po kilku dniach zdobył szczyt – relacjonuje Katarzyna z pierwszej ręki.

– Wysokość działa na każdego, po prostu nie ma mocnych – mówi dalej. – U góry jest mniej tlenu, co powoduje powolne obumieranie tkanek. Najczęstsza dolegliwość to obrzęk. Organizm kobiecy nie różni się pod tym względem znacząco od męskiego. Niektóre himalaistki na wysokość reagują lepiej, inne gorzej. Ale u góry wszyscy są lekko napuchnięci.

Organizm Katarzyny musi być wytrzymały nie tylko w górach. Skłodowska pracuje w trzech miejscach: w szpitalu ginekologiczno-położniczym, w poradni i prywatnej klinice leczenia niepłodności. Czasami jest w pracy dwie doby z rzędu. Raz odwołuje nasze spotkanie, bo nagle wypada jej dyżur.

Przyznaje, że część górskich umiejętności przenosi do życia zawodowego. Jej lekarska specjalizacja wymaga podejmowania szybkich decyzji obarczonych dużą odpowiedzialnością i opanowania nerwów. Jej pacjentki przychodzą nieraz do gabinetu przygotowane i pytają: to pani wspina się w wysokich górach?

– Wtedy nie mam wyboru – mówi Katarzyna Skłodowska. – I grzecznie potwierdzam. Myślę, że w rękach himalaistki mogą czuć się bezpiecznie.



Podejście do obozu I na Gaszerbrum I i II.

fot. Paweł Wojas

ŚMIERĆ ZAGLĄDA W OCZY

Chociaż to głównie rozmowa o życiu, tematu śmierci nie da się uniknąć. Zwłaszcza że do Katarzyny Skłodowskiej kostucha co najmniej dwa razy pukała z impetem.

– To było przed wyjazdem na Shivling – opowiada. – Miałam już spakowany plecak, ale długo się wahałam. Mój ojciec umierał wtedy na raka.

Himalaistka zapytała o zdanie mamę. Ta odpowiada: jedź; chociaż przez całe życie była na góry córki obrażona. Nie chciała o nich słuchać, przestawała się do Kasi odzywać, kiedy ta ruszała z plecakiem do Nepalu. A wtedy powiedziała: jedź.

Katarzyna siedzi przy ojcu przez całą noc z poniedziałku na wtorek. Jest z nim, kiedy tata przestaje oddychać. Na drugi dzień – specjalnie dla Kasi – odbywa się pogrzeb.

– Nie zdawałam sobie sprawy – mówi dzisiaj Skłodowska – jak ważny dla człowieka jest pogrzeb. Ta sytuacja pożegnania, zamknięcia pewnego etapu. W noc po wsiadłam do samolotu. Poleciałam do Indii i weszłam na Shivling, myśląc o tacie. Wiem, to trochę egoistyczne. Ale ja po prostu bardzo chciałam tam być.

Skąd bierze siłę, żeby takie ciężary brać na ramiona?

– To chyba charakter – mówi. – W przypadku taty wyjazd mi bardzo pomógł. Bo mogłam się od tego wszystkiego oderwać. Przecież i tak nie miałam już na nic wpływu. Życia nie mogłam mu przywrócić.

Wielkanoc 2008 roku spędza z matką w domu pod Olsztynem. Wraca do miasta na dyżur i kilka dni później rozmawia z nią po raz ostatni przez telefon. Rozmowa jest krótka. Szybka wymiana zdań, podstawowych informacji i „cześć, trzymaj się” – rzucone na pożegnanie. Trzeba wracać do pracy, przygotować wyprawę. To ważna wyprawa na Dhaulagiri, z Kingą Baranowską.

Chwilę przed wyjazdem Katarzyna jeszcze raz zadzwoni do mamy, żeby się pożegnać. Ale nikt telefonu nie odbiera. Martwi się, dlaczego nie ma kontaktu. Wsiada do samolotu, który z przesiadką w Finlandii zabierze ją do Nepalu. Myśli o górze, ale coraz częściej też o mamie. Nie ma przy sobie komórki. W Helsinkach na telefon Baranowskiej dzwoni jej mąż. „Twoja mama nie żyje” – słyszy Katarzyna na lotnisku w Helsinkach.

Co dalej? Zawrócić? Zaprzepaścić jedyną szansę, zmarnować przygotowania? Popsuć wyprawę Kindze, która o Białej Górze marzy już od kilku lat? „Jedźmy” – decyduje Kasia, tak jak kiedyś poleciała jej mama. Wsiada do samolotu. Podróż do Katmandu trwa 16 godzin. Dopiero na miejscu Katarzyna może zadzwonić do Polski i dowiedzieć się więcej.

– Okazało się, że mama została brutalnie zamordowana – mówi dzisiaj. – Brałam tabletki nasenne, żeby zasnąć w nocy. W bazie się rozchorowałam, zażywałam antybiotyki, nie poszłam za pierwszym razem do obozu I, bo rozłożyła mnie temperatura. Na początku pociągnęłam 1000 m do jedyńki, kolejnego dnia 1000 m do dwójki, a mimo to w miarę dobrze się czułam. Byłam jednak ogólnie osłabiona. Kolejne wyjście to miały być po kolei obozy: I, II, III i szczyt. Nierealne. Ruszyłam do trójki, ale wszyscy zaczęli mnie wyprzedzać i w końcu na miejsce nie dotarłam. Zabrakło mi 100 m.

Decyzja o odwrocie nie była łatwa. Na szczęście pomogli ją podjąć Artur Hajzer z Robertem Szymczakiem, którzy mieli namiot nieopodal. Jak relacjonuje Kasia:

– Doszłam do nich, kiedy robiło się już ciemno. Nic mnie nie bolało, ale byłam tak słaba, że nie mogłam złapać powietrza. Stawałam co krok. Artur zasugerował, żebym zesza.

Dotarła w końcu do namiotu Hajzera usytuowanego dużo niżej. Pamięta jak dziś:

– Ściągnęłam raki, włożyłam do środka, za trzecim czy czwartym razem udało mi się odpalić gaz i ugotować wodę. Wypiłam coś, odpoczęłam, było już okej. Przesiedziałam tam dwa dni i wyszłam do góry, żeby spotkać Kingę. Zeszliśmy razem.

Wspomina, że fizycznie nie było źle, ale psychicznie czuła się znacznie gorzej.

– Wiedziałam, że jak przyjadę, będę miała do zorganizowania pogrzeb. Ta myśl sprawiała, że się nie rozsyłam – przyznaje.

Mama Katarzyny została brutalnie zamordowana we własnym domu. Otworzyła komuś drzwi.

– Najgorsze jest to – mówi Katarzyna, a jej głos łamie się po raz pierwszy – że sprawców nie ustalono do dzisiaj. Ci ludzie chodzą po tej samej ziemi co my.

PYTANIE

Na koniec Katarzyna Skłodowska słyszy pytanie, którego himalaiści nie lubią najbardziej: po co jej góry? Mówi:

– W Bhutanie, gdzie znajduje się część Himalajów, mieszkańcy uważają, że wchodzenie na szczyty jest przejawem dumy. Bhutańczycy docierają tylko do przełęczy. Wejście wyżej jest dla nich zakazane. Myślę sobie, że może właśnie dla tego poczucia dumy zdobywamy szczyty? Może to jest odpowiedź na pytanie o sens wspinaczki?

Z drugiej strony wiem, że góry tę naszą ambicję szybko weryfikują. Po sukcesach na Chan Tengri i Shivlingu miałam kilka porażek, między innymi na Dhaulagiri. Wtedy stwierdziłam, że w górach najważniejsze jest bycie z ludźmi. To też praca nad samym sobą, rodzaj medytacji. Tam skupiamy się tylko na najprostszych, ale niezwykle ważnych czynnościach, dzięki którym przetrwamy. Wyłączamy chaotyczne myśli i zostawiamy je za sobą.

A czasem myślenie o tym, co przyniosło życie, jest zbyt bolesne. Katarzyna Skłodowska rozumie to jak nikt inny. Zdobywa się na osobiste wyznanie:

– Bycie w górach w moim przypadku ułatwiło mi też przeżycie żałoby. Trudno mi sobie wyobrazić, jak zniosłabym to wszystko, co spotkało moją mamę, gdybym była w Polsce. Przyznaję: życie w górach jest prostsze niż to na dole.

NASZE EPICENTRUM



MAŁGORZATA JUREWICZ



fot. Józek Soszyński

Kobieta wielu talentów. Skończyła prawo, zrobiła aplikację adwokacką i dzisiaj jest prawniczką specjalizującą się w sprawach rodzinnych. Zdobywała szczyty w Himalajach i wspinała się w stylu alpejskim na trudne ściany w niższych górach na świecie i w Europie.

A do tego wszystkiego, kiedy skończy rozmowę, usiądzie do pianina i zagra melodię z piosenki George'a Michaela.

Na pytanie: „Jak tam jest?”, zapalają jej się oczy:

– Jakbyś przebiegł sto metrów i próbował złapać oddech.



Wspinaczka wysokogórska to sztuka cierpienia. Taka, jak odmalował ją w swoich słowach Wojciech Kurtyka. Małgorzata – zwana przez przyjaciół po prostu Małgosią – opowiada o wielkim wysiłku i monotonii, jaką jest zdobywanie wysokich szczytów. Człowiek idzie i idzie, krajobraz wokół niego ani drgnie, stok ma wciąż to samo nachylenie. Jest wysoko, oddech coraz płytszy, myśli krążą wokół jednego: żeby zejść. Na szczycie nie ma euforii, ta pojawia się dopiero w bazie, po zejściu, pierwszym łyku herbaty. Za to w ścianowej wspinaczce alpejskiej adrenalina jest bez przerwy, ciągle kolejne wyzwanie, kolejny trudny technicznie wyciąg.

Dla niej liczy się intensywność, bycie w górach, chłonięcie ich atmosfery. Dzisiaj czerpie przyjemność ze wspinaczki alpejskiej, którą dzieli z życiowym partnerem, Józkiem Soszyńskim.

Wyznaje:

– To, kim teraz jestem, w dużej części zawdzięczam wspinaniu.

PRAWNICZKA W GÓRACH

Pochodzi z Olsztyna. Ma o pięć lat starszą siostrę Kasię, z którą różni się charakterem. Kasia – grzeczna, cicha, ułożona, nie buntuje się, nie chodzi na imprezy. Gosia – lubi wyskoczyć z domu, nie wrócić na czas. Ojciec udaje, że wyprowadza psa na spacer, tymczasem chodzi od przystanku do przystanku i sprawdza, czy czasami Gosia nie wraca autobusem. „Uspokojenie” przychodzi w trzeciej klasie liceum, kiedy młodsza z sióstr zaczyna się wspinać – to ją w znacznym stopniu ukształtuje.

Rodzice – ojciec inżynier, matka pracownica biura – nie mają kontaktu z górami. Kiedy Gosia chce iść na kurs skałkowy, muszą wyrazić pisemną zgodę. „I tak ci za chwilę przejdzie, więc zgoda” – ma powiedzieć tata. I dokument podpisuje. Od tego czasu wszystkie wyjazdy wakacyjne Małgosi wiążą się z górami. Jeśli nie ze wspinaczką, to z trekkingiem lub pieszą turystyką.

– Pewnie, że rodzice się o mnie bali – przyznaje Małgorzata Jurewicz. – Na początku ich trochę „bajałam”. Mówiłam, że jadę się wspinać, ale z instruktorem, a jechałam z koleżanką. Instruktor był w tym czasie w Tatrach, ale wspinał się z zupełnie kimś innym. Rodzice nie byli więc do końca świadomi, czym się zajmuję. Byli bardzo opiekuńczy, więc nie tyle ich oszukiwałam, co starałam się uspokoić.

Przyznaje: w życiu o wolność trzeba powalczyć. Nieraz o własną życiową przestrzeń musi

się rozpychać łokciami. Choćby buntując się jako nastolatka. Później, dość szybko, ta wolność staje się dla niej równoznaczna z byciem w górach. Do dzisiaj jednak mama Małgorzaty, kiedy słyszy o kolejnej wyprawie, pyta: „Znowu?”.

– Wiem też, że chociaż się martwi, potrafi się moimi górskimi osiągnięciami chwalić – mówi Małgorzata.

Choć często bywa wobec świata zbuntowana, z nauką nigdy nie ma problemu. Po skończeniu liceum podejmuje decyzję o kontynuowaniu edukacji na studiach prawniczych. Jak twierdzi, bliżej było jej do świata przyrody, zwierząt. Chciała działać dla ich dobra, dziś jest wolontariuszką w schronisku dla bezdomnych zwierząt „Ciapkowo” w Gdyni.

– Byłabym lepszym weterynarzem, niż jestem prawnikiem – uśmiecha się.

Ze studiami jednak radzi sobie dobrze. Każdy przedmiot stara się zaliczyć w terminie, szybko. Bywa, że opuszcza wykłady. Wszystko po to, żeby mieć wolne. Dużo jeździ, często w semestrze. Aconcaguę – najwyższy szczyt Ameryk – zdobywa na studiach podczas semestru zimowego.

W liceum i na studiach pracuje na wysokościach, nawiązując w ten sposób do rzeczywistości lat osiemdziesiątych i wspinaczy tamtej epoki.

– Kitowałam szczeliny w wieżowcach – opowiada. – Tam, gdzie pękały spoiny, nakładałam kit. Na tym polegała moja dorywcza praca.

Jest koniec lat dziewięćdziesiątych. Dwa tysiące złotych zarobione w ten sposób to wtedy majątek. Pomagają też rodzice. Na czwartym i piątym roku Małgosia jeździ do pracy do Londynu, gdzie wozi ludzi riksą. Zarabia na wyprawy.

Ile kosztuje wyprawa w Himalaje?

– Piętnaście–dwadzieścia tysięcy złotych, w zależności od szczytu, choć niektóre ośmiotysięczniki potrafią kosztować więcej – wlicza Małgorzata Jurewicz.

Wcześniej w wieku 16 lat robi kurs skałkowy i taternicki. Siedemnaste urodziny obchodzi w słynnej „Betlejemce”, ośrodku szkoleniowym na Hali Gąsienicowej w Tatrach. Tu, gdzie przed laty szkoliła się między innymi Wanda Rutkiewicz. Przyczyny? Ulotka, na którą trafia w liceum, informująca o kursie organizowanym przez Klub Wysokogórski w Olsztynie. Wraz z przyjaciółką Aleksandrą Kosakowską zapisują się na kurs. Potem przez trzy lata będą się wspinać razem w Tatrach.

Małgorzata Jurewicz ma przed sobą bogatą karierę alpinistyczną. Zdobędzie Mont Blanc (4810 m) oraz kilka innych czterotysięczników w Alpach. Wejdzie na Mount Kenya (5199 m), Kilimandżaro (5895 m) w górach Afryki, Elbrus (5642 m) w Kaukazie, Aconcaguę (6962 m) w Andach, Chan Tengri (7010 m) w Tien-szanie, Pik Korzeniewskiej (7105 m) w Pamirze.

W 2006 roku wraz z Katarzyną Skłodowską wejdą jako pierwsze Polki na Shivling (6543 m) – trudny szczyt w Himalajach Garhwalu. W 2007 roku Jurewicz weźmie udział w wyprawie na Dhaulagiri II (7751 m), a w 2010 roku – na wówczas dziewiczy szczyt Takargo (6771 m) w Himalajach Nepalu. Od 2012 roku poświęci się wspinaczce alpejskiej i bigwallowej na trudnych technicznie ścianach.

WOLNOŚĆ I KOMPROMISY

Najpierw jednak jest prawo.

– To był przypadek – mówi o wyborze kierunku studiów Małgorzata Jurewicz. – W maju 2004 roku skończyłam studia, w sierpniu wróciłam z Chan Tengri i od razu chciałam znowu jechać do Londynu, żeby zarabiać, jeżdżąc rikszą. Ale zaczęłam się spotykać z Markiem Pawłowskim. Znalazłam pracę w kancelarii w Sopocie, nie zdając na razie na aplikację. Dzisiaj wiem, że studia prawnicze nie dają praktycznych umiejętności potrzebnych w tym zawodzie, konstruowania pism procesowych, konkretnego zastosowania przepisów prawnych. Tę wiedzę zdobywa się w praktyce.

Po paru miesiącach pracy znowu przychodzą wakacje, więc Małgosię zaczyna nosić. W sierpniu 2005 roku jedzie na Pik Korżeniewskiej, a po powrocie znów zaczyna myśleć o wyjeździe za granicę. Rodzice namawiają ją jednak: spróbuj zdać na aplikację, jak nie zdasz, to zrobisz, co będziesz chciała.

Dostaje się. Aplikacja trwa trzy i pół roku.

– To nie jest mój wymarzony zawód. Z drugiej strony, to rzecz, którą potrafię robić. Myślałam, żeby iść na drugi kierunek, na upragnioną weterynarię, ale najbliższy wydział był w Olsztynie. Robię to, co umiem – tłumaczy.

W Polsce są alpiniści, którzy utrzymują się tylko ze wspinania. Jeżdżą po Polsce, wygłaszają wykłady, prezentacje, mowy motywacyjne. Ale Małgorzata – co zaskakuje – nie uważa się za osobę „medialną”. Podobno nie potrafi się „sprzedać” i jest raczej nieśmiała.

Nieśmiała prawniczka?

– No właśnie – uśmiecha się Małgorzata. – W pracy uczę się cierpliwości do ludzi. Przychodzą do mnie ludzie z konkretnymi problemami: rodzinnymi i karnymi. Są zwykle mocno uwikłani w swoją trudną, życiową sytuację. Ja, jako człowiek, nie zawsze zgadzam się z ich wyborami, postawą czy pomysłem na rozwiązanie danego problemu. Ale jako adwokat muszę przekonywać, tłumaczyć, pokazywać dobrą drogę. Wymaga to odpowiedniego nastawienia, otwartości. No i właśnie cierpliwości.

W tym zawód adwokata może przypominać działanie w górach. Trzeba nieraz długo czekać, znosić nudę, „docierać się” z innymi uczestnikami wyprawy. Znaleźć punkty, które mogą zbliżyć do siebie ludzi „skazanych” na bycie ze sobą. Szukać kompromisów.

Zawód adwokata daje Małgorzacie wolność. Alpinistka nie wyobraża sobie pracy na etacie. Żaden pracodawca, jak sądzi, nie zniósłby jej ciągłych wyjazdów. Choć na początku kariery zawodowej miała spore szczęście.

– W kwietniu 2006 roku poszłam na rozmowę do firmy leasingowej – opowiada. – Od razu powiedziałam, że zbliża się długi weekend majowy, dlatego chciałabym mieć dziewięć dni wolnego na wyjazd w Alpy, a we wrześniu planuję wyjazd w Himalaje, gdzie będę co najmniej pięć tygodni. Przyjęli mnie, o dziwo. Dziś trudno mi powiedzieć, co ich przekonało. Tym bardziej, że po powrocie zachorowałam na dengę, chorobę tropikalną, i trafiłam do szpitala. Nieobecność jeszcze bardziej się przedłużyła.



Na szczycie Eigeru po przejściu drogi Heckmaira, 2015.

fot. archiwum Małgorzaty Jurewicz

Praca daje też wolność w innym wymiarze. Zwyczajnie zapewnia pieniądze, dzięki którym można wyjechać, sfinansować wspinaczkę, drogi sport, zwłaszcza w górach wysokich. Partner Małgorzaty, Józek Soszyński, jest przedsiębiorcą. Oboje nie mają problemów finansowych, nawet jeśli często wyjeżdżają w dalekie góry. Małgorzata deklaruje, że prawa nie wybrała – tak jak wielu jego absolwentów – dla pieniędzy. Ale przyznaje, że bywa tym zawodem zmęczona.

– Miewam kryzysy, bo wydaje mi się, że to nie jest coś, co powinnam w życiu robić, że nie żyję w zgodzie ze sobą – mówi. – Uczę się jednak akceptować rzeczywistość. Inaczej byłabym nieszczęśliwa.

Sceneria jest typowa dla ludzi gór: zima, schronisko w Morskim Oku. Wymieniają parę grzecznościowych zdań. I każdy wraca do swojego życia. Za to półtora roku później jest wspólna wspinaczka, o której on powie, że „to było coś”.

– Byliśmy w dolinie Romsdal, w Norwegii, na południowej, tysięczmetrowej ścianie Mongejury – mówi Józek Soszyński, przedsiębiorca, prezes Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto. – Gosia zaimponowała mi wtedy w wielu aspektach. Była i jest świetnie zmotywowana i w pozytywnym sensie zdeterminowana. Stawia śmiało wyzwania i konsekwentnie zmierza do celu, nie zrażając się dodatkowymi problemami pojawiającymi się w ścianie, takimi jak trudności topograficzne w znalezieniu drogi, utrata sprzętu czy zapasów jedzenia albo zmiana pogody na mniej korzystną. Widziałem wielu mężczyzn, których takie rzeczy rozwalają psychicznie. Ale nie Małgosię. Podchodzi pod każdą, nawet najbardziej przerażającą ścianę i nie czuje się zdeprymowana.

Razem dokonają przejść, o których rozpisywać się będą „branżowe” portale. W górach

spędzą wiele tygodni. Kiedy on będzie filmował ją podczas wspinaczek, w jej spojrzeniu będzie widać błysk.

WYTRAWNY GRACZ

– Jaką jest alpinistką? – powtarza pytanie Józek. – Bardzo dobrą i ciągle się rozwija. Potrafi się znakomicie asekurować i wspinać przy słabej asekuracji, wysoko wychodzić nad przeloty. Buduje bezpieczne stanowiska w niełatwych miejscach, umie stosować nietypowe, czasem improwizowane techniki wspinaczkowe w sytuacjach, które tego wymagają. Jest mocna psychicznie i bardzo racjonalnie podchodzi do zmiany okoliczności i do problemów pojawiających się w ścianie. Mnie już łatwiej wystraszyć pogodą albo wolniejszym od spodziewanego tempem wspinaczki. Przy okazji wyjaśniam: kiedy mówimy o „stromej” ścianie, mamy na myśli urwisko, którego średnie nachylenie dochodzi do pionu, natomiast kiedy o „połogiej” albo o „łatwym terenie”, chodzi o nachylenie rzędu o 60–70 stopni.

Soszyński podkreśla: trudna alpejska wspinaczka, kiedy trzeba wytrwać w ścianie kilka dni, nie stracić motywacji i wspinać się w niebezpiecznych warunkach, w dużej mierze rozgrywa się w głowie.

– I w tej grze Małgosia jest naprawdę wytrawnym graczem. Zawsze podchodzi do kolejnego szklanego sufitu bez kompleksów i z solidnym żelastwem w ręku. I nie zwalnia – opowiada partner Małgorzaty Jurewicz – Plecak tylko pakuje jak każda kobieta: najlżejsze na dół, najcięższe na górę i wszystko tak, jakby chciała najmniejszą ilością sprzętu wypełnić jak największą ilość miejsca.

A jaka jest na co dzień?

– Niesamowita – mówi Józek. – Potrafi się zmieniać i rozwijać nie tylko wspinaczkowo, co wśród ludzi po trzydziestce jest dosyć rzadkie. Kiedy ją poznałem, żywiła się byle jak – hot dog na stacji benzynowej był normą. Dziś jest wegetarianką i do tego świetnie gotuje. Paliła papierosy od 16 roku życia i wszyscy dawali sobie palec uciąć, że będzie palić do końca życia. Dziś od papierosów dzieli ją przepaść i każdy dałby sobie palec uciąć, że nigdy nie paliła. Była bałaganiarą, dziś uwielbia porządek i sprzątać. A poza tym świetnie prowadzi samochód i jest nieco wojującą feministką.



Podczas wyprawy na Dhaulagiri II, wrzesień 2007.
fot. archiwum Małgorzaty Jurewicz

TRAGEDIA I SUKCES

Na zdjęciach wygląda jak grot strzały: szpiczasty, o wyraźnie zarysowanych krawędziach i ostrej, morderczej końcówce. Shivling to szczyt w Himalajach Garhwalu o wysokości 6543 m, którego nazwa kojarzy się Polakom z podwójną tragedią.

Grzegorz Kukurowski i Łukasz Chrzanowski wspinają się północną ścianą Shivlingu jesienią 2016 roku w stylu alpejskim. Mają ze sobą minimum sprzętu i prowiantu. 10 października biwakują na wysokości 6300 m. W nocy Grzegorz traci przytomność. Łukasz próbuje ratować kolegę lekami, ale bez skutku. Rano stwierdza zgon. „Nie miał nic do picia ani do jedzenia. Wszystko skończyło się podczas czwartego biwaku. Łukasz połączył się z bazą. Zaczęliśmy organizować akcję ratunkową”¹ – powie potem Janusz Majer, przewodniczący Komisji Wspinaczki Wysokogórskiej PZA, kierownik wielu wypraw w Himalaje.

12 października, dzięki błyskawicznej organizacji, w stronę Łukasza leci helikopter. Pilot lokalizuje miejsce ostatniego biwaku wspinaczy, ale nie jest w stanie podjąć go na pokład śmigłowca.

Łukasz decyduje się wycofać ze ściany zjazdami na linie. Dociera do dużego pola śnieżnego, tam pilot helikoptera ma ponowić próbę podjęcia go. I znów się nie udaje. „Nie potrafię zrozumieć, jak to możliwe, że kraj, w którym mieszka 1,2 mld ludzi, posiadający jedną z największych armii świata [ponad milion żołnierzy – przyp. red.], nie ma w pobliżu jednego z najbardziej turystycznych miejsc ani jednego pilota, który potrafiłby wykonać akcję powyżej 5000 metrów”² – skomentuje Piotr Pustelnik.

Na ratunek Łukaszowi wyruszają Paweł Karczmarczyk, Maciej Ciesielski i Kacper Tekieli, którzy również są pod Shivlingiem, lecz wspinają się w innych zespołach na ścianach po przeciwnej stronie góry. Mają się spotkać w nocy. Łukasz kontynuuje zejście, ale około 17.00 odpada od ściany wraz z wyrwanym stanowiskiem, spada około 200 m skalno-lodowym uskokiem i zatrzymuje się dopiero na polu śnieżnym poniżej. Kiedy koledzy go znajdują, jeszcze żyje. Pół godziny później umiera w wyniku obrażeń. Wspinacze transportują jego ciało do bazy.

„Trudne wspinaczki w stylu alpejskim mogą nam dać Złoty Czekan, najwyższe odznaczenie dla wspinaczy, które liczy się na świecie. Bardzo chciałbym za mojej kadencji się tego doczekać. Chciałbym też, żebyśmy spróbowali podążyć za światowym trendem i spróbować wypraw eksploracyjnych, bo nie wszystkie góry mają swoje pierwsze wejścia, wciąż jest wiele białych kart, wiele ścian do zdobycia”³ – powie Piotr Pustelnik.

10 lat wcześniej ten sam zdrażliwy Shivling, choć ścianą zachodnią, zdobywają Małgorzata Jurewicz, Katarzyna Skłodowska, Marek Pawłowski i Paweł Garwoliński.

7 września zakładają bazę na polanie Tapovan na wysokości 4300 m. Już dzień później na zachodniej grani Shivlingu stają obóz I. 15 września wspinacze zakładają obóz III na wysokości 5900 m. Już trzy dni później o godz. 13.00 Polacy stoją szczycie w pełnym słońcu.

W Polsce ich bliscy czekają na informację, choćby SMS. Zwykle po zdobyciu szczytu taka wiadomość przychodzi. Rodziny czują wtedy ulgę, radość, ale i niepokój, bo przed wspinaczami jeszcze droga powrotna, często trudniejsza niż wejście. A tu nic, żadnego sygnału.

„Pech chciał, że przestał działać nasz telefon satelitarny – mówi Małgorzata Jurewicz. – Przez pięć dni nasze rodziny nie wiedziały, co się z nami dzieje”.

Szczęśliwie docierają jednak do bazy.

CO BY BYŁO, GDYBY...

Śmierć towarzyszy także górskiej drodze Małgorzaty Jurewicz, tak jak większości himalaistów. Z Grzegorzem Kukurowskim i Łukaszem Chrzanowskim znają się od wielu lat. Partner Małgorzaty, Józek Soszyński, pomaga żonie Łukasza przetrwać dramatyczne chwile.

Jednak nawet śmierć przyjaciela – twierdzi Małgosia – nie sprawi, że przestanie się wspinać.

Opowiada:

– Na moim pierwszym wyjeździe po kursie, w Sokolikach, kiedy miałam 17, może 18 lat, byłam świadkiem śmiertelnego wypadku. Dwóch chłopaków spadło z blokiem skalnym około 15 m ze szczytu skałki zwanej Małym Sokolikiem. Pierwszy ze wspinaczy po osiągnięciu wierzchołka założył stanowisko z dużego bloku skalnego. Jego partner, wychodząc na szczyt, przytrzymał się bloku i razem z nim spadli. Wraz z Olą, przyjaciółką, z którą zaczynałam się wspinać, byliśmy pierwszymi osobami, które podbiegły do miejsca wypadku. Jeden z chłopaków zginął na miejscu, drugi przeżył, ale był w złym stanie. Pierwszą styczość ze

śmiercią miałam więc od razu na początku. Pamiętam, że mną to wstrząsnęło, miałam blokadę, zaczęłam się bać wspinania. Ale na krótko.

W 2002 roku Jurewicz jest na wyprawie na Aconcaguę razem z Markiem Warlikowskim i Andrzejem Rusowiczem. Planują wejść na szczyt tak zwanym Lodowcem Polaków. Atak szczytowy rozpoczynają z obozu II położonego na 6000 m. 400 m wyżej Andrzeja zaczyna męczyć suchy kaszel, tempo zespołu znacznie spada. Małgorzata postanawia wycofać się razem z Andrzejem do obozu II. Do tego samego namawiają Marka, jednak on nie chce słyszeć o wycofaniu i decyduje się na samotny atak szczytowy.

Nigdy już się nie spotkają.

Małgorzata Jurewicz tłumaczy:

– Z Lodowca Polaków, który był *de facto* stromym polem lodowym, wchodziło się na dość ostrą grań, prowadzącą do szczytu. Zejście z wierzchołka odbywało się już normalną, najłatwiejszą drogą. Żeby dojść do naszego obozu na 6000 m, trzeba było w pewnym momencie odbić z tej drogi w prawo. Na początku przypuszczaliśmy, że Marek wróci w nocy. Nie doczekaliśmy się jednak jego powrotu, więc nad ranem ruszyliśmy w stronę szczytu. Byliśmy przekonani, że spotkamy go, schodzącego drogą normalną, że może gdzieś zabiwakował. Człowiek nie dopuszcza do siebie złych myśli. Kiedy jednak byliśmy blisko wierzchołka, wiedziałam już, że stało się coś złego. Obejrzelśmy grań i nie zauważyliśmy żadnych śladów Marka. Jeszcze łudziliśmy się, że nie wytrawersował do naszego obozu, tylko zszedł niżej, do obozu II na drodze normalnej. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że tam go też nie ma. Zawiadomiliśmy bazę, liczyliśmy na zorganizowanie akcji ratunkowej, ale bardzo szybko zepsuła się pogoda. Dwa dni później wiał już huraganowy wiatr, który uniemożliwił poszukiwania. Trzeba było przyznać przed samym sobą, że Marek nie wróci. Zostaliśmy jeszcze z Andrzejem przez parę dni w obozie III, na wypadek gdyby Markowi udało się jednak zejść, ale właściwie wiedzieliśmy już, że to niemożliwe.

Jak w takiej chwili funkcjonuje wspinacz, który wie, że jego przyjaciel zginął gdzieś na górze?

– Na początku człowiek po prostu nie może w to uwierzyć, cały czas myśli, że może jednak to nie jest prawda – mówi Małgosia. – Potem, kiedy się już pogodzi z tym, że przyjaciel nie wróci, trzeba spakować jego rzeczy osobiste, znieść je na dół, zawiadomić rodzinę. Ta ostatnia rzecz jest najtrudniejsza. Mogliśmy to zrobić lepiej.

Sami dzwonią do rodziców Marka. Lepszym rozwiązaniem, jak wiedzą z perspektywy czasu, jest telefon do kogoś w Polsce, wspinacza, którego rolą będzie osobiste przekazanie tej tragicznej wiadomości rodzinie i udzielenie psychologicznego wsparcia, jakiego te bliskie osoby potrzebują.

– Nie myślę o śmierci – zarzeka się Małgorzata Jurewicz. – Bardziej boję się jej na nizinach. W górach nie myślę o tym, że stanie mi się coś złego. Myślę za to często o tym, co by było, gdyby przy mnie zginął Józek... To byłoby dla mnie najgorsze. Nie zrezygnuję jednak z tego powodu ze wspinania. Nie wyobrażam sobie zresztą niczego, co by mnie do tego zmusiło.

Nawet rodzina, dzieci?

– Na razie ich nie planuję – mówi himalaistka. – Cieszę się swoim życiem, wspinaniem, planami, czuję się spełniona. Za bardzo zależy mi na życiu w obecnym kształcie, żeby z niego teraz rezygnować.

PRZYGODA W PAKIECIE

W wysokich górach życie kobiety bywa trudne.

Ale nie dla niej.

Akceptuje niedogodności. Czasem długo nie można się umyć, czasem śpi się w śpiworze na mrozie. Całymi dniami nie ściąga się grubych kurtek, butów, czapek. Czym dla pięknej, zadbanej kobiety jest brak możliwości umycia włosów?

Nie ma – a u innych bywa tak często – z tego powodu dołków, stanów depresyjnych. Wybiera góry, więc „w pakiecie” dostaje również trudne warunki. Zresztą, nie zawsze jest źle. Na Chan Tengri i Piku Korżeniewskiej były górskie strumienie. W lodowatej wodzie też można się umyć. To część przygody.

Jest jeszcze coś, co takie pierwotne niemal zbliżenie się do natury daje człowiekowi.

– Uświadamiamy sobie, że nie wszystko, co gromadzimy wokół siebie tu, w normalnym życiu, jest nam potrzebne, niezbędne do przetrwania – mówi Małgorzata Jurewicz. – Doceniamy drobne przyjemności, na które możemy sobie pozwolić. Czasami łapię się na tym, że chcę sobie coś kupić, żeby po prostu to mieć. Potem się zastanawiam, czy naprawdę jest mi to potrzebne. Jeżdżę dziesięcioletnim samochodem. Myślę: może warto kupić nowy? A za chwilę: po co? Czy potrzebuję wozu, który będzie miał sto koni mechanicznych więcej? Co mi to da?

Rozmawiamy w mieszkaniu na przedmieściach Gdyni. Za płotem osiedla jest wąska szutrowa droga, potem już tylko pola i las.

– Dzięki górcom człowiek bardziej integruje się z naturą – mówi Jurewicz. – Dlatego bardzo sobie to nasze otoczenie cenię.

WIARA W PARTNERSTWO

Nad drzwiami wejściowymi do salonu w mieszkaniu Małgorzaty Jurewicz zauważam kawałek drewna z wyżłobionymi miejscami na palce. To mały odpowiednik ścianki wspinaczkowej – tak zwana chwytotablica. Wstaję, chwytam obiema dłońmi i próbuję się zawiesić.

– Nie radzę! – powstrzymuje mnie Małgorzata. – Możesz sobie pozrywać ścięgna.

Potem sama chwyta swoją „mobilną ściankę” i kilka razy podciąga się jak na drążku. Podziwiam jej siłę i kondycję.

Jurewicz trenuje drytooling, który uprawiać można zarówno latem, jak i zimą. Z czekaniem i rakami wchodzi się na skalne ściany. Im lepszym jest się w drytoolingu, tym lepiej idzie wspinaczka zimowa w górach. W informacjach o osiągnięciach Małgorzaty Jurewicz dominuje przychylny, często wręcz pochwalny ton. A to nie jest tak często spotykane.

W 2014 roku wspólnie z partnerem wspinaczkowym i życiowym Józkiem Soszyńskim przechodzi wymagającą drogę Colton-MacIntyre na północnej ścianie Grandes Jorasses (4208 m) – szczytu w masywie Mont Blanc – uznawanej za jedną z najtrudniejszych alpejskich ścian. Jako pierwsza Polka w historii.

Podczas nocnego podejścia pod ścianę łatwo znajdują z Soszyńskim wejście w drogę, dzięki wydeptanemu przez poprzedników śladowi. Ale napotykają problemy. Małgorzata obrywa odłamkiem lodu w skroń. Na szczęście efektem wypadku będą tylko siniaki. Wspinają się słabo asekurowalnym kulaurem, w trudnym momencie muszą trawersować. Później po 24 godzinach

wspinaczki non stop biwakują w niewygodnym miejscu, na wąskim, niezwykle eksponowanym wierzchołku jednego z pomniejszych filarków wyrastających ze ściany. Po wejściu na szczyt rankiem następnego dnia i pamiątkowym zdjęciu, przez 10 godzin schodzą na włoską stronę⁴. Za to osiągnięcie oraz letnie wspinaczki w Norwegii otrzymują „Bursztyna” – nagrodę Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto. Na północnej ścianie Grandes Jorasses pokonają razem łącznie trzy drogi, między innymi jedną z najtrudniejszych – Manituę, przecinającą samo serce 400-metrowego pionowego urwiska skalnego, zwanego Monolitem.

Jako pierwsza Polka Małgorzata Jurewicz, również w zespole z Józkiem Soszyńskim, pokona też drogę Heckmaira na północnej ścianie Eigeru (3970 m), szczytu w Alpach Berneńskich. Ścianę tę określa się mianem „mitycznej”, „legendarnej”. Także ze względu na liczbę tragicznych wypadków, które się na niej wydarzyły. Małgosia, jak zwykle, jest równoprawnym partnerem w zespole z Józkiem Soszyńskim. W niczym nie odstaje, prowadzi trudne wyciągi na zmianę z partnerem. „Założyliśmy Eiger – pisze po wszystkim na facebookowym profilu KW Trójmiasto Józek Soszyński. – Wystartowaliśmy o 4.00 w nocy 12 listopada. Zatrzymaliśmy się jeden wyciąg przed Trawerssem Bogów na biwak o 16.00. W nocy nastąpiło gwałtowne ocieplenie (...) Nad ranem ochłodziło się na szczęście i była możliwa dalsza wspinaczka. Wystartowaliśmy o 7, a na szczycie byliśmy o 15.00. Wspinanie zajęło 20 godzin + biwak”⁵. Małgorzata zostanie za ten wyczyn nominowana do nagrody Traveler przyznawanej przez redakcję „National Geographic”.

Przy każdej okazji Jurewicz podkreśla rolę partnerstwa w górach. Wierzy w nie.

– Prawdziwe partnerstwo polega na wzajemnej odpowiedzialności za siebie – tłumaczy. – Jeśli idę w góry, biorę odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale za zespół. Podczas wspinania istotny jest podział ról, trzeba umieć razem działać, uzupełniać się. Kiedy schodzimy w dół, oglądamy się za siebie, czekamy, nie zbiegamy, nie rozdzielamy się. W Alpach podczas zejścia lodowcem często jesteśmy związani liną. Z Piku Korzeniewskiej schodziliśmy we trójkę. Czuliśmy, że robi się niebezpiecznie, bo elektryzowały nam się włosy, szła burza, więc nie mogliśmy się rozdzielać. Nie związaaliśmy się, ale przez cały czas mieliśmy siebie w zasięgu wzroku.

I dodaje:

– Trudno mi mówić o sytuacjach ekstremalnych. W którym momencie zdecydować o zejściu, kiedy wiadomo już, że partner jest umierający i nie możemy mu pomóc? Na szczęście nigdy nie musiałam podejmować takich decyzji. Inna sytuacja jest wtedy, gdy oboje jesteśmy zdrowi i po prostu robi się ciemno. Nie powinniśmy się rozdzielać. Solidarność z partnerem to nasz obowiązek.

JAK W WIĘZIENIU

Małgorzata to przedstawicielka najmłodszego pokolenia kobiecego wspinania. Reprezentuje inny styl, inaczej działa. Śledząc losy kobiecego wspinania od Haliny Krüger-Syrokomskiej i Wandy Rutkiewicz po Aleksandrę Dzik i Małgorzatę Jurewicz, łatwo zauważyć, jak z biegiem lat zmieniały się wartości.

Być może dlatego nazwiska tych ostatnich, padające w rozmowach z przedstawicielkami starszego pokolenia, budzą kontrowersje. Himalaistki, które pamiętają pierwsze wejścia na

ośmiotysięczniki, potrafią zaprotestować: to zupełnie inna liga, za naszych czasów himalaizm był czymś innym.

Z kolei młoda himalaistka, rówieśniczka Małgorzaty Jurewicz, mówi tak:

– Dzisiaj w górach przesunęły się akcenty. Kiedyś pierwsze wejście na ośmiotysięcznik to było wydarzenie, rekord, wyczyn. Dziś pod Everestem ustawiają się kolejki. Dlatego prawdziwie wartościowe są trudne, niebanalne przejścia, wspinaczka w stylu alpejskim na trudnych, wymagających ścianach. Czyli to, czym na co dzień zajmuje się Gosia.

To tak, jakby porównywać Grzegorza Latę i Roberta Lewandowskiego. To zupełnie inne czasy, inne metody treningu, inne organizmy. Ale także – na co zwraca się uwagę w środowisku – inny, dziś znacznie lepszy niż kiedyś, sprzęt.

Młode himalaistki, choć działają po swojemu, mają ogromny respekt do historycznych postaci.

– Jest wiele osób, które podziwiam, bo świetnie wspinają się sportowo, na poziomie dla mnie zupełnie abstrakcyjnym – mówi Małgorzata Jurewicz. – Wanda Rutkiewicz miała w sobie ogromną determinację i dużo odwagi – podobnie zresztą jak inne alpinistki tamtych czasów: Krystyna Palmowska, Halina Krüger-Syrokomska, Anna Okopińska, Anna Czerwińska i wiele innych – żeby realizować cele, na które w tamtych czasach porywały się jedynie najlepsze męskie zespoły. Jak na przykład północna ściana Matterhornu zimą czy przejście wschodniego Filara Trolli. Wspinały się w zespołach kobiecych, co dziś jest bardzo rzadkie. Miały cele, które mogłyby onieśmielić mężczyzn, a mimo to się na nie decydowały.

Jaka jest różnica między wspinaniem w czasach Wandy Rutkiewicz a wspinaniem dzisiaj? Małgorzata Jurewicz podaje przykład:

– Północna ściana Matterhornu zajmuje dziś sprawnemu zespołowi jeden dzień. Kiedyś alpinistki wspanały się trzy dni, Irena Kęsa dość mocno się podmrażała. Ale miały w sobie dużo odwagi i determinacji. To były przecież czasy, kiedy górski świat był jeszcze bardziej męski niż dzisiaj. Ja wspinam się w zespole mieszanym, ale nie dlatego, że idę na łatwiznę, tylko dlatego, że z partnerem mamy takie same cele. Dla nas to naturalne.

Jurewicz obserwuje też proces, o którym starsze pokolenie nawet nie myślało.

– Dzisiaj ośmiotysięczniki są strasznie skomercjalizowane – przyznaje. – Kiedy widzę zdjęcia z Czo Oju, gdzie w obozie II jest trzydzieści namiotów, to jestem przerażona. Kiedyś pojechaliliśmy na aklimatyzację pod Elbrus. Niby góry, a człowiek czuł się jak w więzieniu: mnóstwo ludzi, namiotów, problem z ugotowaniem wody do picia ze śniegu, bo był on wszędzie zanieczyszczony ekskrementami. Nie wyobrażam sobie jeżdżenia na ośmiotysięczniki na drogi normalne. Dzisiaj to głównie czekanie na pogodę i pokonywanie fatalnego samopoczucia spowodowanego rozrzedzonym powietrzem. Nie ma trudności technicznych. To turystyka na dużej wysokości, z nielicznymi fragmentami łatwej wspinaczki, ubezpieczonej przez Szerpów stałymi linami poręczowymi. Nie wymaga znajomości technik alpinistycznych, zakładania własnej asekuracji ani umiejętności wspinaczkowych. W górach wysokich człowiek po prostu męczy się, walczy z oddechem, dociera gdzieś, wali się do namiotu, robi sobie herbatę i idzie spać.

Inaczej jest w ścianowej wspinaczce w stylu alpejskim na trudnej drodze. Mamy przed sobą dwadzieścia, trzydzieści wyciągów. Każdy z nich trudny. Ale każdy z nich to ogromna satysfakcja. Po tych 50 m (długość liny) człowiek czuje, że żyje, że udało mu się, krzyczy z radości. A za kolejne 50 m ma to samo. To bardzo intensywne uczucia.

– Wspinanie w wielkiej ścianie to nieustająca emocjonalna presja – dodaje Józek. – Gra w psychologicznego brydża, gdzie przy jednym stoliku siedzicie razem z partnerem naprzeciw własnego strachu i technicznych trudności. Do tego dochodzi ciężki wysiłek fizyczny, odnajdywanie nie zawsze oczywistej linii drogi, zakładanie własnej asekuracji, taktyka. Czasem nawet zrobienie pojedynczego ruchu w górę, posunięcie się o metr do przodu, wymaga dokładnego przemyślenia i zaplanowania. W gruncie rzeczy to jak rozwiązywanie skomplikowanej, złożonej z wielu problemów łamigłówki. Żeby temu sprostać, oprócz wiedzy, doświadczenia, opanowania emocji i wytrenowania ciała potrzebna jest maksymalna, długofalowa koncentracja. Coś nazywanego w psychologii stanem „flow”. Zaś popełnianie błędów w tej grze, choćby chwilowa tylko dekoncentracja, wiąże się z daleko idącymi konsekwencjami. Często określanymi przez nas eufemistycznie jako ostateczne.

SEN ZAMIAST LETARGU

Małgorzata w góry nie ucieka. „Tu” żyje, pracuje, spotyka się z przyjaciółmi, „tam” wyjeżdża na chwilę. Jak łączy zawód adwokata, wymagający dostępności dla klientów, z tymi wyjazdami? Czasem bywa to trudne, ale jest do zrobienia. Wystarczy mieć kogoś zaufanego, kto co dwa tygodnie odbierze pocztę. Stawi się w sądzie w zastępstwie w odpowiednim terminie. Na przykład przyjaciel, z którym Małgorzata zna się od czasów aplikacji i który pracuje w tym samym budynku. Zawsze jednak przed wyjazdem wszystkie pilne sprawy trzeba „ogarnąć”.

Z gór lubi jednak wracać do „normalnej” codzienności.

– Ostatnio po dwóch miesiącach tęskniłam już bardzo za domem – mówi. – Chociaż padał deszcz, było naprawdę brzydko, cieszyłam się, że jestem z powrotem. Że mam ciepłą herbatę, że mogę się wyspać w łóżku, na płaskim, a nie wisząc czy siedząc na półce, jak na Manitui, gdzie mieliśmy trzy biwaki w ścianie, z czego jeden był naprawdę ciężki. Mieliśmy półkę wielkości deski do prasowania, we dwójkę. Wisieliśmy w pętłach na ramionach i na nogach, żeby nie opadały. Spaliśmy może godzinę, to była drzemka, letarg. Po czymś takim człowiek docenia, że ma płaski materac, może się wygodnie położyć, wyspać.

Jurewicz pamięta swój „najlepszy posiłek w życiu”: po zejściu z Chan Tengri z Andrzejem Rusowiczem.

– Weszliśmy na szczyt, ale dużo nas to kosztowało, bo skończyło nam się jedzenie – opowiada Małgorzata. – Na 6300 m mieliśmy rozstawiony namiot, parę dni czekaliśmy w nim na poprawę pogody. Schudłam chyba z osiem kilo. Schodząc, byłam straszliwie głodna, zesłam ostatkiem sił. Z bazy zlecieliśmy helikopterem. Rano, na polanie, jeszcze bez prysznic, po tygodniu czy dwóch bez kąpieli (mam nawet takie zdjęcie) ktoś dał nam menażkę z ziemniakami z cebulą i śmietaną. Widać na zdjęciu, jak wsuwamy to we dwójkę. Te oczy wlepione w ziemniaki! W takich chwilach rzeczywistość odbiera się dużo intensywniej, człowiek ma naładowane akumulatory.

Oboje z Józkiem Soszyńskim nie wyobrażają sobie życia bez wspinania. Wspólna pasja nie jest dla nich jednak polem do rywalizacji, zawiści, nieporozumień. Na filmach i zdjęciach, które przywożą ze wspólnych wypraw, są zawsze w objęciach, uśmiechnięci, szczęśliwi.

Oboje mają swoje życiowe doświadczenia. Oboje są po rozwodzie. Józek z poprzedniego związku ma dorastającą córkę.

– Często jest tak, że wspinający się mężczyzna wybiera kobietę z innej bajki – mówi Małgorzata. – Wraca z wyprawy do rodziny, domowego ciepła, góry zostawia gdzieś daleko. Ja nie wyobrażam sobie mieć partnera, który się nie wspina. Z gór przywożę mnóstwo doznań. Dlaczego miałabym je dzielić z kimś zupełnie innym niż mój życiowy partner? Poza tym, nawet nie wiesz, jak spędzanie ze sobą dwudziestu kilku godzin w ścianie potrafi do siebie zbliżyć...

– Wspólna pasja definiuje nasze życie – mówi Józek Soszyński. – Jak wyglądałoby to bez wspinania? Może też byłoby fajnie, bo świetnie się rozumiemy i nawzajem inspirujemy we wszystkich dziedzinach życia, ale wspinanie to nasze „epicentrum”. Wszystko kręci się wokół gór. Wyjazdy, treningi, znajomi, rozmowy, przewodniki, czasopisma, newsy z netu, plany, fotki, sprzęt, nowe techniki, przełamywanie kolejnych barier. Choć mamy swoją pracę i inne pomniejsze pasje, to wspinaczka wiedzie nas przez życie. Dzięki niej oboje się rozwijamy i nie stoimy w miejscu.

JEDYNA SŁABOŚĆ

Zapytany o to, czy nie boi się o swoją życiową i górską partnerkę, Józek Soszyński mówi: czasem tak. Ale bardzo rzadko. Opowiada:

– Boję się głównie wtedy, gdy zaczynamy się wspinać w łatwym, ale niebezpiecznym terenie i na nią wypadło prowadzenie. Czasem widać wtedy u Małgosi brak zdecydowania w działaniu, zbyt wolne podejmowanie decyzji, gadanie do siebie. To znak, że się boi, że czuje się niepewnie. Wtedy ja zaczynam się bać o nią, bo sumują się tutaj zagrożenia obiektywne, czyli takie, na które nie mamy wpływu, i subiektywne, czyli błędy, które w normalnych warunkach możemy wyeliminować. Wymieniamy się w takich (nielicznych) przypadkach na prowadzeniu, bo mam lepszą intuicję w wyszukiwaniu drogi w nieewidentnych, kruchych i niebezpiecznych miejscach. Od dawna jednak podchodzimy do tego racjonalnie. Jesteśmy w stanie ocenić, czy istnieje naprawdę duże ryzyko, czy nie. Tu nie ma miejsca na emocje ani tworzenie w wyobraźni przerażających scenariuszy przyszłych wydarzeń, bo szybko rozsypalibyśmy się psychicznie i zagrożenie jeszcze by wzrosło.

Ryzyko jest nieodłącznym elementem wspinaczki. Można jedynie świadomie eliminować niektóre zagrożenia, wynikające z naszych własnych błędów. Można wyłapywać momenty, kiedy prawdopodobieństwo wypadku wzrasta, i koncentrować się wtedy jeszcze bardziej, żeby do niego nie dopuścić albo przynajmniej zminimalizować konsekwencje. Można unikać ryzyka, nie podejmując wspinaczki na bardzo niebezpiecznych ścianach albo wycofując się w odpowiednim momencie. Natomiast stuprocentowej gwarancji, że wszystko będzie okay, nie ma nigdy. Jeżeli alpinista dożywa starości, to prawdopodobnie mądrze tym ryzykiem zarządzał – ale na pewno musiał mieć też trochę szczęścia.

Ja Małgosi nie wlokę na wspinanie, a ona nie robi tego dla mnie – jak to często bywa wśród wspinaczkowych par. Dążymy do pełnego partnerstwa – mówi dalej Soszyński. – Nie zawsze jest to oczywiste, bo wiadomo, że fizycznie czy wytrzymałościowo jestem górą. Mam po prostu inną budowę ciała, większą masę mięśni, inny metabolizm. Za to technicznie czy psychicznie Małgosia z pewnością mi nie ustępuje, a i bywa lepsza. Największymi trudnościami dzielimy się równo. Z tych powodów nie występuje też u nas poczucie winy – „jak coś jej się stanie, to będzie moja wina”. To nasze osobiste wybory i decyzje podjęte dawno temu, poparte stopniowym

rozwojem fizycznym i psychicznym, solidnymi kompetencjami i wiedzą. Żadne z nas nie odstaje.

Poza tym Małgosia nieraz udowodniła, że porażka „z jej powodu” nie wchodzi w grę. Na 450-metrowym lodospadzie w Norwegii nalało jej się wody przez rękawy pod kurtkę. Musiałem dosłownie błagać, żeby zgodziła się wycofać przed ukończeniem drogi. Na Manitui szereg przyczyn spowodował, że wpadła w płytką hipotermię. Przez pięć godzin rozgrzewaliśmy ją w śpiworze butelkami z gorącą wodą. Nie odpuściła – i skończyliśmy drogę. Innego razu wspinamy się na Wyżnim Czarnostawiańskim Kotle w Tatrach. Temperatura: jakieś minus 20 stopni. Prowadzę, dlatego jest mi cieplej, a Gosia tkwi na stanowisku. Po czterdziestu minutach wracam, bo zgubiłem drogę. Ona dosłownie trzęsie się z zimna. „Zjeżdżamy, bo jest za zimno” – mówię. „Nie, idź jeszcze raz” – ona na to. „Ale to 40 metrów terenu o trudnościach M7, potrwa z półtorej godziny!” „Idź, do cholery!” Tego dnia też skończyliśmy drogę.

Moją bohaterkę na koniec pytam, czy jest odważna.

– Zależy, w jakim sensie – odpowiada. – Na początku miałam lęk wysokości. Im człowiek dłużej się wspina, tym ten lęk staje się mniejszy. Teraz jestem w stanie tkwić całymi dniami w ścianie na wiszących stanowiskach w kilkusetmetrowej ekspozycji i nie bać się wysokości. Aha, no i pajaków się boję. To moja słabość.

¹ D. Szczepański, *Tragedia na Shivlingu*, www.wyborcza.pl, dostęp 10-07-2017.

² Tamże.

³ Tamże.

⁴ Colton-MacIntyre na *Grandes Jorasses w zespole mieszanym*, www.wspiny.pl, dostęp 10-07-2017.

⁵ *Pierwsza Polka na klasycznej na Eigerze*, www.wspiny.pl, dostęp 10-07-2017.

EVEREST JEST TUTAJ



SYLWIA BUKOWICKA



foto. Paweł Sokołowski

– Czy pamiętam? Mogę to sobie tylko wyobrazić. Tworzyć w pamięci obraz, jak szczęśliwy wspina się na tego swojego wymarzonego „Blanka”. Oddycha ciężko, bo to przecież powyżej 4000 m n.p.m., ale jest w euforii, bo w końcu tu dotarł, długo to planował. Potem staje na szczycie, wyciąga aparat i robi zdjęcia.



Mogę sobie wyobrazić, jak schodzi i myśli, że mu się udało. Znam to uczucie. Trzeba je opanować. Zagłuszyć, żeby nie przysłoniło najważniejszego: teraz trzeba bezpiecznie dotrzeć na dół.

Widzę, jak się cieszy, może spokojnie podziwiać widoki. Alpy z Mont Blanc – to są obrazy, które trzeba zapamiętać na zawsze. Mam przed oczami, jak na chwilę schodzi z głównej drogi. Zobaczył jakiś unikalny kamień, chce go dotknąć, obejrzyć, poobrać w dłoniach. Jest przecież geologiem.

Geologia Mont Blanc jest bajeczna. Granity i gnejsy, kamienie o fakturze, którą w naszym świecie można spotkać w luksusowych wnętrzach, zobaczyć na pomnikach. Tam, na Białej Górze, leżą pod nogami, na wyciągnięcie ręki.

Znajduje się na wysokości 3550 m n.p.m. Nie jest profesjonalnym alpinistą, po prostu kocha góry. Jeden z kamieni, które tak podziwia, odrywa się od reszty.

Ciąży mu duży plecak. Ma pod sobą kilkaset metrów ściany z granitowych i gnejsowych skał.

Podobno wtedy nie myśli się o śmierci. Przeciwnie: ma się przekonanie, że wszystko będzie dobrze, że trzeba się tylko jakoś uratować. Tylko uratować. A Bartek miał po co. Dla muzyki. Dla kolejnej wyprawy. Dla mnie. Dla naszej córki, którą nosiłam w brzuchu od trzech miesięcy.

PLAN

– Skończymy przed zmrokiem, dobrze? Potem pochodzę po Starówce i będę robić zdjęcia. Ludziom, miejscom, budynkom. Ostatnio zajmuję się fotografią, dzisiaj też zabrałam ze sobą aparat.

Mówisz, że nie byłam zadowolona z naszego spotkania? Może takie sprawiałam wrażenie przez telefon. Ale to nie tak. Jeśli znajduję czas między firmą a domem, chętnie z kimś pogadam. Kiedyś nie czułam specjalnej potrzeby, żeby dzielić się przemyśleniami z ludźmi spoza środowiska. Ze znajomymi, gdzieś w schronisku, w trakcie wspinaczki, to nie ma problemu. Czasem takie rozmowy trwają do rana. Nie mam potrzeby, żeby opowiadać o moim życiu przed publicznością. Po tym, jak otrzymałam Nagrodę im. Andrzeja Zawady, zgłosiła się do mnie firma z propozycjami reklam. Szukali wspinającej się dziewczyny do promowania leku przeciwbólowego. Nie zgodziłam się. Nigdy na wyprawach nie miałam problemu z bólem, więc dlaczego miałabym reklamować tabletki i przekazywać stereotyp, że w górach musi boleć? Ja się zawsze czuję świetnie na wysokościach.

Po wejściu na Gaszerbrum II w Pakistanie byłam zaskoczona i trochę zawiedziona, że tak łatwo mi poszło, bez większego wysiłku fizycznego. Oczywiście cały proces aklimatyzacyjny

i różne działalności na górze trwały tyle, ile powinny. Ale nie odczułam tego na sobie, nie dotknęły mnie objawy choroby wysokościowej czy złe samopoczucie, do końca miałam apetyt, świetnie się czułam. Kondycyjnie nie narzekałam nigdy, bo trenuję od dziecka, od zawsze mocno siedziałam w sporcie.

Pracuję od paru lat w agencji wyprawowej Adventure24. Jej szefem jest Tomasz Kobielski, jeden ze zdobywców Korony Ziemi, był parę lat temu na Mount Evereście z Martyną Wojciechowską. Znamy się z Tomkiem od czasu, kiedy zaczynałam chodzić po górach. Był wtedy bardzo aktywny, wspinał się głównie w górach wysokich. Swego czasu nawet planowaliśmy wspólną wyprawę na Lhotse. Najpierw zaczęłam przygodę z inną agencją, we Wrocławiu, ale ta współpraca nie układała się dobrze. Nie podobało mi się podejście tamtych ludzi do organizacji podróży na bardzo trampowskich zasadach. Złożyłam propozycję Tomkowi i od tamtej pory pracujemy razem.

Mamy licencję na organizowanie wypraw na całym świecie. Staramy się, by wszystkie osoby, które zabieramy w góry typu alpejskiego, były do tego przygotowane. Nie jest tak, że mają pieniądze, to mogą jechać. Muszą się przygotować, zdobyć doświadczenie, chociażby zimowe tatrzańskie, żebyśmy mogli zabrać ich gdzieś wyżej. Robimy szkolenia według programu Polskiego Związku Alpinizmu, zimą w Tatrach. W tym roku mamy ich dziesięć. Osoby, które ukończą kurs, mają już jakieś szczyty na koncie, jadą z nami w tym roku na Kazbek. Działamy też promocyjnie, bo bierzemy za to pieniądze. Ale staramy się, żeby nie jechali z nami jacyś przypadkowi turyści. Bierzemy tych, którzy mają pasję, kochają góry. Pana prezesa, który chce wejść na Mount Everest i jego jedynym wysiłkiem będzie zrobienie przelewu – nie zabierzemy.

Z Tomkiem działamy też charytatywnie, organizowaliśmy akcję „Szpik na Szczyt”, dużą wyprawę dawców i biorców szpiku na Kilimandżaro. Pojechali na nią pacjenci, dawcy i lekarze. To była głośna, medialna wyprawa, której liderką została między innymi Ania Czerwińska, dawczyni szpiku. Robiliśmy też wyprawy dla kliniki dziecięcej we Wrocławiu z prof. Alicją Chybicką oraz na Kilimandżaro dla Fundacji Pokonaj Raka.

Dla mnie jest ważne, żeby pozostawać w zgodzie z sobą. Nawet jeśli na horyzoncie pojawiają się pieniądze. Mimo że dzisiaj nie mam ich zbyt wiele, zarobek ma dla mnie drugorzędne znaczenie. Robię to, co kocham. Dysponuję czasem, jak chcę. Najważniejsze są spełnienie, samorealizacja. Bardzo lubię mieć kontakt z ludźmi, którym mogę jakoś pomóc, doradzić na podstawie swojego doświadczenia nabytego przez ileś lat w górach.

Mam szczęście, że obracam się w środowisku ludzi, którzy realizują swoje marzenia. To jest dla mnie najcenniejsze – grono ludzi, którymi się otaczam. W całą resztę się nie angażuję. Nie oglądam telewizji, nie karmię się tym wszystkim, o czym informują media. Mam swój plan na życie i go realizuję. Tyle – nie ma w tym żadnej filozofii.

MIŁOŚĆ

– Dziś zarabiam na swoim doświadczeniu. Pracując w firmie wyprawowej, dzielę się wiedzą i praktyką z tymi, którzy chcą spróbować przygody. Wożę ludzi w różne części świata, także w góry. Wyprawy komercyjne w góry wysokie stają się coraz powszechniejsze. Wielu himalaistów i himalaistek właśnie tak zarabia na życie.

Większość podróży w dalekie kraje organizowana jest przez duże agencje, działające na całym świecie. My współpracujemy z lokalnymi firmami o mniejszym zasięgu, które zajmują się organizacją wszystkiego od początku do końca: od odebrania ludzi z lotniska po wsadzenie ich do samolotu w lot powrotny. Nasza agencja działa już 10 lat, mamy grono stałych klientów, ekipa, która z nami jeździ, się nie zmienia. Informacje o nas wędrują pocztą pantoflową – komuś się spodoba, więc powoli zaczynają dołączać jego znajomi, potem znajomi znajomych. Czasem szyjemy wyprawy na zamówienie: jeśli znajdzie się grupa paru osób, które mają ochotę pojechać do Meksyku, a my akurat tego w ofercie nie mamy – to my ten Meksyk dla nich zrobimy.

W zeszłym roku pojechaliśmy tam właśnie pierwszy raz na wyprawę komercyjną. Dotarliśmy też do Nowej Zelandii i Australii. Na początku organizowaliśmy głównie trekkingi w górach: Himalajach, Kilimandżaro, Ameryce Południowej. Obecnie wprowadzamy coraz więcej wycieczek objazdowych, bo jest na to zapotrzebowanie.

Kiedy zaczynałam, czyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych, wspinaczką i górami zajmowało się środowisko elitarne, skupione w wąskim gronie, hermetyczne. W tej chwili się ono otwiera, granice się zacierają. Wielu ludzi weszło już na Mnicha, było na Kilimandżaro, a nie są to osoby, które na co dzień chodzą po górach. Po prostu lubią aktywność, tak wolą spędzać czas i mają na to pieniądze.

Pytasz, czy to dobrze, że zamknięte grono się poszerzyło. No tak, kiedyś to było tak magicznie, nie? Zawsze widziało się te same twarze, jechało się do Chamonix w Alpach i spotykało się ludzi z Taboru w Sokolikach czy znajomych z Tatr. To było romantyczne, sentymentalne, piękne. Cieszę się, że załapałam się jeszcze na końcówkę tego okresu. Teraz jest inaczej, choć znajomych nadal się spotyka. Ale życie się zmienia, cały świat się zmienia.

Czy jestem idealistką? Staram się być. Może czasem aż za bardzo. Pytasz dlaczego?

Zaraz, zaraz. Ciągłe tylko pytasz. Próbujesz wszystko wytłumaczyć logicznie. A ja zwyczajnie nie wiem, może po prostu jestem osobą bardzo wrażliwą na piękno, sztukę, przyrodę, na cierpienie? Jako mała dziewczynka stworzyłam sobie idealistyczny świat i myślę, że udaje mi się w nim cały czas żyć. To wszystko kwestia tego, co w nas. To, co mamy w sobie, widzimy na zewnątrz. Jeśli nosimy w sobie dużo bólu, to tak widzimy świat. Romantyzm jest w nas. Jeśli mamy go w sobie, to czujemy go także wokół siebie. Myślę, że ja widzę świat przez miłość. Mimo wszystko. Miłość zawsze zwyciężała, dawała mi nadzieję na lepsze jutro. Nigdy nie straciłam uczucia do gór. Nawet wtedy. Nawet po tamtym.



Wejście na Island Peak (6189 m n.p.m. w Himalajach), w tle Ama Dablam, 1999.
fot. Jarosław Woćko

POCZĄTKI

– Pierwszy raz góry zobaczyłam późno, w siódmej klasie podstawówki. Wywarły na mnie tak ogromne wrażenie, że zapragnęłam mieć górską chatkę i w niej mieszkać. Najpierw były Karkonosze, bardzo sympatyczne pasmo, ale wtedy wydało mi się tak olbrzymie, że nie

wyobrażałam sobie, iż może istnieć coś większego od nich.

Pamiętam to jak dziś: trenuję wtedy lekkoatletykę, jestem w Karpaczu na obozie zimowym. Codziennym treningiem jest wbieganie na Śnieżkę. Góry tak bardzo mną wtedy zawładną, że od tamtej pory zaczęłam czytać literaturę górską. Najpierw koleżanka daje mi książkę *Dotknięcie pustki* Joego Simpsona. To od niej wszystko się zaczyna.

Książki górskie bywają nudne. Opisują przebieg wyprawy: nie ma pogody, to siedzimy w namiotach, czekamy... A tamta mnie uderzyła. Od tamtej pory chciałam przeżyć przygodę z górami. A że byłam za młoda, nie mogłam wyjechać, nie miałam też akceptacji rodziny dla mojej nowej pasji, jedynym moim światem stała się literatura górską. W trzeciej klasie liceum stwierdziłam, że albo znajdę ludzi, którzy chodzą po górach, albo rzucam ten temat i zajmuję się czymś innym.

W Gorzowie nie jest wtedy łatwo znaleźć ludzi o podobnych zainteresowaniach. W końcu wstępuję do Oddziału PTTK Ziemi Gorzowskiej. To było jesienią, a w następane wakacje jadę już w Alpy.

To, jak wygląda nasze dzieciństwo, a potem wczesna młodość, zależy głównie od naszych rodziców. Mój tato angażował mnie od samego początku w każdą możliwą dyscyplinę sportu. Już w zerówce zostałam zapisana na basen, pierwsze klasy podstawówki upłynęły mi na codziennych treningach pływania, wręcz wyczynowego. Po trzech latach zrezygnowałam z pływactwa i poszłam do klasy lekkoatletycznej. Zaczęłam osiągać niezłe rezultaty, więc przejął mnie AZS AWF Gorzów Wielkopolski, w którego barwach startowałam później w zawodach razem z dużo starszymi koleżankami. Potem, w miarę jak zaczęłam się wycofywać z AZS, pojawiła się wspinaczka. Zrobiłam kurs jaskiniowy zaraz po przyjściu do Gawry, czyli jeszcze w liceum.

Zawsze lubiłam samotność. Nadal lubię być sama. W górach warunki były idealne, czułam się dobrze, bo nie miałam kontaktu z drugim człowiekiem. Taką mam chyba naturę. Ludzi zawsze trzymałam na dystans. Od małego byłam zawzięta, zawsze stwarzałam problemy. Nigdy nie byłam grzecznym dzieckiem, zawsze stawiałam na swoim.

Czy należałam do jakiejś subkultury? Ha! Do każdej po kolei. W podstawówce miałam świadectwa z czerwonym paskiem. Bywało, że rozkładałam kocyki na łące i bawiłam się lalkami. Ale częściej można mnie było spotkać na boisku albo na „tarzanie”. Obok domu mieściła się duża skarpa, w połowie zbocza rosło drzewo. Wieszaliśmy linę na gałęzi i robiliśmy „tarzana”. Nie byłam grzeczną dziewczynką.

W liceum przyszyły buntownicze czasy. Nie miałam problemów w szkole, ale też nie byłam wzorową uczennicą. W domu kładziono nacisk na naukę, potem czekał mnie gotowy scenariusz: studia, praca, życie codzienne. A ja już wtedy widziałam, że z tego nic nie będzie. Bardziej stwarzałam pozory, że się uczę, niż to rzeczywiście robiłam.

Tato był technikiem chemicznym, pracował w dużym zakładzie. W Gorzowie znajdowały się trzy duże zakłady: Ursus, Silwana i Stilon, miasta w mieście. Każdy, kogo się spotykało, z dużym prawdopodobieństwem pracował w jednym z nich. Moi rodzice znaleźli zatrudnienie akurat w Stilonie. Tata pochodził z Sokołowa Podlaskiego, a mama z Zielonogórskiego. Ale to w Gorzowie dostali pracę i tu zamieszkaliśmy.

WAŁÓWKA

– Ale ja się w małym Gorzowie dusiłam. Pełną piersią oddychałam dopiero w górach. Z tych wyższych pierwsze były Alpy. Jadę tam jeszcze w liceum z PTTK. Pełny autokar, ludzie w różnym wieku, głównie starsi, którzy jechali na wycieczkę objazdową, ale też mała ekipa, która miała działać na Gran Paradiso i na „Blanku”. Zapiisałam się do grupy wspinającej się. Nie miałam wtedy chyba jeszcze 18 lat, pamiętam, że zbierałam pieniądze na tę wyprawę, dorabiając w marketach. Każdy grosz odkładałam, nie mówiąc nic rodzicom. Najpierw kupiłam plecak, potem buty, śpiwór. Do tego flanele i wełniane skarpety, jak taternik z lat dwudziestych.

Na parę tygodni przed wyjazdem mówię rodzicom, że jadę w Alpy, ale przekonuję ich, że to tylko objazd, bez ekstremów. Najpierw się zgadzają. Ale dwa dni przed wyjazdem mama pyta mnie, jakie jedzenie ma włożyć w słoiki, przygotowuje wałówkę. A ja jadę w Alpy.

Byłam zupełnie zielona, do tego wydawało mi się, że wiem wszystko najlepiej. Nie kłóciłam się z nikiem, nie sprzeczałam, ale miałam wiedzę z książek. Lider mówił, co każdy ma robić, a mnie się to nie podobało. W którymś momencie na Gran Paradiso odłączyłam się od grupy i ruszyłam na własną rękę, za co później zostałam skarcona, ale na szczyt weszłam, udało się.

Z Gran Paradiso pojechaliśmy na Mont Blanc. Na tę samą górę, która potem... Wtedy nie udało się zdobyć szczytu, bo były paskudne warunki pogodowe, musieliśmy zawrócić. Pojechałam na „Blanka” rok później, z tym samym klubem, i udało mi się wejść. Wracając z pierwszej wyprawy, weszłam do domu na totalnym luzie – lina, raki, czekan przypięte do plecaka. Rodzice dopiero wtedy się dowiedzieli, co tak naprawdę robiłam. Zapewne byli przerażeni. Nigdy do końca nie zaakceptowali mojego wspinania. Myślę, że głównie ze strachu i niewiedzy.

Potem pojechaliśmy z kolegą na Matterhorn. Bardzo trudna góra. Jakoś tak czuliśmy, że jej podołamy. Wtedy kompletnie nie znaliśmy realiów chodzenia po Alpach, zwłaszcza na takie szczyty. Zamiast ruszyć o 2.00-3.00, jak to robią przewodnicy z klientami, wyszliśmy, kiedy świeciło już słońce. Zjedliśmy śniadanie i stwierdziliśmy, że może byśmy już poszli do góry. Była 8.00, może 9.00. Nikogo na ścianie, bo wszyscy już prawie pod szczytem. Drogi nie sposób znaleźć, znają ją tylko przewodnicy. Nie jest oczywista, nie jest znakowana, nie ma żadnego szlaku.

Miałam grubą przewodnik po Alpach, gdzie mniej więcej rozpisano trasę na Matterhorn: jakieś 40 m kominkiem, później trawers w lewo, w prawo, znowu do góry. Czytaliśmy to z Tomkiem i staraliśmy się coś zrozumieć. Całe szczęście, że nic się nam nie stało. Nie asekurowaliśmy się. W którymś momencie stwierdziliśmy, że musimy zawrócić, bo nie damy rady. To była pełna fantazja, ale zero wyobraźni. Czegoś mnie to wtedy nauczyło.

Wiedziałam już, że chcę chodzić po górach, wspinać się, nabyć pewności i doświadczenia. Po powrocie z Alp zaczęłam szukać ludzi, którzy robią to bardziej wyczynowo. Zrządzeniem losu, słuchając audycji w lokalnym radiu, usłyszałam wywiad z gościem, który akurat wrócił z Alaski po zdobyciu McKinleya. Opowiadał o wyprawie, o swoim koledze z gór Ryśku Pawłowskim. Okazało się, że gość z radia jest z Gorzowa, z tutejszego klubu speleologicznego. Już wiedziałam, gdzie szukać.

Kiedy przyszedłam do klubu pierwszy raz, byłam tam jedyną dziewczyną. Klub ukierunkował się bardziej na jaskinie niż na chodzenie powierzchniowe, ale poznałam tam osoby, które się wspinały i chodziły po górach. Jarek, który był gościem tamtej radiowej audycji, został moim partnerem – wspinaczkowym i życiowym – na kolejne 8 lat.



Pod Ama Dablam, 2000.
fot. Ryszard Pawłowski

WZÓR

– Pytasz o studia, pracę, tak zwane normalne życie. Widzisz, w tej kwestii nie będę wzorem do naśladowania. Nie myślałam zbyt o uczelni, zawodzie, zarabianiu na utrzymanie i wyprawy. Żyłam pasją. Chciałam takiego życia. Jednak szkoła zawsze stała mi na przeszkodzie. Musiałam wybrać: albo spędzam czas w górach, albo w szkole. Zawsze wybierałam góry.

Nie poszłam na studniówkę, bo pojechałam na kurs jaskiniowy w Tatry. Po kilku wyprawach, po Gaszerbrumie, Jarek przeszedł rekonstrukcję kolana, i przez cały rok się rehabilitował. Przebiegało to bardzo długo i boleśnie, więc stwierdziłam, że pójdę na studia. Wybrałam fizjoterapię w Poznaniu. Spędziłam cały rok na ciągłym wkuwaniu materiału. Dowalili nam bardzo dużo nauki, więc miałam bardzo mało czasu. Skończyłam rok z bardzo dobrym wynikiem, ale stwierdziłam, że to ponad moje siły.

Jestem praktykiem, technikiem, lubię coś robić. Jeżeli mam się czegoś nauczyć, to pojmę to w mig, gdy ktoś mi to pokaże, ale nie czytam instrukcji obsługi. Praca? Kiedy skończyłam 19 lat, zaczęłam pracować na wysokościach jako pomagier. Trzeba było pomalować suwnicę, to malowałam. Prowadziłam też księgowość w firmie Jarka. Obsługiwałam barek w klubie speleologicznym. Później wyjechałam do Anglii, ale na chwilę. Jak wróciłam, zaczęłam pracę w firmie eventowej. Wcześniej jeszcze wyjazd na Kilimandżaro, potem dwa kolejne z grupą. Tak narodził się pomysł z wyprawami.

NAGRODA

– W 2002 roku zostaję pierwszą laureatką Nagrody im. Andrzeja Zawady, legendarnego prekursora polskiego himalaizmu. Miałam już wtedy na koncie Alpamayo, Chan Tengri, byłam po wyprawie w Kaukaz, chodziłam po Alpach. Nadszedł taki moment w środowisku, że dominowali starsi wspinacze, a oprócz nich nikogo młodszego. Nagle pojawił się Adam Bielecki. Mógł mieć wtedy kilkanaście lat, był chyba najmłodszym wspinaczem, który wszedł na Chan Tengri, chodził do liceum. Razem z nim byliśmy jedynymi, którzy mieli taką kolekcję szczytów. Obydwoje wystartowaliśmy w konkursie do Nagrody im. Andrzeja Zawady.

Na przygotowanie do Kolosów miałam dwa tygodnie. Pomógł mi Jarek, zrobiliśmy prezentację multimedialną z czterech wypraw. Trwała dwadzieścia minut, może pół godziny, miała narrację i podkład muzyczny.

Potrafię prowadzić imprezy, nie sprawia mi to trudności. Ale mam problem z mówieniem o sobie. Dlatego nagraliśmy narrację pod kołdrą, a potem odtworzyliśmy, więc nie musiałam nic mówić, tylko przedstawić się na początku i podziękować za uwagę.

Prezentacja była o tyle ciekawa, że nie traktowała tylko o jednej wyprawie. Przebiegała bez dłużyzn, za to bardzo dynamicznie. Warunkiem uczestnictwa w konkursie było przedstawienie, na co miałyby pójść wygrana. Już dawno siedziało mi w głowie Dhaulagiri, więc podałam ten cel. Byłoby to pierwsze kobiece wejście na szczyt. Dostałam nagrodę. Byłam pierwszą laureatką. Akurat ja, młoda dziewczyna.

Na Dhaulagiri umawiałam się już wcześniej z Ryskiem Pawłowskim. Zamiar miał dojść do skutku w 2003 roku, czyli rok po nagrodzie. Rysiek zadzwonił do mnie chyba na miesiąc przed wyprawą, że grupa nie uzbierała się i nie jedziemy. Żeby nie stracić pieniędzy, przygotowaliśmy i czasu, zaczęliśmy szybko szukać innego celu. Zorganizowaliśmy lubuską wyprawę na Gaszerbrum II. Pojechaliśmy do Pakistanu i weszliśmy na szczyt.

Jeszcze wiosną tego samego roku zadzwonił do mnie Marcin Miotk, mówiąc, że planują wraz z Kingą Baranowską pojechać na Czo Oju. Pytał, czy dołączę. Kinga zaczynała w podobnym czasie co ja, poznałyśmy się w Tatrach pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Nie miała jeszcze wtedy żadnego ośmiotysięcznika na koncie, choć zdobyła Chan Tengri. Potwierdziłam chęć wyjazdu – i tak oto miesiąc po Pakistanie byłam już w Nepalu na wyprawie na Czo Oju. Zdobyłam te dwie góry w ciągu jednego roku. Dlatego w kolejnej edycji Kolosów dostałam wyróżnienie w kategorii alpinizm. Jak mi się to udało? Zawsze mocno walczyłam o to, co chciałam osiągnąć. Dom rodzinny opuściłam, mając 19 lat. Chciałam się wspinać, jeździć w góry, a wiedziałam, że z rodzicami nad głową miałabym na to ograniczone szanse. Wyprowadziłam się. Byłam już wtedy z Jarkiem, więc zamieszkaliśmy razem i zaczęliśmy działać we dwoje. To wszystko poszło bardzo spontanicznie, bardzo szybko, bardzo intensywnie. Jak już wpadłam w ten wir, to trwało to kilka lat.

Czy rodzice nie mieli mi tego za złe? Na szczęście istnieje jeszcze jedna Bukowicka. Młodsza o pięć lat. Moja siostra jest przeciwieństwem mnie. Kiedy mój trener się dowiedział, że młodsza Bukowicka idzie do szkoły, stwierdził, że weźmie ją do klasy sportowej, bo moja siostra na pewno będzie mieć dobre wyniki. Okazało się, że Iza zupełnie nie ma zacięcia ani talentu sportowego. Poszła do zwykłej klasy. Od ponad 10 lat mieszka z mężem w Stanach, pracuje w banku. Byłam u nich w Atlancie.

Nigdy nie byłam patriotką, ale uwielbiam Polskę za to, że jest tak bardzo różnorodna. W politykę się nie mieszam. Nie bardzo mnie to interesuje. Lubię nasz język, mam tu przyjaciół. Żyje mi się tutaj o wiele łatwiej, bo kraj jest nieduży, dzięki czemu sprawniej nam się przemieszcza. Są Tatry.

Ale też nie wykluczam innych możliwości. Kupiliśmy z partnerem kampera, założyliśmy na Facebooku stronę „Foto Kamper”. Jeździmy całą rodziną do różnych miejsc, o których wcześniej pewnie nikt by nie pomyślał, że są turystyczne. Zwiedziliśmy całe Dolnośląskie. Tamtejsze wsie są piękne, niepowtarzalne. Po prostu stajemy gdzieś w polu pod lasem i cieszymy się chwilą. I robimy zdjęcia. W takich miejscach wystarczy być. Nie trzeba robić nic więcej.

FILM

– Pierwszy kontakt z Himalajami?

Przepraszam...

Okej... Już mogę mówić.

To wspomnienie zawsze chwyta mnie za gardło.

Do dziś, kiedy oglądam zdjęcia z naszych wypraw trekkingowych w Himalaje, łzy płyną mi po policzkach. Chciałabym tam kiedyś zabrać swoje dzieci i pokazać im to miejsce. Mam stamtąd wiele pięknych wspomnień. Myślę, że był to w moim życiu okres wielkiej bez troski. Niczym się nie przejmowałam, niczego nie planowałam. Te parę lat przeleciało mi ot tak, jak film przed oczami.

Człowiek był młody, narwany, napalony, robił wszystko, żeby znowu gdzieś pojechać, coś zrobić. To był tak intensywny okres, że kiedy go teraz wspominam, wydaje mi się, iż to nie działo się w tym życiu.

Piękne jest realizowanie swoich marzeń, kiedy udaje nam się osiągnąć cele, jakie sobie

założyliśmy, a które na początku wydawały nam się wręcz nierzeczywiste. Tak było z Himalajami. Kiedy się tam znalazłam, z jednej strony było to zupełnie naturalne, ale z drugiej strony wzruszałam się każdą górą, którą widziałam w tle. Ogrom tych masywów górskich tak mnie zachwyił, nie spodziewałam się tego. Człowiek czyta książki, ogląda widoki na zdjęciach, ale dopóki sam nie doświadczy Himalajów, nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki to jest ogrom! Stanięcie na takim szczycie i zobaczenie gór po horyzont budzi uczucia, które trudno opisać słowami! Wydaje ci się, że nie ma na świecie nic więcej poza tym, co widzisz.

Na Gaszerbrumie spędziliśmy chyba godzinę, zachwycając się widokiem z wierzchołka. Moment na szczycie jest tak krótki, że chcesz go zachować jak najdłużej w pamięci. Już mówiłam, że kiedy oglądam swoje zdjęcia, za każdym razem się wzruszam, ale też zastanawiam się, czy rzeczywiście tam byłam.

Wiesz, czasem wydaje mi się, że dużo trudniej jest żyć na co dzień, niż zdobywać wysokie góry. Dla mnie Everest jest tutaj. W którymś momencie wpadłam w pułapkę. Zabrakło mi alternatywy dla gór, z każdą kolejną wyprawą było coraz gorzej.

Po ostatnich wypadach bywało tak, że nie miałam ochoty widzieć się z ludźmi. Zanim pojechałam do rodziców, by się z nimi przywitać, opowiedzieć im coś o wyprawie, mijał przynajmniej tydzień, czasem upływały dwa albo więcej. Musiałam na nowo wpaść w rytm życia w mieście. Kiedy dużo czasu spędzałam na powietrzu, a potem wchodziłam do zamkniętego pomieszczenia, czułam się jak w klatce, jakbym miała klaustrofobię. Powietrze stało w miejscu, wokół wyrastały ściany, brakowało przestrzeni, do której się przyzwyczyłam. Po powrocie z gór czułam się jak w potrzasku. Zdarzało mi się prosto ze szczytów wpadać w dołki.



Sylwia Bukowicka: „Zawsze lubiłam samotność. Nadal lubię być sama. Taką mam chyba naturę”. Podczas wyprawy na Dhaulagiri, 2006.

LASKA

– Teraz opowiem ci o pluszowym osiołku. Dostałam go od Adama Małachowskiego, który szyje puchowe kurtki i śpiwory. Pamiętam, że chciałam tego pluszaka zostawić na szczycie. Było to dla mnie zupełnie oczywiste, że skoro ze mną tam wszedł, to już tam zostanie. Zaczęłam wykopywać dół czekaniem. Podszedł do mnie Jarek, mój partner, zapytał, co robię. Odpowiedziałam, że chcę pochować osiołka. „O, ty durna!” – skwitował. W końcu zniosłam pamiętkę na dół. Później zabrałam ją na kolejny wierzchołek, chyba na Czo Oju. Też był ze mną na szczycie, przypięty do plecaka. Potem jeździł ze mną na wszystkie wyprawy, aż któregoś dnia jakiś chłopczyk z nepalskiej wioski szedł za mną, bo bardzo chciał dostać osiołka, więc mu go podarowałam.

Wyprawy himalajskie to nie tylko wspinaczka, ale także – a może przede wszystkim – spotkanie z tamtą kulturą. To dla mnie ważne. Jestem z tych wrażliwych, dlatego kontakt z lokalną społecznością stanowi dla mnie zawsze duże przeżycie. Staram się nigdy nie ingerować w życie miejscowych, stoję z boku i obserwuję. Oczywiście, jeśli mamy na to czas, bo kiedy idziemy karawaną z trekkingiem, to nie siedzimy w jednym miejscu, tylko z dnia na dzień wędrujemy. Jesteśmy więc tylko w stanie zasmakować lokalnego kolorytu.

Nie odczułam specjalnej różnicy między rolami mężczyzny i kobiety. Zawsze chciałam być traktowana na równi z facetami, stale o to zabiegałam, walczyłam o to w klubie, zaraz po tym, jak się w nim pojawiłam. Na początku miałam wrażenie, że traktowano mnie z góry. Przyszła jakaś laska i chce się wspiąć, zobaczmy, na co ją stać. Kiedy zaczęłam się angażować w różne działania, wyjeżdżać i sprawnie radzić sobie z trudnościami, okazało się, że nie jestem tylko babką do towarzystwa, ale także partnerem w górach. Podczas podróży z Jarkiem czasami to on brał na plecy więcej ciężaru, ale zawsze staraliśmy się, żeby podział obowiązków był w miarę równy.

Nigdy nie korzystaliśmy z pomocy Szerpów powyżej bazy, tylko sami zakładaliśmy obozy. Żeby je wyposażyć, trzeba było wynieść namioty, wyposażenie, kuchnię, jedzenie. Za każdym razem, kiedy wychodziliśmy, ustalaliśmy podział rzeczy, które każdy ma wziąć. Wszyscy braliśmy mniej więcej po równo i szliśmy z tym wyżej.

Pierwsze moje spotkanie z typowo męskim środowiskiem nastąpiło w klubie speleologicznym. Już wcześniej, w AZS AWF, było więcej chłopaków. Dlatego zawsze większy kontakt miałam z facetami. Zwykle to z nimi lepiej mi się układało, rozmawiało, zawsze miałam więcej mężczyzn niż kobiet wśród znajomych. Może nie byłam męska, ale zawsze wykonywałam te same zajęcia co chłopacy. Jeśli oni gdzieś jechali, ja jechałam razem z nimi. Wiele rzeczy robiliśmy razem.

Nigdy nie mówiłam, że czegoś nie zrobię, bo nie dam rady, bo coś jest dla mnie za trudne albo pobrudzę sobie ręce. Zawsze działaliśmy wspólnie. Tak samo było później na wyprawach. Czasem zdarzały się sugestie, że może ktoś zrobić coś za mnie. Ale zawsze odpowiadałam, że jestem równorzędnym członkiem zespołu, towarzyszem, i tak chcę się czuć. Teraz to się zmienia, jestem bardziej łagodna, ale wtedy byłam stanowcza i obstawałam przy swoich warunkach. W każdym razie nie czułam się dyskryminowana.

RAJ

– Kiedy znalazłam się w bacówce na granicy polsko-czeskiej, którą przez kilka miesięcy prowadziłam i skąd miałam piękny widok na Beskid i Małą Fatrę, stwierdziłam, że jest to mój raj na ziemi, z którego nie muszę się nigdzie ruszać. Powiedziałam sobie: zobaczyłam już tyle świata, że mogę tu zostać do końca życia. Miałam góry, przestrzeń, las, przyrodę. To by mi w zupełności do szczęścia wystarczyło.

Chyba po Dhaulagiri rozpięta się burza medialna po tym, jak nikomu z naszej wyprawy nie udało się wejść na szczyt. Schowałam się. To wtedy pojechałam w Beskidy po raz pierwszy. Stwierdziłam, że nie chcę brać w tym zamieszaniu udziału. Góry są dla mnie czymś osobistym i pięknym i wolałam znaleźć w nich schronienie.

To były inne czasy, wtedy w Polsce brakowało organizacji komercyjnych wypraw. Dopiero wejście Martyny Wojciechowskiej na Mount Everest spowodowało początek takich działań. Ja nie czułam potrzeby uzewnętrzniania się, opowiadania na prelekcjach o przeżyciach ze zdobywania szczytów, chciałam je zachować wyłącznie dla siebie. Wtedy właśnie rzuciłam wszystko i wyjechałam z Gorzowa. To był luty 2007 roku. Spędziłam dwa tygodnie w dziczy, rozmyślając o różnych sprawach. Podjęłam decyzję, że zostawiam: Gorzów, rodzinę, całe dotychczasowe życie, dom, nawet swoje rzeczy, pamiątki, które przywoziłam ze świata. Spakowałam się w jeden plecak, wyszłam z domu i już nie wróciłam. Spędziłam w beskidzkiej dziczy półtora roku, może 2 lata. Potem przyjechałam do Wrocławia. W międzyczasie był jeszcze krótki wyjazd do Anglii. Po powrocie zamieszkałam w Małopolsce: najpierw w Andrychowie, później przeniosłam się do Katowic, potem do Bielska-Białej, gdzie poszłam do szkoły masażu.

Wtedy pojawiła się oferta pracy w bacówce w Beskidzie, więc ją przyjąłam. Spędziłam tam chyba trzy miesiące. Było to dla mnie bardzo cenne. Pokazało mi, że nastąpił moment w moim życiu, kiedy już nigdzie nie muszę jeździć, bo jest mi dobrze właśnie tu, gdzie jestem. Staram się czuć się dobrze wszędzie, ale wiem, że jeszcze nie osiadłam na stałe. Miejsce docelowe jest jeszcze przede mną. A może życie to nieustanna podróż? Czuję się w drodze jak ryba w wodzie. To stąd pomysł na kampera. Nie potrafię za długo usiedzieć w jednym miejscu. Potrzebuję zmiany, przemieszczania się, przeobrażeń krajobrazu. Teraz robię to razem z rodziną.

Mieszkamy poza miastem. Ale cały czas chodzi mi po głowie, żeby się przenieść w góry, mieć swoją chatkę. Jak wtedy, kiedy wymarzyłam to sobie, mając naście lat. Opracowałam plan, brakuje niestety pieniędzy. Wiem, że kiedyś zrealizuję swoje założenie, ale nie przyszedł jeszcze na to czas. Na razie żyję z dnia na dzień, chwytam chwilę, nie zastanawiam się, co będzie jutro.

UCIECZKA

– Pytasz, czy ja w góry od czegoś uciekałam. Dziwne. Mam wrażenie, że jest wręcz odwrotnie. To ludzie, którzy żyją w miastach, uciekają od tego, co jest nietknięte, pierwotne. Będąc w górach, czuję się jak w swoim naturalnym środowisku. To nie ucieczka. To w mieście odwracam się od rzeczy, które są dla mnie wrodzone. Na co dzień żyjemy w skupisku, zaprogramowani jak automaty. W górach piękne było to, że czułam się swobodnie, lekko, naturalnie. Od niczego nie uciekałam.

Poznaliśmy się z Bartkiem, czyli Bartoszem „Bartonem” Tomaszewskim, wtedy, kiedy przyjechałam do Wrocławia. Nasza znajomość nie trwała długo. Spotkaliśmy się, później pojechałam z grupą na Kilimandżaro. Ale od razu znaleźliśmy wspólny język. To była też miła odmiana w moim życiu, bo po tym, kiedy zostawiłam Gorzów i rodzinę, bez przerwy szło mi pod górkę. Z jednej strony czułam się ze swoim wyborem dobrze, realizowałam siebie, ale z drugiej – cały czas było ciężko zadbać o finanse i stały adres zamieszkania. Kiedy spotkałam Bartka, stwierdziłam, że przez to, iż jestem taka uparta i realizuję swoje pomysły, żyję tu i teraz. Dzięki temu poznaję ludzi podobnych do siebie. Tych, którzy kierują się podobną filozofią życia, cenią samorealizację, nie wpadają w utarte schematy.

Bartek był artystą. Grał na skrzypcach w zespołach ludowych Yarmark i Wnuki, wcześniej był DJ-em. Wszyscy, którzy go znali, pamiętają jego twórczą energię, ciągłą gotowość do nowych wyzwań, bycia w ruchu. Bartek miał ciepło w oczach. Długie włosy, w rękach skrzypce, do tego rozpiętą koszulę i bose stopy. Byliśmy do siebie podobni w tym, że mieliśmy swoje małe wszechświaty, które sami sobie stworzyliśmy.

Kiedy zaczęliśmy snuć razem plany na przyszłość, pojawiły się w nich również góry. On nie miał dużego doświadczenia górskiego, ale był osobą bardzo sprawną, jeździł wcześniej w Alpach na nartach. Myślał o tym, żeby zjechać na snowboardzie z Elbrusu. W wakacje, w lipcu, miałam jechać na Mont Blanc, więc stwierdziłam, że możemy wybrać się razem, zanim on ruszy na Elbrus. Wydawało mi się ważne, żeby zobaczył, jak znosi wysokość, jak wygląda wspinaczka, chodzenie w rakach i z czekaniem. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, gdy na tydzień przed wyjazdem dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Bardzo źle znosiłam początki, to był już prawie trzeci miesiąc. Straszne upały dawały się we znaki, ja chodziłam cały czas senna, zero energii. Pewnie gdybym czuła się inaczej, pojechałabym na tę wyprawę, ale nie miałam siły. Powiedziałam, żeby ruszał beze mnie, jeśli tego chce. Pojechał.

KAMIENÍ

– Sam wypadek wydarzył się podczas zejścia. Przypuszczam, że Bartek był tak euforycznie naładowany emocjami, które przeżył, że w tym ostatnim momencie, najtrudniejszym, kiedy droga prowadziła stromym żlebem, stracił poczucie rzeczywistości i popełnił błąd. Zszedł ze szlaku i dłubiąc w skale kryształowe górskie – zainteresowało go to, że w tej ścianie było tyle pięknych form geologicznych – stracił równowagę. Plecak go przeważał i Bartek poleciał do tyłu. Z relacji świadków wynika, że 300 m niżej ciało staczało się już bezwładnie, bez żadnego ruchu.

Dotarłam do kostnicy w Chamonix następnego dnia. Sekcja zwłok wykazała, że przy pierwszym upadku skręcił kark. To dlatego ciało potem już ani drgnęło. Góry pokazują, że wejście na szczyt to dopiero połowa sukcesu. Trzeba być skupionym do samego końca. On po prostu odpuścił za wcześnie. Emocje wzięły górę, zabrakło koncentracji.

Siedziałam i patrzyłam na „Blanka”, zadając sobie pytanie, które pewnie stawia każdy: dlaczego? Wpatrywałam się w góry i mówiłam: przecież kocham was tak bardzo, a wy zabieracie mi wszystko, co dla mnie najważniejsze. Dlaczego?

Ale ten okres minął. Rok później opublikowałam na swoim kanale na YouTube filmowe

wspomnienie o Bartku. Podpisałam je mottem pewnego tybetańskiego jogina, Milarepy: „Życ i umrzeć bez żalu – oto moja jedyna religia”. Myślę, że Bartek by się z tymi słowami w pełni zgodził.

Po tym wszystkim zostałam zmuszona bardzo szybko wrócić do rzeczywistości, bo nie byłam już sama. Musiałam zadbać o siebie, żeby dziecko mogło się dalej rozwijać. Na pierwszej wizycie po wypadku powiedziałam pani ginekolog, że tam najprawdopodobniej nic już nie ma, że poroniłam. Spytała, na jakiej podstawie tak mówię. Zaczęłam opowiadać o stresie, o tym, że chudnę, nie jem, nie śpię. Ale okazało się, że wszystko jest w porządku. Kalina jest dziś zdrowym dzieckiem.

FORMA

– Pomogło mi wtedy całe mnóstwo ludzi. Do dziś nie do końca zdaję sobie sprawę z tego, jak szeroko zakrojona była to akcja. Pamiętali o nas i przyjaciele Bartka, i znajomi z Sangi – związku buddyjskiego, do którego Bartek należał, a ja należę nadal – i środowisko górskie, które zgodziło się nas wesprzeć finansowo. Zebrano też darowizny na nasz cel. Wsparcie było więc bardzo duże. Dzięki kontaktom z pomocnymi ludźmi i zaangażowaniu wielu osób nie było czasu na zamartwianie się. Losu i tak bym nie zmieniała, a pogrążenie się w rozpacz mogło tylko zaszkodzić dziecku.

Był jednak taki moment, kiedy nienawidziłam gór. A na pewno próbowałam zrozumieć, co chciały mi powiedzieć. Cały czas w pewnym sensie czułam się winna, że puściłam Bartka samego, że mnie przy nim nie było.

Z drugiej strony kiedy sama byłam tam dwa razy w liceum, ani razu nie odczułam zagrożenia, które byłoby potem sygnałem, żeby go ostrzec przed wyjazdem. Wiadomo, na „Blanku” zdarzały się wypadki, wielu doświadczonych alpinistów straciło tam życie. Ale nic nie kazało mi być na tyle ostrożną, by zabronić Bartkowi jechać. Jak to w życiu – śmierć nas nie dotyczy, dopóki się nie wydarzy.

Później, kiedy Kalina przyszła na świat, znowu ciągnęło mnie w góry. Wiadomo, natury nie oszukasz. Urodziłam córkę w lutym, a parę tygodni później, w połowie marca, wybrałyśmy się na Ślężę. Było bardzo zimno, malutką Kalinkę opatuliłam w chustę i niosłam na piersi. I tak zaczęłyśmy razem chodzić po okolicy. Zaczęłam się też wspinać na ściance we Wrocławiu, przez jakiś czas moją wspinaczkową partnerką była Agna Bielecka. Do tego jeździłam na rowerze. Uwielbiam ruch, a zwłaszcza wspinaczkę.



Sylwia Bukowicka: „Na początku traktowano mnie z góry. Przyszła jakaś laska i chce się wspinać. Szybko okazało się, że nie jestem tylko babką do towarzystwa, ale także partnerem w górach”. Dhaulagiri, 2006.

fot. Sylwia Bukowicka

ZDJĘCIA

– Kalina ma teraz 6 lat. Zupełnie nie interesuje się górami. Przynajmniej na razie. Jest aktywna razem z nami, ale nie widzę w niej wybitnego zainteresowania górskiego. Ma wyraźne uzdolnienia plastyczne, w ogóle artystyczne. Sportowe, jak sądzę, trochę mniej, ale na wszystkie wycieczki reaguje bardzo radośnie i spontanicznie.

Jestem dość rygorystyczną mamą. Kiedyś nie myślałam w ogóle o dzieciach, bo miałam plan na życie, w którym główną rolę grały góry, ale w pewnym momencie zabrakło mi odskoczni od tej pasji. Pojawiła się u mnie chęć posiadania rodziny. Ale pierwsze myśli o dziecku przyszły bardzo późno, kiedy miałam trzydzieści parę lat. Myślałam sobie wtedy, że będę stanowczą matką, nie pozwolę oglądać telewizji, nie dam dzieciom za wcześnie komórki, nie zgodzę się, żeby non stop siedziały przed komputerem. Rzeczywiście tak jest. W domu nie mamy telewizora, dzieci oglądają co prawda bajki, ale takie, które ja wybiorę. Staramy się spędzać czas aktywnie i ciekawie, a nie schematycznie.

To będzie jej sprawa, czy Kalina będzie chciała się wspinać. Wychowujemy dzieci nie dla siebie, tylko dla świata. Po to, by dały sobie radę w życiu i realizowały siebie. Chciałabym w pewnym momencie wypuścić potomstwo spod skrzydeł. Sama mam kochanych rodziców, ale myślę, że nigdy nie zaakceptowali gór. Pewnie kiedy zobaczyli, że jednak wracam cała i zdrowa, bali się mniej, ale na samym początku musiał to być dla nich horror. Gdy pierwszy raz pojechałam w Himalaje, spędziliśmy w górach czterdzieści dni. Odezwałam się do rodziców

dopiero, kiedy zeszliśmy na dół. Przez tyle czasu nie mieli ze mną żadnego kontaktu i tak naprawdę nie wiedzieli, co się dzieje, czy żyję, czy nie.

Myślę, że gdy musiałam walczyć o to, czego naprawdę chcę, umocniłam się w swoim wyborze. Dzięki trudnościom na drodze udało mi się zrealizować marzenia. Dopięłam swego. W żadnym wypadku nie chciałabym zabronić swojemu dziecku życia z pasją. A i tak w pewnym wieku nie będę miała na nic wpływu, będę mogła albo wspierać Kalinę, albo stracić z nią kontakt.

POWRÓT

– Często zadawałam sobie pytanie, czy wrócę w góry. Nawet po urodzeniu Kaliny. Rozmawiałam parę razy z Arturem Hajzerem, widzieliśmy się we Wrocławiu chwilę przed jego śmiercią. Zapisałam się do jego programu „Polski Himalaizm Zimowy”. Wydawało mi się wtedy, że zima mogłaby być dla mnie wyzwaniem, sprawdziłabym swoje możliwości. Wcześniej, latem, na Gaszerbrumie lub Czo Oju – fakt, że są to dość niskie i łatwe ośmiotysięczniki – nie doświadczałam specjalnych trudności. Za to zimowe warunki budziły we mnie emocje i ducha sportowej rywalizacji. Rozmawiałam też z Kingą Baranowską. Powiedziała mi wtedy, że ludzie, którzy mają dzieci, nie powinni się już wspinać w górach wysokich.

Później, będąc na którejś z wypraw, odczułam, że zamiast być tu i teraz, na górze, rozwieszam zdjęcia swoich dzieci w namiocie i wracam do maluchów myślami. Za bardzo rozprasza mnie tęsknota. Nie mówię, że to dotyczy wszystkich, ale części, w tym mnie samej, tak. Zresztą pamiętam, jak tatusiowie wyciągali z plecaków zdjęcia pociech. A podczas wyprawy trzeba się bardzo mocno ukierunkować na działanie, nie można odpuścić skupienia, zacząć myśleć o czymś innym. To może wytrącić z równowagi i spowodować tragiczny w skutkach błąd.

Stałam na Kilimandżaro, kiedy Kala miała półtora roku, zostawiłam ją na miesiąc z moimi rodzicami. Była jeszcze mała. Kiedy wróciłam, rodzice ją przywieźli, a mała dopiero po chwili załapała, że to mama. Na samej wyprawie nie czułam wielkiej potrzeby kontaktu, pozwoliłam sobie na odpoczynek od dziecka. Byłam z daleka od domu, miałam zadanie do wypełnienia i tylko to się wtedy dla mnie liczyło. Wiedziałam, że Kalina jest bezpieczna z dziadkami. Nie miałam poczucia, że zostawiłam ją nieszczęśliwą, bo mama jest daleko. Córka miała wokół siebie kochające osoby, codzienność toczyła się zwykłym trybem. Dzisiaj wiem jednak, że nie zostawiłabym swojej rodziny na dłużej. Za bardzo bym tęskniła. A jak mam jechać i tęsknić, to nie ma sensu.

Po 2013 roku zmieniłam zdanie o górach. Śmiertelny wypadek Artura Hajzera mocno mną wstrząsnął. Artur wydawał się należeć do kręgu osób nieśmiertelnych. Kiedy okazało się, że zginął w górach, w myślach zrobiłam rachunek tych, którzy stracili tam życie. Wydawało mi się, że bardzo dużo wspinaczy idących w góry po długiej przerwie już stamtąd nie wraca. Nie wiem, czy chodzi o brak ciągłości w formie, jakieś rozprężenie, czy o rutynę. W każdym razie ten powrót nie zawsze dobrze się kończy.

Jakiś czas temu Ewa Panejko-Pankiewicz próbowała zorganizować polską wyprawę, chyba na Czo Oju. Himalaistki pisały wtedy też do mnie. Próbowaly ruszyć z domów te stare baby, które się kiedyś wspinały, zebrać je i zdobyć ośmiotysięcznik, żeby wznowić swoją aktywność.

Nic im z tego nie wyszło.

Co mogłoby się wydarzyć? Nie wiem. Może wyprawa zakończyłaby się sukcesem. Ale dla mnie to taka próba powrotu na siłę. Jednak serce się wyrywało w góry, chciałam to zrobić, bo mam w pamięci tamte piękne momenty na szczycie. Tęsknię do nich.

Wiesz, jestem zwykłym człowiekiem, płacę rachunki, zmywam naczynia, tankuję samochód, ale są to czynności, nad którymi się nie zastanawiam. Pewnie, że można być szczęśliwym na co dzień, i dobrze, jeśli potrafimy. Ale w moim przypadku to góry były tym, dzięki czemu czułam się spełniona. Nie potrzebowałam niczego więcej do życia.

Jeśli chociaż raz byłeś w pełni szczęśliwy, to później łatwiej jest ci to uczucie przywołać na nowo, a potem pielęgnować. Trzeba nad tym ciężko pracować, ale da się.

Na pewno się da.



Z córką w Bieszczadach, 2015.

fot. Tomasz Piech

WAŻNIEJSZE POLSKIE KOBIECE WEJŚCIA W GÓRACH WYSOKICH

1975

Gaszerbrum II (8035 m),
Halina Krüger-Syrokomska i Anna Okopińska – pierwsze Polki pokonują barierę 8000 m

1978

Mount Everest (8848 m),
Wanda Rutkiewicz – pierwsza Polka, Europejka i trzecia kobieta na świecie

1979

Rakaposhi (7788 m),
Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska – pierwsze kobiece wejście

1983

Broad Peak (8051 m),
Krystyna Palmowska – pierwsza kobieta, Anna Czerwińska dochodzi do przedwierzchołka
Rocky Summit

1985

Nanga Parbat (8126 m),
Wanda Rutkiewicz, Krystyna Palmowska i Anna Czerwińska – pierwsze wejście kobiece

1986

K2 (8611 m),
Wanda Rutkiewicz – pierwsza kobieta i pierwsza Polka

1987

Sziszapangma (8027 m),
Wanda Rutkiewicz

1989

Gaszerbrum II,
Wanda Rutkiewicz

1990

Gaszerbrum I (8080 m),
Ewa Panejko-Pankiewicz, Wanda Rutkiewicz

1991

Czo Oju (8188 m),
Wanda Rutkiewicz

1991

Annapurna (8091 m),
Wanda Rutkiewicz – pierwsza Polka, samotnie

1994

Sziszapangma,
Ewa Panejko-Pankiewicz

1997

Gaszerbrum II,
Barbara Batko

2000

Chan Tengri (7010 m),
Joanna Piotrowicz

Ama Dablam (6812 m),
Sylwia Bukowicka – Polka w historii

Mount Everest,
Anna Czerwińska

Sziszapangma,
Anna Czerwińska

2001

Lhotse (8516 m),
Anna Czerwińska

Czo Oju,
Anna Czerwińska

2003

Gaszerbrum II,
Sylwia Bukowicka

Gaszerbrum II,
Anna Czerwińska

Czo Oju,
Sylwia Bukowicka

Czo Oju,
Kinga Baranowska

2004

Chan Tengri,
Katarzyna Skłodowska

2005

Czo Oju,
Anna Barańska

2006

Shivling (6543 m),
Katarzyna Skłodowska, Małgorzata Jurewicz

Makalu (8481 m),
Anna Czerwińska – pierwsze wejście kobiece

Broad Peak,
Kinga Baranowska – drugie polskie wejście kobiece

Gaszerbrum II,
Tamara Styś

2007

Nanga Parbat,
Kinga Baranowska

2008

Dhaulagiri (8167 m),
Kinga Baranowska – pierwsza Polka

2009

Kanczendzonga (8586 m),
Kinga Baranowska – pierwsza Polka

Mount Everest,
Anna Barańska – pierwsze polskie wejście kobiece od strony północnej

Manaslu,
Małgorzata Wątroba

2010

Annapurna,
Kinga Baranowska – druga Polka

Pik Pobiedy (7439 m),
Aleksandra Dzik

2011

Baruntse (7129 m),
Izabela Czaplicka

Gaszerbrum II,
Aleksandra Dzik

2012

Lhotse,
Anna Lichota

Lhotse,
Kinga Baranowska, jako trzecia Polka – pierwsze wejście bez użycia tlenu

2015

Broad Peak,
Agnieszka Bielecka

Gaszerbrum II,
Kinga Baranowska

BIBLIOGRAFIA

- Bielecki A., Szczepański D., *Spod zamarzniętych powiek*, Warszawa 2017.
- Curran J., *K2. Triumf i tragedia*, Czeladź 1989.
- Czerwińska A., *Broad Peak '83. Tylko dwie*, Warszawa 1989.
- Czerwińska A., *GórFanka. Na szczytach Himalajów*, Warszawa 2008.
- Czerwińska A., *GórFanka. W Karakorum 1979–1986*, Warszawa 2013.
- Czerwińska A., *GórFanka. Moje ABC w skale i lodzie*, Warszawa 2009.
- Czerwińska A., *Korona Ziemi*, Warszawa 2000.
- Czerwińska A., *Nanga Parbat – góra o złej sławie*, Warszawa 1989.
- Człowiek wobec gór – perspektywa psychologiczna, filozoficzna i kulturoznawcza*, red. R. Kulik, A. Skorupa, Wrocław 2010.
- Krakauer J., *Wszystko za Everest*, Warszawa 2009.
- Kurczab J., *Polskie Himalaje, cz. 4: Panie w górach*, Warszawa 2008.
- Lwow A., *Zwyciężyć znaczy przeżyć. 20 lat później*, Kraków 2014.
- McDonald B., *Ucieczka na szczyt*, Warszawa 2012.
- Messner R., *Na szczycie. Kobiety na górze*, Katowice 2012.
- Miodowicz A., *Zadymiarz*, Warszawa 1993.
- Morawska O., *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011.
- Piotrowicz J., *Z kobietą na jednej linie*,
„Góry i Alpinizm” red. W. Rutkiewicz, 1996, nr 3 (27).
- Piotrowski T., *Naga Góra – Nanga Parbat*, Warszawa 1990.
- Rejowska-Pasek A., *Pęknięty dyskurs polskiego alpinizmu*, Kraków 2016.
- Rusowicz B., Bandurska J., *Więcej o Wandzie Rutkiewicz*, Toruń 1997.

Rusowicz B., *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz. Wywiad rzeka Barbary Rusowicz*, Toruń–Piła 1992.

Rutkiewicz W., Matuszewska E., *Karawana do marzeń*, Kraków 1994.

Rutkiewicz W., Matuszewska E., *Na jednej linii*, Warszawa 1986.

Štěřbová D., *Tęsknota i przeznaczenie. Pierwsze kobiety na ośmiotysięcznikach*, Katowice 2016.

Tomza P., *Pokolenie Kolosów*, Warszawa 2015.

Wysokie Obcasy. Portrety, praca zbiorowa, Warszawa 2000.

Zdobycie Gasherbrumów, red. W. Rutkiewicz, Warszawa 1979.

Żuławski W., *Sygnaly ze skalnych ścian. Tragedie tatrzańskie. Wędrówki alpejskie. Skalne lato*, Warszawa 1967.

Teksty opublikowane w „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” oraz na stronach internetowych:

www.off.sport.pl

www.portalgorski.pl

www.wspinanie.pl

www.wyborcza.pl

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Część I. Wczoraj](#)

[Halina Krüger-Syrokomska. Bądź dzielna, Marianko](#)

[Anna Okopińska. Muszę mieć pod górke](#)

[Dobrosława Miodowicz-wolf vel Mrówka. Choćbyś była bryłą lodu](#)

[Wanda Rutkiewicz. Aż runie mur](#)

[Alicja Bednarz. Ostatnia szansa](#)

[Ewa Panejko-Pankiewicz. Maleństwo](#)

[Joanna Piotrowicz. Matka o sześciu rękach](#)

[Część II. Dziś](#)

[Kinga Baranowska. Uchwycić strach](#)

[Agnieszka Bielecka. Spręż](#)

[Izabela Czaplicka. Styl zuchwało-bezczelny](#)

[Aleksandra Dzik. Granice hardkoru](#)

[Katarzyna Skłodowska. Życie, pycha i śmierć](#)

[Małgorzata Jurewicz. Nasze epicentrum](#)

[Sylwia Bukowicka. Everest jest tutaj](#)

[Ważniejsze polskie kobiece wejścia w górach wysokich](#)

[Bibliografia](#)

[Karta redakcyjna](#)

Projekt graficzny okładki i makiety, obróbka graficzna zdjęć
Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN®
www.panczakiewicz.pl

Fotografia na okładce
Archiwum Marianny Syrokomskiej

Opieka redakcyjna
Damian Warszawski

Redakcja
Monika Skowron

Redakcja rozdziału drugiego, poświęconego Annie Okopińskiej
Beata Słama

Konsultacja merytoryczna dotycząca tematyki górskiej
Kacper Tekieli

Adiustacja
Katarzyna Węglarczyk

Korekta
Jadwiga Grellova
Katarzyna Onderka

Copyright © by Mariusz Sepioło
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-5019-2

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com